U PROGU UNII EUROPEJSKIEJ

INDEKS 33328X ISSN – 1425-3917

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Biblioteka Śląska EO

Nr 6/32/ ROK IV • CZERWIEC 1998 CENA 4 zł

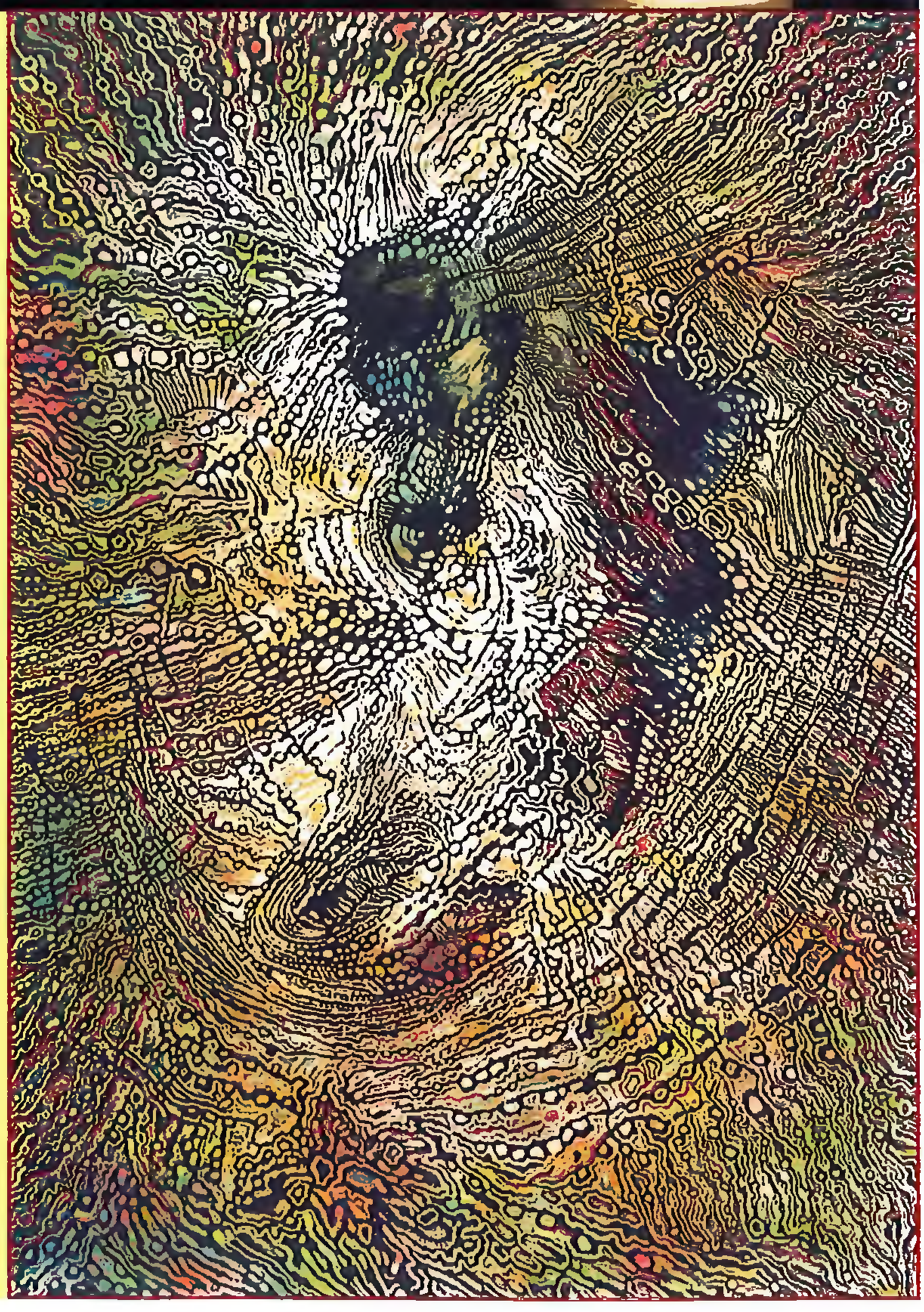
Nie ma jak zadyma
GERARD CIEŚLIK: Na zawsze w Hajdukach
Dramat śląskiego Kordiana
Śląskie korzenie KRYSTIANA LUPY
Wiersze BOLESŁAWA TABORSKIEGO
Literatura instant





Foto. Barbara Polanin

8 maja br. metropolita katowicki abp Damian Zimoń dokonał aktu poświęcenia nowego gmachu Biblioteki Śląskiej — największej książnicy w tej części Europy, która dla czytelników swe podwoje otworzy w październiku tego roku.
Na zdjęciu: Prof. Jan Malicki — dyrektor Biblioteki, wojewoda katowicki — Marek Kempski, abp Damian Zimoń i pani premierowa — Ludgarda Buzek.



PRACA ROKU 1997
GRAND PRIX
LECH KOŁODZIEJCZYK
„Księga słońca"
olej na płótnie

Biblioteka Śląska

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 6 (32). Rok IV. Czerwiec 1998
WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny
FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji
KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny
MARIAN KISIEL
dział krytyki i eseju
JAN F. LEWANDOWSKI
dział społeczno-historyczny
WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny
HALINA ŻMIJ
kierownictwo biura redakcji
MIROSŁAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
ANNA STRUMIŁOWSKA
ANDRZEJ ROGIER
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7, tel./fax 206-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:
MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI, WYDZIAŁ KULTURY URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO I URZĄD MIASTA W KATOWICACH.

Skład i montaż elektroniczny: Studio Typografii Profesjonalnej „KorGraf" s.c., 40-084 Katowice, ul. Opolska 22, tel. 597-271 w. 107
Druk: MARQUARD PRESS S.A. 40-084 Katowice, ul. Opolska 22, zam. 441/98

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" - na terenie całego kraju. Bezpośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłat należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk", PKO II Oddz. Katowice 10202326-702757-270-1-PLN. Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.
Cena egzemplarza — 4 zł
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X
Numer zamknięto 30.04.1998 r.

W NUMERZE:

Rozmowa z prezydentem RP Aleksandrem Kwaśniewskim
WOBEC ŚLĄSKA MAMY DŁUG MORALNY ... 7
Wiesław Kosterski **DWOJE DO TANGA** ... 8
Marian Kisiel **UNIA, FORSA I NADZIEJE** ... 11
SZANSE I ZAGROŻENIA ... 12
Rozmowa z Anną Sekudewicz **NIEZBĘDNA DO ŻYCIA ENERGIA** ... 14
Bolesław Taborski **WIERSZE** ... 16
Danuta Lubina-Cipińska **S.O.S. DLA „ŚLĄSKIEGO"** ... 17
Andrzej Grygierczyk **NIE MA JAK ZADYMA** ... 18
Stanisława Warmbrand **KRAJOBRAZ PO „SPODKU"** ... 21
Joachim Waloszek **NA ZAWSZE W HAJDUKACH** ... 26
Marian Kisiel **„POECI LONDYŃSCY" PO LATACH** ... 29
Florian Śmieja **WIERSZE** ... 30
Józef Musiol **DRAMAT ŚLĄSKIEGO „KORDIANA"** ... 32
Marcin Jakubowski **W POSZUKIWANIU STRACONEJ TOŻSAMOŚCI** ... 37
Jacek Wojciechowski **LITERATURA INSTANT** ... 38
Michał Wroński **BAJDOŁA** ... 40
Kalina Trząska **WIERSZE** ... 43
Małgorzata Rygielska **WIERSZE** ... 43
Rozmowa z Krystianem Lupą **METAFIZYCZNE TĘSKNOTY** ... 44
„ARKADIA" PISMO BEZ KOMPLEKSÓW ... 45
Zofia Adamczykowa **OPOWIEŚĆ O ŚWIĘTEJ KRÓLOWEJ** ... 48
Stanisław Jędrzejek **U KOLEBKI ŚW. JACKA** ... 50
Rozmowa z Włodzimierzem Paźniewskim **PALCEM PO MAPIE** ... 53
Elzbieta Dutka **SMAK UKRAINNEGO ŻYCIA** ... 54
Andrzej Babuchowski **CZESKA POLKA** ... 56
Danuta Lubina-Cipińska **KRONIKA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ** ... 64
Wiesława Konopelska **SPŁACONY DŁUG** ... 65
LUDZIE BIZNESU
Paweł Grabarczyk **ROK POTRÓJNEJ ROCZNICY** ... 88
ŚLĄSKI MIESIĄC ... 3
REPLIKI I KOMENTARZE
Tadeusz Kijonk **BĘDZIE KONGRES** ... 4
OBSERWATOR SAMORZĄDOWY ... 6
ŚCIEŻKI I ROZDROŻA
Krzysztof Karwat **RACHUNKI KRZYWD** ... 42
PEJZAŻ MITOLOGICZNY
Antoni Halor **TWARDY ŻYWOT PEWNEJ LEGENDY** ... 46
WĘDRÓWKI PO KINIE
Jan F. Lewandowski **NASTĘPCA FORMANA** ... 47
GOSPODARKA
Krzysztof Karwat
PRZEKSZTAŁCANIE „ŚREDNIAKÓW" ... 60
EKOLOGIA
Jan Rzymełka **BAŁAMUCENIE EKOLOGIĄ** ... 61
PODKOPKI: *Kijonka, Netz, Bilewicz, Twardoch* ... 62
TEATR
Marek Świercz
KOMU POTRZEBNA MARTYROLOGIA? ... 66
Krzysztof Karwat **NUDNY BIENEK** ... 67
MUZYKA
Tadeusz Kijonka **SERCE OCHMANA** ... 68
Aleksander Gabryś **POD ZNAKIEM LUTOSŁAWSKIEGO** ... 69
RAPORTY KULTURALNE
Wiesława Konopelska **NA STRAŻY PRZESZŁOŚCI — Z MYŚLĄ O PRZYSZŁOŚCI** ... 70
STARTY I FALSTARTY
Marian Kisiel **CODZIENNOŚĆ, BEZRUCH** ... 72
KSIĄŻKI
Bożena Szałasta-Rogowska **POZNAWANIE LIPSKIEJ** ... 73
Maria Kwaśniewicz **NIE DO CZYTANIA** ... 74
Aldona Skudrzykowa **„DZIECKIEM W KOLEBCE"** ... 75
Ryszard Bednarczyk **KABAŁA DZIECIĘCIA WIEKU** ... 76
Kalina Trząska **NOWOJORSKIE HAIKU** ... 77
Maria Kwaśniewicz **NOWE SPOJRZENIE** ... 77
NOTY ... 78
Marek Baster **BLOC-NOTES** ... 79
Marta Fox **LISTY SPOD KAPELUSZA** ... 80
Ewa Bieńczycka **PRZEGLĄD KATOWICKI** ... 80
GWARA I OBYCZAJE
Jolanta Tambor **O ZAOLZIU MNIEJ OPTYMISTYCZNIE** 81
NOTATNIKI KULTURALNE
Wiesława Konopelska **KATOWICE** ... 82
Jan Picheta **BIELSKO** ... 84
Marek Świercz **OPOLE** ... 85
Jacek Sikora **ZAOLZIE** ... 86
Wojciech Janota **GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE** ... 87

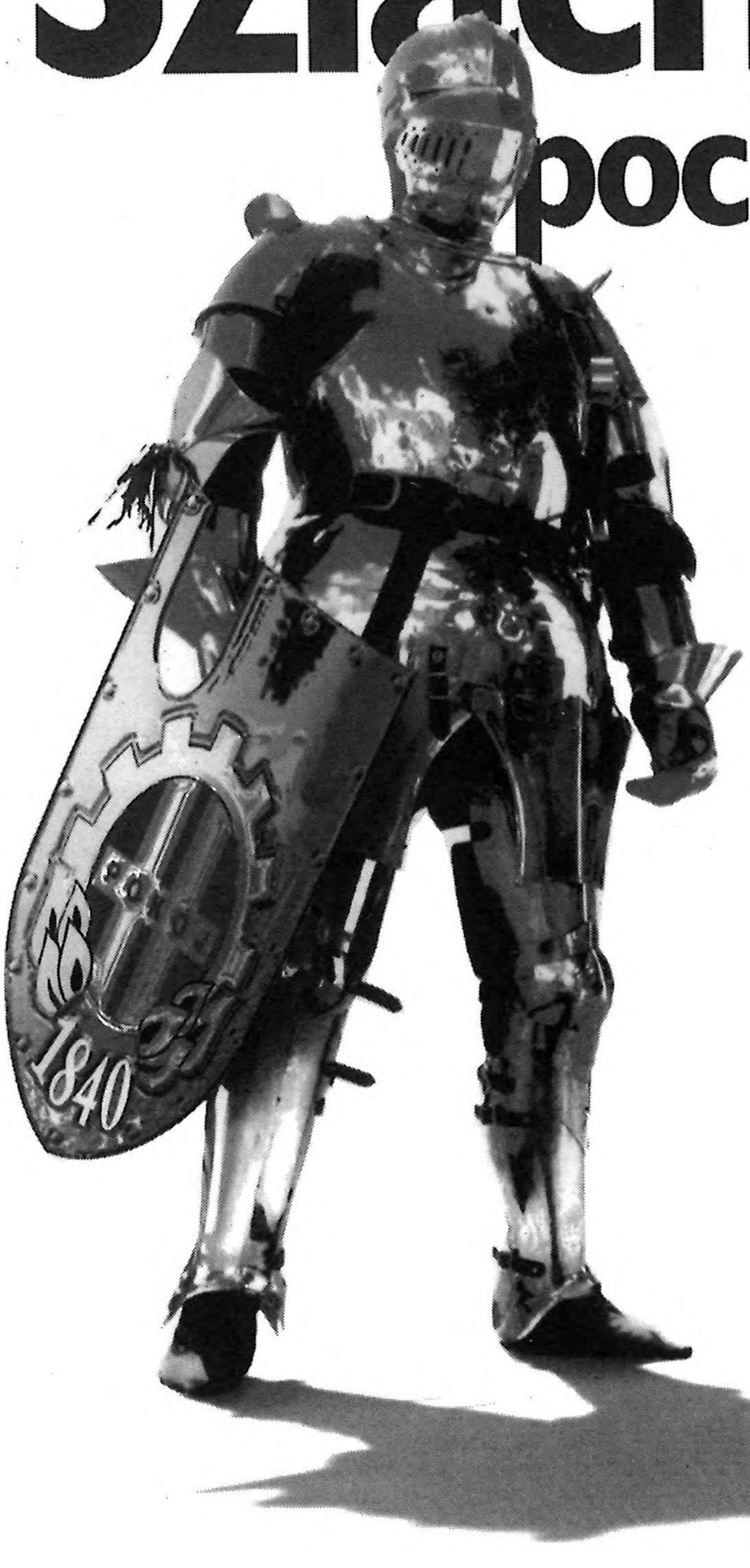
W kolorze:
● Galeria Kronika w Bytomiu (str. A) ● Kolekcja Grafiki Współczesnej Brygitty i Wawrzyńca Węclewiczów w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach (str. B) ● Okręgowa wystawa prac artystów ZPAP Oddział w Katowicach - Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach (str. C) ● Znaki i Twarze Miasta Katowic - wieżowiec Urzędu Skarbowego przy ul. M. Curie-Skłodowskiej (str. C).

Na okładce:
Pałac Ballestremów w Pławniowicach
Fotografia:
Roman Kucia

Adres internetowy: www.miesiecznik.silesia.top.pl. E-Mail alfa@alfa.com.pl.

Prenumerata zagraniczna: 11 DM; 22 FRF; 2,5 GBP; 100 KC.

Szlachetne pochodzenie



TÜV CERT
DIN ISO 9002

Oferujemy:

- konstrukcje i elementy konstrukcji stalowych
- kształtowniki spawane
- kształtowniki walcowane na gorąco
- kształtowniki gięte na zimno
- blachy grube
- żelazomangan wysokowęglowy

41-709 Ruda Śląska, ul. Niedurnego 79
tel. 0-32 2486251-9, fax 0-32 2486332
http://www.hutapokoj.com.pl
e-mail: market@hutapokoj.com.pl

HUTA POKÓJ SA

Będzie Kongres

Gdyby stan wojenny został wprowadzony tydzień później, Sejmik Kultury Śląskiej w tamtym ważnym, przełomowym czasie mógł stać się faktem o przełomowym znaczeniu dla zbiorowej świadomości o stanie kultury i sztuki w województwie katowickim. Utworzony jesienią 1980 roku Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w Katowicach, kierowany przez Kazimierza Kutza, uczynił wiele dla skonsolidowania świadomości środowiskowej a zdecydowane oświadczenia na temat stanu życia artystycznego i kulturalnego miały swoją wymowę. Po roku działalności Komitetu miało dojść do oczekiwanego jako wielkie wydarzenie Sejmiku Kultury Śląskiej — w tydzień po Kongresie Kultury Polskiej, który 13 grudnia 1981 roku przerwał obrady. Zostały już wysłane zaproszenia; przygotowany z tej okazji raport o stanie kultury w województwie katowickim był gotowy do wygłoszenia (zadanie to powierzono niżej podpisanemu jako głównemu autorowi), lecz do sejmiku w sali Filharmonii Śląskiej 19 grudnia 1981 roku oczywiście nie doszło, zaś ocalały w 1 egzemplarzu raport (w ostatecznej redakcji), który przechowałem, dopiero teraz doczeka się wydania.

Od tamtego czasu minęło kilkanaście lat i nie można powiedzieć, że — nie licząc pełnej wolności i niezależności środowisk twórczych — zaszły korzystne zmiany w materialnym stanie kultury w województwie katowickim a jej kondycja poprawiła się w stosunku do przedstawionej w raporcie. Powstało oczywiście wiele nowych dzieł i zjawisk twórczych, w tym inicjatyw artystycznych niezależnych, jednak lata schodzenia w grajdoł nadal ciążą i rzutują na stan niemożności w wielu dziedzinach. Tym bardziej więc jest konieczna wielka, otwarta debata w sprawach kultury i sztuki naszego regionu, skoro nowa mapa kraju i nadchodząca reforma administracyjna stworzą przełomową cenzurę między tym co było a będzie, co oznacza także pojawienie się nowych zagrożeń.

* * *

Dobrze się stało, że w tym rozgardiaszu i tumulcie idea zorganizowania pierwszej po wojnie debaty ludzi kultury i sztuki województwa w jego obecnych granicach, znów ożyła a odpowiednie decyzje zapadły. Mimo przeszkód i wątpliwości odbyło się jednak w sali Sejmu Śląskiego 20 kwietnia br. pierwsze organizacyjne spotkanie zwołane z inicjatywy przewodniczącego Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego, Janusza Frąckowiaka i wojewody katowickiego Marka Kempskiego. Zaproszenia spotkały się z odzewem zaś zaoferowana pomoc organizacyjno-techniczna stwarza możliwości odpowiedniego przygotowania Kongresu. Tym bardziej, że nie wiążą się z tym żadne dodatkowe warunki, skoro koncepcja tej 2-dniowej zapewne imprezy ma zostać pod względem merytorycznym przygotowana przez wybraną na tym spotkaniu Radę Programową, której przewodniczyć będzie senator Kutz. Także raport o stanie kultury zostanie opracowany pod jej nadzorem, respektując społeczny punkt widzenia, co ma szczególne znaczenie.

Impreza, której nazwa została wstępnie ustalona jako Kongres Kultury na Górnym Śląsku ma dojść do skutku w dniach 26-27 września w sali Sejmu Śląskiego. Czasu oczywiście nie zostało wiele, ale w tym terminie organizacja Kongresu jest możliwa przy odpowiedniej mobilizacji programowej.

Potrzeba odbycia zbiorowego spotkania ludzi kultury i sztuki na Górnym Śląsku jest oczywista od lat i była nie raz już podnoszona. Rzecz w tym, iż nie było komu wystąpić z inicjatywą skoro rozpad więzi środowiskowych od czasu stanu wojennego osiągnął poziom chroniczny. Także nowe podziały i kontrowersje okazały się trudne do przezwyciężenia, jako że rozmaite animozje i porachunki personalne były tu i ówdzie celowo wyolbrzymiane służąc interesom niewielkich grup, czy też ideologom chronicznej dezintegracji. Każdy pretekst okazywał się dobry by zniechęcić i poróżnić... pod chwalebnym szyldem niezależności. Tak jakby społeczną aktywność środowisk twórczych i artystycznych można było uznać za relikt przeszłości — ideę doszczętnie zdewaluowaną poprzez jej propagandową eksploatację w latach politycznego ubezwłasnowolnienia przez totalitarną władzę.

* * *

Tak przecież nie jest i środowiska te zawsze odczuwały potrzebę zespolenia zbiorowych wysiłków w walce o swoje społeczne miejsce i wpływy w życiu kulturalnym, w tym na podejmowane decyzje. Nawet najbardziej sprawny mecenat państwa i zawodowych instytucji nie oznacza przecież całkowitej bierności samych twórców w kwestiach ich dotyczących, bo jest to sprzeczne z zasadami podmiotowości i autonomii wyrażonymi w statutach środowiskowych organizacji. A przecież nie tylko bardzo wciąż daleko do zaspokojenia tych podstawowych potrzeb z urzędu, skoro środki na te cele pochodzące z budżetu państwa zmalały w stosunku do roku 1990 o połowę i oscylują w granicach 0.7 - 0.8 procenta. Trudno też mówić o spójnej polityce kulturalnej państwa. Tym ważniejszy jest więc racjonalny wybór celów oraz obecność przedstawicieli środowisk twórczych i artystycznych w dialogu z władzą. Zasada niezależności nie oznacza przecież nieobecności i wyłączenia, lecz przeciwnie — szczególną aktywność oraz pilne reagowanie na zagrożenia środowiskowych interesów.

Nie chodzi także o integrację na siłę, pojmowaną niemal jako przymusowe działanie zbiorowe, lecz o współpracę oraz podejmowanie wspólnych inicjatyw tam gdzie to możliwe i konieczne. Wynika to ze skali potrzeb, a więc niedostatków wszelakiej natury, przede wszystkim materialnych, lecz także z liczebności tych środowisk, które w samych Katowicach, oględnie licząc, reprezentowane są przez około 1500 osób. Są w tym gronie twórcy wybitni o niepodważalnym prestiżu, są artyści i twórcy cenieni, są osoby skutecznie uprawiające swój zawód i są ludzie, którzy wegetują z powodów często od siebie niezależnych. Czy ta liczna, zdezintegrowana niestety zbiorowość nic sobie nie ma do powiedzenia o swoich sprawach i kondycji kultury i sztuki?

* * *

O potrzebie odbycia takiego spotkania i zbiorowej debaty świadczą liczne środowiskowe inicjatywy, w tym także powołanie miesięcznika „Śląsk" gdzie po raz pierwszy pojawił się cykl raportów kulturalnych poświęconych poszczególnym dziedzinom kultury i sztuki. Szczególnie jednak ważnym przedsięwzięciem jest powołanie Społecznej Rady Kultury grupującej przedstawicieli niemal wszystkich związków i organizacji twórczych oraz najważniejszych instytucji artystycznych i placówek kulturalnych. Ta inicjatywa potwierdza, że czas izolacji i dezintegracji ma się ku końcowi. To także dowód, że Kongres Kultury na Górnym Śląsku jest potrzebny. Jest oto szansa, że po raz pierwszy, w warunkach pełnej wolności i suwerenności, zasiądą w jednej sali wszyscy, dla których stan życia artystycznego, poziom upowszechniania kultury, prestiż środowisk twórczych oraz rozwój nauk humanistycznych mają znaczenie — szczególnie na pograniczu starego i nowego porządku administracyjnego, nim wyłoni się województwo katowickie (górnośląskie?) w nowych granicach.

Cokolwiek się stanie i zostanie osiągnięte w wyniku tej oczekiwanej debaty — już sam fakt doprowadzenia Kongresu do skutku będzie miał swoją wartość, jako akt wyjścia z izolacji oraz dokonania obrachunków stanu potrzeb, braków i osiągnięć. Takiego zbiorowego bilansu dotąd nie sporządzono, nie spisano też wniosków i postulatów z myślą o przyszłości. Kongres może wyzwolić utajoną energię osób i środowisk dla których są to sprawy podstawowe, stworzyć odpowiednią perspektywę poznawczą i zarysować wizje rozwoju, które są zawsze świadectwem aktywności — bez względu na aktualne możliwości. Trzeba wiedzieć czego się chce, co jest konieczne i niezbędne w czasach nowych szans i zagrożeń, gdy nadchodzą wielkie wezwania związane z Unią Europejską. W tej skali i w tym kontekście trzeba myśleć o przyszłości.

TADEUSZ KIJONKA

Nie zatracić bazy materialnej placówek kultury

Społeczna Rada Kultury Województwa Katowickiego obradująca 20 kwietnia br. z udziałem senatora RP Kazimierza Kutza, dokonała analizy nakładów finansowych przeznaczanych przez administrację państwową i samorządy terytorialne na sferę kultury oraz sytuacji placówek kultury zagrożonych utratą dotychczasowych siedzib.

Rada przyjęła oświadczenie następującej treści:

Długo oczekiwane przemiany społeczne i gospodarcze, jakie zachodzą w naszej ojczyźnie, nie mogą kłaść się cieniem na szeroko pojętą sferę kultury, będącej prawdziwym bogactwem narodu. Placówki i instytucje tworzenia oraz upowszechniania kultury profesjonalnej i amatorskiej winny zostać otoczone w tym okresie przemian szczególnie życzliwą opieką państwa i samorządów terytorialnych. Niechaj nic z bogatego ich dorobku, nic z posiadanej bazy materialnej, nie ulegnie zatraceniu.

Należy wyrazić satysfakcję, że obiekty będące własnością skarbu państwa, a znajdujące się w dyspozycji instytucji kultury, z mocy ustawy stają się ich własnością. To w zasadniczym stopniu zabezpiecza ich dalsze użytkowanie w służbie kultury.

Społeczna Rada Kultury Województwa Katowickiego podziela natomiast niepokój tych instytucji, placówek kultury, stowarzyszeń i związków twórczych, którym grozi wydalenie z zajmowanych dotąd obiektów, przez lata drogą poważnych nakładów finansowych dostosowywanych do ich potrzeb natury artystycznej i administracyjnej, wrosłych już w kulturową mapę regionu i poszczególnych miejscowości.

W pełni rozumiejąc prawa pierwotnych właścicieli do tychże budowli, uważamy, iż wyższej natury racje społeczne winny zdecydować o pozostawieniu każdego takiego obiektu w dyspozycji dotychczasowego użytkownika. Apelujemy o polubowne rozwiązywanie wszystkich występujących spornych kwestii. Prawni właściciele winni otrzymać stosowną rekompensatę. Społeczna Rada Kultury deklaruje gotowość pomocy w mediacjach.

Należy podjąć starania, aby więcej nie doszło do takich przypadków, jak utrata Domu Muzyki w Katowicach przy ul. Plebiscytowej, Domu Plastyka w Gliwicach, Domu Literatury w Katowicach. Podobne zagrożenie dotyczy innych placówek, wśród nich Filharmonii Śląskiej w Katowicach.

Utrzymanie wszystkich obiektów w służbie kultury jest tym ważniejsze, że województwo katowickie dysponuje dalece niewystarczającą i zdekapitalizowaną bazą. Tym bardziej nie można dopuścić do utraty i tak skromnego stanu posiadania.

Społeczna Rada Kultury na tymże posiedzeniu powołała również Kolegium Rady w 3-osobowym składzie wybierając doń Tadeusza Kijonkę, Jana Malickiego i Mariana Słowickiego.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

■ SEJMIK Samorządowy Województwa Katowickiego ma własny i piękny sztandar — dzieło sióstr ze Zgromadzenia Boromeuszek w Piekarach Śląskich. Poświęcił go metropolita katowicki abp. Damian Zimoń.

■ UKAZAŁA się książka Krzysztofa Kocjana pt. „Olkuscy Żydzi". Są to dzieje diaspory żydowskiej od zamierzchłych czasów aż po hitlerowski holokaust. Do czasu zagłady w Olkuszu mieszkało ponad 3000 Żydów.

■ PREZESEM Browarów Tyskich został Roman Kusznir. Ma 46 lat, urodził się w Kłodzku, ukończył Wydział Mechaniczno-Energetyczny Politechniki Wrocławskiej.

■ MUZEUM Miejskie w Żorach otrzyma własną siedzibę — dotychczas gnieździło się w salach Miejskiego Ośrodka Kultury. Remont i modernizacja przydzielonego przez Zarząd Miasta budynku potrwa 2 lata.

■ NOMINACJE sędziowskie wręczył 3 kwietnia Prezydent RP. Sędziami Sądu Wojewódzkiego w Katowicach zostali: Mariola Czech, Leszek Dąbek, Krzysztof Głąb, Halina Jaskulska, Teresa Kołeczko-Wacławik, Zbigniew Mach, Krzysztof Niemczyk, Barbara Owczarek, Tomasz Henryk Ślęzak, Lucyna Dorota Świderska-Pilis.

■ TŁUMY wiernych i ponad stu księży różnych wyznań z kraju i spoza Polski oddało ostatnią posługę wybitnemu kapłanowi Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego ks. Andrzejowi Hauptmanowi, orędownikowi ekumenicznego dialogu, odznaczonego pośmiertnie przez Prezydenta RP Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski. Pogrzeb odbył wię w Zabrzu, w sobotę 4 kwietnia.

■ KATOWICKIE Centrum Kultury przeżywało prawdziwy „najazd" — przez trzy dni trwały tam targi zdrowej żywności i spotkania z bioenergoterapeutami, zielarzami, zwolennikami medycyny niekonwencjonalnej.

■ OKOŁO dwustu żołnierzy z 18. Batalionu Desantowo-Szturmowego z Bielska powróciło 7 kwietnia z ćwiczeń w Bośni. Batalion jest odwodem strategicznym Naczelnego Dowództwa SFOR-u w Bośni.

■ CZWARTEK, 9 kwietnia. Początek tzw. triduum paschalnego. Wierni nawiedzają świątynie, uczestniczą w tradycyjnych ceremoniach — najokazalsze w katedrach, najbarwniejsze w Kalwarii Zebrzydowskiej. Święcenia wody, ognia, olejów świętych, a w Wielką Sobotę — potraw. Apogeum uroczystości to Rezurekcja. W tym roku Wielkanoc wypadła 12 i 13 kwietnia.

■ ZOSTAJĄC przy temacie świątecznym: minęły bardzo spokojnie. Nawet tradycyjny, lany poniedziałek upłynął bez ekscesów. Inna sprawa: było zimno, nawet chwilami padał śnieg, nie wspominając o deszczu.

■ PIERWSZĄ w Polsce antologię o krzyżu wydała katowicka Księgarnia Św. Jacka. Tytuł: „Księga Krzyża".

■ RENOMOWANE Gliwickie Zakłady Urządzeń Technicznych przeprowadzą gruntowną renowację pomnika Adama Mickiewicza w Gliwicach.

■ PIERWSZĄ w województwie szkołę nurkowania otwarto w Bielsku-Białej. Absolwenci kursu otrzymają licencję, która będzie honorowana w centrach nurkowania na całym świecie.

■ PRZY kręceniu filmu „Ogniem i mieczem" zatrudnione są dwie kaskaderki. Jedną z nich jest Beata Spendel z Zabrza. Dubluje konkretną postać — Helenę Kurcewiczównę, którą gra Izabella Scorupco.

■ WIELKIE liczenie głuszców przeprowadzili pracownicy nauki z krakowskiej Akademii Rolniczej w Babiogórskim Parku Narodowym. Ten strachliwy ptak da się podejść tylko w okresie godowym. Szacunkowo jest ich od 15 do 17.

■ KLINIKA Hematologii Śląskiej Akademii Medycznej, kierowana przez prof. Jerzego Hołowieckiego, jako pierwsza w Polsce zacznie stosować lek przeciw chłoniakom (nowotwór złośliwy układu limfatycznego). Może to być jedyna i ostatnia szansa dla bardzo wielu chorych.

■ WŚRÓD nowo mianowanych profesorów, którym 17 bm. Prezydent RP wręczył akty nominacyjne pięciu jest ze śląskich uczelni: Stanisław Kazimierz Wika z Uniwersytetu Śl. (nauki biologiczne), Mieczysław Łapkowski z Politechniki Śl. (nauki chemiczne), Zofia Julia Kędzior z Akademii Ekonomicznej (nauki ekonomiczne), Jan Duława ze Śląskiej Akademii Medycznej (nauki medyczne), Janusz Szwabowski z Politechniki Śl. (nauki techniczne).

■ ZESPÓŁ Szkół Ekonomicznych przy ul. Raciborskiej w Katowicach otrzymał imię Wojciecha Korfantego.

■ 95-LETNIA Elektrownia Jaworzno I zakończyła 17 bm. pracę. Wyłączenia jej z systemu energetycznego dokonał wiceminister gospodarki Jan Szlązak.

■ ĆWIERĆWIECZE kapłaństwa obchodził w niedzielę, 19 bm. ks. bp. Wiktor Skworc, ordynariusz tarnowski. Uroczystość odbyła się w kościele p.w. św. Marii Magdaleny w Rudzie Śl. — z tej parafii pochodzi jubilat.

■ ELŻBIETA Sołtysek, dotychczasowa szefowa Biura Zagranicznego Śląsko-Dąbrowskiej „Solidarności" obejmie stanowisko pełnomocnika wojewody katowickiego do spraw integracji europejskiej.

■ NA Biesiadę Rocznicową przyjechała do Chorzowa Wielka Orkiestra Dęta ze Zlina. W nocy z 18 na 19 kwietnia do autokaru czeskiej orkiestry włamali się złodzieje. Skradli instrumenty, stroje i odzież wartości ponad 16 tys. zł.

■ KURTUAZYJNĄ wizytę na Śląsku złożył ambasador Republiki Słowackiej Marian Servatka. Jest m.in. polonistą — podczas rozmów z wojewodą Markiem Kempskim tłumacz był zbędny.

■ WIZYTACJĘ katowickiego Aresztu Śledczego przeprowadzili wiceminister sprawiedliwości Leszek Piotrowski i zastępca dyrektora generalnego Służby Więziennej płk. Marek Szostek.

■ PREZYDENT Bytomia Marek Kińczyk wręczył pięciu osobom honorowe Medale Miasta Bytomia. Otrzymali je: dyrektor Ośrodka Sportu i Rekreacji Ryszard Kumorek, honorowi dawcy krwi: Władysław Mordarski (również prezes Zarządu Rejonowego PCK), Zuzanna Bień, Mirosław Knitel i Ryszard Szymański. Wymienieni oddali od 25 do 30 litrów krwi.

■ ZABYTKOWY obraz Trójcy Św. z końca ub. wieku skradziono z kaplicy cmentarnej w Choczni, wycinając płótno z ram.

■ TEGOROCZNY, VII Marsz Żywych z Oświęcimia do Brzezinki miał wyjątkowo uroczysty charakter. Poprowadził go premier Izraela Benjamin Netanjahu w towarzystwie premiera Rządu RP Jerzego Buzka.

■ ŻORY chcą być powiatem. Rada Miejska wystąpiła do Rady Ministrów o utworzenie w Żorach miasta na prawach powiatu. Inaczej wejdą w skład powiatu rybnickiego.

■ ZNANY na Śląsku i ze Śląskiem związany wieloletni prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej Marian Dziurowicz został przez min. Jacka Dębskiego zawieszony w czynnościach. Decyzja ta wstrząsnęła opinią piłkarską nie tylko Śląska.

■ LAUREATKĄ tegorocznej Olimpiady Filozoficznej została Katarzyna Pająk, uczennica drugiej klasy II LO im. M. Konopnickiej w Katowicach. Pisała esej o roli doświadczenia i rozumowania w poznaniu naukowym. Na 50 możliwych do zdobycia punktów otrzymała 46.

■ PATRONEM Mikołowa został św. Wojciech. Ogłosił to podczas uroczystej mszy św. metropolita katowicki abp. Damian Zimoń, który wcześniej przywiózł z Watykanu odpowiedni dekret.

■ NA zakończonych 25 kwietnia XIII Międzynarodowych Targach Budownictwa TARGBUD '98 rozdano medale. Wśród laureatów znalazły się m.in. Huta Florian ze Świętochłowic, „Lakma" z Cieszyna i Warsztat Stolarski Józefa Wiktorczyka z Czarkowa k/Pszczyny. Kilka śląskich firm otrzymało wyróżnienia.

■ ZLOT liceów, które noszą imię wieszcza odbył się 29 bm. w I Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego w Chorzowie.

■ SIEDMIU ratowników Beskidzkiej Grupy GOPR otrzymało od prezydenta RP medale „Za ofiarność i odwagę", za niesienie pomocy podczas ubiegłorocznej powodzi. Są nimi: naczelnik Grupy Jerzy Siodlak, pilot Stanisław Kęsoń, Edmund Górny, Tomasz Jano , Robert Piórkowski, Jan Łaciak, Józef Stec, Jan Hula i Waldemar Jagiełło.

■ KOLEJNĄ wizytę na Śląsku złożył książę raciborski Franz Albrecht, odwiedzając rodowe Rudy, tzn. to co z tej magnackiej rezydencji, spalonej przez krasnoarmiejców, zostało. Wizyta miała też cele kulturalne. Przy tej okazji podajemy pełne nazwisko i tytuły gościa: Franz Albrecht Maximilian Wolfgang Josef Taddeus Maria Metternich-Sandor, Herzog von Ratibor und Fürst von Corvey, Prinz zu Hohenlohe Schillingsfuerst. Uff...

■ ZA zasługi dla Katowic i regionu Honorową Odznakę Katowic otrzymali: Jacek Pikuła, opiekun bezdomnych; Andrzej Gawroński, dyrektor Miejskiego Zarządu Ulic i Mostów, Srebrny Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej otrzymał aktor Ryszard Zaorski; Złotą Odznaką za Zasługi dla Województwa Katowickiego nagrodzono Erwina Grzegorzka, ogrodnika i opiekuna miejskich parków i zieleńców.

■ 25 HEKTARÓW lasu spłonęło 27 kwietnia w Boguchwałowicach k. Siewierza. Ogień gasiły trzy samoloty, dwa helikoptery i 25 sekcji straży pożarnej. Zaczął się sezon... Ten najgorszy.

■ OSTATNI dzień kwietnia — ostatni termin składania PIT-ów. Wprawdzie w tym roku nie było już takiej gorączki jak ubiegłymi laty, w zasadzie wszystkie urzędy skarbowe kończyły urzędowanie o godz. 18. Tylko II Urząd Skarbowy w Katowicach przyjmował zeznania podatkowe do północy.

■ ZNÓWU czeka nas wydłużony weekend — aż 3 dni. Trudno się zorientować że w tym czasie jest święto państwowe 3 Maja. Nie ma przymusu, nie ma flag narodowych. Nie czuje się nadchodzącego święta.

KRONIKARZ

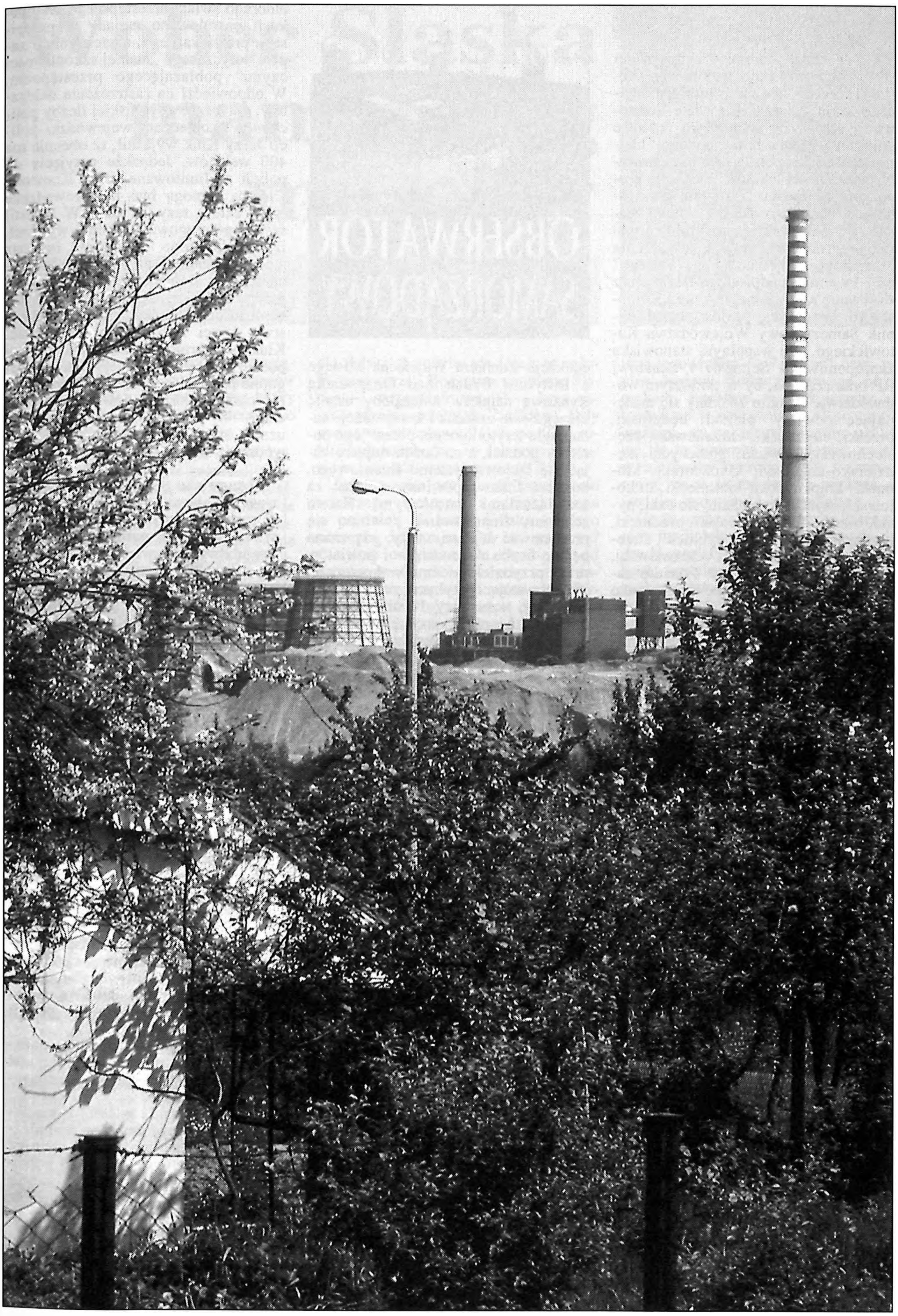


Foto: Roman Kucia



OBSERWATOR SAMORZĄDOWY

Przyszłe powiaty

W dalszym ciągu namiętności i kontrowersje wzbudzały projekty nowego podziału administracyjnego kraju. Szczególnie wiele kontrowersji wzbudziło stanowisko rządowe proponujące włączenie powiatu bielskiego do Małopolski, co oprotestowały społeczności lokalne. W efekcie propozycja ta upadła. Następnie głos zabrali parlamentarzyści z Górnego Śląska w dokumencie zatytułowanym „Stanowisko w sprawie utworzenia przyszłego województwa śląskiego" z 21 kwietnia, podpisanym także przez wojewodę katowickiego Marka Kempskiego. Propozycję posłów poparł Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego. We wspólnym stanowisku zaproponowano Sejmowi i Senatowi RP oraz rządowi, by w przyszłym województwie śląskim znalazły się następujące powiaty: bielski, będziński, brzeski, cieszyński, chrzanowski, częstochowski, gliwicki, głubczycki, kędziersko-kozielski, kluczborski, kłobucki, krapkowicki, lubliniecki, mikołowski, myszkowski, namysłowski, nyski, oleski, olkuski, opolski, prudnicki, pszczyński, raciborski, rybnicki, strzelecki, tarnogórski, tyski, wodzisławski, zawierciański i żywiecki. Ponadto zaproponowano następujące miasta jako wydzielone z powiatów: Bielsko-Biała, Bytom, Chorzów, Czechowice-Dziedzice, Częstochowa, Dąbrowa Górnicza, Gliwice, Jastrzębie Zdrój, Jaworzno, Katowice, Mysłowice, Opole, Piekary Śląskie, Ruda Śląska, Rybnik, Sosnowiec, Siemianowice Śląskie, Świętochłowice, Tychy, Zabrze i Żory. W specjalnej uchwale Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego poparł starania gminy Czechowice-Dziedzice o uzyskanie statusu miasta wyłączonego z powiatu w przyszłym województwie. W kolejnej propozycji rządowej zaprojektowano włączenie do województwa śląskiego nie tylko powiatu bielskiego, lecz również żywieckiego. Natomiast powiaty: nyski, brzeski i namysłowski zostałyby włączone do województwa dolnośląskiego. Dyskusje i spory trwają.

Forum Samorządowe

II Forum Samorządowe Województwa Katowickiego, zorganizowane przez Sejmik Samorządowy i Regionalną Izbę Obrachunkową, odbyło się w dniach 16-18 kwietnia w Zakopanem. Obrady prowadzili przewodniczący Sejmiku Janusz Frąckowiak i przewodniczący Regionalnej Izby Obrachunkowej Łucjan Kabaciński. Poruszana była aktualna problematyka przyszłego podziału administracyjnego kraju, zaprezentowana przez rządowych specjalistów do spraw samorządowych. Sekretarz stanu w kancelarii premiera Kazimierz Barczyk podkreślił, że reforma administracyjna kraju jest kluczem do dalszych, pochodnych reform związanych m.in. z ubezpieczeniami społecznymi, zdrowotnymi oraz systemem edukacji. Zdaniem Wojciecha Misiąga z Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową najpierw należałoby ustalić szczegółowo zadania i kompetencje samorządu terytorialnego, potem jego poziomy podział, a na końcu dopiero zająć się budową systemu finansowego, bowiem finanse powinny nadążać za rozwiązaniami ustrojowymi. Zatem schematy finansowania powinno się proponować dopiero wtedy, gdy znana będzie liczba województw i powiatów oraz przydzielone im kompetencje. Wykorzystując przybycie reprezentacji rządowej, uczestnicy Forum zadawali wiele pytań, przede wszystkim dotyczących gminnego podwórka. Przedstawiony przez posła Jana Marię Rokitę, przewodniczącego Sejmowej Komisji Spraw Wewnętrznych i Administracji, zakaz łączenia funkcji radnego gminnego z funkcją radnego powiatowego czy wojewódzkiego wzbudził krytykę katowickiego środowiska samorządowego. W zakopiańskim Forum uczestniczyli prezydenci, burmistrzowie i wójtowie gmin województwa katowickiego oraz liczne grono przewodniczących rad gminnych.

Czy będzie bezpieczniej?

Kolejna, czterdziesta pierwsza sesja Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego została w całości poświęcona ocenie stanu bezpieczeństwa w województwie. Delegaci zwrócili uwagę na zbyt niską liczbę policjantów oraz mierne wyposażenie służb zajmujących się bezpieczeństwem, przede wszystkim straży pożarnej. Niepokój delegatów budziła coraz bardziej zauważalna brutalizacja życia społecznego, zwłaszcza w środowiskach młodzieżowych. Samorządowcy zaapelowali o dostosowanie przepisów prawnych do wymogów życia dzisiejszego. Delegat z Gliwic, Jerzy Wiśniewski, stwierdził pesymistycznie, że „o bezpieczeństwie w województwie katowickim możemy tylko pomarzyć", a przyczyna takiego stanu rzeczy leży w tym, że przez Śląsk przebiegają główne szlaki narkotyczne. Przy zbyt niskiej liczbie policjantów, których wyposażenie pozostawia wiele do życzenia, województwo stało się istnym eldorado świata przestępczego. W dyskusji postulowano zmiany w przepisach prawa karnego, a szczególnie zapisu dotyczącego „niskiej szkodliwości czynu" pobłażającego przestępcom. W odpowiedzi na zastrzeżenia delegatów, dotyczące zbyt niskiej liczby policjantów, komendant wojewódzki policji Jerzy Kluk wyjaśnił, iż obecnie ma 400 wakatów. Jednakże przyjęcia do policji są limitowane przez Komendę Główną i mogą być przeprowadzane tylko cztery razy w roku. W kwestii szybkiego reagowania policji wyjaśnił, iż uruchomiono specjalny fundusz z przeznaczeniem na nagrody dla policjantów za złapanie przestępcy na gorącym uczynku. Zgadzając się z koniecznością podniesienia bezpieczeństwa dzieci i młodzieży komendant Kluk poinformował, że jeżeli nieletni będzie przebywał w miejscach dla niego nie przeznaczonych, to o tym fakcie natychmiast zostaną powiadomieni rodzice. W podjętej uchwale delegaci uznali stan bezpieczeństwa w województwie za niezadowalający.

Stanowisko Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego w sprawie oceny stanu bezpieczeństwa i porządku publicznego w województwie katowickim w 1997 roku z dnia 28 kwietnia 1998 roku.

Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego z niepokojem stwierdza, że administracja rządowa odpowiedzialna za stan bezpieczeństwa i porządku publicznego nie przeciwdziała pogarszającym się warunkom pracy policji, straży pożarnej i prokuratury. Nadal niewystarczające jest wyposażenie techniczne, warunki lokalowe, a także obsada kadrowa i finansowanie. Mimo dużego zaangażowania pracowników policji, prokuratury i straży pożarnej w wykonywaniu swoich ustawowych obowiązków, wzrastający gwałtownie poziom przestępczości i inne zagrożenia bezpieczeństwa, budzą uzasadnione obawy społeczne.

Obecna struktura i organizacja policji jest niewydolna i wymaga w trybie pilnym zdecydowanych reform, podporządkowujących powiatom i miastom wyłączonym z powiatów policję lokalną, jasno określających kompetencje policji państwowej i lokalnej.

W zakresie bezpieczeństwa pożarowego nadal niezadowalający jest poziom ratownictwa wysokościowego i chemicznego.

Wielka powódź w 1997 roku obnażyła katastrofalny stan techniczny urządzeń, mających chronić ludność i jej majątek przed powodzią oraz niewłaściwą koordynację działań służb odpowiedzialnych za ratownictwo w wypadku wystąpienia klęski żywiołowej.

Na tym tle szczególnie wyraźnie uwidacznia się potrzeba pilnego stworzenia zintegrowanego systemu bezpieczeństwa społeczności lokalnych, podległego organom samorządu terytorialnego.

Wobec Śląska mamy dług moralny

Rozmowa z Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM

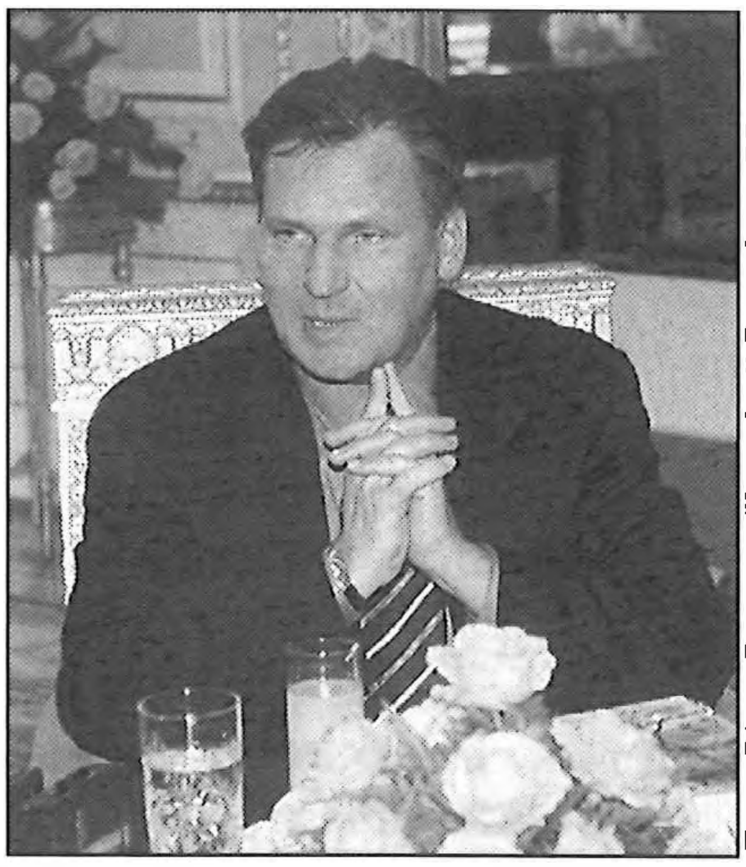


Foto: Biuro Prasowe Kancelarii Prezydenta RP

— Czasami spotykamy się z poglądem mieszkańców innych regionów Polski, że Śląsk jest regionem, który ciąży cywilizacyjnie ku Niemcom. To jest nam stawiane jako zarzut.

— To mogą mówić tylko ludzie, którzy naprawdę niewiele rozumieją. Patrząc na historię Śląska wyraźnie widać, że jest to ten kawałek Europy, który ze względu na swoje bardzo skomplikowane losy jest wielonarodowy i ma różne tradycje. Są takie terytoria w Europie, gdzie wiały różne wichry historii. Śląsk do nich należy. Ma tradycję na pewno polską, na pewno niemiecką, na pewno czeską i ma jeszcze różne tradycje napływowe.

Jednak mówiąc o Śląsku trzeba podkreślić ogromną polskość i tej tradycji i tych ludzi. I to polskość, która nie tylko była deklarowana, ale i udowadniana: czynami zbrojnymi, powstaniami śląskimi, drogą w okresie międzywojennym, a po wojnie wielkim oddaniem Śląska na rzecz tej nowej Polski, która urodziła się po 1945 roku, gdzie nie szczędzono ani wysiłku ludzi ani dóbr naturalnych, które tu były.

Dla mnie ktoś, kto mówi z wyrzutem o niemieckich wpływach na Śląsku, to niewiele z tego rozumie. Niewątpliwie gdzieś tam są. Można je wyczuwać w języku, w tradycji kulinarnej, kulturowej, może w kręgu znajomych i przyjaciół, ale to wszystko. W ogóle nie ma żadnego powodu dziś dyskutować o polskości Śląska. To byłaby fałszywa i niebezpieczna dyskusja. Uważam, że mamy do czynienia ze Śląskiem polskim, który nieraz swą polskość udowadniał i krwią i wysiłkiem, a jednocześnie ze Śląskiem, który był zawsze otwarty na różne nurty, wpływy, przygody historyczne i nie ma, moim zdaniem, w tym nic niezwykłego. To, że na Śląsku tyle kultur mogło się spotkać, ja traktuję jako swoistą wartość. To jest bogactwo.

— Śląsk jest regionem wyeksploatowanym przemysłowo, stoi przed wielkimi zadaniami restrukturyzacji. Przez niektóre gremia jest traktowany jako ciężar dla Polski...

— Są ludzie, którzy tak uważają, ale na szczęście pozostają w mniejszości. Nie mają racji. Śląsk ma wielkie zasługi dla Polski. Bo gdyby nie Śląsk, to byłoby nam gorzej. Bogactwa naturalne Śląska — szczególnie węgiel — oraz nagromadzenie przemysłu ciężkiego, były podstawą odbudowy Polski po 1945 roku i były niezbędne dla dalszego jej rozwoju gospodarczego, eksportu itd.

Jednak świat przez te 50 lat dokonał wielkiego postępu i dzięki Bogu w ostatnich 10 latach Polska też tego postępu dokonuje. Co on oznacza? Odejście od przemysłu ciężkiego, od przemysłów wydobywczych, a tym samym zmniejszenie roli surowców pierwotnych. Dzisiaj wartością dużo większą jest myśl, technologia. Współczesność pokazuje, że kraje ubogie w dobra naturalne, jak Japonia czy Niemcy, są bogate. Okazuje się, że edukacja, dobre wykształcenie ludzi, myśl techniczna, technologia potrafi być jeszcze lepszym towarem, niż to, co można wydobyć z ziemi czy to, co można mieć w wyniku wielkiego wysiłku fizycznego. To oczywiście zmienia pozycję, położenie i sytuację Śląska.

Tylko na to trzeba spojrzeć z dwóch stron. Po pierwsze: nie ma się co obrażać, że węgiel będzie nam coraz mniej potrzebny czy, że prosta przeróbka stali jest coraz mniej w cenie. Po drugie: wobec Śląska mamy jednak dług moralny. W żadnej normalnej rodzinie nie odtrąca się kogoś, kto ma kłopoty. Musimy pamiętać, że mamy pewne zobowiązania wobec tego miejsca i one wymagają dzisiaj bardzo rozsądnej polityki dotyczącej, po pierwsze zagospodarowania tych zasobów, które jeszcze są, po drugie likwidowania szkód ekologicznych, jakie istnieją, po trzecie zbudowania nowej koncepcji dla tego regionu. Moralnym zobowiązaniem Polski wobec Śląska jest zapłacenie tego długu. To jest remament nie tylko za ostatnie 50 lat, ale za setki lat, kiedy korzystaliśmy z zasobów Śląska.

Sprawa druga to jest przyszłość. Musimy coś zaproponować ludziom. Nie można powiedzieć, skończyła się praca, jest was dużo, to szukajcie pracy gdzieś w Polsce. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o ten problem, to osiągnęliśmy w ostatnich latach dość spory sukces. Nie wierzyłem danym, które otrzymałem w ubiegłym roku, że oto w Polsce mamy 10,5 proc. bezrobocia, w województwie katowickim — 7,6 proc., czyli poniżej średniej. Biorąc pod uwagę, że zamykamy kopalnie, że ograniczamy zatrudnienie w stalowniach, w przemyśle ciężkim, to na zdrowy rozum wydaje się, że to powinno powodować zwiększenie liczby bezrobotnych, a przynajmniej że ta liczba będzie większa od średniej krajowej. A jest mniejsza.

Co to oznacza? To oznacza, że ten region ma kolejny atut, polegający na dobrych specjalistach, robotnikach, technikach, inżynierach itd., którzy mogą stosunkowo łatwo przystosować się do nowych warunków. I potrafią to robić. Dowody? Stworzenie specjalnej strefy ekonomicznej, zaproszenie inwestorów zagranicznych, otworzenie wielu inicjatyw infrastrukturalnych, których brakowało na Śląsku. Miejsca pracy na Śląsku są, a my powinniśmy budować przyszłość w oparciu o wysoko kwalifikowaną kadrę ludzi na różnych poziomach, którzy powinni otrzymać ofertę pracy i takiego działania, które może zmienić obraz Śląska — już nie regionu przemysłu tradycyjnego, wydobywczego, ciężkiego, ale tego, który jest bardzo mocny w nowoczesnej technologii, w softwarze, w wykorzystaniu sił intelektualnych, które tu istnieją.

Jeżeli nam się to w ciągu najbliższych kilkunastu lat uda zrobić — nawet zakładając, że część ludzi będzie musiała się przemieścić, szukając szansy poza tym regionem — to prawdopodobnie może to być jeden z nielicznych przykładów w Europie, gdzie bez głębokiego kryzysu udało się przeprowadzić tego typu region z epoki przemysłu ciężkiego do epoki nowoczesnej technologii, z XIX wieku w XXI wiek. To jest nasze zadanie. Ono ma dwie strony: dług i przyszłość.

— Restrukturyzacja postępuje jednak bardzo powoli...

— Tu bym się sprzeczał, bo jak znamy przykłady Belgii, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, to 10 lat, to naprawdę żaden okres w restrukturyzacji. Tego typu kolosy przemysłowe były restrukturyzowane przez 20-30 lat. Jestem przekonany, że w Polsce restrukturyzacja przebiegnie dużo szybciej.

Rozmawiała:
DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Unia jest twarda — jeśli chcemy znaleźć się w jej objęciach i wejść na salony Europy, najsampierw musimy przebudować naszą gospodarkę i dostosować ją do europejskich standardów. Unia powiada co mamy robić — najważniejszym warunkiem jest restrukturyzacja polskiego przemysłu ciężkiego, uzdrowienie rolnictwa i dalsza prywatyzacja. Ciężkie branże to Śląsk, zatem przemiany regionu opartego na węglu i stali decydować będą w dużej mierze o powodzeniu całego przedsięwzięcia zjednoczeniowego.



Rys. Ryszard Twardoch

Śląsk unijny, ale jaki?

Dwoje do tanga

WIESŁAW KOSTERSKI

Pod koniec marca tego roku, w atmosferze umiarkowanych oczekiwań i nadziei, rozpoczęły się w Brukseli negocjacje zjednoczeniowe. W Unii możemy znaleźć się najszybciej za kilka lat, gdzieś około 2002 lub 2003 roku. Oczywiście, jeśli zdążymy się przygotować.

Pytanie o to, kto zrobi na zjednoczeniu lepszy interes, Unia dostając 40-milionowy polski rynek konsumentów, czy też my doznając satysfakcjonującej nobilitacji i poczucia dobrobytu, musi zejść na dalszy plan. Dzisiaj — nie przypadkiem — ważniejsza jest inna kwestia — czy wyrzeczenia i konieczność poniesienia wysokich, zwłaszcza społecznych, kosztów nie przyniosą nam więcej goryczy i rozczarowań niż oczekiwanych korzyści? Co z przystąpienia do Unii będzie miał Śląsk? Albo inaczej — co właściwie trzeba zrobić, by Śląsk stał się unijny?

Przyjemności restrukturyzacji

Eurolęki są uzasadnione, bo dystans dzielący nas od krajów UE pozostaje wciąż znaczny. Przemiany w polskim przemyśle ciężkim nie wyszły daleko poza sferę deklaracji i zapowiedzi, z których niewiele, poza szumem informacyjnym, wynika. Każdy kolejny rząd, zarówno solidarnościowy jak i lewicowy, miał — a przynajmniej twierdził, że ma — programy i koncepcje, zapowiadał, że sprawę traktuje z należną powagą. Ale każdy rząd — tak naprawdę — bał się tego regionu i odpychał sprawy Śląska daleko od siebie. O Śląsku przypominano sobie na krótko, zwykle wtedy, kiedy zdesperowani górnicy obrzucali śrubami i puszkami z farbą gmach Urzędu Rady Ministrów.

Powiedzmy jasno — ten region, dotknięty najbardziej skutkami decyzji z epoki PRL, nie chce być ani rozpieszczany ponad miarę, ani traktowany po macoszemu. Chce rzetelnego i gospodarskiego podejścia. Sygnałem pewnych zmian i zapowiedzią reform miał być podpisany swego czasu Kontrakt Regionalny dla województwa katowickiego. Ale pozostał on martwą literą. Rząd premiera Józefa Oleksego robił zgrabne uniki, by w końcu wypiąć się na Kontrakt i Śląsk. Obecny rząd nic o Kontrakcie nie mówi.

Śląsk stał się polem minowym, na które kolejne ekipy i koalicje rządzące nie chciały wchodzić w obawie przed wysadzeniem siebie w (polityczne) powietrze. Najważniejszy był więc spokój. Okupiony pozorowanymi ruchami i quasi reformami. Iluzja nie zmieni rzeczywistości. Truizm, ale tu na Śląsku musimy stale o tym pamiętać.

Dlaczego więc teraz miałoby być inaczej? Czy tylko dlatego, że będziemy działać w przymusie, jakiego dotychczas nie było?

Czasu pozostało niewiele. Negocjator rządu polskiego z Komisją Europejską, ambasador Jan Kułakowski powiada w jednym z wywiadów, że negocjacje stowarzyszeniowe potrwają dwa, może trzy lata, później proces ratyfikacji zajmie kolejne dwa lata, zatem nasze przystąpienie do Unii możliwe jest w 2003 roku. Pięć lat to szmat czasu, ale czy wystarczająco dużo na załatwienie wszystkich spraw.

Hans van den Broek, komisarz UE odpowiedzialny za rozszerzenie Unii, typowy pragmatyczny przedstawiciel zachodniego świata, nie pozostawił nam żadnych złudzeń. Podczas wizyty w Polsce chwalił rząd za odważne reformy i decyzje — jak choćby uszczelnienie granicy wschodniej — by równocześnie dać wyraz znacznemu zaniepokojeniu wynikającemu z „pewnej niechęci" do przebudowy przemysłu ciężkiego. Polska — jak zapewne rozumuje van den Broek — boi się poniesienia kosztów gospodarczych i społecznych restrukturyzacji ciężkiego przemysłu, w tym zwłaszcza górnictwa i hutnictwa.

W Brukseli dobrze przecież wiedzą, jak smakuje przebudowa ciężkiego przemysłu, bo Zachód spróbował już tego chleba. Skutecznie. Teraz my musimy skosztować (nie)przyjemności restrukturyzacji. W większych niż dotychczas ilościach.

Najmocniejsza energetyka

Obraz Śląska nie jest jednolity. Spośród ciężkich branż najmocniej trzyma się bodaj energetyka. Ponad 30 elektrowni i elektrociepłowni, których znaczna część usytuowana jest na Śląsku, ma zainstalowaną moc 33 tysięcy megawatów. Branża, przy zatrudnieniu 120 tysięcy ludzi, wytwarza 5 procent produktu narodowego brutto. Od kilku lat firmy energetyczne przechodzą przemiany, inwestując miliony dolarów w bardziej ekonomiczne i oszczędne urządzenia.

Na szczęście przemiany te nie ominęły Śląska. Na modernizacje i przebudowy zdecydowały się elektrownie: „Jaworzno III", „Łagisza", „Siersza", „Łaziska" i „Rybnik" oraz elektrociepłownie: „Katowice I" i „Chorzów". Prawdopodobnie pierwszą firmą energetyczną sprywatyzowaną na drodze giełdowej będzie elektrociepłownia „Będzin", na co w styczniu tego roku zgodził się Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów.

Elektrownie inwestują w ekologię. 12 września 1996 roku w Jaworznie podpisany został przez ministrów ochrony środowiska, zasobów naturalnych i leśnictwa oraz przemysłu i handlu krajowy program redukcji emisji dwutlenku siarki w energetyce, który obejmuje 10 polskich elektrowni, w tym śląskie firmy: „Jaworzno III", „Łagiszę", „Łaziska", „Rybnik" i „Sierszę". Do 2010 roku sektor będzie musiał ograniczyć emisję dwutlenku siarki do 700 tysięcy ton. Takie obowiązki nakładają na Polskę, podpisane przez polski rząd, międzynarodowe umowy — tzw. protokoły siarkowe.

Chcemy, czy nie, musimy inwestować w ekologię. Na samo odsiarczanie trzeba będzie wydać ponad 1,7 mld USD. Świat i Europa robi to samo. Z deklaracji wielu krajów, w tym państw Unii Europejskiej, złożonych podczas konferencji stron Konwencji Klimatycznej wynika, że w następnym 10-leciu realne jest dalsze ograniczenie emisji dwutlenku siarki od 5 do 20 procent. Rządy Niemiec i Danii zapowiadają jeszcze większą redukcję tego rodzaju zanieczyszczeń.

Rodzimy kapitał jest skromny, a potrzeby modernizacyjne przestarzałej w większości energetyki wciąż duże. Elektrownie same nie udźwignią ciężaru olbrzymich wydatków. Stąd konieczność wpuszczenia zagranicznych inwestorów, najlepiej z mocno wypchanymi portfelami. Francuzi z Electrit de France Internationale kupuli niedawno krakowski „Łęg". Kto na Śląsku weźmie elektrownię...?

Co z hutnictwem?

Polskie, a właściwie śląskie hutnictwo, bo na Śląsku znajduje się 18 spośród 24 polskich hut, startowało na początku lat 90. do procesu przemian z dużym garbem zaniedbań. W większości przedsiębiorstw mieliśmy przestarzałe technologie oraz przerost zatrudnienia — w hutach pracowało 147 tysięcy ludzi.

Rząd zaakceptował na przełomie lat 1991-1992 „Studium restrukturyzacji przemysłu hutnictwa żelaza i stali w latach 1992-2000", które opracowało Konsorcjum Firm Kanadyjskich — Hatch, Ernst and a Young i Steltech. W ślad za tym opracowaniem przyjęto „program" przewidujący m.in. likwidację przestarzałych technologii (wydziałów, a nawet hut), ograniczenie zatrudnienia do 43,5 tysiąca osób, zmniejszenie zdolności produkcyjnych z maksymalnego poziomu 19,5 mln ton do 12,3 mln ton rocznie.

Teraz hutnictwo jest w połowie drogi. Po 5 latach restrukturyzacji zmniejszono m.in. zdolności wytwarzania stali surowej o około 7 mln ton, a zatrudnienie na koniec 1996 roku spadło do 91,5 tysiąca pracowników. Spore inwestycje wykonały śląskie huty, m.in. „Katowice", „Baildon", „Zawiercie", „Kościuszko", „Batory". W zeszłym roku — na przykład — otwarto linię ciągłego odlewania stali w hucie „Katowice" i zakończono budowę walcowni w hucie „Baildon".

Prywatyzujemy hutnictwo tak, jak chce tego Unia Europejska. Na koniec zeszłego roku sprywatyzowanych było 13 hut, w siedmiu firmach funkcjonowały jednoosobowe spółki Skarbu Państwa, natomiast pozostałe huty były przedsiębiorstwami państwowymi. Tempo przekształceń własnościowych nie może jednak przyprawiać nikogo o zawrót głowy.

Przeszkodą do dalszej restrukturyzacji jest brak kapitału — hutnictwu wyczerpały się proste sposoby pozyskiwania środków. Tymczasem uzdrowienie całej branży kosztować ma 4,5 mld dolarów. Dotychczas wydaliśmy około 2 miliardów dolarów, z tego zaledwie 200 mln dolarów objęły gwarancje i poręczenia rządowe, a 100 mln zł kredyty z funduszy ochrony środowiska. Huty, tak jak elektrownie, rozglądają się za bogatymi inwestorami zagranicznymi.

Nie będzie więc łatwo osiągnąć europejskie standardy w krótkim czasie — pięciu czy sześciu lat. Bogata Europa Zachodnia potrzebowała ponad 20 lat na przekształcenie własnego hutnictwa, które na dodatek obficie obsypywano subsydiami obliczanymi na około 150 mld DM. Polski rząd nie wykazuje wielkiego zainteresowania sytuacją w hutnictwie.

Szanse? Niektórzy twierdzą, że skoro pnie się w górę tzw. jawne zużycie wyrobów walcowanych w Polsce, sięgające 150 kg na osobę (w krajach wysoko rozwiniętych — 350 do 350 kg na osobę, co doskonale ilustruje dystans dzielący nas od Zachodu), to przy rosnącym produkcie krajowym brutto korzystnie rysują się perspektywy polskiego hutnictwa.

Unia, według zapewnień Hansa van den Broeka, deklaruje pomoc przy restrukturyzacji branży. W pierwszej połowie tego roku będzie przygotowany wspólny program zmian w hutnictwie. Zaakceptowano też pozostawienie do czerwca bieżącego roku 6-procentowego cła na import unijnej stali. Już jednak wiadomo, że trzeba będzie zwolnić około 40 do 50 tysięcy hutników. Jeśli tak duża liczba ludzi pozostanie bez środków do życia, to może to grozić poważnymi następstwami nie tylko dla Śląska.

Rząd twierdzi, że ma gotową ofertę dla UE. Podczas negocjacji hutniczych Polska zamierza zaproponować ograniczenie mocy produkcyjnych do 13,5 mln ton stali surowej w 2001 roku i 11,5 mln ton wyrobów walcowanych rocznie. Unia tymczasem mówi — odpowiednio — o 11 i 9 milionach ton. W zamian za ograniczenie zatrudnienia oczekiwać będziemy wsparcia finansowego UE na osłony socjalne dla zwalnianych hutników. Proponowane ograniczenie mocy produkcyjnych polskiego hutnictwa jest jednak zbyt drastyczne, zaś osłony socjalne są mimo wszystko rozwiązaniem doraźnym. Istotne jest bowiem pytanie, w jakim stopniu Polska ma stać się rynkiem zbytu dla koncernów krajów zachodnich.

Górnictwo pod kreską

Z polskim węglem jest źle. Bardzo źle. Już dawno poszedł pod wodę — długi górnictwa sięgają 12 mld zł, przy czym tylko ubiegły rok powiększył straty o ponad 1,1 mld zł. Zeszłoroczny dołek jest faktycznie dużo głębszy, bo kopalniom umorzono ponad 690 mln zł. Nadal największym wierzycielem pozostaje ZUS, któremu górnictwo winne jest około 2,5 mld zł oraz dostawcy — 2,2 mld zł, fundusze ochrony środowiska — 2 mld zł i banki — 1,3 mld zł kredytów.

Specjaliści twierdzą, że na taki obraz górnictwa wpływa głównie średni koszt wydobycia tony węgla — 125,2 zł, który wciąż przewyższa średnią cenę sprzedaży — 119,4 zł. Mamy też nadmierne wydobycie i zbyt wysokie zatrudnienie. Spowolniono likwidację nierentownych zakładów wydobywczych. Brakuje płynności finansowej, co zmusza kopalnie do stałego zaciągania kredytów. Górnictwo stać na bieżące płacenie rachunków za telefony i prąd...

Niestety, długi stale rosną. Niektóre spółki węglowe mają tak fatalną sytuację ekonomiczną, że już jakiś czas temu wyczerpały wszystkie przepisy prawa upadłościowego i powinny być postawione w stan upadłości. Gdyby do tego doszło, mielibyśmy na Śląsku do czynienia z poważnym konfliktem społecznym.

Tymczasem węgla mamy za dużo, nawet zimą, a górnicy nie mają co robić. W marcu na składowiskach leżało około 6 mln ton paliwa. Nie było wielkich zakupów, bo zima była wyjątkowo ciepła. Spółki węglowe ograniczyły wydobycie, a niektóre kopalnie fedrowały cztery, a nawet tylko trzy dni w tygodniu. Nad kopalniami zawisła groźba wysłania górników na przymusowe urlopy.

A ludziom trzeba płacić. Średnie miesięczne wynagrodzenie wyniosło w zeszłym roku w górnictwie 2.110 zł i było wyższe o około 300 zł od płac z roku poprzedniego. Nie zmienia się szybko poziom zatrudnienia. Wprawdzie w ubiegłym roku odeszło z kopalń 16,5 tysiąca osób, ale nadal branża ma za dużo ludzi. Zatrudnia około 230 tys. pracowników.

Wedle rządowych zapowiedzi, Polska w ciągu najbliższych 3 lat będzie chciała zwalniać każdego roku około 26 tysięcy górników, ograniczyć wydobycie o 20 mln ton rocznie i zwiększyć wydajność pracy w kopalniach tak, aby tona polskiego węgla nie kosztowała więcej niż 35 dolarów. Tak duży wysiłek byłby złagodzony osłonami socjalnymi dla górników, na które Unia miałaby przeznaczyć rocznie około 50 mln dolarów. Brzmi to zachęcająco, tyle, że od deklaracji do czynów droga będzie dość długa.

Czy jesteśmy gotowi?

Nie od dzisiaj wiadomo, że na Śląsku trzeba stworzyć tysiące nowych miejsc pracy dla tych, którzy po odejściu z ciężkiego przemysłu będą szukali roboty. Wszystko powinno odbyć się płynnie i w miarę bezboleśnie. Cóż z tego, że o tym wiemy, skoro nie ma na to pieniędzy. Od kilku lat słychać na Śląsku tykanie bomby społecznego niezadowolenia, która może eksplodować z chwilą powstania dużej fali bezrobocia wywołanej skutkami restrukturyzacji.

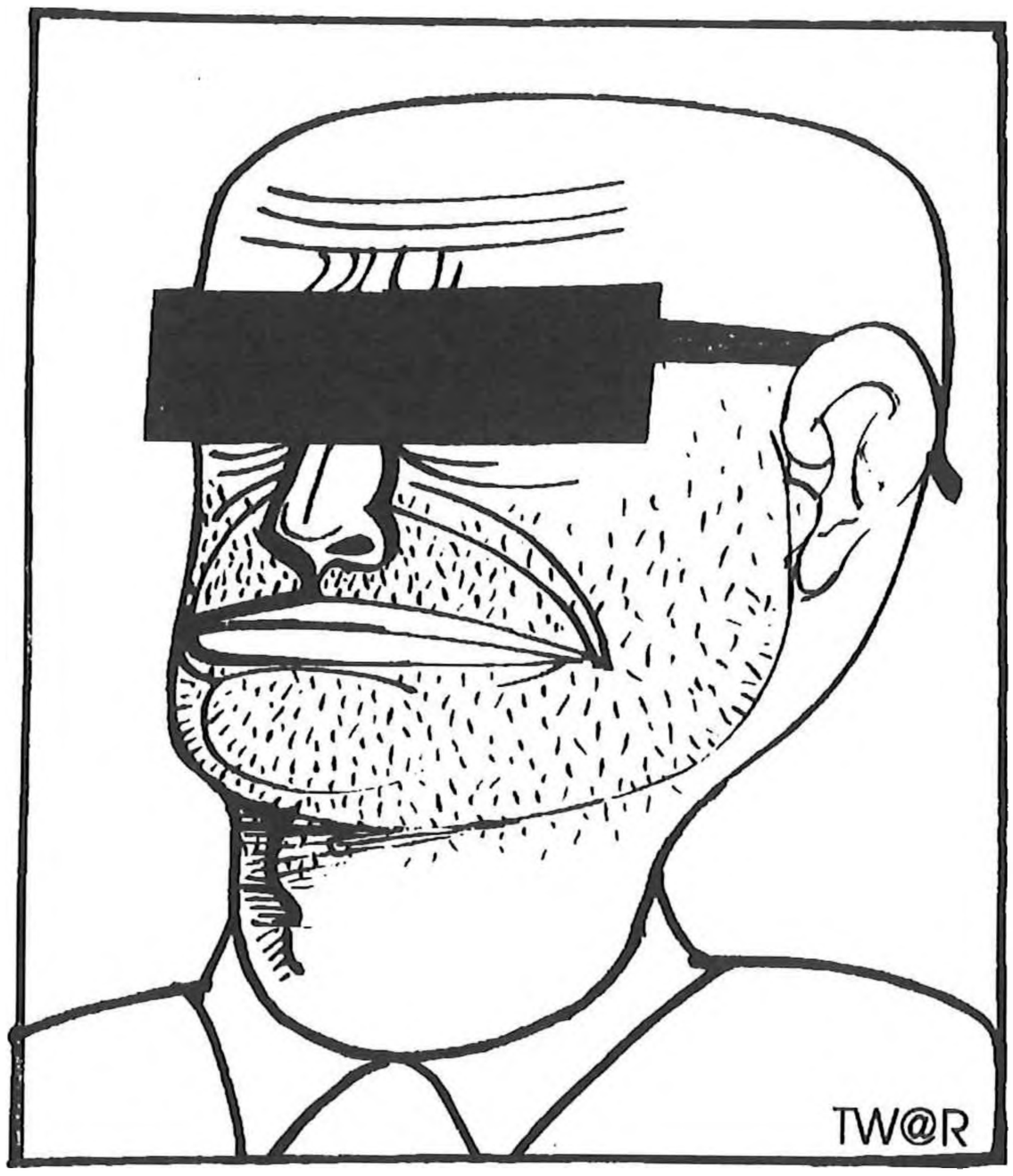
Jeśli nie zrobimy porządku na Śląsku, Polska nie będzie miała większych szans na powodzenie reform, a tym samym na szybkie wejście do „piętnastki".

— Biorąc pod uwagę mentalność mieszkańców, to właśnie Śląskowi i Wielkopolsce najbliżej do Europy — ocenia wojewoda katowicki Marek Kempski. — Jeśli chodzi o gospodarkę, to rzecz zaczyna być bardziej skomplikowana. Trzeba powiedzieć wyraźnie — nie jesteśmy przygotowani na wejście do Unii. Potrzebne są decyzje o przekształceniach gospodarczych. Trzeba zmienić polskie prawo, przebudować rolnictwo i przemysł ciężki. Po restrukturyzacji Śląsk będzie jednym z najbardziej strategicznych regionów w Europie. Właśnie przygotowuje się do powołania śląskiego pełnomocnika do spraw integracji europejskiej. Będzie to pierwszy regionalny pełnomocnik w kraju.

Pomysły na Śląsk bywają różne. Marek Kempski zaproponował niedawno przebudowę regionu... mistrzostwami Europy w piłce nożnej. Powołując się na przykład Hiszpanii, która będąc, jak Polska w przedpokojach Unii, dostała najpierw piłkarskie mistrzostwa świata, a później Igrzyska Olimpijskie, twierdzi, że sprawa może być realna. No cóż... To prawda, że na organizacji takich imprez zarabia się krocie. Jednak Śląska i Polski żadną miarą nie da się porównać do Katalonii i Hiszpanii. Gdyby piłka nożna uzdrowiła region naszpikowany kopalniami i hutami, jak tort bakaliami, byłby to pierwszy taki przypadek w dziejach nowoczesnej Europy...!

Unia stawia sporo warunków. Domaga się od Polski m.in. uzdrowienia rolnictwa, przebudowy przemysłu ciężkiego, zniesienia monopoli w telekomunikacji i transporcie kolejowym, zwiększenia ochrony środowiska. My natomiast chcemy wspólnego budżetu, szczodrych subsydiów UE na rolnictwo, swobodnego dostępu do europejskiego rynku pracy, ograniczenia zakupu ziemi przez cudzoziemców, co z obawy przed Niemcami wprowadzono — na przykład — w Danii i Austrii. Co dostanie Śląsk?... Czy zyska, czy straci?... Na razie skala zagrożeń narasta, co bardziej rzutuje na stan społecznych nastrojów i perspektywy związane z obecnością w Unii. ■

Unia, forsa i nadzieje



Rys. Ryszard Twardoch

Pytanie o oblicze kultury narodowej po wejściu Polski do Unii Europejskiej nie pojawia się zbyt często na łamach naszej prasy, tak jak gdyby problem kultury był czymś zupełnie marginalnym wobec zagadnień natury społecznej czy gospodarczej. Nie wynika to, jak sądzę, tylko z tego, że nikogo te sprawy nie interesują; raczej z tego, że nie uświadamiamy sobie jeszcze faktu następującego: po „godzinie zero" trzeba będzie na nowo przemyśleć relacje: państwo-kultura, Unia-kultura, racja stanu-kultura. W ogóle trzeba będzie zdefiniować raz jeszcze pojęcie „kultura narodowa".

Nadzieje jakie wiązane są z wejściem Polski do Unii dają się zdefiniować przede wszystkim w odniesieniu do sposobu finansowania kultury. Wielokrotnie dało się słyszeć głosy, iż po „godzinie zero" uproszczone zostaną procedury w docieraniu do środków pomocowych różnych fundacji kulturalnych i programów międzynarodowych, a w konsekwencji zastrzyk pieniężny z zewnątrz będzie miał moc uzdrawiającą.

Są to płonne nadzieje. Dostęp do podobnych finansów - mimo pewnych trudności związanych z ich zdobyciem - możliwy jest już dzisiaj, lecz różne środowiska artystyczne i kulturalne słabo z niego korzystają. Panuje bowiem niepodzielnie przekonanie, że obowiązek finansowania kultury narodowej w dalszym ciągu spoczywa wyłącznie na państwie, a jeśli tak, to właśnie państwo musi - zgodnie z wymogiem konstytucyjnym - zapewnić „minimum kulturalne".

Jest to racja nie do przebicia. Rzecz w tym, iż państwo z każdym rokiem dewaluuje złotówkę na kulturę. Polega to na tym, między innymi, że brak jakichkolwiek dalekowzrocznych i dalekosiężnych planów perspektywicznych przyczynia się w efekcie do działań niekontrolowanych, bez ładu i składu, bez niepodważalnych priorytetów, itp. Częste zmiany ekip rządowych przyczyniają się do wichrowania polityki kulturalnej: przybiera ona różne kształty w zależności od politycznego adresu ministerialnych urzędników, a co za tym idzie - od obietnic dawanych przedziwnym niekiedy środowiskom wyborczym.

Nadzieje związane ze wzrostem dotacji na kulturę po wejściu Polski do Unii okażą się wnet złudne. Skoro nie potrafimy uporać się na własnym podwórku z rzeczami najprostszymi - trudno oczekiwać, iżbyśmy lepiej się gospodarowali po „godzinie zero". To nierealne, tym bardziej, że już dzisiaj widać ewentualne konsekwencje tego nieprzygotowania.

Znany jest europejski program Kalejdoskop, z którego finansuje się różne imprezy kulturalne. Polska jako kraj stowarzyszony z Unią Europejską mogła dotąd korzystać z funduszy tego programu, nie opłacając koniecznej składki. Teraz sytuacja uległa zmianie. Wcale nie chodzi zresztą o obowiązkowy wkład do ogólnej kiesy; rzecz w tym, iż w polskim bałaganie kompetencyjnym trudno znaleźć odpowiednią osobę, która podejmie stosowną decyzję i fundusz, z którego obowiązkowa składka zostanie zapłacona. Między Ministerstwem Kultury a Komitetem Integracji Europejskiej musi więc zaiskrzyć w którymś momencie (jeśli już nie zaiskrzyło).

Nie chcę przesadnie tragizować, ale wydaje mi się, że polskie pomysły kulturalne ograniczają się wyłącznie do tego, jak wyciągać pieniądze (nie wiadomo jakie) z europejskiej kiesy. Za tym nie idą jednak jakieś dalekosiężne plany imprez centralnych, spektakularnych serii wydawniczych, programów osłonowych, stypendialnych, itp. W konsekwencji to, co najważniejsze dla kultury narodowej, okazuje się działaniem władz samorządowych, gminnych.

Byłoby to naturalnie działanie pożyteczne, ponieważ ostatnie lata przyzwyczaiły nas do tego, że - rezygnując z centralistycznych praktyk - patrzymy na kulturę narodową jako na związek działań lokalnych. Nie jest to nowa teoria, ma ona swoją znakomitą antecedencję w wieku XIX, wynika z tradycji patriotyzmu lokalnego, „małej ojczyzny". Powrót do takiego widzenia jest więc ze wszech miar pożądany. Problem jednak w tym, iż na tej bazie państwo próbuje się (samo siebie) zwolnić z jakiejkolwiek odpowiedzialności za kulturę w ogóle. To jest sprzeczne nie tylko z racją stanu, lecz także ze zdrowym rozsądkiem. Usprawiedliwia bowiem brak jakiegokolwiek programu w wymiarze globalnym, w efekcie oddaje kulturę narodową w pacht masowej, zaborczej - jeśli można tak powiedzieć - i nietwórczej „sieczki amerykańskiej" (wystarczy spojrzeć na to, co króluje w państwach Unii, żeby się o tym przekonać).

Dość krakania, żeby nie posądzono mnie, iż jestem Kassandrą na etacie. Nie chcę też traktować wejścia Polski do Unii tylko w wymiarze finansowym. Obserwując jednak brak dyskusji nad tym faktem również na polu kultury, śmiem sądzić, że hurraoptymistyczne prognozy fundowane są jedynie na życzeniach, pragnieniach, rojeniach wreszcie. Gdyby było inaczej, odpowiednie gremia państwowe pewnie nie traktowałyby nas, ludzi kultury, jak ignorantów, a może dostrzegłyby ewentualnych sojuszników w budowie narodowego planu obrony kultury.

Nie chodzi mi o jakiś plan ekstra. Chodzi mi o to, aby zachowane zostało to, co jest, nie zburzone to, co się buduje, podreperowane to, co już się chwieje. Jest to plan racjonalny i nie wymagający nadzwyczajnych środków. Ale żeby mógł on zostać zrealizowany jeszcze teraz, kiedy nie jesteśmy zobligowani nieswoimi ustaleniami - powinna rozpocząć się poważna debata na temat przyszłości polskiej kultury w strukturze europejskiej, powinna zostać uruchomiona jakaś osłonowa „linia specjalna" dla działań ważnych.

To nie jest tak, że zobligowani politycznymi uchwałami będziemy bardziej europejscy niż jesteśmy. Raczej odwrotnie: będziemy „mądrzejsi po szkodzie".

MARIAN KISIEL

Szanse

Wejście Polski do Unii Europejskiej jest żywo dyskutowane w różnych gremiach i środowiskach. Poprosiliśmy więc kilku rektorów wyższych uczelni o wypowiedź na temat: **„Obecność w Unii — szanse i zagrożenia z punktu widzenia Górnego Śląska”.**



Prof. dr hab. inż.
BOLESŁAW POCHOPIEŃ
— Rektor Politechniki Śląskiej

Proces integracji europejskiej można rozpatrywać w wymiarze: społecznym, ekonomicznym, socjalnym, socjologicznym, kulturowym. Obecność w Unii Europejskiej — cel strategiczny Polski — służy:

- przyspieszeniu rozwoju gospodarczego,
- modernizacji gospodarki i systemu prawnego,
- złagodzeniu luki rozwojowej dzielącej nasz kraj od państw europejskich.

Przyszłe miejsce polskiej gospodarki w poszerzonej Unii Europejskiej będzie wynikiem polityki gospodarczej prowadzonej już dziś. Będzie więc zależeć od sposobu restrukturyzacji podstawowych sektorów gospodarki i tempa przekształceń własnościowych. Warunkiem pełnego wykorzystania szans płynących z integracji będzie też odpowiednie przygotowanie się gospodarki do funkcjonowania w ramach jednolitego Rynku i osiągnięcie wysokiej konkurencyjności przez wszystkie podmioty gospodarcze.

Określenie zdolności gospodarki Górnego Śląska do konkurowania w zakresie dóbr zjednoczonej Europy stanowi przyczynek do podjęcia działań przyspieszających wzrost gospodarczy w naszym regionie. Tworzy on jednak określone zagrożenia: między innymi bezrobocie. Rodzi to potrzebę tworzenia nowych miejsc pracy oraz wypracowania określonych form edukacji dla rozwoju kapitału ludzkiego, a w szczególności podniesienia poziomu wykształcenia oraz kwalifikacji zawodowych społeczności regionalnej. Dużą rolę w osiągnięciu tego celu odgrywają uczelnie wyższe, które powinny przygotowywać przyszłych swoich absolwentów do zintegrowanego europejskiego rynku pracy. To także wyzwanie dla uczelni przygotowujących przyszłych menedżerów — by posiadana przez nich wiedza stanowiła w sposób oczywisty naturalną i konieczną podstawę sprawnego, profesjonalnego działania w praktyce. Uczelnie polskie uczestniczą w procesie europeizacji edukacji między innymi w ramach programów Sokrates czy Leonardo. Sokrates — Erasmus obejmujący szkolnictwo wyższe, wspiera europejską współpracę uczelni wyższych ze wszystkich krajów członkowskich Unii Europejskiej, EFTA i krajów stowarzyszonych. Działające na Górnym Śląsku uczelnie są przygotowane do kształcenia wysoko kwalifikowanych kadr zarządczych. Kształcenie elit powinno stać się głównym celem przygotowawczym przed wejściem do Unii — daleko bardziej ważnym niż zdobycie środków finansowych, gdyż gruntowana wiedza ekonomiczna pozwoli sprostać konkurencyjnyn siłom rynkowym Unii Europejskiej. Uczelnia powinna stanowić więc zaplecze intelektualne dla restrukturyzowanego regionu — jest to szansa naszej obecności w europejskim a także światowym domu akademickim.



Prof. dr hab.
JAN WOJTYŁA
— Rektor Akademii Ekonomicznej w Katowicach

Przystąpienie Polski do Unii Europejskiej rozpatrywane być musi wielopłaszczyznowo, a także w szerokim kontekście społecznym. Trudno jest zatem w krótkiej wypowiedzi wypunktować wszelkie płynące z tego procesu korzyści i zagrożenia, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy Górnego Śląska.

Po pierwsze — chciałbym powiedzieć, że sam fakt pełnego członkostwa w Unii Europejskiej, będzie miał charakter przede wszystkim polityczny.

Po drugie — będzie on determinantą wszelkich działań ścisłego procesu integracji Polski z Unią Europejską, procesu, który już się rozpoczął w momencie zainicjowanych przeobrażeń polskiej gospodarki.

Po trzecie — w odniesieniu do poszczególnych regionów będzie przebiegał w sposób znacznie zróżnicowany, a przesłanką do takiego stwierdzenia jest realizacja polityki regionalnej samej Unii Europejskiej.

Z powyższych założeń wynikać musi także ocena szans i zagrożeń płynących z faktu integrowania się z tak silnym ugrupowaniem gospodarczym.

Szansy dla Górnego Śląska upatruję przede wszystkim w tym, że region nasz ma:

— bardzo ważne znaczenie, nie tylko gospodarcze, dla Polski,

— spory udział w procesach umiędzynarodowienia gospodarki,

— rozwinięte duże i dynamiczne zaplecze naukowo-badawcze oraz szkolnictwo wyższe,

— długowieczne tradycje dobrej pracy, w bardzo trudnych warunkach,

— doświadczenie we współżyciu ludzi różnych narodowości, kultur i wyznań.

Zagrożenia wynikać będą natomiast z konieczności dokonania wielkiego wysiłku restrukturyzacji gospodarki regionu i to w warunkach olbrzymiej konkurencji, konieczności zabezpieczenia odpowiednich

i zagrożenia

środków finansowych na przemiany społeczno-gospodarcze, a także gigantycznej pracy nad zmianą postaw i świadomości społeczeństwa.

Wielką rolę w tych procesach odegrać musi szkolnictwo wyższe. Politechnika Śląska dobrze przygotowana jest na europejskie wyzwania. Rozwijamy sieć rozwiązań i współpracy międzynarodowej w ramach programów UE co, w moim przekonaniu stanowi olbrzymią szansę dla młodzieży Górnego Śląska, aby uzyskała prawdziwe europejskie wykształcenie, a dla samego regionu pozyskanie nowocześnie wykształconych kadr potrzebnych dla przyszłych zadań XXI wieku. Podkreślę z całą mocą głęboko humanistyczne podejście naszej uczelni dla procesów integracyjnych.

Technika i integracja mają, oprócz wielu innych, jedną zasadniczą i głęboko humanistyczną cechę wspólną: obie tworzone są przez człowieka dla drugiego człowieka, dla jego kompleksowego rozwoju i zaspokojenia potrzeb. Środowisko akademickie Górnego Śląska stoi zatem wobec poważnego zadania realizacji przede wszystkim funkcji wyjaśniającej nauki.



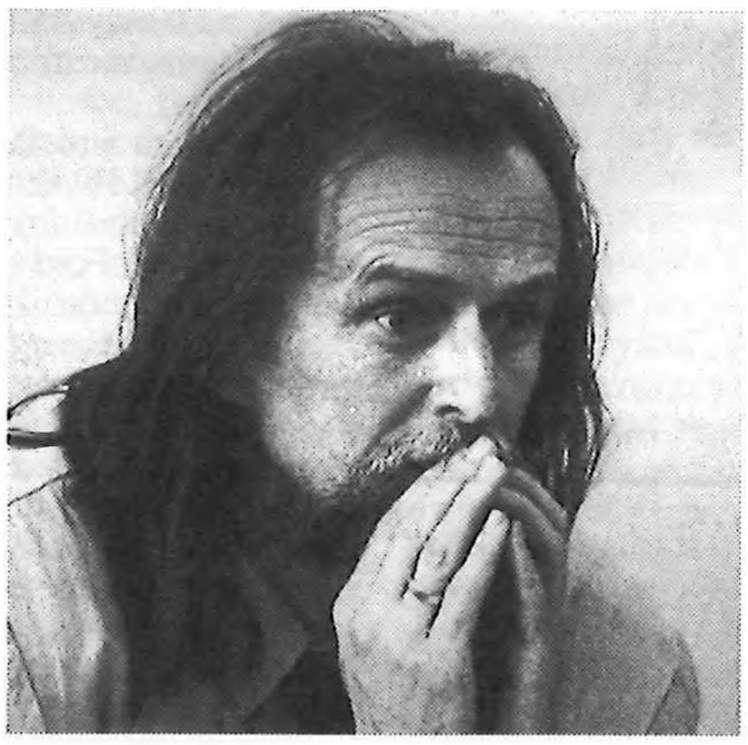
Prof. dr hab. STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
— Rektor Uniwersytetu Opolskiego

Nie absorbuję mojej uwagi sprawą wejścia Polski do Unii Europejskiej. Nie uważam by moje życie i moich najbliższych zależało od jakichś papierowych deklaracji, ustaleń czy zobowiązań. Jako organicznik uważam, że w indywidualnej pracy jest klucz do szczęścia. Jak liczna jest zbiorowość, która uprawia kult pracy taki proporcjonalnie jest potencjał i siła społeczności, społeczeństwa i narodu. Amerykanie, Niemcy czy Anglicy nie dlatego są bogatymi narodami, że tworzą jakieś struktury międzynarodowe, ale dlatego, że istnieje tam kult pracy, mądrzy przywódcy oraz preferencje dla ludzi zdolnych i przedsiębiorczych.

W Polsce fetyszyzowano różne akty prawne, umowy międzynarodowe, deklaracje, dekrety i konstytucje, które nie miały żadnego wpływu na życie, jak chociażby zmitologizowana Konstytucja 3 Maja — produkt nieudaczników politycznych i megalomanów. Skutek tego pomysłu był odwrotny od zamierzonego — zamiast uratować państwo od zagłady przyspieszył jego upadek.

Po każdym powrocie z Niemiec jestem przygnębiony przez kilka dni widząc jak tracimy dystans. Wejście do Europy — z taką marną gospodarką, z takimi drogami, z tak prowincjonalnymi elitami politycznymi, z tak chałupniczym szkolnictwem licealnym, politechnicznym i uniwersyteckim — niczego nie zmieni. Po prostu 20% narodu będzie żyło na poziomie „europejskim", a 80% będzie spychane na pozycje pariasów Europy. Dotknie to szczególnie wieś polską, która pozbawiona przywództwa (bo przecież PSL nie jest partią poważną) już dziś pogrąża się w wielkiej biedzie.

Ludzie przedsiębiorczy w Polsce nie powinni się obawiać wejścia do Unii Europejskiej. Dadzą sobie świetnie radę. Ale, niestety, przedsiębiorczość nie jest zbyt częstą cechą wśród Polaków. Przeważają inerci oraz roszczeniowcy i oni powinni się lękać wejścia Polski do Unii Europejskiej.



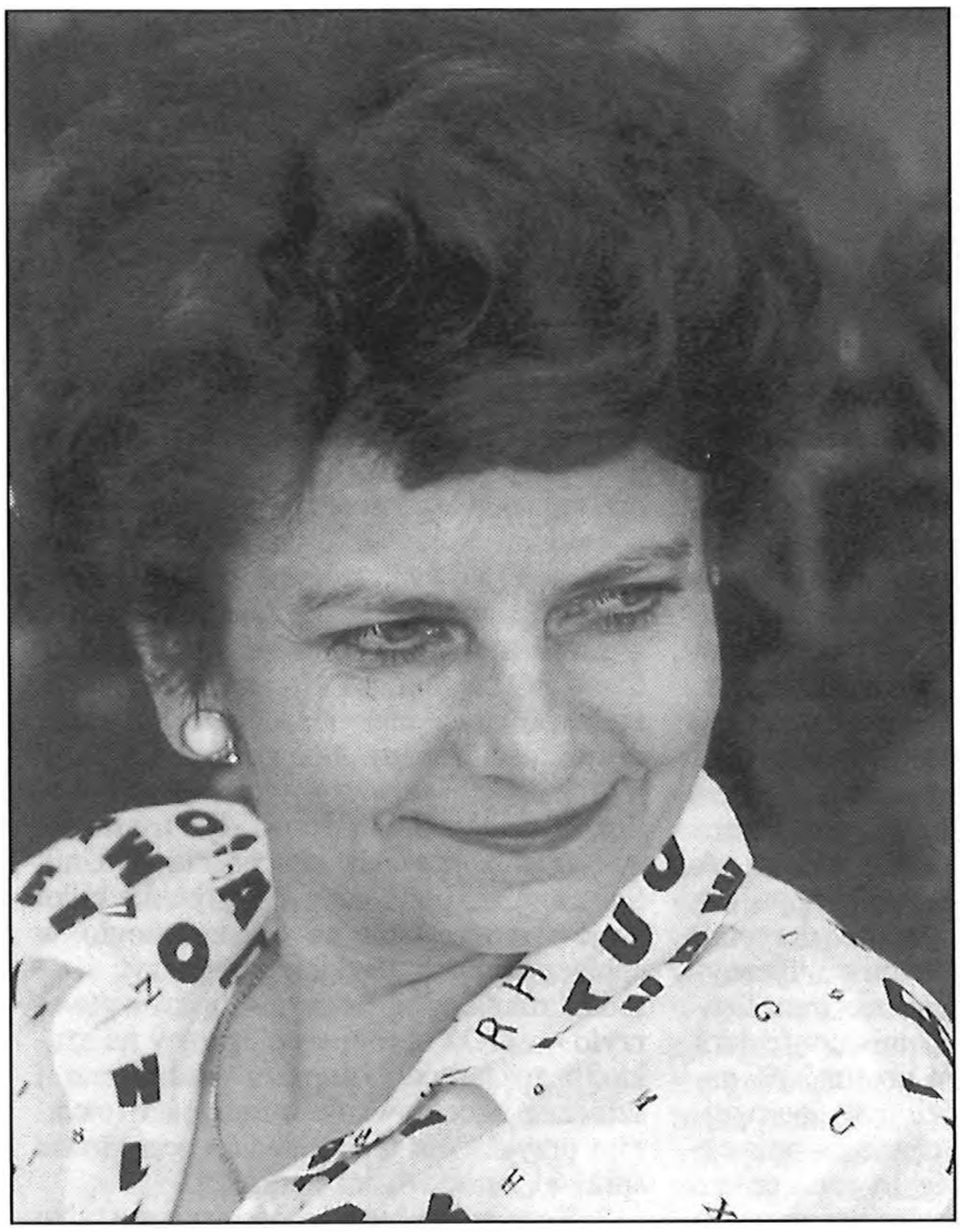
Prof. dr hab. TADEUSZ SŁAWEK
— Rektor Uniwersytetu Śląskiego

1. Geograficznie, historycznie i ekonomicznie Dolny i Górny Śląsk był sceną, na której zmagały się główne siły tworzące nowoczesną Europę. To na Śląsku krzyżowały się typograficzne i intelektualne szlaki wędrówek między regionami i narodami Europy, nauka stawała się ponadgraniczną fascynacją (by przypomnieć choćby Vitella), religia często ponad przedziałami wyznań jawiła się jako źródło przeżycia Transcendencji (Johannes Scheffer i śląscy mistycy), na śląskich bogactwach naturalnych zbudowano podstawy wielkiego przemysłu, który szybko udowodnił korzyści płynące z wymiany inspiracji i nowych technologii (John Baildon). Można więc powiedzieć, iż Śląsk, a z racji tradycji ekonomicznych Górny Śląsk w szczególności, jest w sytuacji, która powinna ułatwić adaptację do rzeczywistości Europy „bez granic".

2. Z drugiej strony, w tych samych okolicznościach tkwią powody trudności związane z przyszłą obecnością w Unii. Ścieranie się politycznych wpływów kilku krajów eurpejskich na Śląsku mogło w społecznościach śląskich wytworzyć i — moim zdaniem na Górnym Śląsku wytworzyło — efekt obronny polegający na szukaniu tożsamości poprzez nadmierne i sztuczne akcentowanie odrębności (ostatnim przykładem tego zjawiska jest głośna sprawa „narodowości śląskiej").

3. Kolejny problem uwidacznia nie tylko perspektywa tzw „wejścia do Europy", ale również bolesne zagadnienie restrukturyzacji przemysłu śląskiego (głównie górnictwa). Należy z szacunkiem odnieść się do niechęci (zachowując wszelako krytyczną rezerwę wobec niektórych form jej przejawiania) środowisk górniczych wobec proponowanych zmian: obawy wypływają nie tylko z zagrożeń materialnych (choć na nich głównie skupia się uwaga opinii publicznej), lecz w istocie jest to lęk przed niewiadomą, przed „końcem", za którym może nie być już nadziei. Bo zmierzch tradycyjnie rozumianego górnictwa, to kres pewnego modelu życia i kultury. Lęk przed Europą, to niepokój przed tym, co nieznane, a więc w zasadzie przed brakiem nadziei, której przyczyną jest utarty i dobrze znany sposób bycia w świecie. Pytanie jakie stawiam, brzmi więc następująco: co zrobić, by dać ludziom na Śląsku nadzieję, co uczynić, by Europa kojarzyła się nam z nadzieją? Odpowiadam (choć nie jest to źródło nadziei szybkiej i łatwej, lecz na dłuższą metę jedynej i pewnej): należy umożliwić społeczeństwu jak najszerszy dostęp do edukacji, w tym również do edukacji wyższej. Człowiek wykształcony, gotowy do podejmowania nowych zadań, przygotowany do nieustannego uczenia się w znacznie mniejszym stopniu potrzebuje oparcia w niepodlegającej żadnym zmianom rutynie. Przygotujmy Śląsk do przynoszącego satysfakcję bytowania w Europie przez większe inwestycje na naukę i edukację, wówczas w znacznej mierze stopniowo znikać będą lęki i obawy przed tym, co obce, nowe i nieznane. Człowiek wykształcony gościnnie przyjmuje to, co obce, bowiem nie jest ono dla niego źródłem zagrożenia, lecz inspiracji.

Budowanie drogi do Unii nie obejdzie się więc bez szybkich i znacznych nakładów na sferę nauki i szkolnictwa. Nigdzie ta prawda nie jest wyrazistsza niż na Górnym Śląsku. Oby zrozumieli ją politycy.



Z ANNĄ SEKUDEWICZ rozmawia
DOROTA STASIKOWSKA-WOŹNIAK

Niezbędna do życia energia

Kiedy pytam, jak to się stało, że bardzo dobra studentka romanistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego odrzuciła propozycję kariery naukowej dla mało popularnego w jej rodzinie zawodu dziennikarza, Anna uśmiechając się refleksyjnie, przymyka oczy.

Jej praca dziennikarska zaczęła się od rozmowy z mało wtedy jeszcze znanym Krystianem Zimermanem. Muzyk, wybitnie uzdolniony student profesora Andrzeja Jasińskiego, zaprzyjaźnionego z matką Anny, obiecał, że jeśli zostanie laureatem Konkursu Chopinowskiego, udzieli jej „prawdziwego" wywiadu. Pierwsza rozmowa ukazała się w „Magazynie Studenckim", a kolejna, kiedy w 1975 roku nadzieje związane z Konkursem się ziściły, w świetnie redagowanym „Studencie". W tamtym czasie Anna współpracowała też z innymi pismami i wiedziała już, że jej przeznaczeniem jest dziennikarstwo. W 1976 roku skończyła studia i wróciła do Katowic - tam gdzie się urodziła, wychowała, gdzie mieszkała wysiedlona ze Lwowa, cała jej rodzina.

- W Radiu Katowice następowała rotacja kadr. Przyjmowano wielu nowych, młodych ludzi - wspomina. - *Całą tę dużą grupę, a oprócz mnie była tam między innymi Krystyna Bochenek, skierowano do Śląskiej Fali, ówczesnej redakcji dzienników. Ten okres był dla mnie niezwykle ponury i przygnębiający. Dziś najzdrowiej chyba podchodzić do niego anegdotycznie, bo każdy inny sposób, jest raczej przykry...*

Po kilku dniach pracy moja szefowa zleciła mi codzienne wyjazdy do Jastrzębia w celu, jak to określiła „penetrowania". Jeździłam tak, oczywiście bez magnetofonu, jedynie z kajecikiem i długopisem, przez miesiąc. Penetrowałam. Zobaczyłam, że Jastrzębie niegdyś było Zdrojem, teraz wyrosły tam kopalnie, osiedla, przyjechali ludzie z całej Polski. Rozmawiałam z nimi, poznawałam ich obyczaje, poglądy... Ostatniego dnia dostałam magnetofon. Zrobiłam nagrania: z górnikiem, z rzeźbiarzem, malarzem, z kimś jeszcze... I nie widziałabym może nic złego w tym brutalnym terminowaniu - bo przecież można by uznać taki sposób nauki za szkołę życia - ale niszcząca atmosfera, która w młodych ludziach zabijała jakąkolwiek niezależność, a także pozamerytoryczna, związana z postawą polityczną, ocena człowieka, były bardzo krzywdzące i antymotywacyjne.

- Po niedługim terminowaniu w redakcji interwencji została pani przeniesiona do redakcji literackiej. Tam chyba poczuła się pani lepiej?

- Moje przejście zostało skwitowane słowami nie wróżącymi nic dobrego: „Nie tacy jak ty tam przepadali..." - a jednak ta redakcja, kierowana wtedy przez Andrzeja Babuchowskiego, była cudowną enklawą spokoju, ciszy i normalności. Pracowała tam poetka Krystyna Jarecka, Aleksander Widera - niezwykła osobowość dziennikarska i pisarska, jego syn Bogdan, nasz obecny prezes Leopold Kurek, Jerzy Billewicz i zajmujący się satyrą Mietek Brzoza, po roku przyszedł Maciej Szczawiński. Panowała wspaniała atmosfera, która po moich wcześniejszych przejściach wydawała mi się niemal niebiańska: nikogo nie traktowano ulgowo, raczej twardo i ostro, ale z potężną dozą zaufania i akceptacji. Było mi to wtedy niezwykle potrzebne. Odetchnęłam psychicznie. Leopold Kurek wiele mnie nauczył: kompozycji, montażu... Wciąż podpatrywałam co i jak robi. Uczył jakby mimochodem: tu coś powiedział, tam pokazał, usiadł na chwilkę, zerknął, posłuchał i dużo rozmawialiśmy, wypytywałam go o jego reportaże — bardzo jak na owe czasy, nowoczesne i bliskie człowieka...

* * *

W roku 1978 Anna wysłała swój materiał dziennikarski na najbardziej prestiżowy w kraju, doroczny konkurs radiowy, który od kilku lat nosi nazwę „Polska i świat". Został on wymyślony w 1962 roku przez Aleksandra Małachowskiego. Rozstrzygany jest każdego roku w grudniu i przynosi nagrody dla najlepszych reportażystów. Nagroda młodych, otrzymana za zrealizowany wspólnie z Maciejem Szczawińskim „To może być sen" (o zjawisku życia po życiu) zapoczątkowała pasmo sukcesów. Rok później Anna otrzymała I nagrodę za monolog i wyróżnienie za reportaż zrobiony wspólnie z Leopoldem Kurkiem. Tu nastąpił przełom w jej radiowym życiu. Na stałe związała się z redakcją literacką, a reportaż stał się jej wielką pasją. Następne lata, to nieustająca lawina nagród i wyróżnień.

Pytam, gdzie w tym wszystkim znalazła czas na małżeństwo (w minionym roku Anna i jej mąż Andrzej Rączaszek, obecnie pracownik naukowy Akademii Ekonomicznej w Katowicach, obchodzili dwudziestą rocznicę ślubu), urodzenie i wychowanie córki, życie rodzinne...

Po studiach wróciła do Katowic. Rozpoczęła pracę w radiu i wyszła za mąż. Rok później Andrzej wyjechał na stypendium do Wiednia, gdzie zrobił doktorat i studiował w Instytucie Studiów Wyższych Fundacji Forda. Świetnie pamięta tamten czas: dzieliła go między pracę i podróże do Wiednia. W 1981 roku przeprowadziła wywiad z Ewą Kreyski, synową kanclerza, szefową instytutu, w którym studiował Andrzej. Chciała zamieścić go w „Panoramie", którą wówczas kierował Feliks Netz, jednak wprowadzony właśnie stan wojenny pokrzyżował nie tylko te plany...

Siedem lat po ślubie urodziła córkę. Wzięła urlop. Jak mówi, przez dwa i pół roku była głównie żoną i matką, a pracę i większość zajęć pozadomowych „zawiesiła na kołku".

Wróciła do pracy, kiedy wszystko wokół było szare i smutne. Ludzie czuli się stłamszeni, działała cenzura, wiele osób umilkło, mało kto chciał udzielać wywiadów i pokazywać się publicznie. Sytuacja po stanie wojennym działała na większość niezwykle przygnębiająco.

Przełom w radiu nastąpił w 1988 roku.

— Krystyna Bochenek przyniosła przywiezione z Ameryki archiwalne nagrania: wypowiedzi premiera Winstona Churchilla, prezydenta Lyndona Johnsona, Ignacego Paderewskiego, generałów Bora-Komorowskiego, Sosabowskiego, Andersa i innych, uznawanych w tym czasie za „trefnych" i źle widzianych. Zdecydowałyśmy zrobić z tego reportaż. Postanowiłam dotrzeć do Stanisława Broniewskiego, pseudonim Stefan Orsza, który był dowódcą Szarych Szeregów. Wykorzystałam wszelkie znajomości i układy towarzyskie... Nasz kontredans trwał pół roku: to mówił, że od czasów Powstania Warszawskiego nie udzielał wywiadów, jak zaś przekonywałam by się zgodził, wymieniając nazwiska osób między którymi chciałam umieścić jego wypowiedzi. Wymawiał się, raz niby chciał, to znów nie chciał i tak to trwało dłuższy czas. W końcu pewnego razu, kiedy byłam w Warszawie w zupełnie innej sprawie, zadzwoniłam do niego — zupełnie już zrezygnowana i raczej pro forma. Ku mojemu zaskoczeniu, zgodził się, powiedział, żebym wpadła na kilka minut. W ten sposób powstało rewelacyjne nagra-

nie, które stało się kanwą reportażu „Litania". Puszczono je w 1988 roku bez jednego cięcia.

Wszystko to było oznaką, że nadchodzi coś innego, nowego, że wieje świeży wiatr. Choć muszę przyznać, że kiedy prawie w tym samym czasie nagrywaliśmy z Markiem Mierzwiakiem górników z kopalni „Wujek", wyczuwaliśmy ich niepewność... Zgodzili się na nagranie, ale czuli obawy, lęki, a swoje mówienie — po raz pierwszy przecież w sposób tak otwarty — traktowali jak akt wielkiej odwagi.

Tak powstał reportaż „Użyto broni" wyróżniony w najważniejszym konkursie radiowym w świecie: PRIX ITALIA.

— Czy właśnie tę nagrodę uważa pani za najważniejszą w swojej dziennikarskiej karierze?

— Na pewno tak. Jestem z tym reportażem mocno związana emocjonalnie. Temat poruszył mnie głęboko. Całą sprawę bardzo mocno przeżywałam, wszystko działo się przecież na tym terenie, do dziś pamiętam jak wiele różnych odniesień przyniósł temat tego reportażu... Jeśli stoi się w obliczu czyjegoś dramatu i przez słuchanie, niemal się w nim uczestniczy, to niemożliwe, by emocje się nie udzieliły. Ktoś zapytał mnie kiedyś, czy lubię swoich bohaterów. Nie wiem, czy lubię wszystkich, ale jedno jest pewne: fascynują mnie, odkrywam ich tajemnice, poznaję problemy. To rodzi niesłychaną więź i prowadzi w moim przypadku do niebywałego zjawiska: nieświadomego przejmowania ich pewnych cech, np. sposobu mówienia, intonacji, charakterystycznych dla nich słów.

— Czy to nie wyczerpuje?

— Wyczerpuje, ale daje też nową niezbędną do życia energię. Czasami myślę, że to przedziwne angażowanie się w sprawy moich bohaterów, jest rodzajem podwójnego, czasami potrójnego życia. Kiedy jestem kimś zafascynowana, mogę pracować godzinami, zupełnie ich nie licząc.

— Który z bohaterów zafascynował panią najbardziej?

— Teraz żyję Kilarem, kiedyś księdzem Bugelem, a jeszcze wcześniej Janem Sawką, Wojciechem Prażmowskim... Za każdym razem, czy to była osoba wykształcona czy nie, znana w całym świecie czy tylko w swojej wsi, zajmująca się tworzeniem, nauczaniem czy nie pracująca zawodowo — zawsze mnie fascynowała, dźwięczała mi w głowie, była ze mną w dzień i w nocy, bo była niezwykła. A zależy mi na odkrywaniu ludzi wymykających się powszedniości...

— Dlaczego ludzie tak chętnie rozmawiają z Panią?

— To chyba rodzaj katharsis. Odsuwa się ból mówiąc o nim. Powiedzenie czegoś, co jest zapisywane na taśmie daje nie tylko poczucie utrwalenia, ale może także uspokojenia. Ludzie wypowiadając się, chcą pamiętać. Oddają swoje emocje — ja jestem tylko przekaźnikiem.

Wielką wartością mojej pracy jest dawanie i branie energii, bycie demiurgiem, który stwarza czyjąś postać, „manipuluje" czyimś życiem. Przecież na przykład chronologii w reportażu stosować nie trzeba... Czasami czuję wyrzuty sumienia, że montuję materiał według własnego uznania, przetwarzam, kreuję rzeczywistość — może nawet w najlepszej wierze — jednak przecież pokazuję ją na własną modłę. Zawsze zastanawiałam się, do jakiego stopnia mam prawo modelować rzeczywistość, człowieka, jego myśli, nastroje, pokazywać coś co powiedział mi pod wpływem największych emocji? Albo zaczynać reportaż od szlochu czy bardzo nośnego zdania wypowiedzianego w którejś godzinie rozmowy? Na pytanie jak daleko można się posunąć w reportażu, nikt nigdy nie odpowiedział. Uważam, że trzeba pracować po prostu zgodnie ze swoim sumieniem. I staram się to robić. Nigdy świadomie nie zafałszowałam materiału, nie stworzyłam zdania które rzeczywiście nie padło, na przykład zmieniając jego kontekst lub wypaczając treść... Nigdy nie można zapominać, że to co robimy dotyczy żywego człowieka i jego dramatu...

* * *

Dźwięki fortepianu towarzyszyły Annie od najwcześniejszego dzieciństwa. Jej matka pracowała w Akademii Muzycznej w Katowicach. W jej reportażach muzyka ma niemal tak wielkie znaczenie jak słowa. Głos rozmówcy, jego modulacja, naturalny czasami zaśpiew, stanowią swoisty utwór muzyczny, przedziwną melodię, która dopiero w połączeniu z innymi elementami wpływa na kształt całości.

— Uwielbiam dźwięk w reportażu. Zawsze jest mi go mało. Czasami słucham audycji jak utworu muzycznego, nie przywiązuję uwagi do sensu wypowiadanych słów, a traktuję je jak linię melodyczną. Uważam, że w reportażu polskim dominuje słowo, a dźwięk traktowany jest głównie jako przerywnik. W reportażach przygotowywanych na świecie wciąż coś słychać. Gdy reportaż jest nagrywany w mieście, na wsi, w domu, bezustannie rejestruje się mnóstwo dźwięków. Ja staram się by były to dźwięki prawdziwe, z tamtego otoczenia: musi szczekać pies stamtąd, muszą dzwonić dzwony z tamtejszego kościoła i krzyczeć dzieci z podwórka gdzie powstawał reportaż. Dla mnie to niezwykle ważne: nigdy nie podkładam innych dzwonów, nie używam szczekania jakiegogolwiek psa czy — nie daj Boże — psa z efektów kompaktowych! To musi być autentyczne nagranie z tego miejsca, autentyczne scenki z życia. Czasami pokonuję kilometry dla jednej minuty takiego nagrania. Chciałabym, żeby dźwiękiem upajali się nie tylko profesjonaliści ale wszyscy słuchacze...

* * *

Przytaczam anegdotę, którą opowiedział mi kiedyś pan Andrzej Szczypiorski. Bardzo dawno temu, kiedy maszyny do pisania były mniej więcej taką nowością jak dziś jest internet, Jan Parandowski zapytał go jak pisze. „Normalnie. Siadam i piszę" — odpowiedział młody Szczypiorski. „Ołówkiem czy na maszynie?" — dociekał tamten. „Na maszynie!" „A! To teraz wiem, dlaczego tak marne książki piszesz" — zaśmiał się Parandowski.

Pytam Annę o jej warsztat pracy i o to, czy i kto jej w tej pracy pomaga.

— Koncepcja rodzi się jeszcze przed nagraniem. Jednak o jej ostatecznym kształcie decyduje to, co przywozi się na taśmie. Mój bohater jest ze mną przez cały czas. Od myślenia o nim nie mogę się uwolnić do momentu zakończenia pracy nad materiałem. W tym czasie robię się agresywno-nerwowa i wiem, że trudno ze mną wytrzymać. Równolegle robię tysiące innych rzeczy, na przykład prowadzę audycje cykliczne, których nigdy nie chciałabym zostawić na boku...

Nagrywam na magnetofonie cyfrowym. Robię to sama lub z Jackiem Kurowskim — realizatorem dźwięku. Żeby była zachowana odpowiednia jakość, materiał powinien być także komputerowo zmontowany. A propos anegdoty pana Szczypiorskiego: to czy pisze się książki ręcznie, na maszynie, czy też komputerowo, ma pewnie mniejsze znaczenie niż to, czy nagrywa się na magnetofonie zwykłym czy cyfrowym. Jakość dźwięku jest niewiarygodnie istotna.

— Czy korzysta pani z usług reżysera?

— Od paru lat mniej, bo mnie samej spodobała się ta zabawa, ale wcześniej pomagała mi Beata Kasztelaniec, która ma świetne wyczucie słuchowe i potrafi nadać rytm całości.

— Czy czuje się pani osobą spełnioną?

— Może nie do końca. Ale to chyba dobrze, bo mam do czego dążyć.

— To skromność? A coroczne nagrody w konkursach ogólnopolskich, Prix Italia, „Złoty Mikrofon", Nagroda Prezydenta Katowic?

— Człowiek usiłuje wszystko obiektywizować. Jednak za pomocą jakich kryteriów ocenić wartość pracy dziennikarskiej? Przecież reportaż to nie bieg na 100 metrów, gdzie można wszystko precyzyjnie zmierzyć. Punktem odniesienia w tej profesji automatycznie niemal stają się nagrody. Ja też odnoszę się często w rozmowach do swoich nagród, chociaż w głębi duszy trochę mnie to śmieszy, bo czuję się jak uczennica w klasie, która otrzymała dobre stopnie... Jeśli coś w tych nagrodach ma dla mnie wartość, to ich ciągłość. Zmieniały się redakcje, programy, ludzie, zmieniały się czasy, rządy i systemy, a jednak odnajdywano jakąś wartość w tym co robiłam.

A „Złoty Mikrofon" i nagroda Prezydenta Miasta były uznaniowe, w związku z tym szalenie budujące i zrobiły na mnie — nie będę tego ukrywała — wielkie wrażenie.

— I pomyśleć, że osiąga pani te sukcesy bez pomocy asystentek, sekretarek i całego tego „aparatu", z którego korzystają zachodni reportażyści.

— Ostatnio w Kazimierzu, na spotkaniu reportażystów z całego kraju, Gdrid Listuen z Norwegii, ubiegłoroczna laureatka Grand Prix Europa, zapytana co myśli o polskim reportażu, powiedziała coś, co nas poraziło. Odniosła wrażenie, że pracujemy w kompletnej samotności. U nich, i w całej Europie Zachodniej jest stworzony taki system, że dziennikarz-dokumentalista na każdym etapie produkcji ma osobę, z którą może konsultować swoje pomysły i realizacje. Tak dzieje się zaczynając od stworzenia scenariusza, skończywszy na montażu. My wspomagamy się jak możemy, rozmawiamy ze sobą i radzimy się innych, jednak to zdecydowanie nie to samo co system. Gdrid dostrzegła rozchwianie w naszych reportażach wynikające z tego, że ktoś najwyraźniej na pewnym etapie poczuł się zagubiony, odosobniony i zdany na samotne rozwiązywanie swoich problemów.

— Jaka zatem będzie przyszłość polskiego reportażu?

— Sądzę, że przetrwają wszystkie gatunki: i krótkie, barwne obrazy z życia, których ludzie bardzo lubią słuchać, bo to opowieści jakby o nich samych i reportaże dłuższe, bardziej skomplikowane, mające znamiona dzieła artystycznego. Jednak by tak się stało, musi zostać stworzona trwała struktura organizacyjna, która umożliwi ludziom normalne funkcjonowanie, zapewni pieniądze i odciąży od innych zbędnych zajęć. Żeby jedyną walką, jaką trzeba toczyć przy robieniu reportażu była walka z własną słabością, a nie jak to jest dziś, z brakiem taśmy czy studia nagrań. W tej dziedzinie radia publiczne powinny się jednoczyć i wierzę, że tak będzie. ■

BOLESŁAW TABORSKI

Refleksje podczas słuchania symfonii „Z zegarem”

choć byś nie wiem co obiecywał swą harmonią
mistrzu niepoprawny nic nam nie pomożesz
na problem podstawowy — klucza do istnienia
który zaginął na zawsze jeśli w ogóle był
na rock na ciężki metal się nie przestawimy
gdy melodyjność inna weszła nam już w krew
niech się tym ogłuszają ci szczęśliwcy
co nie musieli nigdy słuchać wrzasków wojny
czy mniej zrobią pomyłek raczy wiedzieć Bóg

myślę jednak że człowiek uparcie podpiera
statykę zła i dobra poprzez tysiąclecia
więc nie jest ani lepszy ani też mądrzejszy
a tylko pojemniejszy wiedzą co go czyni
zdolniejszym do lepszego życia i podłości
lecz końcem zawsze będzie zdumiona bezradność
pyszni mędrkowie skończą równie źle jak głupcy.

27.8.96

Powiedzmy sobie

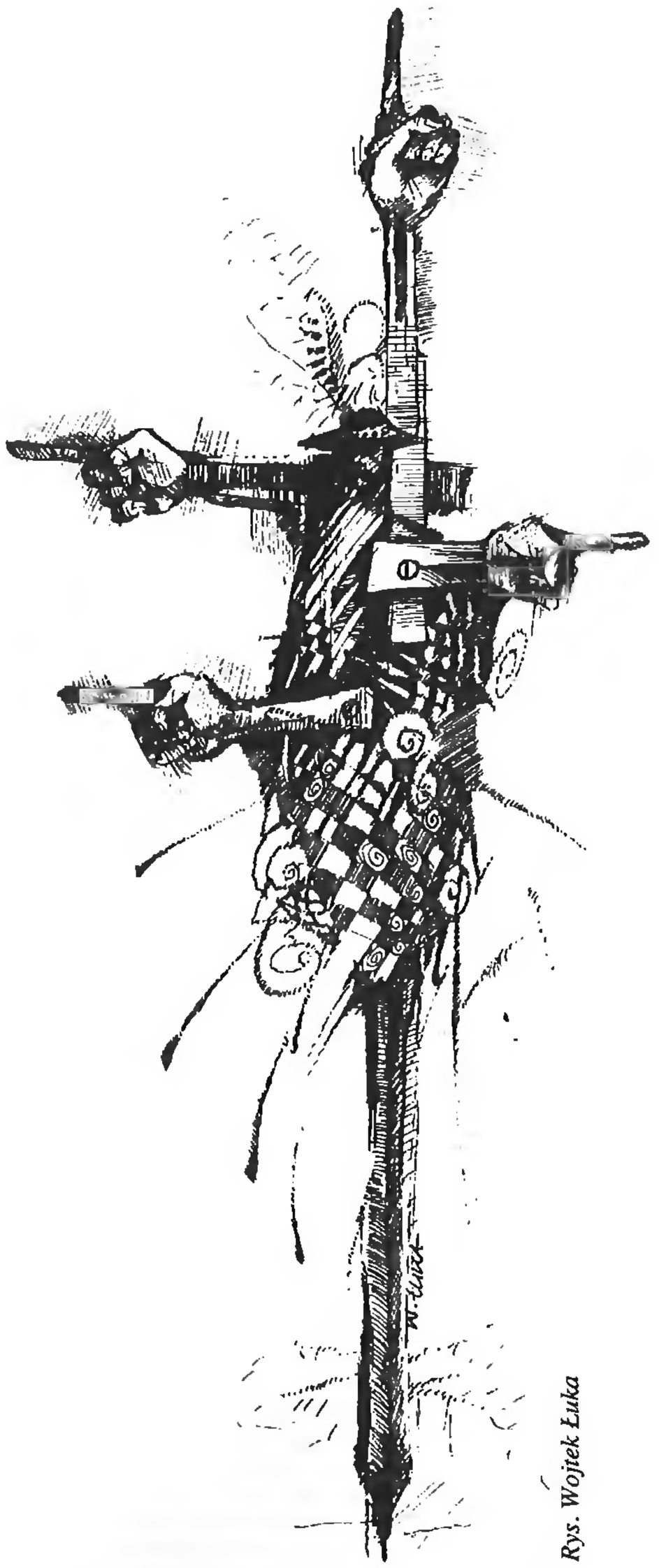
powiedzmy sobie w minorowym czasie
że tonacja mol bardziej nas porusza —
smutek kompozytora świadomość że musi
i w bólu swoim produkować piękno
tak ciężki los artysty — zawsze ta pułapka
ale w tym właśnie radość by nie uznać klęski
i wołać w niebo że tu człowiek trwa
i wbrew złu świata zostanie do końca
tak więc ten kwartet przezwyciężył smutek
i dla nas będzie zawsze chociaż my przejściowi
jesteśmy a szatafeta podejmuje dalej
zużytą pałeczkę ludzkich cud-dokonań
co na szali niebios przeważą ludzkie zło

18.8.95

W Tatrach

stary człowiek patrzy na góry
sam ale z nimi nie samotny
nazywa je bezbłędnie czule
były wszak Jego przed tym wielkim trudem
który go nie opuści do drugich pożegnań
bo pierwsze są tutaj ale on powróci
wzrokiem miłości ogarnie te turnie
co wskazując na niebo nie czynią mu bólu
na chwilę oderwany od radosnych tłumów
wie ile w nich na co dzień cierpienia
lecz teraz góry — wierne drogowskazy
jego wspinaczki której nie dorówna
nikt na tym świecie bo ten słaby starzec
nas dźwiga gdzie najwyższy nie dosięga szczyt

Birstonas, 5.7.97



Rys. Wojtek Łuka

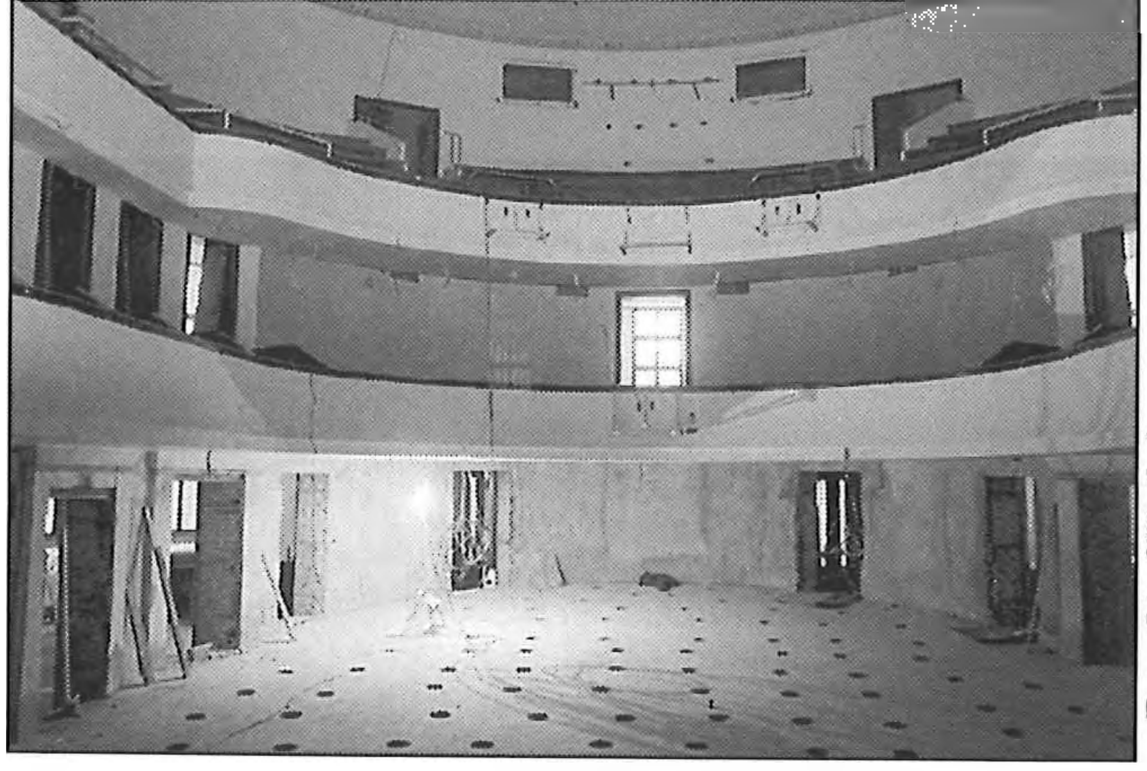


Foto. Józef Wróbel

S.O.S. dla „Śląskiego”

Wojewoda apeluje o pomoc do mieszkańców regionu i sponsorów. Wiceminister kultury publicznie składa dość mało precyzyjne obietnice, że pieniądze się znajdą. Aktorzy kwestują i organizują aukcje dzieł sztuki i win. Prasa, radio i telewizja nagłaśnia jak może rozpaczliwą sytuację Teatru Śląskiego. A 2,5 miliona złotych potrzebnych na dokończenie remontu jego Dużej Sceny jak nie ma, tak nie ma.

Już rok temu groziło skandalem. Straż Pożarna żądała zamknięcia 90-letniego budynku teatru, tak wielkie było zagrożenie pożarowe. 4 miliony zł dotacji celowej przyznanej przez Sejm Teatrowi Śląskiemu po interpelacji parlamentarzystów Katowickiego pozwoliły rozpocząć remont w maju 1997 roku. Wymuszony on został sytuacją zagrożenia bytu instytucji, która w październiku ubiegłego roku miała obchodzić jubileusz 75-lecia istnienia. Powiedzmy to sobie otwarcie: jest to jeden z efektów wieloletnich zaniedbań mecenatu państwa. W wydatkach na kulturę wśród 49 województw Katowickie zajmuje 42 pozycję.

Od początku było wiadomo, że dotacja przyznana przez Sejm oraz kolejny milion zł dotacji wojewody, Urzędu Miasta Katowice i Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych to zaledwie połowa potrzebnych na remont funduszy. Za nie wybudowano stację trafo, zbiornik wodny i stację pomp, wymieniono instalację grzewczą, hydrantową, oddymiania i częściowo elektryczną, drewnianą podłogę zamieniono na żelbetową, wstawiono okna.

Od początku też było wiadomo, że wpisanie do budżetu centralnego jeszcze jednej (obok priorytetowej, jaką jest budowa Biblioteki Śląskiej) inwestycji z dziedziny kultury w tym samym województwie, jest sprawą wielce ryzykowną. Raz się udało. Drugi raz już nie. W tym roku na przekazanie z budżetu państwa dalszych 4 milionów zł na jego kontynuację nie zgodził się Sejm. Na pewno wśród obecnych parlamentarzystów zabrakło osoby na miarę posła ubiegłej kadencji prof. Jerzego Wuttke, który razem z posłem Ryszardem Zającem wywalczyli na Wiejskiej dla kultury śląskiej więcej niż można się było spodziewać. Obecni parlamentarzyści, gdy toczyła się batalia o budżet, okazali zupełny brak zainteresowania sytuacją Teatru Śląskiego. A teraz - chcąc ratować twarz - robią składkę w wysokości 100 złotych od osoby na remont Teatru Śląskiego.

Dotychczas remont kontynuowany jest tylko dzięki tegorocznej dotacji wojewody i pieniądzom miasta, ale te wyczerpywały się już po pierwszym kwartale. Tymczasem czeka na dokończenie wymiana instalacji elektrycznej, trzeba wstawić drzwi prowadzące na widownię, założyć klimatyzację, odtworzyć stalową konstrukcję zapadni sceny, zamontować szatnie, uzupełnić zdemontowaną boazerię, pomalować wszystkie pomieszczenia, wykonać wystrój foyer i holu, kupić spełniające przepisy przeciwpożarowe wykładziny i fotele na widownię. Brakuje na to blisko 2,5 mln zł.

Sytuacja jednej trzeciej zespołu aktorskiego jest rozpaczliwa, od maja ubiegłego roku ani razu nie pokazali się publiczności. Pozostali grają jedynie na Scenie Kameralnej i podczas występów gościnnych. To właśnie zdesperowani aktorzy postanowili nagłośnić sprawę remontu miejsca swej pracy. To dla nich jest hamletowskie być albo nie być. Kwestują na ulicach miasta. W czasie tzw. „Dnia Otwartego” Teatru Śląskiego, kiedy wszyscy zainteresowani mogli zobaczyć, jak przebiega remont i ocenić skalę potrzeb, zebrali: 10 945 złotych i 74 groszy, 11 marek i 10 fenigów, 35 koron czeskich i 1 słowacką, 1 forinta i 6 żetonów „A” do automatu telefonicznego. Zorganizowali wraz z Radiem Katowice aukcję lalki Pinokio podarowanej przez Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” - zlicytowano ją za 5 600 zł. Wraz z Telewizją Katowice przygotowali aukcję dzieł sztuki ofiarowanych przez środowisko katowickich artystów plastyków, która przyniosła 77 500 zł. oraz z właścicielem restauracji „Czerwona Oberża” w Katowicach - aukcję win, podczas której wylicytowano wina burgundzkie za 580 zł., szampana Jacquart za 300 zł, pięć butelek wina alzackiego za 620 zł, trzy butelki Tokaju za 520 zł., oraz trzy butelki Michel Lynch za 380 zł. Przytaczam te drobiazgowe wyliczenia, by uświadomić, że tego typu akcje nie udźwignią ciężaru remontu. Nie tędy droga. A jednak pieniądze pozyskane dzięki wysiłkom aktorów pozwoliły kontynuować remont jeszcze w kwietniu (gdy piszę te słowa). Na dłuższą metę jednak nawet najbardziej spektakularne akcje nie rozwiążą problemu. Ten zaś można rozwiązać jedynie otwierając kasę rezerwy budżetu państwa albo rezerwy budżetu wojewody albo znajdując bank, który skredytuje dokończenie remontu mając gwarancje rządowe, że w przyszłorocznym budżecie państwa pieniądze nań się znajdą i w ten sposób Teatr Śląski będzie mógł zaciągnięty kredyt spłacić. Jedną z tych rzeczy trzeba będzie zrobić.

Co natomiast mamy? Obietnicę wiceministra Jacka Weissa, który w marcu, podczas konferencji prasowej powiedział, że zamierza z tej sprawy uczynić problem polityczny. Jak na razie rezultaty jego działań nie przynoszą efektu.

Obietnicę wojewody katowickiego, który przyrzekł, że we wrześniu Duża Scena wznowi działalność. Jeśli się to nie uda - będzie - jak powiedział - się czerwienił. Apeluje więc o pomoc do mieszkańców naszego regionu, zwłaszcza środowisk gospodarczych i osobiście przekonuje sponsorów do otwarcia portfeli.

Tymczasem dotychczasowy zasięg remontu nie dotyka w żadnym wypadku technologii sceny. Park oświetleniowy teatru opiera się o enerdowskie, dziś już nie produkowane, żarówki, których zapas się kończy. Sprzęt akustyczny jest kompletnie wyeksploatowany - ciągle coś charczy. Wyciągi sceniczne i zapadnia są napędzane siłą mięśni maszynistów - zamiast automatycznie. Tony dekoracji dźwiga się pieszo, bo nie ma w budynku windy. Zaplecze teatru, garderoby są w opłakanym stanie. Na modernizację Teatru Śląskiego i remont jego zaplecza i modernizację techniczną Teatru Śląskiego potrzeba dalszych 15,7 mln zł.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Dla tych, którzy chcą dołożyć cegiełkę na remont Teatru Śląskiego w Katowicach uruchomiono konto:
GBG SA I O/Katowice
nr 15601108-757395-2700-11.
Z dopiskiem „Na remont”



Foto: Jerzy Kleszcz

Katalog najważniejszych, tegorocznych, problemów III RP mógłby być następujący: najpierw żelatyna, potem reforma administracyjna, lewa kasa SDRP, na końcu proces prezydent Kwaśniewski kontra „Życie". Taką oto pożywkę otrzymują co i rusz media. Ale nie tylko. Jest jedno, co ma charakter stały, powtarzalny, powracający mniej więcej z tygodniową częstotliwością: chuligańskie wybryki na obiektach sportowych, nie tylko piłkarskich.

Nie ma jak zadyma

ANDRZEJ GRYGIERCZYK

Pisanie o tym z perspektywy kilku pierwszych miesięcy bieżącego roku wiąże się z pewnym ryzykiem. Bowiem intelektualne możliwości analizy zjawiska jakby się wyczerpały. Głos zabierali socjologowie, psychologowie, psychiatrzy — a wszyscy z godnymi tytułami naukowymi. Nie omieszkali dorzucić do tego swoich trzech groszy politycy najwyższej rangi: prezydent, przewodniczący AWS, marszałek Sejmu. Morze słów popłynęło z ust innych urzędników państwowych, w tym tych, którzy dbałość o bezpieczeństwo publiczne mają wpisaną w zakres swoich obowiązków służbowych. Tony papieru — jakżeby inaczej — zapisali dziennikarze. Co prawda jedni mówili (pisali) mądrze, inni mądrzej, jeszcze inni najmądrzej, wszyscy postawili jedynie słuszne diagnozy, zalecając jeszcze bardziej słuszne środki zapobiegawcze, tudzież represyjne, ale rozrabiająca młodzież jak to wszystko miała w nosie, tak ma nadal, bawiąc się w krwawą ciuciubabkę już to z organizatorami imprez sportowych, już to z literą prawa, już to z policją, już to z całym społeczeństwem.

Niżej podpisany także się sporo natrzepał piórem (komputerem) dla gazet, a także jęzorem dla radia i telewizji. I jak żył, tak żyje w poczuciu bezradności i zagrożenia. Zagrożenia rozumianego na wiele różnych sposobów. Po pierwsze, jako zwykły, pełen obaw obywatel, który wsiądzie przy okazji pierwszej lepszej kolejki ligowej do tramwaju i zarobi kijem baseballowym (nożem, tasakiem) w łeb. Po drugie boi się jako dziennikarz zajmujący się na co dzień sportem, a piłką nożną w szczególności, że bandyci odbiorą mu chleb; kto to tam wie, ile jeszcze brakuje do powzięcia administracyjnej decyzji o zawieszeniu rozgrywek ligowych w naszym kraju. A kto będzie kupował gazetę sportową, jeśli zabraknie w niej relacji z piłkarskich rozgrywek ligowych? Po trzecie, boi się jako organizator jednej wprawdzie, ale dużej piłkarskiej imprezy.

Jak rozwalono „Spodek"?

W tym miejscu — wybaczcie — pora na spostrzeżenia bardzo osobiste. Otóż przed paroma laty, wraz z kolegami z redakcji „Sportu", umyśliliśmy uatrakcyjnić zimową przerwę w rozgrywkach piłkarskich poprzez organizację, na największą możliwą w polskich warunkach skalę, halowego turnieju piłkarskiego. Gdzie, jeśli nie w Katowicach, gdzie jeśli nie w „Spodku", z kim, jeśli nie z udziałem czołowych drużyn naszego kraju. W styczniu 1995 roku, na pierwszą edycję imprezy, przyjechały Legia Warszawa, ŁKS Łódź, Ruch Chorzów, GKS Katowice i Górnik Zabrze. Nie ukrywaliśmy wtedy przed trenerami, że bierzemy na siebie ryzyko wspólnie. Ale odbywało się to w myśl zasady, że jeśli się nie uda, to drużyny... stracą co najwyżej po jednym dniu treningowym, rozjedziemy się w zgodzie, więcej babrać się nie będziemy i basta.

Na trybunach „Spodka" zasiadło prawie 6 tysięcy widzów, dużo więcej niż wynosiła średnia na stadionach podczas rozgrywek ligowych, a drużyny wyjechały bardzo zadowolone. Trud organizacyjny był ogromny, ale na satysfakcji nam nie

zbywało. Przyznaję też, po raz pierwszy publicznie, że świadomość zagrożenia płynącego ze spotkania się w jednym miejscu i czasie kibiców najczęściej ze sobą zwaśnionych była w nas wówczas niewielka, choć oczywiście wszystkie niezbędne kroki zostały przedsięwzięte. Dopiero sam turniej uświadomił nam, że do tego w przyszłości trzeba będzie przywiązywać główną uwagę. Na następnych turniejach było po osiem zespołów, bilety rozchodziły się niemal w 100 procentach, a my najwięcej czasu poświęcaliśmy na spotkania z policją, firmą ochroniarską i wszystkie inne związane z bezpieczeństwem imprezy. Udało się bezpiecznie przeprowadzić drugą i trzecią imprezę. Czwartej już nie.

Zazdrośnicy i poszukiwacze sensacji otrzymali wspaniałą pożywkę. Była mowa o trupach, setkach rannych, miliardowych stratach i inne cuda niewidy. Wszystkim mediom zapewniliśmy tak zwane czołówki na sobotę, niedzielę, poniedziałek, bywało że i na wtorek. A to, że większość tych informacji miała się tak do prawdy, jak pięść do oka, to już inna strona medalu. Nikt, oprócz „Sportu" nie zacytował słów lekarza zawodów, który stwierdził, że „niczego się tak nie bał, jak sposobu relacjonowania przez media tej imprezy". Cóż, fakty nie przystawały do założonej tezy — tym gorzej dla faktów. Ale o postawie mediów nieco później.

Ten turniej, nasze ukochane redakcyjne „dziecko", został zbeszczeszczony i okaleczony dokładnie 17 stycznia 1998 roku. Trudno jeszcze w tej chwili mówić, czy trwale, czy „dziecko" odeszło już w niebyt.

Poletko doświadczalne

Ale ten turniej był też poletkiem doświadczalnym.

— Dla chuliganów, którzy sprawdzali, jak daleko mogą się posunąć w chorej — z punktu widzenia psychologii i psychiatrii — nienawiści, ale też wspartej o wizje i bliżej nieokreślone rozliczenia narkotyczno-pijackie.

— Dla policji, która po raz pierwszy zdecydowała się nie wchodzić do środka obiektu, a zareagować dopiero na pisemne wezwanie organizatorów. Już w zgodzie z nową, ale jeszcze wówczas nie obowiązującą „Ustawą o bezpieczeństwie imprez masowych". Skutki takiej postawy ćwiczyliśmy na sobie bardzo boleśnie, a później ćwiczyli organizatorzy meczów ligowych, zwłaszcza GKS Katowice — Ruch Chorzów, kiedy już ustawa obowiązywała.

— Dla organizatorów właśnie, którzy rychło się zorientowali, że ustawa jest głównie po to, by ich obarczać odpowiedzialnością za to, co się zdarzy, choć to dość oczywiste, że żaden, nawet najlepszy organizator, nie ma obecnie dość sposobów i możliwości, by zapobiec ekscesom, jeśli tylko chuliganeria zechce je sobie zorganizować. A na ogół chce.

Byłem w początkach stycznia br., jeszcze przed wspomnianym turniejem, na spotkaniu z organizatorami większości imprez, które w przeszłości odbywały się lub w przyszłości miały odbyć się — również w „Spodku". Pojawiły się tam znaczące postaci polskiego show-biznesu. Te, które sprowadziły do Polski m.in. Michaela Jacksona, Genesis, Prodigy, Led Zeppelin i wiele, wiele innych gwiazd muzyki. Wspomniane postaci show-biznesu, kiedy zaczęto na owym spotkaniu mówić o „Ustawie o bezpieczeństwie imprez masowych" długo i żarliwie opowiadały o swoich bojach z komisjami sejmowymi i poszczególnymi posłami w związku z poszczególnymi zapisami zawartymi w „Ustawie". Mówili o niedoróbkach prawnych i intelektualnych, mówili o nieżyciowości wielu spośród zapisów. A w podsumowaniu, że w ogóle „Ustawa" jest diabła warta. Wtedy istota sporów wciąż jeszcze była dla mnie odległa, długie monologi, czy to Marka Szpetkowskiego, czy Andrzeja Marca, brzmiały dość abstrakcyjnie. Zapewne również dla większości uczestników tamtego spotkania, choć 90 procent i tak było miało związki głównie z ruchem muzycznym, a nie sportowym.

Ustawa sobie, życie sobie

Nie miałem na tyle wyobraźni, by przewidzieć jeszcze w tamtym momencie jak bardzo „Ustawa" pasuje do urzędniczych biurek i jak bardzo nie pasuje do życia. Zresztą, po 12 marca działała ona w najlepsze (najgorsze), a wciąż jeszcze nie było wielu rozporządzeń wykonawczych. Ot, chociażby dotyczących zakresu i form działania firm ochroniarskich. Urzędnicy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji najpewniej po dzień dzisiejszy zastanawiają się, czy pała ochroniarza ma liczyć 1 metr, czy może tylko 70 centymetrów: czy hełm może być strażacki, czy też raczej zbliżony do policyjnego; czy ochroniarz w obronie własnej może walić napastnika w łeb, czy tylko w dupę? I tak dalej, i tym podobne. Tymczasem — by pozostać przy ochroniarzach — uzbrojonym hordom mogą oni przeciwstawić gołe ręce i mundurek moro.

Co jest warta ustawa, której litera i duch od początku wejścia w życie są martwe? Taka ustawa, powiedzmy to językiem pierwszoklasisty z podstawówki, jest gówno warta. W bardziej cywilizowanym języku mówił o tym całkiem niedawno marszałek Sejmu, Maciej Płażyński, który na szczęście był na meczu Polonia Gdańsk — Polonia/Szombierki Bytom. I na szczęście nie mówił o winie organizatorów, bo zbłaźniłby się wzorem paru innych polityków czy urzędników państwowych, którym najszybciej do głowy, zamiast myśli, przychodzi klisza myślowa: organizator winien. Mówił za to o koniecznej rychłej nowelizacji „Ustawy".

Licząc chuliganów

Nie jestem w stanie unieść ciężaru odpowiedzi na następujące pytania: dlaczego młodzież tak rozrabia, dlaczego na tereny swojej „działalności" wybrała sobie akurat obiekty sportowe, skąd w niej tyle niepowstrzymanej agresji? Ci, którzy na przykład mówią o zagrożeniach egzystencjonalnych (bezrobocie, brak życiowych perspektyw itp.) najpewniej za bardzo racjonalizują. Ci, którzy mówią o tym, że sport jest naturalną areną dla ekspozycji specyficznych więzi grupowych, dzielenia świata na swoich i obcych, jak dla mnie, za bardzo intelektualizują. Ci, którzy mówią o zatraceniu więzi rodzinnych, o alienacji dzieci oraz zapracowanych, goniących za pieniądzem rodziców (czy na odwrót), za bardzo — znów jak dla mnie — psychologizują. Choć wszyscy analitycy najczęściej cząstkę racji mają.

Osobiście staram się brać pod uwagę skalę zjawiska. Rozróby mają zwykle wymiar spektakularny, więc chętnie są eksponowane w mediach. Ale ilu jest tych rozrabiaczy? Nie liczyłem, nie znam statystyk — nikt ich pewnie nie prowadzi, co obecnie można już rozpatrywać w kategorii błędu — można co najwyżej założyć, że w każdej grupie szalikowców jest ich kilkudziesięciu, w porywach 200. Ilu więc rozrabiaczy mamy w całym kraju? jeśli mechanicznie przyjąć wariant maksymalny, w całej pierwszej lidze jest ich 3 600. W II lidze 7 200, w III lidze 28 800. Otrzymujemy liczbę prawie 40 000. Na pierwszy rzut oka — koszmar. Ale każdy, kto interesuje się sportem, a zarazem towarzyszącym mu zjawiskiem chuligaństwa, doskonale wie, że większość stadionów jest bezpiecznych. Nie ma strachu przecież w Grodzisku, Wronkach, Olsztynie, Ostrowcu, Bełchatowie, Myszkowie, Namysłowie — długo by wymieniać. Gdyby zatem zacząć liczyć dokładnie, okaże się, że skala zjawiska może dotyczyć 5—6 tysięcy nasto- i dwudziestolatków (starsi na zadymy raczej nie chodzą).

W najlepszym, czyli w najgorszym, przypadku.

Tej właśnie grupy od kilku lat nie da się ujarzmić. Dlaczego? To pytanie, na które powinni sobie odpowiedzieć przede wszystkim twórcy prawa, a w dalszej kolejności policja, prokuratura, sądy i kolegia do spraw wykroczeń. I jeszcze parę następnych, bardziej szczegółowych „dlaczego". Po pierwsze i najważniejsze: dlaczego stadionowi chuligani mogą się czuć bezkarni, do tego stopnia, że bez żenady pozwalają się rejestrować kamerom telewizyjnym? Po drugie: dlaczego policja, wiedząc i widząc z kim ma do czynienia, wdaje się w bezsensowne gonitwy i potyczki, zamiast „wyjmować" jednego po drugim i kierować tam, gdzie jego miejsce, czyli do aresztu? Po trzecie: dlaczego ewentualnie skazani za chuligaństwo śmieją się beztrosko, nie odbywają kar, nie płacą za wyrządzone szkody?

Promile zła

I tu można byłoby powrócić do przyczyn wspomnianych zjawisk. Ich „twórcy", stadionowi chuligani, to zaledwie ułamek promila społeczności interesującej się sportem, choć w tym kontekście bardziej na miejscu byłoby określenie: krążącej w ten czy inny sposób wokół sportu. Rachunek prawdopodobieństwa wskazywałby, że takie same „promile zła" krążą wokół innych form społecznej aktywności, tyle że nie tak nagłośnionych i nie tak, jak sport, spektakularnych. A zatem trudno mówić o katastrofalnie nasilającej się chorobie, o totalnym upadku wychowania w rodzinach i szkołach, o powszechnym zaniku czytelnych i powszechnie akceptowanych wartości. Można natomiast mówić o niewydolności szeroko rozumianego systemu prawa; ścigania i karania przestępstw.

Nie my jako pierwsi mamy ten problem na głowie. Przez te choroby przechodziły, czy też przechodzą nadal, kraje pod względem i piłkarskim, i cywilizacyjnym daleko silniejsze niż nasz. Czy przed paroma laty waliła się Anglia od stadionowych wybryków? Czy waliły się Niemcy? Holandia? Belgia? I wiele innych krajów, z którymi niebawem mamy się politycznie i gospodarczo jeszcze bardziej związać? Czy mówiliśmy o krachu w tych krajach wszystkiego, co składa się na system wychowawczy? - poza wyjątkami z lat 80., kiedy to o ocenie zjawiska stadionowego chuligaństwa na zachodzie Europy decydowało polityczne zamówienie. Problem rzeczywiście był i jest, bo to nie jest kwestia rozliczeń - a niech się pozabijają - pomiędzy chuliganami spod różnych barw, lecz generalnie bezpieczeństwa publicznego. No i dlatego zabrano się tam za to z całą mocą państwa, z konsekwencją zmienianego, na bardziej rygorystyczne, prawa i nie szczędząc budżetowego grosza. Efekty przyszły szybko, a interes pod nazwą piłka nożna zaczął się kręcić jeszcze szybciej, jeszcze efektywniej. Wzory więc są. Trzeba więc jedynie woli do ich powielenia. Zło, co wiemy już od czasów Kaina, rodzić się będzie zawsze, rzecz w tym, by go możliwie najszybciej i możliwie najskuteczniej eliminować.



Foto: Jerzy Kleszcz

Medialne atrakcje

A tymczasem to zło się relatywizuje. Relatywizują go media. Zło pokazuje się i opisuje nie po to, żeby napiętnować, tylko po to, żeby epatować. Zło jest towarem. Im więcej zła, im więcej krwi, im więcej trupów, tym lepiej. Nasz turniej w „Spodku" był dopóty ciekawy, dopóki walono się kawałkami wyrwanych siedzisk. Dopóki przybywało rannych. Dopóki wyły syreny karetek pogotowia. Był zaś banalny, kiedy grano w halową odmianę piłki. Dla mediów postać sportu jest o wiele mniej ciekawa niż jakiś zdegenerowany przygłup, który mówi, cytuję, o „rozpierdoleniu „Spodka". Niż degenerat, który jest dumny z tego, że nazywają go chuliganem. Niż gówniarz, który tym bardziej rozrabia, im częściej się mówi o chuligańskich wybrykach, najlepiej jego i kolesiów grupy. Taki tam sposobik na wyrwanie się z anonimowości. Szczyty tego samego gówniarstwa zdobywały różne stacje telewizyjne prześcigając się w oddawaniu mikrofonów tym, którzy ze Słupska nawoływali po pijanemu „śmierć za śmierć", a za chwilę, zapewne czynnie, uczestniczyli w rozwalaniu wszystkiego, co do rozwalenia się nadawało. Rozumiem, rozumiem. Telewidz, słuchacz, czytelnik oczekuje mocnych wrażeń. Trzeba mu je dać, bo się odwróci, a jak się on odwróci, to i kasa - by użyć kolokwializmu - przestanie się zgadzać.

Medialnym gówniarstwem nazwałbym też ujawnienie kasety z nagraniem pokazującym policyjne poganianie pałami kibiców Arki Gdynia czy też Lechii Gdańsk. Co są warci ci kibice, pokazują raz za razem. Odezwała się we mnie wówczas tęsknota za cenzurą. Są bowiem granice, których media nie powinny przekraczać, w imię nie tylko zwykłej przyzwoitości, ale przede wszystkim odpowiedzialności. Chwila refleksji mogłaby wywołać przekonanie, że nic tak jak Słupsk, i nic tak jak ta kaseta, nie wytrąca z rąk policjantom ich podstawowych, a i ustawowych atrybutów. Tej refleksji zabrakło.

Policja przestraszyła się gniewu społeczeństwa. Ale znów pytanie: jakiego społeczeństwa? Czy tego, które co rano idzie do pracy, po południu wraca z niej, by bawić się z dziećmi, oglądać telewizję lub iść do teatru, albo - niech tam - na mecz? Czy tej jego malutkiej cząstki, która w gówniarskiej grupowej odwadze sieje grozę i zniszczenie, śpiewając „Zawsze i wszędzie policja j... będzie". No a potem weszła w życie „Ustawa o bezpieczeństwie imprez masowych", która stała się dla policji parawanem, pozwoliła się jej wtulić w miarę bezpieczny kokon, schować za poronioną literą, bo ducha i tak zabrakło. ■

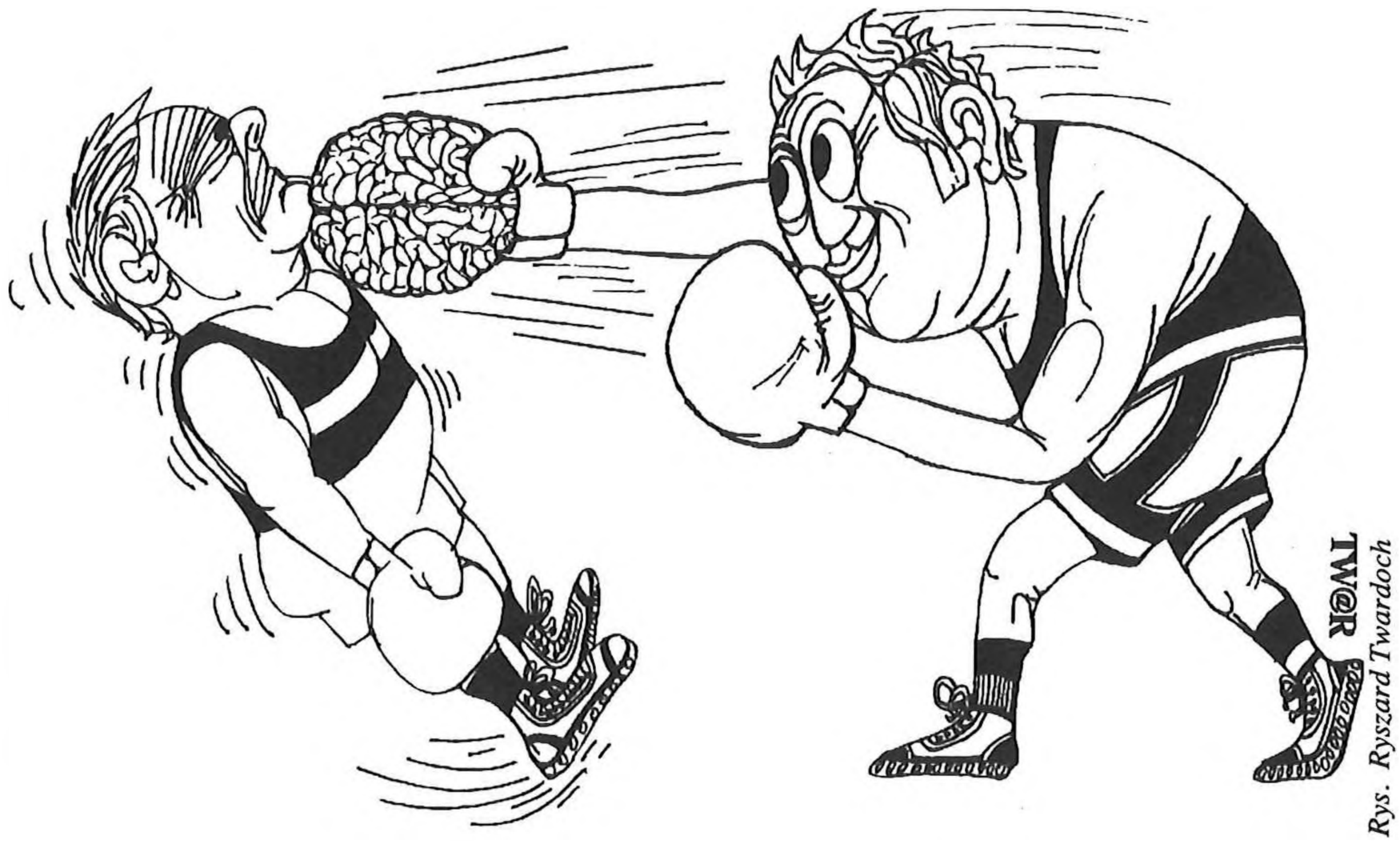
W rozmowie udział wzięli MIROSŁAWA TREMBACZ — ZALITACZ; lekarz psychiatra,

JOANNA BORCZON — psycholog;

JAN KLIMEK — poseł na Sejm;

JÓZEF KRASUCKI — komendant Komendy Rejonowej Policji w Katowicach;

MICHAŁ WÓJCIK — prawnik, dziennikarz sportowy.



Rys. Ryszard Twardoch

Krajobraz po „Spodku"

— Do żelaznego repertuaru ostatnich dni w TV należą „obrazki" — szczególnie sportowe; od Słupska poprzez Warszawę i Katowice. Słupska impreza sportowa zakończyła się koszmarnie, w stolicy „na obrazku" widać wycofującą się w popłochu policję. Z Katowic, mimo, iż policjanci sprawnie opanowali sytuację grożącą nieprawdopodobną masakrą, pokazuje się bijatykę w Spodku, jako przykład... A właściwie czego? Co na prawdę wydarzyło się w Spodku?

Józef Krasucki: Turniej w Spodku nie był pierwszą tego typu imprezą organizowaną przez działaczy sportowych i gazety sportowe w Katowicach. W ubiegłym roku była podobna impreza, ale — problemów nie było. Oczywiście w Katowicach — bo, przypomnijmy — były problemy na stadionie „Polonii" w Warszawie, były 10 stycznia zajścia w Słupsku. W kontekście tych zdarzeń, podkręcających atmosferę, organizowanie w parę dni później turnieju w Spodku a więc, biorąc pod uwagę ilość — 8 tysięcy — kibiców, w dość ciasnym miejscu, było, mimo iż przygotowania do turnieju były mocno zaawansowane, dość ryzykowne. Pamiętajmy, że Spodek to taka patelnia...

— Wszystko widać; wystarczy zacząć awanturę w jednym kącie...

Józef Krasucki: Doszliśmy z ówczesnym komendantem wojewódzkim policji — Janem Michną, do jednoznacznego wniosku — wskazane jest, żeby imprezę odwołać, szczególnie w świetle tego, co działo się niedawno w Słupsku. Powtarzam, było to 12 stycznia — w przeddzień pogrzebu chłopca, który zginął — Piotra Czai... Tego samego dnia, 12 stycznia, komendant wojewódzki policji rozmawiał na ten temat z wojewodą. Niestety, przygotowania do mitingu szły już pełną parą — nam więc pozostało jedno — przygotować się do imprezy; zaplanować działania. W porozumieniu z ministrem sprawiedliwości i wojewodą wprowadzony został tryb przyspieszonego działania wymiaru sprawiedliwości w dniu turnieju. Katowicki garnizon policji był w stanie ostrego pogotowia. Działania zaczęły się od szlaków kolejowych prowadzących do Katowic — przyjechało pociągami, przypominam, około 2000 kibiców. Nie było większych problemów, poza jednym przypadkiem, kiedy to policjant został zaatakowany przez kibica koszem na śmieci — delikwent został zatrzymany i postawiony w stan oskarżenia za czynną napaść na policjanta. Następnym polem działania policji było miasto — w zasadzie przebiegło to bez problemów, podobnie jak podejście kibiców do Spodka. O ile chodzi o sam Spodek, to przypominam, że z organizatorem imprezy był spisany protokół, z którego wynikało jednoznacznie, jaką rolę każdy z uczestniczących w tak zwanym zabezpieczeniu imprezy podmiotów ma spełniać. Organizatorzy wzięli na siebie rolę informatora, kanalizatora ruchu kibiców i zabezpieczenia mienia w środku — na terenie Spodka — przy pomocy wynajętej przez organizatora firmy ochroniarskiej. Policja, zgodnie z ustaleniami, miała być w Spodku nieobecna. Powtarzam — zgodnie z ustaleniami i protokołem mogliśmy wejść do Spodka jedynie na życzenie organizatora.

— Jak to wejście kibiców do Spodka wyglądało w praktyce?

Józef Krasucki: Zgodnie z naszym życzeniem grupy kibiców prowadzone przez miasto w tzw. rękawie, a więc pod policyjną eskortą, miały być przejmowane przez przewodników wyznaczonych przez organizatora i doprowadzane na miejsce, do odpowiednich sektorów. Osiem tysięcy kibiców nie mogło stać się zagubioną, bezwładną masą...

— Czy to się udało?

Józef Krasucki: Na trasie od dworca do Spodka — tak. Nie mamy sobie nic do zarzucenia. Cała, prawie dwutysięczna rzesza kibiców zgodnie z planem, wyznaczonym szlakiem doszła na miejsce. Chorzowskich kibiców poprowadziliśmy nawet na skróty — poprzez żywopłoty — okazało się to rozwiązaniem bardzo trafnym — nie było żadnego zamieszania. Problem zaczął się przy wejściu do obiektu; zgodnie z taktyką, rękawami wpustowymi, zbyt wąskimi, żeby taką masę ludzi sprawnie rozładować — proszę również pamiętać, że każdy z wchodzących do Spodka, zgodnie z regulaminem obiektu i takiej imprezy, musiał być przeszukany — trzeba było odebrać niebezpieczne przedmioty. Do Spodka w tym samym czasie wchodziły kolejne grupy kibiców; katowicka i zabrska — obie mniej liczne od chorzowian. Między katowiczanami a kibicami chorzowskimi doszło w tym momencie do starcia, na szczęście w obu tych grupach nie było prowodyrów — myślę o stałych, 50 — 60 osobowych „trzonach" większości zajść. Wprowadzone zostały dodatkowe siły policyjne, co pozwoliło utrzymać w rozdzielności zantagonizowanych kibiców. Problemy natomiast zaczęły się w środku. Zabrzańscy kibice, dostawszy się do Spodka, zaczęli demolować siedzenia i wybijać okna na antresoli. A że byli ulokowani w sąsiedztwie kibiców katowickich, doszło do awantury. Rozdzielali ich ochroniarze, którzy byli, zgodnie z dyspozycjami organizatorów, w obiekcie. Niestety, ochroniarze nie mogli sobie z tym poradzić — do Spodka weszła policja nie czekając na decyzje organizatora... Opanowaliśmy sytuację — ale nie było to łatwe; nad głowami ochroniarzy latały zdemolowane siedziska i oparcia. W takiej atmosferze zaczął się turniej. Około godziny 12. zaczęły się nowe zamieszki — między kibicami GKS Katowice i zabrzanami, oraz między kibicami Rakowa Częstochowa i Odrą Wodzisław oraz ŁKS Łódź. Co jest dla mnie dziwne — powtórzyła się sytuacja z początkowej fazy meczu — ruszyli na siebie w niesłychanie brutalny sposób kibice GKS i Zabrza; natomiast, poza sporadycznymi potyczkami, nie było walk między taką siłą jak kibice Ruchu Chorzów (około 2000) a kibicami GKS Katowice. Wprowadzony został dodatkowy obwód sił policyjnych — udało się nam uspokoić sytuację. Turniej został przerwany na ponad godzinę.

— Czy nie lepiej było w tym momencie przerwać imprezę?

Józef Krasucki: Zdecydowanie nie. Byłby to ogromny błąd. Zgodnie z bieżącą analizą sytuacji lepiej było eliminować ze Spodka po kolejnej turze turnieju poszczególne grupy kibiców - a więc sytuacja rozładowywała się niejako w sposób naturalny; na zakończenie zostały właściwie tylko dwie drużyny - Odra Wodzisław i GKS Katowice, niż przerwać turniej i wypuścić w miasto 8000 zwaśnionych kibiców... Skutek mógł być katastrofalny!

Powtarzam - do generalnych, gremialnych starć kibiców w Spodku na szczęście nie doszło - udało się nam - to znaczy po równo ochroniarzom i policjantom utrzymać tę zwaśnioną masę w ryzach. Należy podziękować za przytomne zachowanie strażakom - prosta z pozoru rzecz, a groźna, jako narzędzie walki; gaśnice, zostały błyskawicznie pousuwane. Tak samo zachowali się ochroniarze - w szybkim tempie usuwali resztki siedzen i oparć, tak więc ubywało „narzędzi".

— A policja?

Józef Krasucki: Przede wszystkim trzymaliśmy w ryzach, jak najdalej od siebie, antagonistów. Nas, proszę państwa, obowiązuje prawo - że przypomnę w tej sytuacji - artykuł 1, punkt 2, ustęp 1 Ustawy o Policji...

— Czy nie lepiej było wejść klinami między kibiców?

Józef Krasucki: Zdecydowanie nie. Spodek jest jak patelnia. Skutek mógł być tragiczny; mogło to spowodować tumult, panikę, ucieczkę - a w efekcie tratowanie. Prawdopodobnie też niektórzy z kibiców, w panice, skakaliby z balkonów...

— Mogło dojść do masakry?

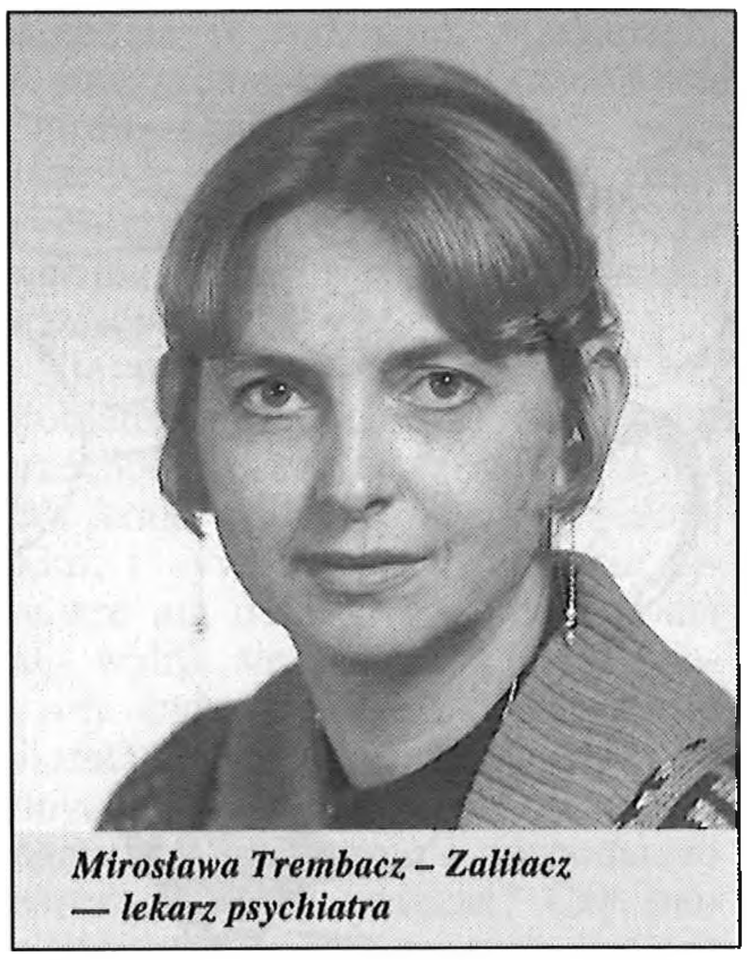
Józef Krasucki: Tak.

— Jak pan, panie komendancie, z perspektywy czasu, ocenia swoich ludzi?

Józef Krasucki: Uważam, że spisali się dobrze. Myślę o katowickim garnizonie jak i oddziałach prewencji, które zostały oddane do naszej dyspozycji. Powtarzam, jeden nieprzemyślany rozkaz mógł doprowadzić do katastrofy. Nie mamy sobie nic do zarzucenia. Oceniając rownież całą masę kibiców, to najliczniejsza grupa, która mogła stanowić ogromne zagrożenie, myślę o chorzowianach, na szczęście zachowała się porządnie. Szkoda, że przy organizacji rozgrywek nie przewidziano nastrojów i ciągnących się od długiego czasu antagonizmów — mam na myśli Ruch, GKS, Górnika Zabrze, Wisłę Kraków, Widzew Łódź... Imprezy w Spodku powinny mieć jednorodną publiczność. Imprez tego typu w tym obiekcie nie powinno się organizować!

— Czy to, co dzieje się w tej chwili jest sportem? Albo, czy to, co obserwujemy od dłuższego czasu, jest sportem — bo to wszystko nie zaczęło się tu i teraz; czy mecze lat siedemdziesiątych — wedle reguły — igrzyska zamiast chleba, bo im bardziej kładła się gospodarka, tym więcej było „sportu", ten przerażający dla mnie ryk stu tysięcy przeważnie pijanych gardeł, mający symbolizować „patriotyzm" a będący parodią Hymnu Narodowego, to wyróżnianie — nasi nade wszystko, inni to wróg, to był sport? Czy to nie był zalążek tego, co dzieje się w tej chwili? A może jest to sytuacja typu „biznes is biznes" — a reszta? Niech się dzieje, co chce?

Michał Wójcik: Sport, to pojęcie dość szerokie — tenis, to sport, gimnastyka artystyczna, to sport, ale hokej i piłka nożna, to też sport. Ująłbym to tak — bijatyki są tam, gdzie są gry zespołowe... Niestety, takie zachowania przenoszą się ostatnio ze stadionów również na parkiety — myślę o siatkówce, koszykówce... Czy to, co stało się



Mirosława Trembacz – Zalitacz — lekarz psychiatra

w Spodku, musiało się stać? Tak. Uważam, że tak. I powiem może rzecz kontrowersyjną — dobrze, że to się stało. Bo zwróciło to uwagę całego społeczeństwa na problem. Wreszcie inaczej podchodzi się do tej sprawy w mediach — myślę o wydarzeniach w Gdyni. Myślę, że jednak dowodzi to wielu rzeczy — słabości policji, i kryzysu — domów, rodziny... Pan wybaczy, panie komendancie, ale moim zdaniem imprezę należało przerwać zaraz, w momencie, gdy rozpoczęły się bójki — zresztą... czy to byli kibice, a więc ludzie, którzy chcieli obejrzeć dobre mecze, czy — w większości, niestety, grupy agresywnych ludzi, którzy przyjechali, żeby się wyżyć? Zresztą, do tego momentu nie było ustawy o organizacji imprez masowych; czy nie dowodzi to kryzysu państwa? Nie było regulacji prawnych... Inna rzecz, to skutki tej ustawy. Myślę, że dobrze, że ustawa nakłada większe obowiązki na organizatorów, a nie — jak dotychczas — kiedy wszystko składano na barki policji. Czy to jest sport? To bardzo negatywne zjawisko narasta lawinowo. Jestem dziennikarzem sportowym i — przyznaję, że o ile jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych na stadionach zdarzały się jakieś wulgaryzmy, to dziś, pomijając niesłychaną agresję, wulgarne słowa są „normalne". Mam za sobą setki imprez sportowych, ale, przyznaję, dzisiaj po prostu nie chcę chodzić na mecze.

Józef Krasucki: Twierdzi pan, że Spodek dowodzi słabości policji. Trudno się z tym zgodzić, po pierwsze dlatego, że nie ma wzorca — kiedy można by przyrównać, czy policja wykazuje się sprawnością w takiej sytuacji, a kiedy zawodzi.



Joanna Borczon — psycholog

A w przypadku Spodka policja nie zawiodła — ani garnizon katowicki, ani oddziały prewencji. Zrobiliśmy wszystko to, co w takiej sytuacji było sensowne i logiczne — powtarzam, wystarczyłby błąd taktyczny i mogło dojść do masakry. Reszta w ręku organów ścigania. Kibice to grupa ludzi bardzo zróżnicowana — od obojętnych, nie stwarzających problemów, i jest grupa — w każdym klubie kibiców w ilości 30 do 50 osób, „nadających ton" — prowodyrów. Uregulowania prawne — też do końca nie są skuteczne — przykład z ostatnich dni — Częstochowa. Rozwiązań od początku do końca skutecznych nie ma. Jest to problem natury społecznej, który powinien być uważnie zbadany, przeanalizowany. Należy wypracować skuteczne metody rugowania takich zjawisk. Interwencje policji na meczach to skutek. Dotknijmy przyczyny. Dobrze, że nareszcie wywołało to protest i refleksję społeczną. Mam nadzieję, ze doprowadzi to do ogólnonarodowej dyskusji. Dobrze, że znaleźliśmy się tu w takim właśnie gronie — podyskutujmy na ten temat...

Michał Wójcik: Zgadzam się z panem; pamiętam mecz — Polska — Anglia na stadionie w Chorzowie... chyba z tym żadna policja by sobie nie poradziła... To wszystko tkwi, niestety, w społeczeństwie — to jest kryzys moralny, gorzej, taka jest mentalność kibica, przepraszam — pseudokibica... To są młodzi ludzie, którzy zjawiają się na meczach tylko po to, żeby się wykrzyczeć, wyszaleć, pokląć...

Mirosława Trembacz-Zalitacz: Panie komendancie, czy ci młodzi ludzie są świadomi konsekwencji prawnych za takie ekscesy?

Józef Krasucki: Dopiero od 1 marca obowiązują nowe przepisy. Kolegia, dzięki nim, mogą orzekać dodatkową karę w postaci zakazu wstępu na imprezy masowe. I na mocy tego przepisu wprowadza się te osoby do policyjnej ewidencji. Jesteśmy, mocą ustawy, zobowiązani dostarczać organizatorom imprez wykazy osób z orzeczeniem takiej kary. Natomiast eliminowanie tych osób przy wejściu na imprezę należy do organizatora, a w praktyce do ochroniarzy. Zresztą, zgodnie z decyzją wojewody w dniu 15 marca obowiązywał już tryb przyspieszony orzekania kar. Co do ustawy — samo życie zweryfikuje jej wartość...

— Po Słupsku, w relacji w tygodniku „Wprost" użyto określenia, które przeniosłabym i na Katowice — „rewolucja gówniarzy". Moim zdaniem trafne. Bo wątpię, czy „kibice" przychodzą na mecz. Moim zdaniem jedynym powodem jest wyładowanie agresji. Bójka.

Joanna Borczon: określenie — „rewolucja gówniarzy" jest dla mnie trochę niezrozumiałe, bo co ono ma właściwie oznaczać? Nie podoba mi się to określenie. Według mnie jest to młodzież, która w specyficzny sposób przekazuje, komunikuje nam coś, co się z nią dzieje. Przeanalizujmy zjawisko — oni są w jakiś sposób zorganizowani. Czegoś chcą. Mają swoją symbolikę — jak choćby szaliki. Jest to grupa, która w jakiś sposób się zorganizowała — to nie jest taki negatywny objaw; oni coś wspólnie robią, wyjeżdżają... jest wiele organizacji, które przecież do takiego modelu zorganizowania dążą. Cel jest w miarę szlachetny — kibicowanie. Tylko czy na prawdę — czy idą kibicować, czy idą na wojnę? Mężczyźni, tak w gruncie rzeczy ciągle chodzą na wojnę — tylko to są bardzo różne wojny... To, że młodzi kibice chodzą na swoją „wojnę", w jakiś sposób kanalizuje, uzewnętrznia, rozładowuje ich energię — natomiast to, co się w efekcie dzieje, jest zjawiskiem społecznie bardzo negatywnym. Czy to jest kibicowaniem? My-

ślę, że mecz jest tylko pretekstem, żeby wyjechać, spotkać się i... głównie walczyć ze sobą. Chodzi tak w gruncie rzeczy o bójkę.

— Kiedy niemowlęciu coś dolega — krzyczy. Kiedy mały człowieczek źle się czuje w rodzinie, demonstruje to agresywnym zachowaniem... Czy to nie jest właśnie takie zjawisko?

Joanna Borczon: Nie sądzę. Mecz to po prostu hasło do bójki. Mecz jest rytuałem, wokół którego toczy się walka. Kiedyś jechałam tramwajem z grupą kibiców. Przyznaję, że byłam przerażona — z ich zachowania wynikało jedno — uporczywie szukali zaczepki. A że byli to kibice dwu różnych drużyn, więc dosłownie prowokowali się do walki. Jeden z nich, jak pamiętam, zaczepiał — „no, co — nie kibicujesz?!" To wystarczyło do wywołania bijatyki.

— Czy nie uważacie państwo, że zamiast dokonywać transferów za bajońskie sumy pana na przykład Iks do klubu Igrek, należałoby przeznaczyć jakieś tam sumy na zajęcie się tą, przecież jednak nieźle zorganizowaną młodzieżą? Są atrybuty — jak choćby owe szaliki, jest struktura organizacyjna, są przywódcy — może należałoby temu nadać jakiś bardziej cywilizowany sens?

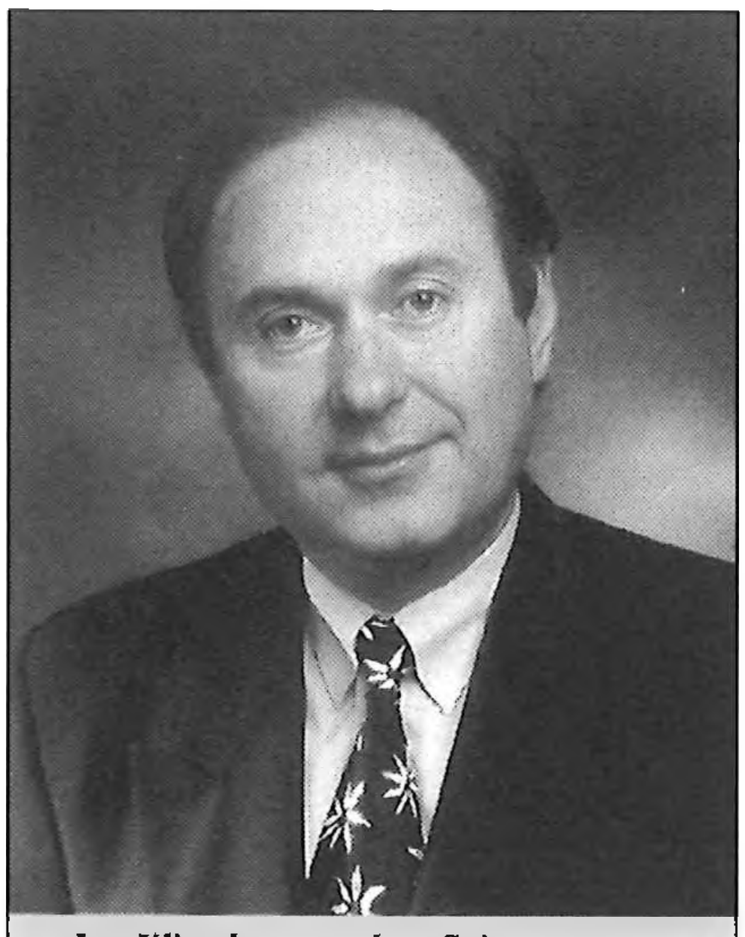
Joanna Borczon: Nie wiem, czy to byłoby takie łatwe — powtarzam — ich łączy w gruncie rzeczy cel nadrzędny — walka.

— Czy takie imprezy powinny być organizowane?

Joanna Borczon: Nie chciałabym, żeby takie imprezy były organizowane w Katowicach. Ja nie chcę się bać! Chcę być w jakiś sposób chroniona. Przyznaję, że ta moja sympatia do policji była różna w różnych czasach, ale, pozwoli pan, panie komendancie, że powiem wprost: cała ta sytuacja budzi moje współczucie dla was. Nie mieliście w społeczeństwie zbyt dobrych konotacji — myślę o przeszłości, a do tego ta cała sytuacja... źle, że społeczeństwo nie pomaga policji. Przerażające jest jedno — że walczący z sobą kibice na widok policji stanowią zwarty krąg — ruszają zmasowaną siłą przeciwko wam. Nie rozumiem, jak można było zorganizować taką imprezę tu, w Katowicach — szczególnie po Słupsku!

— Czy takie zachowania mieszczą się w normie, może to są zachowania świadczące o chorobowych zmianach psychicznych?

Mirosława Trembacz-Zalitacz: Norma psychiczna, to jednak jest rzecz natury bardzo delikatnej — trudna do określenia... Nasuwa się jednak pytanie — dlaczego ta młodzież, która powinna tryskać radością, szczęściem... skąd u niej tyle agresji, chęci do bicia nieznajomego człowieka...? Myślę, że inaczej działa pojedyncza osoba z którą by się rozmawiało, a inaczej te właśnie osoby w grupach. Nie znam statystyk ale myślę, że są to w wiekszości małolaty, o niskim poczuciu własnej wartości. Chyba nawet o postawie lękowej, odrzucone albo w swojej grupie szkolnej, albo w zakładzie pracy, albo w rodzinie. To, co się dzieje od wielu lat w rodzinach jest zatrważające. Zalała nas telewizja; od rana do wieczora — małe dzieci na dzień dobry mają bajeczkę w telewizji, w ten sposób nie przeszkadzają rodzicom... Właściwie to najczęściej współpraca rodziców z placówką oświatową kończy się na... przedszkolu. Później najczęstsza jest reakcja typu — nie przeszkadzaj, dzieciaku... Zamiast rozmowy są pieniądze na dodatkowe zajęcia, na wideo, na imprezę — a poza tym — daj nam spokój... Dziecko, a później młody człowiek — jest pozostawiony sam sobie, trudno więc się dziwić, że w grupie szuka po prostu wsparcia. Taka właśnie grupa kibiców jest



Jan Klimek — poseł na Sejm

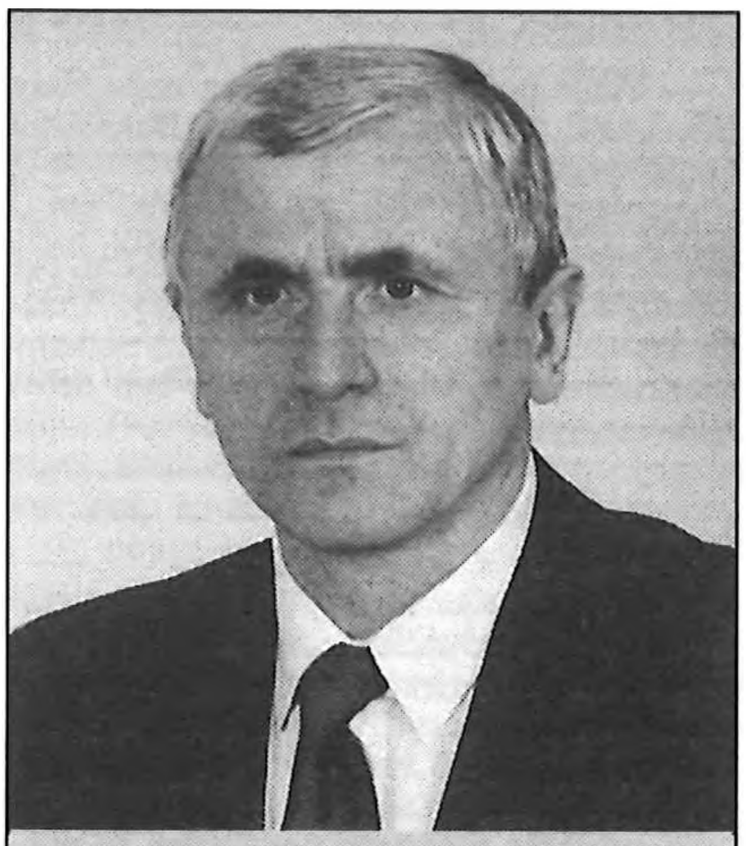
przykładem na to, że młodzież tam właśnie się odnajduje. Że w takiej właśnie grupie młody człowiek ma jakieś znaczenie, jest zauważany, dostosowuje się do rytuałów (szaliki, kurtki itp.). Poziom lęku przed tym, żeby nie znaleźć się poza grupą, jest większy od lęku przed karą — która do tej pory nie była im znana, albo też nie była dokładnie określona..

— A zatem, czy można powiedzieć, że jest to, po wieloletnim porozumiewaniu się w domu jedynie przy pomocy telewizora — krzyk?

Mirosława Trembacz-Zalitacz: Tak. Jest, być może do końca nie uświadomionym zaznaczeniem, że ja istnieję, że czegoś potrzebuję...

— Tak zaczyna się również narkomania...

Mirosława Trembacz-Zalitacz: Jako lekarz psychiatra miewam do czynienia z narkomanami. Często bywa taki scenariusz — od siódmego roku życia szkoła, dodatkowe zajęcia, nierzadko kierowca, a nie rodzice, odwożą dziecko na wszystkie te zajęcia; sportowe, językowe — jest wszystko, tylko nie ma rodziców... nie ma ciepła, nie ma rozmów... W części, może nie całkiem, ale w dużej mierze, ta oschłość, ten brak ciepła, stanowią o przyszłym postępowaniu młodzieży. Nie ma więzi — jest za to film, gdzie dominuje przemoc — trzeba być silnym, trzeba być lepszym, trzeba umieć się bić, zabijać. Niestety, nie można zagrać życia ponownie, tak jak w grze komputerowej — jest tylko jedno życie...



Józef Krasucki — komendant KR Policji w Katowicach

Zatem gra komputerowa w „zabij", „upoluj wroga" zastąpiła autorytety?

Mirosława Zalitacz: No, cóż — nie ma krytycyzmu, nie ma wzorców, brak innych, wychowujących grup które skupiałyby młodzież, więc sami się organizują — na przykład w grupy kibiców. A sam pomysł, żeby iść na mecz i walczyć, jest oczywistą konsekwencją, jest w założeniu...

— Jeżeli mecz jest tylko pretekstem, to czy można założyć scenariusz, że — o ile „wojnę" na meczu, przy pomocy sił policyjnych można „skanalizować", to jeżeli „wojna" przeniesie się poza boisko, stadion, to...

Mirosława Trembacz-Zalitacz: Należałoby zacząć mówić pełnym głosem o reedukacji, poruszyć opinię społeczną...

— Nie opodal mnie mieszka rodzina „z problemami". Największym problemem jest latorośl — chłopak nie wytrzymuje nadopiekuńczości matki, będącej w trakcie rozwodu z mężem. Skutek jest już natury kryminalnej — protest przeciw sytuacji w domu przerodził się w niepohamowaną agresję... Tylko, ba — można skierować chłopca do poprawczaka, albo też, jeżeli nic się nie zmieni, wyląduje on w kryminale. Mam pytanie, które zresztą zadała mi pilotująca sprawę policjantka — czy karać chłopaka, czy leczyć całą rodzinę. I gdzie? Czy ktoś z państwa może mi wskazać placówkę zajmującą się — z urzędu — i w sposób profesjonalny pomocą rodzinie, w której zamiast rozmów jest krzyk i szantaż moralny? Swego czasu zetknęłam się z grupą parlamentarzystów niemieckich, którzy prezentowali wypracowany u nich model polityki rodzinnej państwa. Wypracowanej zresztą na skutek presji społecznej... Jest, od wielu lat, Sejmowa Komisja do spraw Rodziny, jest wiele gremiów szczebla wojewódzkiego, tylko gremia gremiami, a nikt chyba nie zdaje sobie sprawy z wagi problemu, nikt, tak naprawdę nie stara się wypracować modelu pomocy rodzinie. Powtarzam — kompleksowej pomocy.

Jan Klimek: Zgadzam sie z panią. Jest to śmieszne. Trudno to nazwać polityką rodzinną. W ciągu mojego pięciomiesięcznego posłowania tu, u nas, na Śląsku, spotykałem się z policjantami, z nauczycielami i księżmi — ciągle wracał ten sam temat; szalikowcy i bezpieczeństwo w szkole — a więc to wszystko, o czym dzisiaj państwo mówicie; patologia w rodzinie, narkotyki już w szkołach podstawowych... W miejscowościach, w których do niedawna był spokój już te narkotyki są, już nie dziwi, że uczniowie w klasach maturalnych znają doskonale dilerów. Przygotowując się do spotkania na przykład z mysłowickimi policjantami sięgnąłem po materiały jakimi dysponuje pan wicepremier Tomaszewski, i sięgnąłem do prognoz na najbliższe lata; a więc do problemu zorganizowanych mafii, kartelu na wzór kolumbijskiego — na to musimy być przygotowani. Jest w polityce Sejmu problem taki jak bezpieczeństwo, jak polityka prorodzinna. Szczególnie po wydarzeniach w Słupsku. Współczuję policjantom, szczególnie po Słupsku. Państwo wybaczą, że porównam — jeżeli pomyli się lekarz, znajduje to społeczne rozgrzeszenie. W Słupsku policjant popełnił błąd — uderzył nie tam, gdzie wolno, okazało się to tragiczne w skutkach... Społecznych też... To, co dziś oglądamy, to efekt naszej gwałtownej transformacji gospodarczej. Chociaż, nie czarujmy się, dziesięć, czy dwadzieścia lat temu też różnie bywało... Jako młody chłopak chodziłem na mecze z ojcem. Też dochodziło do scysji kibiców, ale na znacznie mniejszą skalę...

Mirosława Trembacz-Zalitacz: No, panie pośle, niezupełnie. W latach siedemdziesiątych mieszkałam w Gdańsku. Pamiętam, że na jednym z meczów „latały" kamienne ławy — zginęły wtedy dwie osoby! — cenzura nie przepuściła wtedy takiej informacji.

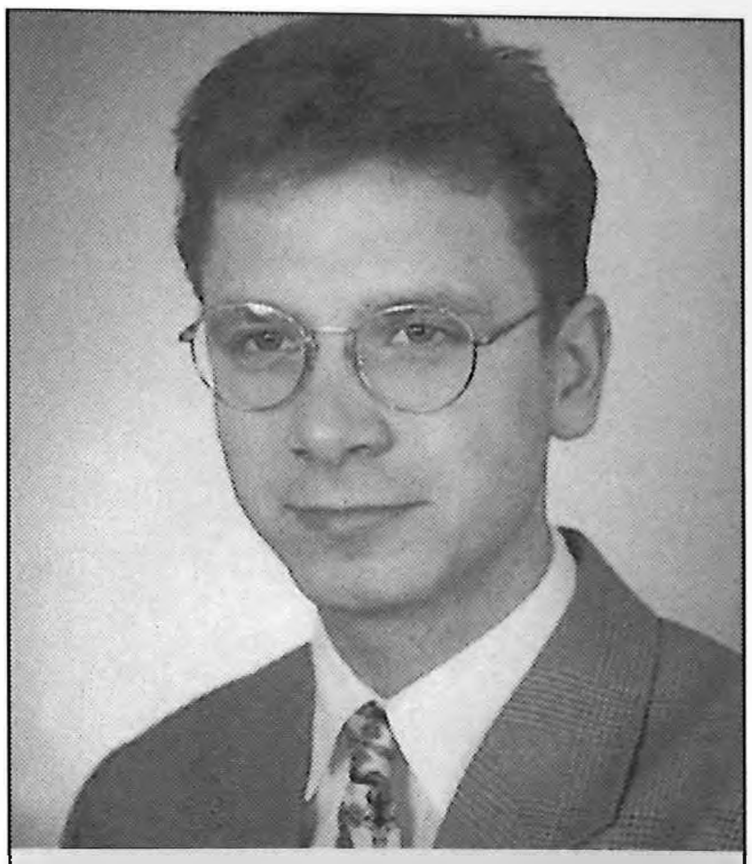
Jan Klimek: Zmieniło się jedno — jest to nie efekt emocji podekscytowanych kibiców, lecz sposób na zabicie wolnego czasu. „Dobra zabawa". Myślę, że prawda leży pośrodku; bo jest to i po części patologia, ale i sposób odreagowania na stresy, na przeciążenia, na problemy, o których się milczy. To będzie narastało — bo nie da się usunąć przyczyny jednym, choćby najdoskonalszym zapisem prawnym, czy nawet najsurowszą karą. Współczuję policji, ale i organizatorom imprez — bo co właściwie mają zrobić — ilu jeszcze zatrudnić ochroniarzy? I jakim kosztem? Kogo będzie na to stać? Kluby sportowe, żeby istnieć, muszą dokonywać transferów — bo zespoły muszą być dobre. Na kiepski mecz nikt nie przyjdzie... To jest kwadratura koła — i będzie to trwało, dopóki nie dojdzie do tragedii... Nie tak dawno, kiedy jechałem pociągiem z Warszawy, na stacji „szalikowiec" dla zabawy, wrzucił do wagonu płonącą, papierową pochodnię. Obserwowałem całą tę scenę — nawet nie było agresji — po prostu „zabawa". Było ich trzech. Zastanawiałem się, czy wrócili do domów jako normalni, spokojni chłopcy?! Co znaczy słowo „normalny"? Czy inaczej ci młodzi ludzie zachowują się w rodzinie, w domu? Czy „normalni" są wtedy, kiedy są w grupie — wulgarni, agresywni? Szkoła — jest moim zdaniem za słaba, żeby poradzić sobie z problemem. Rodzina? Niejednokrotnie nie ma pojęcia o tym, co naprawdę robią dzieci, jak zachowują się poza domem... A może przepisy są zbyt liberalne? Policja? Od dobrych paru lat cierpi na braki kadrowe — jest ich za mało. Uważam, że jeżeli państwo nie wypracuje kompleksowej polityki rodzinnej, to my, od dołu, niewiele możemy zrobić.

— Jak temu więc zaradzić?

Jan Klimek: Nie wiem. Pomysłu na rozwiązanie tego problemu nie ma. Problemem zajmują się bodaj cztery komisje sejmowe — tylko jeżeli rzecz cała będzie się sprowadzać do powoływania „trójek" klasowych i szukania pornosów po kioskach „Ruchu", to dajmy sobie spokój...

Józef Krasucki: Szanowni państwo — na terenie Katowic nie ograniczamy się li tylko do policyjnych akcji na meczach — podejmujemy i innego typu działania — staramy się do tej młodzieży dotrzeć, rozmawiać, ustalać warunki — myślę o kibicach GKS Katowice — przy GKS Katowice jest kapelan, który też ma za sobą kawał dobrej, cichej roboty... Mam nadzieję, że te ziarenka codziennej pracy przyniosą jakieś skutki. Wydarzenia ostatnich dni, szum w mediach, zaowocowały działaniami naszych władz samorządowych; powołuje się takie struktury, ktore zajmowałyby się polityką prorodzinną. Jest jednoznaczne oświadczenie przewodniczącego Rady Miasta i prezydenta Katowic w świetle tego, co zdarzyło się w Słupsku i w Spodku... Mam pretensje do mediów — nierzadko pokazuje się tych negatywnych „bohaterów" w glorii chwały — przykład — Słupsk; kiedy młody człowiek zapowiada „straszną" zemstę — i ogłasza, że jakiegoś policjanta „trzeba ubić"... Spodziewałem się ostrej reakcji — przecież to jest nawoływanie do przestępstwa. Ale takiej reakcji nie było... Mam nadzieję, że artykuł na łamach „Śląska" przyniesie jakiś skutek — być może nie w centralnej Polsce, ale oby pobudził do refleksji u nas...

Mirosława Trembacz-Zalitacz: panie komendancie — jestem pełna podziwu dla wa-



Michał Wójcik — prawnik, dziennikarz sportowy

szych inicjatyw, dla prób rozmów z tą młodzieżą, i w związku z tym mam propozycję; a może by do tych rozmów z przywódcami grup włączyć psychologa? Może do tych działań zobligować organizatorów imprez, może kierownictwa klubów sportowych? Przecież nie chodzi o wieloletnie wyroki — to nic nie da...

— Tak, ale to są działania katowickiej policji. A na mecze przyjeżdża Łódź, Chorzów, Częstochowa...

Józef Krasucki: Jest kwestia zasadnicza — w porównaniu ze wskaźnikami europejskimi jest nas stanowczo za mało... a mimo to profilaktyka jest dość szeroko prowadzona, przed — a nie po zaistnieniu niebezpieczeństwa...

Mirosława Trembacz-Zalitacz: Wie pan, mnie chodzi o to, że policjant to się kojarzy z pałką, a to nie obniża poziomu agresji...

Józef Krasucki: Poszerzmy krąg instytucji ponoszących odpowiedzialność; szkoła nie może dać wzorca osobowego młodemu człowiekowi, choćby dlatego, że jest sfeminizowana, rodzina nie wychowuje, bo jest nierzadko kompletnie nieodpowiedzialna, młody człowiek do pewnego wieku nie ponosi odpowiedzialności... Ton nadaje przywódca grupy — a młody człowiek, pozostawiony sam sobie, usiłuje zaistnieć jako „bohater". We wszystkich zadymach najbardziej aktywna populacja to nastolatkowie...

Jan Klimek: Wiele zorganizowanych grup przestępczych wykorzystuje fakt, że w świetle prawa nastolatkowi niewiele grozi — stąd tak wielki udział młodocianych w przestępstwach, nie zawsze do końca uświadomionych.

— Panie pośle — czas chyba najwyższy skierować znaczniejsze środki finansowe na prewencję...

Jan Klimek: No cóż, podejrzewam, że nie tak szybko środki się znajdą. W efekcie będziemy żyli „od imprezy do imprezy" i ciągle będziemy mieli temat dyżurny; będziemy zaostrzali kary, odbędzie się ileś tam debat telewizyjnych... Wiecie państwo, ksiądz w mojej parafii ujmuje to krótko a treściwie — przed wojną dobrze zarabiał policjant i nauczyciel...

— Na początku naszej rozmowy powtórzyłam za tygodnikiem „Wprost" określenie „rewolucja gówniarzy", a ciągle mam przed oczyma nie tylko Słupsk, ale i Spodek — są to rządy ulicy, w dodatku bardzo smarkatej ulicy, i obawiam się, że taka sytuacja może się powtórzyć w mieście którymkolwiek , dziś albo jutro, i że podyryguje tym mafia...

Jan Klimek: Mimo wszystko mam nadzieję, że do tego nie dojdzie...

— W Słupsku natychmiast znaleźli się sprzedawcy kamieni — hurtem i w detalu. A jeżeli zjawią się handlarze białą śmiercią?

Joanna Borczon: Przyznaję, że chciałabym czuć się w moim mieście bezpiecznie. Kilkanaście lat temu nikt nie myślał o profilaktyce — teraz dysponujemy profesjonalnymi programami leczenia choroby alkoholowej. Nie ma rzeczy nie do przeskoczenia. Trzeba stworzyć kompleksowy program uzdrowienia stadionów.

— Czy państwo wzięliby udział w konstruowaniu takiego programu?

Joanna Borczon: Tak, oczywiście.

Michał Wójcik: Drodzy państwo; jak to jest, że atak na policjanta jest wykroczeniem? Przecież to jest przestępstwo! Generalnie, wszystko to, co dotyczy ostatnich awantur na stadionach, wynika z kryzysu państwa. Kryzys państwa oraz jego pochodne — kryzys społeczeństwa, rodziny, szkoły, a nawet całej struktury ligowej decydują o takim zachowaniu kibica. Pochodną kryzysu państwa jest także kryzys policji. Gdyby było więcej pieniędzy, byłaby lepiej przygotowana do walki z pseudokibicami; być może do takich sytuacji jak w Spodku nie musiałoby dojść. Zapytajmy, jak reagują na wydarzenia w Słupsku i Katowicach ludzie rządzący naszym państwem. Mam nadzieję, że parlamentarzyści szybko uchwalą ustawę dotyczącą bezpieczeństwa na stadionach, lub zmienią ustawę, która jest obecnie. Może to paradoks, ale moim zdaniem ustawa, która dotyczy organizacji imprez masowych, kilka miesięcy po jej wprowadzeniu nie spełnia do aktualnych potrzeb. Na razie przegrywamy z pseudokibicami, ale mam nadzieję, że wydarzenia w Spodku czy Słupsku to tylko bitwa. Musimy zrobić wszystko, żeby wygrać całą wojnę!

Józef Krasucki: Problem jest nie w ostrości prawa, tylko w skuteczności egzekucji kary... Nierychliwość kary jest sporym mankamentem... Poza tym musi wreszcie zaistnieć przyzwolenie społeczne na bardziej zdecydowane działanie policji. Przykładem choćby Nowy Jork — takie właśnie przyzwolenie zaowocowało rychłym skutkiem — przestępczość zmalała o 30%. Naszą ogromną wadą jest funkcjonowanie poglądu z czasów socrealizmu — weźmy się i zróbcie... Zrobić muszą wszyscy — od rodziny począwszy!

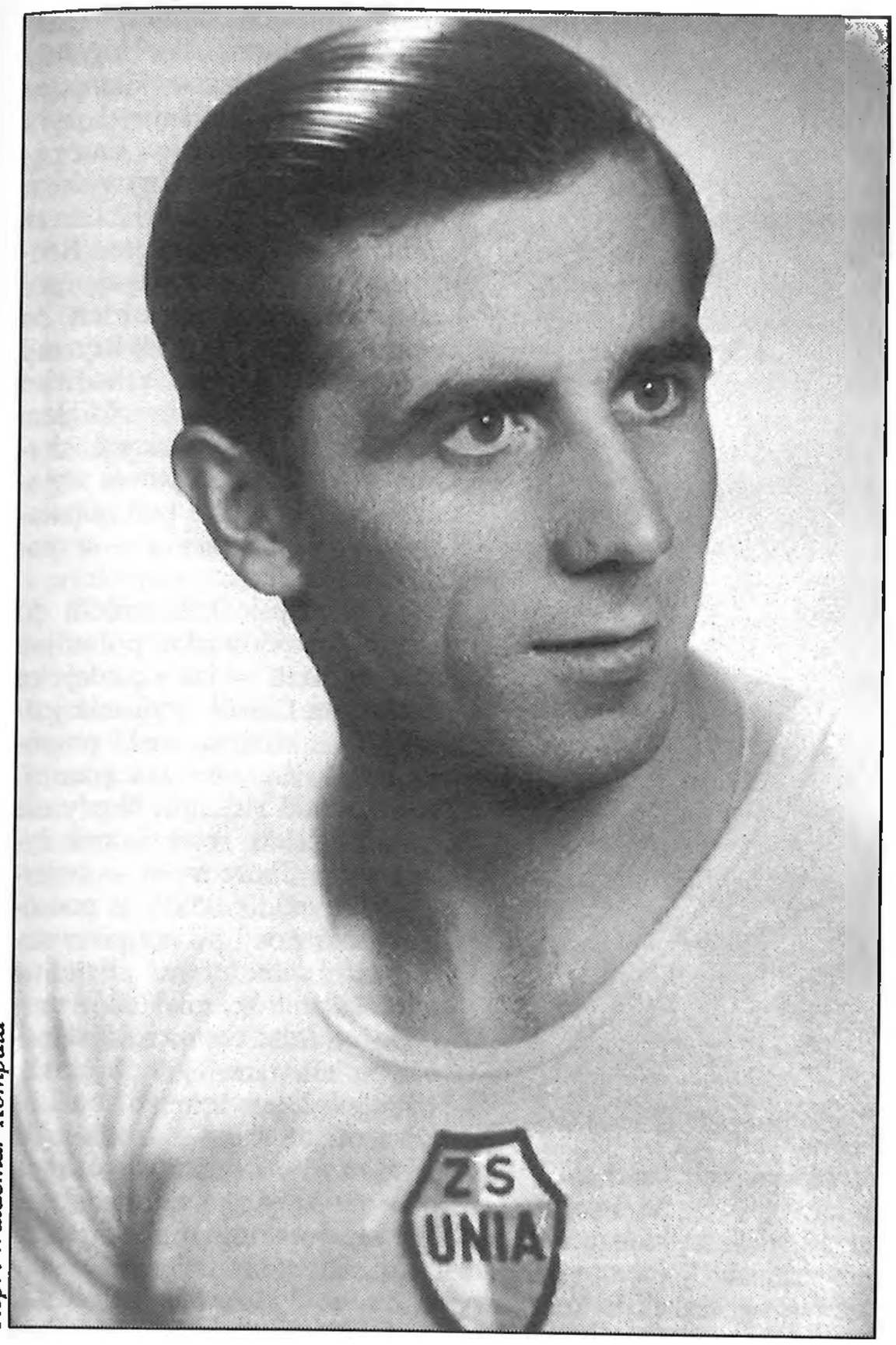
Mirosława Trembacz-Zalitacz: Zdecydowanie brak instytucji, która wsparłaby rodzinę. Która, tak, jak to się dzieje w Stanach Zjednoczonych, miałaby prawo wkroczyć do domów, która miałaby prawo kierować do specjalistycznego ośrodka... u nas ciągle obarcza się tym wszystkim policję i sądy. Tak dalej być nie może!

* * *

Zasiedliśmy do rozmowy 23 marca 1998 roku. Zakończenie, konkluzję, przewidywaną, niestety, przez nas wszystkich, dopisało życie. Za nami kolejna „impreza sportowa" — tym razem na stadionie GKS „Katowice". Tym razem mecz przerwano. Tym razem, jeszcze, na szczęście, nie zdemolowano Katowic czy Chorzowa.

Co dalej? To pytanie stawiam nam wszystkim. I na tym tematu nie zakończyłam.

STANISŁAWA WARMBRAND



Repr. Waldemar Kompała

Na zawsze w Hajdukach

Gdy prezes Ruchu Krystian Rogala wybrał się do Warszawy na pertraktacje z potencjalnym sponsorem — kogo wziął ze sobą? Odpowiedź jest krótka — Gerarda Cieślika. A gdy trzeba było porozmawiać z generałami o tym, jak „załatwić" wojsko napastnikowi „niebieskich" Bizackiemu — kto został w tej sprawie oddelegowany na rozmowy? Też Cieślik.

Młodszym kibicom wyda się to niewiarygodne, bo przecież Pan Gerard zakończył karierę prawie 40 lat temu. Kto go może jeszcze pamiętać? Wystarczy jednak pójść do klubowej kawiarenki Ruchu, posłuchać rozmów starszych osób, by spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy.

Należę do tych, którzy nigdy nie widzieli Cieślika na boisku. Co wiem o jego grze? Prawdę mówiąc — niewiele. Owszem, jako dziecko sporo nasłuchałem się o tych błyskawicznych akcjach przeprowadzanych przez chorzowskiego łącznika wspólnie z kolegą z klubowego ataku, Henrykiem Alszerem. Ktoś tam nawet powiedział, że w jednym meczu po strzale Cieślika złamała się poprzeczka, ale w to jakoś nie mogłem uwierzyć. Widziałem już przecież wcześniej piłkarza na zdjęciu — drobny, niewysoki, trochę przygarbiony, prawdę mówiąc sprawiał wrażenie suchotnika. Po latach dowiedziałem się, że jego sylwetka bywała powodem żartów — kolega z boiska „Messu" Gracz zwykł ponoć mawiać: — Jak nie masz nawet 60 kilogramów to najlepiej idź do kostnicy na zebranie...

Na boisku Cieślik zmieniał się jednak nie do poznania. Widziałem piłkarza w akcji tylko na kilku starych kronikach filmowych. Czym mógł zaimponować? Przede wszystkim sprytem pod bramką, błyskawicznym startem do piłki. No i skutecznością. Chyba jeszcze nikt nie policzył ile bramek strzelił Pan Gerard. Trafiał w klubie, w reprezentacji Śląska i Polski, w meczach oficjalnych i towarzyskich, pucharowych i ligowych. Miał zaledwie 19 lat, gdy z drużyną Ruchu pojechał na Dolny Śląsk, by rozegrać tam trzy mecze towarzyskie. Niebiescy wszystkie z nich wygrali, strzelili 17 bramek, z czego 14 sam Cieślik. Nikt nie miał już wówczas wątpliwości, że pojawił się talent, jaki zdarza się raz na kilkadziesiąt lat. A co o jego grze sądzili w tamtych latach fachowcy? Słynny piłkarz, potem działacz i dziennikarz Stanisław Mielech tak charakteryzował chorzowskiego łącznika: „Niespotykana technika gry Cieślika ma źródło w doskonałym opanowaniu techniki strzału. Wymach nogi ma krótki, prawie niewidoczny. Bezbłędnie trafia w piłkę lecącą na różnych wysokościach. Posiada cechy rasowego napastnika — im bliżej bramki przeciwnika tym gra energiczniej, a w przeboju osiąga szybkość najlepszego sprintera".

Narodziny Ruchu

Dlaczego Cieślik praktycznie całą karierę związał z chorzowskim Ruchem? No, chyba nie mogło być inaczej, skoro urodził się niecałe 200 metrów od boiska „niebieskich" na Kalinie... Jego ojciec Antoni pochodził z podgliwickich Łabęd, gdzie dziś budowana jest fabryka Opla. W powstaniach walczył z bronią w ręku o Polskę, więc po podziale Śląska nie mógł zostać po niemieckiej stronie granicy. Zawędrował do Hajduk, gminy należącej wówczas do powiatu świętochłowickiego. Hajduki rozwijały się wokół huty „Batory", były osadą typowo robotniczą. No i w odróżnieniu od np. Królewskiej Huty — taką, w której zdecydowanie przeważał tzw. polski żywioł. To właśnie polscy patrioci z Hajduk założyli w okresie plebiscytowym Ruch, klub który stał się na Śląsku symbolem nie tylko doskonałych wyników sportowych, ale również polskości. I plebejskości. Już w latach dwudziestych w relacjach z meczów pojawiają się sygnały, że drużyna grywa niezwykle ostro, a niektórzy zawodnicy „wyrażają się obraźliwie o arbitrze w obecności osób trzecich".

Ale wyniki Ruch miał coraz lepsze, w latach trzydziestych była to już drużyna w kraju bezkonkurencyjna. Każdy młody chłopak na Śląsku marzył wtedy, by grać w szeregach „niebieskich". Cieślik nie był wyjątkiem. — Podziwiałem tych piłkarzy, nie wiedząc, że kiedyś będę grał z nimi w jednej drużynie. Kiedy zrealizowałem swe dziecięce marzenia o grze w Ruchu, wiedziałem, że nigdy go nie opuszczę.

Do klubu swych marzeń trafił piłkarz jeszcze w 1939 roku. — W 1939 r. kierownik drużyny trampkarzy pan Gorol powiedział mi, że jeśli strzelę gola z rzutu karnego, zostanę przyjęty do drużyny. Poszczęściło mi się i ostatnie miesiące przed wojną trenowałem już z zespołem trampkarzy — opowiada zawodnik, któremu już wtedy, mimo młodego wieku, można było pozazdrościć doskonałej techniki piłkarskiej. — Będąc dzieckiem regularnie grałem w piłkę na boisku Ruchu, które było otwarte dla wszystkich. Zrobiłem sobie piłkę ze szmat — z damskich pończoch i skarpet. Była bardzo dobra, odbijała się nawet na wysokość 1,5 metra, ale, oczywiście, marzyłem o piłce skórzanej. Kiedy podawałem piłki, już takie skórzane, zza bramki w czasie treningu pierwszej drużyny, starałem się trafić w poprzeczkę, aby móc jeszcze raz kopnąć odbitą piłkę. Nie myślałem nawet o tym, że w ten sposób ćwiczę technikę.

W latach wojny

Wrzesień 1939 roku, tragiczny dla całego polskiego narodu, dla Cieślika również był czasem tragedii. W bombardowaniu zginął jego ojciec. Matka zdecydowała, żeby już nie uciekać przed frontem, lecz wrócić do Hajduk. I tak się stało. Młody Gerard musiał pójść do pracy, żeby pomóc w utrzymaniu rodziny. — Wstawałem o 4 rano i pracowałem w piekarni, po pracy szedłem do szkoły, a dopiero po południu mogłem pograć w piłkę — tak opowiada o tym trudnym okresie.

— Pamiętam, że wszyscy byli tak załamani tą okupacją, wojną, że gra w piłkę pozwalała na chwilę o tym wszystkim zapomnieć — opowiadał mi piłkarz. Został on zawodnikiem chorzowskiego Bergknappen. Był to klub stworzony dzięki zabiegom Erwina Mikischa, wielkiego entuzjasty futbolu. Skąd w tamtych czasach znajdował dla dzieci słodycze, czy jakieś inne drobne upominki — nie badzo wiadomo. Faktem jest, że w oparciu o utalentowaną młodzież stworzył silny zespół, a jego wychowankowie odgrywali istotną rolę w powojennym futbolu na Śląsku. Mikisch działał zresztą również w piłce po wojnie, dopiero w latach stalinizmu został odsunięty „na boczny tor". Znalazłem w jakiejś gazecie in-

formację, że pod koniec lat 50. Mikisch wyjechał z Polski do NRD — jego krewna przekazała mu prowadzony tam wcześniej sklep.

Wróćmy jednak do lat wojny, do klubu Beregknappen. Największą indywidualnością był tam oczywiście Henryk Alszer. Młodzi chłopcy, trampkarze, określani wtedy mianem „pimpfów", byli w „siódmym niebie", gdy mogli Alszerowi ponosić torbę ze sprzętem. Cieślik nie należał tu do wyjątków, nie wiedział jednak wtedy pewnie, że razem z Alszerem zagrają w przyszłości w reprezentacji Polski.

Jeszcze w latach wojny Cieślik otrzymał pracę w hucie, stał się też wkrótce zawodnikiem klubu Bismarckhuter SV, niemieckiej drużyny grającej na stadionie Ruchu. Był rok 1942 — taką datę rozpoczęcia kariery przez piłkarza podaje zresztą w swej książce z lat 50. wspomniany już Stanisław Mielech. Pewien starszy kibic „niebieskich" opowiadał mi kiedyś, że Cieślik grał w latach wojny pod nazwiskiem „Kallert". Spytałem o to pana Gerarda na początku lat 90., ale wyraźnie nie chciał na ten temat dyskutować. Powiedział w końcu, że to był taki pseudonim. Nie nalegałem, żeby sprawę wyjaśnić, zwłaszcza że w „Kattowitzer Zeitung" z 1944 roku raz po raz pojawia się w składzie nie żaden Kallert, lecz Cieślik właśnie. Zresztą już wtedy zagrał w reprezentacji Śląska, strzelał bramki dla swego BSV.

O klubie tym opowiadał jednak potem rzadko. Kiedyś zwierzył się: — Prezes klubu był Ślązakiem z Bytomia. Dobrze mówił po polsku. Wszyscy nasi piłkarze przyjeżdżający na wojskowe urlopy do Chorzowa też mówili po polsku i wcale się z tym nie kryli. Na boisku naprawdę mogłem zapomnieć o nieszczęściach, jakie spotykały mnie i ojczyznę — twierdził.

Ostatnie mecze niemieckich rozgrywek piłkarskich na Śląsku rozegrano bodaj 20 stycznia 1945 roku. Potem przeszedł front, trzeba było kilku tygodni by mogły się odradzać polskie kluby. Pierwszym reaktywowanym był Naprzód Janów, a z upływem dni było ich coraz więcej. Ruch reaktywowano w marcu 1945, młodziutki Cieślik znalazł się wkrótce w kadrze „niebieskich". W I zespole zadebiutował we wrześniu 1945 roku w pojedynku przeciwko bielszowickiej Zgodzie. Zabawne, że komentator apelował wtedy, by młodzi piłkarze, tacy jak Ratka, Cieślik, Wyrobek czy Wolny nie grali na razie ze starszymi kolegami „w imię dobra tych zawodników i dobra sportu". Obawy pana redaktora były mocno przesadzone. Wszak już wkrótce Cieślik był najlepszym śląskim napastnikiem, niespełna dwa lata później debiutował w reprezentacji!



Repr. Waldemar Kompała

A to, Gerard Cieślik (w środku) w latach pięćdziesiątych

W barwach Śląska

Ważnym momentem w karierze pana Gerarda był mecz w barwach Śląska przeciwko tzw. Armii Renu w 1946 roku. Przeciwnikiem Polaków byli angielscy profesjonaliści, stacjonujący akurat jako żołnierze na ternie Niemiec. Jakież było zdziwienie kibiców i fachowców, gdy ta świetna drużyna przegrała! Co wydało się jeszcze bardziej sensacyjne — najlepszy w naszym zespole był 19-letni Cieślik. Komentator pisał o nim, że „wykazał formę i klasę jakiej nie oglądaliśmy po wojnie u żadnego jeszcze piłkarza w Polsce. Klasa tego piłkarza stawia go już dziś na pierwszym miejscu pośród napastników polskich".

Kolejnym przełomowym wydarzeniem w karierze Cieślika był wyjazd z reprezentacją Śląska (ale grali w niej również piłkarze z innych okręgów) do Szkocji na kilka towarzyskich meczów. Katowicki „Sport" wyśmiewał się z tego wyjazdu, prorokując że „Szkoci zrobią naszą drużynę w kratkę". Tymczasem rezultaty przeszły oczekiwania — „Silesian Team" bez problemu radził sobie z profesjonalnymi drużynami szkockimi, do legendy przeszedł występ na Hampden Park w Glasgow, największym wówczas stadionie Europy. Polacy oczarowali brytyjskich fachowców, a Cieślik wraz z Graczem, Parpanem, Bromem dostali propozycję gry w profesjonalnych klubach. Za pozostanie w Wielkiej Brytanii oferowano naszym piłkarzom po 10 tys. funtów. — Miałem przez rok grać w Szkocji, chyba w Aberdeen, a potem wyjechać do USA, by tam popularyzować piłkę nożną — wspominał.

Wszyscy jednak wrócili do kraju. Środowiska polonijne miały im to — jak się zdaje za złe. Sam Cieślik wyjaśnia jednak: — Miałem wiele propozycji — z kraju i zza granicy, konkretnie z Belgii. Nigdy nie wyobrażałem sobie jednak życia poza Chorzowem — twierdził zawodnik. Podczas podróży do Szkocji po raz pierwszy leciał samolotem. Fatalnie zniósł podróż, miał takie problemy żołądkowe, że z samolotu musiano go wynosić. Również powrotnego lotu nie wspomina miło — trzeba było lądować w Berlinie dla uzupełnienia paliwa. A tam rozciągała się potworna mgła, więc lądowanie przy czterech rozpalonych ogniskach było niezwykle trudne. Udało się jednak. Co ciekawe — piłkarz, który odrzucił ofertę finansową Szkotów miał w kraju finansowe kłopoty.

— Byłem tokarzem w hucie „Batory". Każde zwolnienie na trening czy mecz musiałem odrobić. Dlatego nawet w niedziele pracowałem do godz. 12. W latach 40. dostawaliśmy za grę tylko jedzenie: czasem 20 jaj, czasem kilogram cukru, innym razem tyle samo masła. Za pierwszy tytuł mistrza Polski otrzymałem ładny biały sweter i buty narciarskie. Po zwycięstwie nad reprezentacją Czechosłowacji do naszej szatni przyszedł Józef Cyrankiewicz i powiedział, że w nagrodę zabierze nas do sklepu rządowego, gdzie każdy będzie mógł sobie wybrać materiał na ubranie. Żadnych pieniędzy nam nie dawano. Nic więc dziwnego, że dla zdobycia pieniędzy rozgrywaliśmy dużo spotkań towarzyskich, na które przychodziło sporo ludzi. Wielkim zainteresowaniem cieszyły się nasze występy na Dolnym Śląsku. Pamiętam, że w Świdnicy dostaliśmy od miejscowych cukierników puchar z cukru. Ruchu nie było jeszcze wówczas stać na zapewnienie nam transportu. Pamiętam, że wracaliśmy ze Świdnicy do Chorzowa pociągiem, jadąc na dachu wagonu, gdyż do środka pociągu nie zmieściliśmy się. Potem na mecze jeździło się ciężarówką — dodaje piłkarz.

Trenerzy podziwiali w tamtych latach przede wszystkim tych piłkarzy, których pamiętali sprzed wojny. Ale nad przydatnością Cieślika do drużyny narodowej nikt nie dyskutował. Nasza reprezentacja nie odnosiła jednak w tamtych latach większych sukcesów. Dlaczego? Tłumaczy Cieślik: — W czasie okupacji wielu reprezentantów Polski nie mogło nawet trenować. W pierwszym powojennym meczu, przegranym przez nas 1:3 z Norwegią w Oslo, zagrał m.in. Kazimierczak, który był więziony w obozie koncentracyjnym. Poza tym nie było właściwych warunków do przygotowań. Podczas przedmeczowego zgrupowania w Warszawie spaliśmy na pryczach rozstawionych w sali gimnastycznej w budynku pływalni. Nie było hoteli, odnowy biologicznej, boisk treningowych. Na mecz z Jugosławią, który przegraliśmy 1:7, jechaliśmy kilkanaście godzin pociągiem, do Belgradu dotarliśmy o północy w przeddzień spotkania.

Wielkie sukcesy

W 1952 roku biało-czerwoni zagrali na olimpiadzie w Helsinkach. Cieślik był pierwszoplanową postacią tego zespołu.

Przed igrzyskami nasi piłkarze wyjechali na towarzyskie mecze do ZSRR. Pierwszy mecz z drużyną narodową rywali, występującą jako Moskwa, niespodziewanie wygrali 1:0, w rewanżu — minimalna porażka 1:2. W Moskwie w żadnych wiadomościach nie podano wyniku pierwszego spotkania — a i w Polsce kibice poznali go zdaje się z opóźnieniem. Nikt nie miał wątpliwości, że nasi piłkarze są „w sztosie". Niestety, forma przyszła za wcześnie. Na olimpiadzie biało-czerwoni rozegrali tylko dwa mecze: z trudem pokonali słabych francuskich amatorów, a potem przegrali z Danią i odpadli. Wszyscy uczestnicy tamtych meczów jeszcze po latach z rozrzewnieniem wspominali pobyt w Finlandii.

Mówi Cieślik: — W wiosce olimpijskiej siedziby ekip państw socjalistycznych i kapitalistycznych były oddzielone, ale rozmawialiśmy ze wszystkimi. Przed wyjazdem do Helsinek mówiono nam, że coca-cola zatruwa organizm i nie wolno jej pić. Nie posłuchaliśmy tych zakazów. Początkowo mieszkaliśmy w hotelu, ale potem okazało się, że jest on dla naszej ekipy zbyt drogi i przekwaterowano nas do szkoły. Po Olimpiadzie miałem kłopoty. W latach 50., kiedy wyjeżdżało się na sportową imprezę, trzeba było postarać się o bezpłatny urlop w pracy, a pensję za ten okres wypłacało Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Sportowych. Kiedy wróciłem do domu, okazało się, że żadnych pieniędzy z Warszawy nie przysłano i żona nie ma za co kupić chleba. Musiałem wtedy sprzedać zegarek, który sobie na pamiątkę kupiłem w Helsinkach. Poza tym, wraz z Szymkowiakiem, Szuszczykiem i Cebulą, chcieliśmy zatrzymać sobie nasze olimpijskie ubrania. Władze sportowe nie zgodziły się na to, nie mogliśmy nawet tych ubrań odkupić. Wypożyczano nam je tylko na spotkanie olimpijczyków z młodzieżą.

Swoją drogą te ubrania musiały być jednak cenną pamiątką, na udowodnienie tego można przytoczyć pewną zabawną historyjkę. Otóż zwrotu ubrań zażądał od sportowców towarzyszący ekipie ubek Apolinary Mielecki. Węgierski trener polskiej ekipy Tivadar Kiraly poprosił wtedy o godzinę wolnego, w tym czasie przeniósł się wraz z garniturem do siedziby ekipy węgierskiej i z rodakami powrócił do ojczyzny. W Polsce już się nie pojawił. Natomiast o olimpijskiej wiosce Otaniemi warto wspomnieć z jeszcze jednego powodu. Najbardziej charakterystyczną postacią był tam w czasie olimpijskich zmagań mocno łysiejący biegacz czeski Emil Zatopek. Ponoć już wczesnym rankiem wybiegał do lasu, by tam potrenować. Nie przestawał zresztą biegać nawet w stołówce — i nie przeszkadzało mu nawet, że w rękach trzyma talerze.

Dwie sławne bramki

Lata mijały, a najważniejszy mecz w karierze Cieślika miał się dopiero odbyć. Chodzi oczywiście o pojedynek z ZSRR na Stadionie Śląskim w 1957 roku. Malkontenci twierdzili, że Cieślik najlepsze lata ma już za sobą, że boi się ostrej walki. Wszystko zmieniło się na kilka dni przed meczem.

Prasa pisała: „Wracając do czwartkowego treningu na boisku Słowiana w pamięci najbardziej utkwiła nam sylwetka łącznika Ruchu, Cieślika. Uwijał się on po boisku ze zwinnością i szybkością dawno u niego nie oglądaną. Jesteśmy przekonani, że Cieślik będzie święcić powrót do reprezentacji. I ten come back Gerarda będzie rzeczywiście udany". Dziennikarz „wykrakał". Cieślik stał się bohaterem zwycięskiego pojedynku, strzelił obie bramki. Pierwsza padła w 43 minucie. Cieślik wybiegł na wolną pozycję i w tej samej chwili Henryk Kempny przerzucił do niego piłkę nad radzieckimi obrońcami. Płaski strzał z 8 metrów i najlepszy bramkarz świata Lew Jaszyn musiał wyjmować piłkę z siatki. Druga bramka padła w 50 minucie po podaniu Lucjana Brychczego. Oddajmy głos opisującemu to dziennikarzowi: „Piłka przechodzi nad Maslenkinem, a za nim jest już tylko Cieślik. Wspaniały zamach głową i piłka z odległości około 10 metrów wpada do siatki. Jaszyn jest bezradny."

Warto dodać, że szczęśliwy strzelec miał w tamtym pojedynku jeszcze dwie okazje bramkowe, ale ich nie wykorzystał. I jeszcze jedna ciekawostka — Cieślik pokonał już Jaszyna trzy lata wcześniej — podczas meczu Warszawy z Moskwą (pod nazwą miast skrywały się drużyny narodowe); drugą bramkę dla Polski zdobył wówczas Brychczy, poza tym Jaszyn skapitulował przed strzałem jeszcze jednego polskiego napastnika, Ernesta Pola. Działo się to już jednak w latach 60. Wróćmy jednak do roku 1957, do tamtych wydarzeń, do niezwykłego meczu, będącego swoistym symbolem dla całej generacji Polaków.

Cieślik: — Na trzy dni przed spotkaniem kadra grała sparing z reprezentacją Śląska, w której wystąpiłem. Wieczorem w domu usłyszałem przez radio, że zostałem włączony do drużyny. Wkrótce asystent trenera Cebula przyjechał po mnie samochodem. Odpowiedziałem, że rano muszę iść do pracy i zgłoszę się na zgrupowanie po południu. Jeśli chodzi o sam mecz to cała nasza drużyna grała znakomicie. Osobiście uważam też, że Rosjanie przegrali już przed pierwszym gwidkiem sędziego. Zaproponowałem im, żeby wyszli na rozgrzewkę wraz z nami. Odpowiedzieli, że mają jeszcze czas. Kiedy pojawili się na boisku, przywitał ich ciągły gwizd stu tysięcy ludzi zgromadzonych na Stadionie Śląskim. Działo się to w 1957 r., kiedy nastroje antyradzieckie były bardzo silne. Początkowo planowano zresztą mecz rozegrać w Warszawie, ale — w obawie przed incydentami — przeniesiono spotkanie do Chorzowa. Po spotkaniu zaproszono nas na kawę do KW PZPR w Katowicach. W czasie przyjęcia zapytano, kto obiecał nam pieniędze za pokonanie ZSRR. Odpowiedzieliśmy, że trener Reyman i zjedliśmy ciasteczka. Wkrótce okazało się, że drużyna narodowa ma nowego selekcjonera...

Okruchy wspomnień, wrażeń czy emocji wywołanych tym niepowtarzalnym widowiskiem piłkarskim przez długie lata powracały na łamy gazet. W relacjach bohaterów zawsze znaleźć można coś nowego, coś o czym dotąd nikt nie słyszał. Kto wiedział np., że nasz bramkarz Edward Szymkowiak, zresztą jeden z wielkich bohaterów tego pojedynku, płakał po jego zakończeniu jak dziecko? Dlaczego? Nie, tu nie chodziło o zwykłe punkty. Rzecz zupełnie w czymś innym. Przecież ileś tam lat wcześniej radzieccy żołnierze na jego oczach zabili mu ojca...

* * *

Dwa lata po tamtym meczu Cieślik skończył karierę. Czy nie za wcześnie? — Na ławce rezerwowych w moim klubie czekali już na miejsce w drużynie moi wychowankowie — Lerch, Nieroba, Polok. Dziennikarze sugerowali mi, że czas ustąpić młodszym. Pożegnalny mecz rozegrałem z Wisłą Kraków — opowiada Cieślik, ale osobiście nie mogę się oprzeć wrażeniu, że do dziś żałuje tamtej decyzji. Przecież miał zaledwie 32 lata, nie narzekał na kontuzje. No i kochał piłkę, życia poza nią sobie nie wyobrażał. Może dlatego jeszcze dziś Ruch jest dla niego drugim domem?

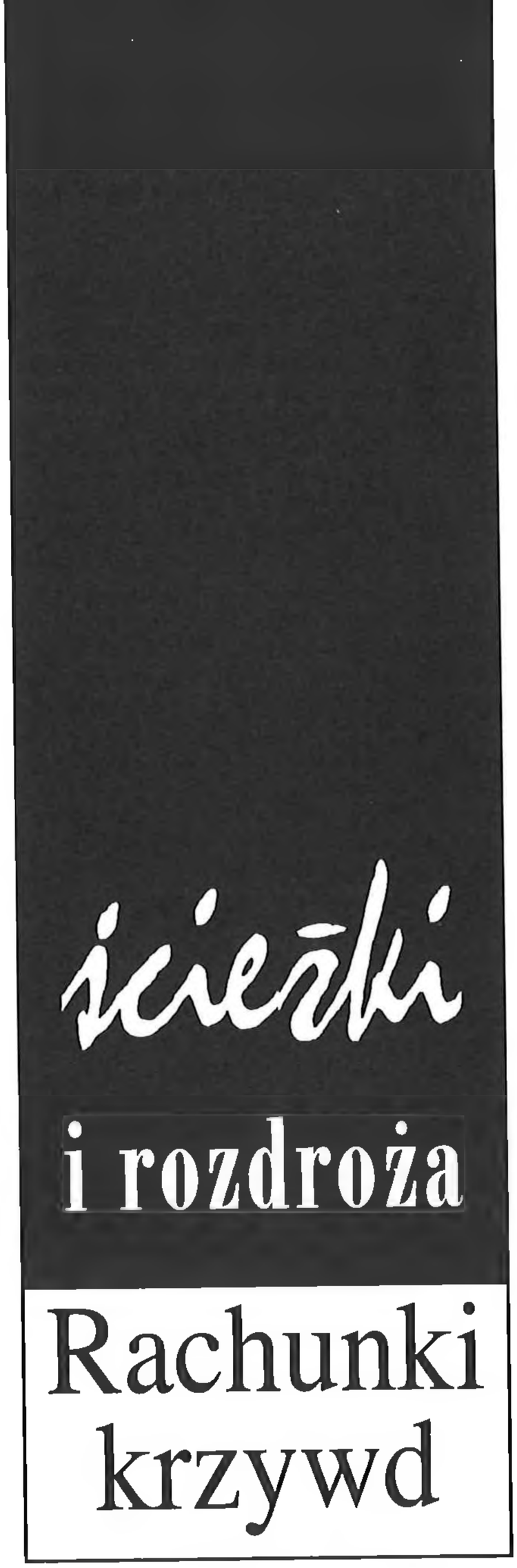
Kariery trenerskiej nie zrobił, ale jako piłkarz pozostaje symbolem. To naprawdę „żywy pomnik" Ruchu. A jeśli jakiś młody czytelnik mi nie uwierzył, to niech jeszcze raz obejrzy zabawną komedię „Piłkarski poker". I niech przypomni sobie sylwetkę „sędziego Laguny". Przecież Cieślik to częściowo pierwowzór tej filmowej postaci...

JOACHIM WALOSZEK
„Gazeta Wyborcza"



Repr. Waldemar Kompała

Jeszcze jeden trening na Stadionie Śląskim



„Głos Śląsko-Dąbrowski", podziemne pismo solidarnościowe, przedrukowało ten tekst w roku 1984. Wcześniej i później podobnie postąpiły inne gazety i wydawnictwa działające poza cenzurą. „Dwie ojczyzny - dwa patriotyzmy" Jana Józefa Lipskiego to był jeden z najważniejszych artykułów publicystycznych tamtych czasów.

Nie żyjący już dzisiaj czołowy działacz KOR-u, jako jeden z pierwszych podjął problem megalomanii narodowej Polaków i na jej tle na nowo nazwał stosunki polsko-niemieckie. Udowodnił, że nasze narody nie zawsze były wrogo do siebie nastawione, choć propaganda powojenna chciała udowodnić tezę przeciwną. Powiedzmy szczerze: robiła to zręcznie i skutecznie, wykorzystując bolesną pamięć Polaków o czasach okupacji. Lipski pisał: „Historia winna być wrotami w przyszłość. Co chcemy wybrać jako symbole dla przyszłości: czy Grunwald, czy Legnicę, gdzie Polacy i Niemcy stanęli razem na drodze tumanom (dziś powiedzielibyśmy: dywizjom konnym) Batuchana? Grunwald pozostanie oczywiście na zawsze w pamięci narodowej, ale czy ma to być tylko Grunwald? Niszczenie polskiej kultury przez hitlerowców podczas drugiej wojny światowej, czy jej wzbogacanie przez Wita Stwosza i setki mniej znanych znakomitych artystów ma dominować w naszej świadomości?"

Tak postawione pytania, nie straciły swej aktualności. Nadal wielu z nas nie chce przyjąć, że nasza zachodnia granica państwowa długo pozostawała granicą pokoju, a nie wojen, ognia i krwi. To raczej na wschodzie i ze wschodem Rzeczpospolita nieustannie musiała zbrojnie się zmagać. Cóż, na naszą świadomość pada cień hitleryzmu. Cień ów jest tak potężny, że nawet generacjom urodzonym już po roku 1945 zamazuje całościowy obraz naszej historii, głównie właśnie tej jej polsko-niemieckiej części.

Jakże trudno nam na przykład uznać, że wypędzenie Niemców ze Śląska, Prus Wschodnich czy Warmii i Mazur było wielkim dramatem dla tego narodu. Nie można dziś tego inaczej nazwać, choć to oczywiście Niemcy ponoszą pełną odpowiedzialność za wybuch II wojny światowej i jej okropności. To oni — pośrednio — zgotowali sobie taki los, choć trudno wartościować cierpienia. Śmierć jednostki, człowieka po prostu, jest zawsze taka sama.

Myśląc o dramacie wypędzeń i w tym przypadku warto zajrzeć do spuścizny publicystycznej Jana Józefa Lipskiego, który w innym szkicu, wydrukowanym w połowie lat 80. w londyńskim „Pulsie", pisał: „Mało kto w Polsce żyje świadomością, że ludzi tych (tj. Niemców, którzy musieli opuścić swe rodzinne strony — przyp. K. K.) spotkała oczywista krzywda, jaką jest zawsze utrata domu rodzinnego, niezależnie od tego, jaki sami brali udział w eksterminacji Żydów, Polaków i innych. Ale byli też i tacy, którzy niczym nie zawinili (w spowiedzi powszechnej Kościoła katolickiego, będącej częścią liturgii mszy, mówi się o winie przez zaniechanie, a więc o bierności wobec zła). Ci są najbardziej godni współczucia. Padli ofiarą czegoś w rodzaju historycznej zbiorowej odpowiedzialności, a więc zasady, której nie sposób akceptować bez zastrzeżeń".

Masowe wysiedlenia z przyznanych Polsce Ziem Zachodnich i Północnych objęły ok. 7 milionów Niemców. Wcześniej, przed sierpniem 1945 roku, uciekło z różnych obszarów Europy Środkowej ponad 2 miliony osób. Te cyfry dają wyobrażenie o skali zjawiska. Przecież nawet niektóre narody europejskie są mniejsze... Podczas wypędzeń, deportacji i ucieczek zginęło co najmniej 2 miliony Niemców.

W Republice Federalnej przez długie dziesięciolecia wiele środowisk bezwzględnie dopominało się od Polski i Polaków politycznych i moralnych satysfakcji. Problem wypędzeń, rzecz jasna, niejednokrotnie kojarzono z rewizją granic. Ziemie przyznane naszemu państwu postanowieniami poczdamskimi, uznawano za znajdujące się pod „tymczasową administracją polską". Jak wiadomo, późniejsze traktaty polsko-niemieckie rozstrzygnęły już te kwestie i powodów do lęku, że dojdzie do rewizji granic i odwrócenia koła historii, już nie ma. Pozostaje jednak kwestia oceny historycznej i moralnej zjawiska wypędzeń Niemców.

W ostatnich latach — po obu stronach Odry — górę bierze przekonanie, że trzeba rzecz widzieć inaczej niż w dobie „zimnej wojny". Problemem zajęli się na nowo nie tylko politycy, którzy chętnie wykorzystywali go instrumentalnie, ale również ci historycy i publicyści, których stać na obiektywizm. A wszystko to po to, by stworzyć lepszą podstawę do wspólnego bytowania we wspólnej Europie.

Nie ulega wątpliwości, że przymusowe „wędrówki ludów" nie dotyczyły tylko Niemców. Wypędzeni z dawnych Kresów Rzeczypospolitej zostali przecież również Polacy. To nieszczęście dotknęło także wiele innych narodów, choć zapewne nie w takiej skali. To zabrzmi strasznie: ale chyba w tamtych warunkach politycznych nie było innych możliwości. Trudno było sobie wyobrazić, że Polska Ludowa, oddana przez aliantów Moskwie, zachowa swoje wschodnie obszary i uzyska nowe, poniemieckie, daleko wysunięte na zachód. Wymiana ludności musiała się więc dokonać. Czy aż w tak brutalny sposób? Pytanie bardzo trudne, prowokujące do uproszczonych sądów. Cóż z tego, że wolno nam mówić, iż Czechosłowacja jeszcze bezwzględniej potraktowała niemiecką ludność cywilną, zwłaszcza tę zamieszkującą Sudety? Powtórzmy raz jeszcze: trudno stopniować ludzkie cierpienia...

Na każdą jednak odpowiedź patrzeć trzeba przez pryzmat tego, co działo się chwilę wcześniej na okupowanych przez hitlerowców ziemiach, co działo się w Oświęcimiu czy innych gestapowskich katowniach. Tak, motyw odwetu był naturalny. Zemsta jednak, jakiejkolwiek byłaby natury, nigdy nie jest moralnie czysta. W tym sensie więc wielu Polaków wyrządziło krzywdy Niemcom. Pamiętne wołanie polskich biskupów z roku 1965: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie" było wpisane właśnie w ten kontekst.

Bilansowanie tej problematyki, dokonywanie wyważonych rachunków krzywd i win, stało się możliwe dopiero po roku 1990, po traktatach polsko-niemieckich. Dopiero teraz wolno i można o tych bolesnych kwestiach mówić i pisać otwarcie. I uczciwie.

KRZYSZTOF KARWAT

„Poeci londyńscy" - po latach

1. Koniec lat czterdziestych w polskiej literaturze emigracyjnej był okresem jednym z najtrudniejszych w jej krótkich dziejach. Po względnie bogatej fali wydawnictw poetyckich, nagle nastąpiło załamanie ruchu wydawniczego, a średnia roczna publikacji książkowych zmniejszyła się aż sześciokrotnie. Przełom piątej i szóstej dekady stał więc na obczyźnie pod znakiem zmiany zasady obecności w życiu literackim: wielu twórców zamilkło, inni zamiast literaturze zaczęli - co naturalne - bardziej poświęcać się pracy zarobkowej w obcym przecież dla siebie kraju. Instytucje kulturalne i wydawnicze, pozbawione koniecznych subwencji, prowadziły okrojoną działalność, a nadto między dwoma najpoważniejszymi czasopismami polskimi na emigracji — londyńskimi *Wiadomościami* i paryską *Kulturą* - istniała wzajemna konkurencja i słaba raczej życzliwość. Młodych pisarzy, których było po wojnie zresztą niezbyt wielu, koledzy starsi starali się przeciągnąć na swoją stronę, nie mogło być zatem mowy o jakiejkolwiek międzypokoleniowej polemice czy walce estetycznej. Tak powstała jedyna w swoim rodzaju hybrydyczna i ponadgeneracyjna formacja poetycka, zwana Emigracją Walczącą.

Kiedy więc około roku 1952 pojawili się w Londynie autentycznie młodzi autorzy, wychowani już w angielskich i irlandzkich gimnazjach i uniwersytetach, pamiętający Polskę międzywojenną bardzo słabo lub nie pamiętający jej wcale, mówiący dobrze po angielsku (a nierzadko również innymi językami), lecz - z wyboru — piszący po polsku i nazywający się polskimi poetami — emigracja przyjęła ich chłodno i z niedowierzaniem. Ów chłód i brak wiary w twórcze możliwości młodych poetów brał się również i stąd, że młodzi poeci programowo nie chcieli podejmować w swoich utworach tematyki, jaka dominowała w twórczości *starych*. Obce im były wszelkie narodowe animozje i sentymenty, przeciwnie — chcieli swoją sztuką równać się z rówieśnikami w kraju i w Europie. Mogli iść wprawdzie drogą Josepha Conrada, lecz i ona była im obca. *Starzy* mrozili ich oświadczeniami, iż na obczyźnie *pisarze polscy są bez szans* (Karol Zbyszewski), a także stwierdzeniami, że ich poezja jest *polska w formie, angielska w treści* (Zdzisław Broncel). Przeciwko takim stwierdzeniom *młodzi* się buntowali. Wiadomo było, że po takim przyjęciu - między *młodymi* i *starymi* musiało dojść do światopoglądowego starcia, do ostrej polemiki na tematy zasadnicze.

2. U podstaw liryki *poetów londyńskich* legła więc niezgoda na doktrynę polrealistyczną sztuki emigracyjnej. Była to niezgoda wspólna, pokoleniowy gest odrzucenia dorobku poetów starego pokolenia. Polrealizm był manifestacją emigranckiego, wygnańczego stylu zachowań społecznych, akcentującego nie tylko etos niezłomności, ale także świadomie mitologizującego przeszłość narodową. Z natury swej antysowiecki i antykomunistyczny (a nierzadko również antyniemiecki), był on w gruncie rzeczy artykulacją światopoglądu idealistycznego. Polrealiści liczyli na *cud* wyzwolenia Polski spod rządów komunistycznych — przez państwa zachodnie.

W literaturze, zwłaszcza w poezji postskamandryckiej, powroty w przeszłość narodową były niejednokrotnie powrotami do arkadyjskich ogrodów. Tego poeci z Kontynetów, wychowani wprawdzie w domach polskich (Andrzej Busza, Adam Czerniawski, Janusz A. Ihnatowicz, Zygmunt Ławrynowicz, Bolesław Taborski), śląskich (Jan Darowski, Florian Śmieja) i kresowych (Bogdan Czaykowski), lecz mający kontakt z inną szkołą myślenia (angielską zwłaszcza), zaakceptować nie mogli i nie chcieli.

Dla nich ważniejszy od wszystkich porównań z koncepcją sztuki emigracyjnej, ujawnianej przez autorów postskamandryckich, był kontekst liryki europejskiej i powojennej liryki krajowej. Wejście młodych poetów londyńskich do literatury obliczone wprawdzie na zanegowanie wzorca skamandryckiego (i całej doktryny polrealistycznej), od samego początku związane było jednak z projektem przekroczenia polskiego partykularza. Autorzy z *Kontynentów* byli outsiderami w obrębie ówczesnej kultury emigracyjnej, mierzyli wyżej. Chcieli być nowocześni jak ich amerykańscy, europejscy i krajowi koledzy. Z nimi podejmowali dialog, w tej wspólnocie poetyckiej czuli się najlepiej.

Na gruncie poetyki — jak się zdaje — *poeci londyńscy* dzielili podobne dylematy, jakie podjął już wcześniej Tadeusz Różewicz w swojej liryce. Otóż znalazłszy się w określonej sytuacji społecznej, politycznej, obyczajowej, światopoglądowej wreszcie — nie potrafili ująć jej w ramy sensownej struktury. Dlatego można powiedzieć, że znajdują się oni jak gdyby między dwoma stanami: świadomością rozpadu wartości i tęsknotą za ładem, porządkiem w sferze wartości. Doświadczenie wykorzenienia z naturalnej przestrzeni kulturalnej (Polska), doświadczenie obcości i wyobcowania w kulturze przyjętej (Anglia), prowadziło do konieczności podjęcia *eksperymentów*. Janusz A. Ihnatowicz tak to wyraził: *my widzimy kulturę polską przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej*. Andrzej Busza dopowiadał: *Dla nas Polska jest abstrakcją. Zresztą równie nierzeczywista jest dla nas Polska obecna, jak i przedwojenna. Pozostaje więc nam ciasny światek emigracyjny, w którym się dusimy, i Anglia, gdzie tak naprawdę nie zapuściliśmy korzeni. Ponadto, większość z nas spędziła dzieciństwo wędrując z kraju do kraju. Zetknęliśmy się z różnymi rasami i narodami, z różną umysłowością, z różnymi kulturami, z różnym krajobrazem. Bardziej odczuwamy wspólnotę ludzką niż polską odrębność. Toteż uogólniamy nasze przeżycia i problemy. Najbardziej istotną jest dla nas problematyka ogólnoludzka*.

3. W dojrzałej twórczości poetów z Kontynentów szczególnie wyraźne są trzy nurty: biograficzny, metapoetycki (metaartystowski) i metafizyczny. Biografia i metafizyka uobecniać się będzie najmocniej zwłaszcza w liryce Bogdana Czaykowskiego; dramat wykorzenienia, No-Mans-Land, poszukiwanie pewnych wartości w porządku nie tylko transcendentnym, ale i naturalnym (w pejzażu najbliższej okolicy) — to główne tematy tej wybitnej poezji. U Adama Czerniawskiego — inaczej. Biografia jest tutaj dyskretna, silne natomiast są tendencje metapoetyckie i metafizyczne. Dla Czerniawskiego sztuka jest swego rodzaju *trzecim językiem*, syntezą różnych obszarów aktywności twórczej człowieka, porządek transcendencji ujawnia się natomiast każdorazowo w sferze ducha (może on więc realnie nie istnieć). Bolesław Taborski silnie eksponuje w swojej liryce motywy personalistyczne i artystowskie; poezja traktowana jako jeden z *języków* teatru mowy jest dla niego znakiem sytuacji dramatycznej, w której człowiek odnajdując balast dla swej egzystencji — równocześnie przeżywa katharsis, dokonuje samooczyszczenia własnego losu. W poezji Floriana Śmiei, najmocniej chyba ze wszystkich pokoleniowych kolegów — biografia splata się silnie z tematem chrześcijańskim i narodowym...

U wszystkich jednak, potwierdźmy diagnozę Andrzeja Buszy sprzed blisko półwiecza, problematyka ogólnoludzka jest uogólnieniem doznań jednostkowych, konkretnych. Ta poezja nie ucieka w przestrzenie spekulatywne, każdorazowo upodmiotowia świat. I nawet tam, gdzie zdaje się być ona niekiedy realizacją dobrze znanej liryki mitograficznej (jak u Czaykowskiego), filozoficznej (jak u Czerniawskiego), artystowskiej (jak u Taborskiego) czy obywatelsko-moralistycznej (jak u Śmiei), to jednak u jej podstaw każdorazowo leży sytuacja jednostkowa. W tym względzie jest to twórczość wybitnie jednorodna, mimo odmiennych realizacji poetyk.

4. Mówić dzisiaj o *Kontynentach* jako w dalszym ciągu grupie pokoleniowej — wydaje się metodologicznym anachronizmem. A jednak warto pamiętać o tej formacji właśnie w takiej perspektywie: mając na względzie jej zespołowy bunt wobec emigracji, stopniowe i naturalne rozejście się generacyjne i w efekcie odmienność artystyczną. Jeżeli dzisiaj cokolwiek powinno nas obchodzić, to właśnie ta ostatnia sprawa.

MARIAN KISIEL

Powroty

I wydawało mi się, że tu świat się kończy,
że wylot okna na nieba kęs
i domy trzy zamyka biurko
umocnione maszyną.

I wydawało mi się, że innych odgłosów
cisza nie ścierpi prócz furczenia ognia
i drżenia szyby, kiedy pociąg jedzie.
A tu raz po raz tryśnie ponad dachy
fontanna świstu i pióropusz pary,
przed którym wróbel cień skrzydlaty
do mojego pokoju uroni.

A oto idzie skądś szare wołanie
i sączy się przez niewidzialne szpary,
ściska za darmo przekreślone serce
i woła: jestem, będę zawsze, będę.

Oto rozsiadło się po nowych kątach,
za biurkiem, przy maszynie, w książkach.

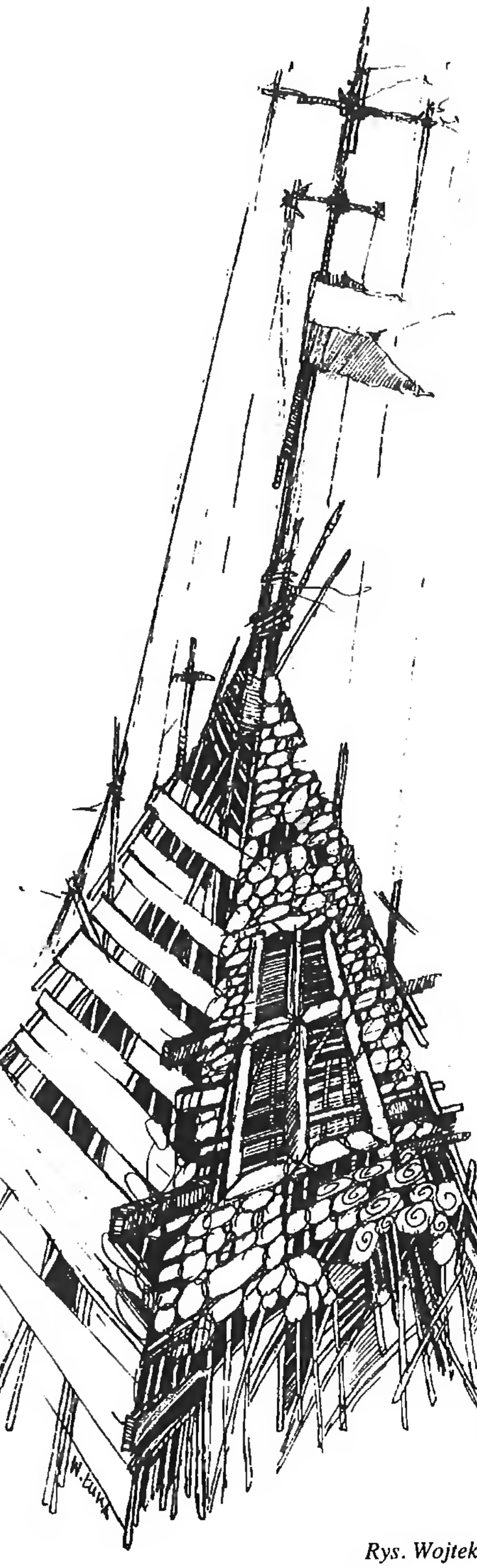
A wydawało mi się, żem uszedł szczęśliwie,
a już myślałem, że spaliłem mosty.

Puste mogiły

Pamiętam: w obcą mogiłę go kładli
pod innym niebem, w ziemię nie rodzinną.
Grób przyklepali podniosłą oracją,
zakotwiczyli trumnę stertą kwiatów,
aby na zawsze już wśród nich pozostał.

A jego prochy łakną polskich piasków,
tkliwości młodych, co zapalą lampki,
wierną zaciągną straż, imię na ustach
obniosą tego, co w ich mowie śpiewał.

W sercu tych ludzi ma swoje Powązki.
Poeta nie wraca, swych sił nie roztrwonił:
siejąc w języku, pozostał w ojczyźnie.



Rys. Wojtek Łuka

Otwarte widnokręgi

Pewnego dnia, kiedy pociągłe cienie
położą się na górach, bliski szczytu
staniesz i sięgniesz za opłotki Bóstwa.
Powrót z tych stron nie może być zwyczajny
ani właściwa pora o nim myśleć
kiedy wspinaczka za tobą a słońce
na horyzoncie, zaś w dolinach ciemność
oczy kojąca, jak przyjazne dłonie.
Odwrotu nie ma, wraca niedojrzały
kto poznał nagość turni, kroczył w chmurach
z orłami chce zamieszkać, bywać z wiatrem
na zawsze mieć otwarte widnokręgi.

Dwa spojrzenia

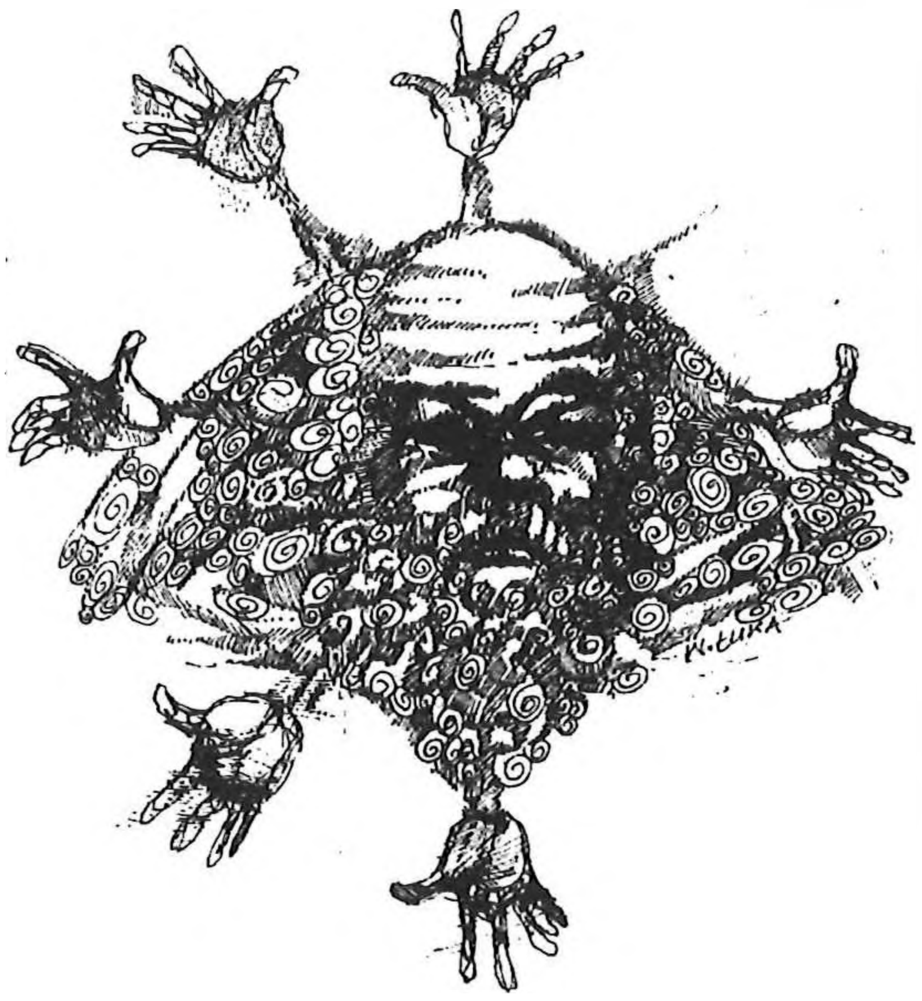
Koleżanka w birecie jest podziwu
godna. O sercu opowiada prosto:
mięsień, aorta, naczynie wieńcowe;
pod mikroskopem widzi jak na dłoni.
Nawet autopsja zda się ją popierać.
A przecież ono czuje, boli, krwawi;
że nawet pęka, wiem, że mieć je trzeba
i patrzeć w serce. Oboje mówimy
naoczywiściej o dwu różnych rzeczach.

Medytacje

Widzę gasnące słońce w Pacyfiku
z balkonu śledzę nieznużone fale
z szumem wychodzące na piaszczyste brzegi
nie zmylą palmy tak niepokalane
że jakby sztuczne, smutne meksykańskie
piosenki: wszystko bańka mało trwała
karnawałowa maska, przywidzenie
nawet kobiecy głos jak sugestywny
staną się wnet wspomnieniem, snem, zaszłością
kruchą materią, niepewną jak życie:
ani ochronić je, ni zabezpieczyć.

Żółw morski

Między niebo a morze
z lustrzanej topieli
wynurzał mądry łeb;
niezdziwionym okiem patrzał
na pstrokaty Club Med
i na powrót pochłaniał go półmrok.
Sokrates nikogo nie zagadujący
zakrytymi szlakami nocy
pływające wieki niemówienia
milczący satelitarny dysk
nie odczytane gigabity pancerza
ponętne trudno uchwytne
pół tony mięsa na wyborną zupę.



Rys. Wojtek Łuka

Wiosna w Kanadzie

Przez noc wystrzeliła trawa
zazieleniły się pąki
ptaki wróciły z południa
ze śpiewem świstak za płotem
ze snu się obudził w polu
węszą w okularach szopy
jastrząb szybuje ochoczo
wyleciały motyle.
Tylko dwie czarne wiewiórki
nie wrócą w koronę drzewa.
Znalazłem ich sztywne ciała
w ostatni dzień zimy. Smuć się
nad tym kto umarł na samym
progu kanadyjskiej wiosny.

Dramat tego Ślązaka — twórcy i dowódcy największego Zgrupowania „Żelbet" Armii Krajowej na południu Polski — rozegrał się w trzech aktach.



„Kordian" (bez czapki) w czasie inspekcji podległych oddziałów.

Dramat śląskiego Kordiana

JÓZEF MUSIOŁ

Akt pierwszy to czas, gdy Dominik Żdziebło — znany szerzej pod konspiracyjnym pseudonimem Kordian — po ukończeniu studiów wyższych w Krakowie jako młody oficer generała Kleeberga ucieka z niemieckiej niewoli i w okupowanym Krakowie organizuje armię podziemną. Zmuszony jest podejmować decyzje o życiu i śmierci wroga, o życiu podległych mu żołnierzy i cywilnej ludności polskiej. W tym okresie za walkę z okupantem hitlerowskie gestapo więzi jego matkę, a dwie siostry osadza w obozie zagłady. On sam wcielając się w wiele postaci ścigany jest przez władze III Rzeszy Niemiec od 1939 — do stycznia 1945 roku.

Akt drugi rozgrywa się po wkroczeniu Armii Czerwonej, która z jednej strony wyzwala nasz kraj, z drugiej niczym lawa zalewa Polskę i niszczy podziemną Armię Krajową związaną z Rządem R.P. w Londynie. Wtedy to dowódcy AK, w tym „Kordian" stanęli wobec największego dylematu z punktu widzenia prawnego, narodowego i moralnego, dylematu związanego z odpowiedzialnością wobec podległych im żołnierzy, wobec narodu. Na drugi akt przypada też uwięzienie „Kordiana", poddawanie go torturom fizycznym i psychicznym zmierzającym do złamania i wymuszenia na nim zeznań dyskredytujących AK i — jego dowódców. Drugi akt kończy się wytoczeniem mu procesu przed sądem wojskowym w Warszawie.

Akt trzeci: 41 letni Kordian — fizyczny wrak — zwolniony zostaje po przeszło 58 tysiącach godzin pobytu w aresztach i więzieniach. Po krótkim okresie leczenia znów stoi przed dylematem jak zachować się wobec wydarzeń październikowych i zaistniałej sytucji jawnej prowokacji i demonstracji siły Armii Czerwonej w Krakowie. Wzywać do oporu, czy rozwagi, czy milczeć i zamknąć się w sobie wobec doznanych cierpień i upokorzenia? Kordian nie może milczeć. Kieruje publikowane w prasie odezwy do swych byłych podkomendnych. Poczucie odpowiedzialności wzięło jak zawsze u niego górę. Choć wydany na niego skazujący wyrok uchylono, a śledztwo umorzono — Kordian — mimo październikowych przemian jako „skazany" na zapomnienie przeżywał swój trzeci akt — zapomnienia, zakończony śmiercią na ulicy w Katowicach. Tego nie wydanego wyroku, tak do końca, nikt nie uchylił, bo nieżyjący, autentyczni bohaterowie, nawet gdyby mogli, nie wniosą swojej sprawy przed Trybunały, a ci którzy winni to uczynić, sami kreując się na bohaterów, nie chcą przywracać należnego bohaterom blasku, który odsłaniał by ich małość.

Rodem z Jastrzębia

Jeżeli nowym traktem przemierzać będziesz Ziemię Jastrzębską, zwróć uwagę na mały parterowy dom tuż za nową dzielnicą miasta, powstałą na polach dawnego Pochwacia.

W drugim domu, tym w głębi, wtopionym w ogród i gospodarskie zabudowania, 31 lipca 1914 roku urodził się, jako jeden z dwanaściorga dzieci Karola i Florentyny Żdziebłów, późniejszy „Kordian", jeden ze znakomitych dowódców partyzanckich z okresu II wojny światowej, któremu los nie oszczędził niczego — ani chwały, ani goryczy, ani zapomnienia.

Był pierwszym w rodzinie, który mógł rozpocząć naukę już w polskiej szkole podstawowej. Jako uczeń szkoły podstawowej w Jastrzębiu Dolnym i Gimnazjum w Żorach, potem Państwowego Gimnazjum w Żorach czy Państwowego Gimnazjum w Rybniku, gdzie w 1933 roku uzyskał maturę, wyróżniał się wyjątkowymi uzdolnieniami i pracowitością.

Po maturze w rybnickim gimnazjum rozpoczął wyższe studia w Krakowie. Aby zapewnić sobie środki materialne, które pozwoliłyby mu kontynuować naukę, podjął pracę, ale mimo to znajdował jeszcze czas na działalność w postępowych organizacjach akademickich. Należy także dodać, że Dominik Żdziebło, chłopski syn, mimo trudnych warunków ukończył trzy wydziały: ogólnohandlowy, samorządowy i pedagogiczny oraz uzyskał dyplom z odznaczeniem.

W latach 1937-1938, a więc po ukończeniu studiów, przechodzi przeszkolenie w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy w Brześciu nad Bugiem (30 DP), które kończy z piątą lokatą w zakresie specjalizacji przeciwpancernej — w stopniu plutonowego podchorążego. Wtedy też rozpoczął pracę w Katowicach.

27 sierpnia 1939 r. — dzień, w którym Dominik Ździebło przywdział mundur — otwiera nowy rozdział w jego życiu. Dramat Września przeżywa już jako oficer. W stopniu podporucznika, pełni obowiązki dowódcy plutonu 183 pp, wchodzącego w skład SGO „Polesie" generała Kleeberga.

7 października 1939 r. po kapitulacji pod Kockiem Dominik Ździebło dostaje się do niewoli i trafia kolejno do obozów jenieckich w Dęblinie, Radomiu i Jędrzejowie. Nie może jednak pogodzić się z przegraną. Bez chwili zastanowienia podejmuje decyzję dalszej walki. Ucieka więc z obozu w Jędrzejowie i przedostaje się na Śląsk, by na ręce swej owdowiałej matki złożyć noszący ślady walki mundur żołnierza Września.

Tak, Dominik Ździeblo przedzierał się do swoich w mundurze. Hitlerowskie patrole strzelały do tego zuchwałego Polaka, który nagle w ich „niemieckim mieście" odważył się pokazać jako polski żołnierz. Aby dotrzeć z obozu w Jędrzejowie do rodzinnego Jastrzębia, Ździebło ryzykował życie tak samo jak na froncie. Dzisiaj zastanawia mnie jego postawa. Czym było ryzykowanie życia? Bohaterstwem czy brawurą, przejawem lekkomyślności czy determinacji? Przecież należał zawsze Ździeblo do ludzi niezwykle zrównoważonych.

Oficerski mundur-pamiątkę, dowód udziału w walce, złożono do skrzyni i zakopano głęboko w jastrzębską ziemię. W tym swoistym obrządku uczestniczyła cała rodzina. Było w nim coś z pogrzebu — z tą tylko różnicą, iż nad żalem dominowała absolutna wiara w zmartwychwstanie Polski. Dominik Ździebło zdjął mundur, ale nie zrezygnował z walki. Już w listopadzie 1939 roku w Krakowie rozpoczyna drugi etap zmagań z hitlerowskim najeźdźcą w odmiennych niż przedtem warunkach — w warunkach walki partyzanckiej.

Zgrupowanie „Żelbet"

Początkowo pełniący obowiązki dowódcy pododcinka Kraków-Zachód, a później całego zgrupowania „Żelbet", Dominik Ździebło występował pod wieloma pseudonimami. Znany był jako „Ryś", później „Zaremba", a od 1944 r. do końca wojny jako „Kordian". Stale zagrożony, zmieniał nie tylko miejsce zamieszkania i pseudonimy, ale i wygląd zewnętrzny. Niemcy tropili i ścigali go nieustannie jako niebezpiecznego dla Rzeszy „bandytę", wyznaczając wysokie nagrody za jego ujęcie. Zdarzało się i tak, że w okresie poszukiwań „Kordian" zamieszkiwał w domu sąsiadującym z siedzibą gestapo.

W latach 1943-1944 działalność zbrojna „Żelbetu" obejmowała poza Krakowem tereny Ziemi Miechowskiej, Olkuskiej, Beskid Wyspowy, Podhale i inne. Zgrupowanie to liczyło wiele tysięcy żołnierzy.

Jakimi cechami musiał się Ździebło odznaczać, że właśnie jemu, niezawodowemu oficerowi i Ślązakowi powierzono tak odpowiedzialną funkcję? Kiedy 28 października 1972 roku złożyłem wizytę w Krakowie byłemu oficerowi sztabu „Żelbetu", panu kpt. Stanisławowi Nawarze, oświadczył mi wprost „...Kordian" — rasowy, zacięty Ślązak, *o ogromnych zdolnościach organizacyjnych, twardy, nieustępliwy, wybitny organizator wychowany na tradycji walk powstańczych, człowiek o ogromnym darze zjednywania sobie ludzi.*

Zamieszkały w Warszawie mgr inż. Jan Zienkiewicz — „Siekierz", do niedawna kierownik redakcji w Wydawnictwie Naukowo-Technicznym na moje pytanie, jaki był „Kordian", odpowiedział: *Byłem jego pierwszym zastępcą w „Żelbecie". „Kordian" — prawy, wielki patriota, bez reszty oddany sprawie walki z hitlerowskim najeźdźcą, stale ścigany, żył w niezwykle ciężkich warunkach, skrupulatny, nie tylko kierował, ale sam brał udział w poważniejszych akcjach zbrojnych. Na dowódcę nie był kreowany, ale na niego wyrósł.*

Wojciech Żukrowski (mjr AK), udzielając wywiadu śląskiej „Panoramie" z dnia 1 grudnia 1963 r. (nr 48/499) i opisując m.in. swój udział w zbrojnym ruchu oporu, scharakteryzował Ździebłę krótko: *Należałem do zgrupowania „Żelbet". Jego dowódcą był zmarły przedwcześnie, nie człowiek, lecz kryształ, wzór wojskowej i trudniejszej cywilnej odwagi, Zbigniew Ździebło-Danowski.* (Ździebło używał również imienia Zbigniew — J.M.).

O informacje dotyczące „Kordiana" i „Żelbetu" zwróciłem się do Stanisława Dąbrowy Kostki żołnierza AK — dziennikarza i historyka — zajmującego się dziejami walki zbrojnej z hitlerowskim okupantem, który Dominika Ździebłę określił jako bohatera Krakowa. A oto treść jego pisemnej wypowiedzi:

Wiosną 1944 roku miałem okazję poznać „Kordiana" osobiście. Jako adiutant „Świdy", dowodzącego akcją mającą na celu odbicie aresztowanego przez Niemców komendanta krakowskiego okręgu AK płk. Józefa Spychalskiego „Lutego", kilkakrotnie kontaktowałem się wtedy z „Kordianem" i jego podkomendnymi, spośród których specjalnie dobrze zapamiętałem „Nawarę" i „Bicza". „Kordian" zrobił na mnie wrażenie człowieka energicznego i odważnego. Wiedziałem wówczas, że dowodzi największą w Krakowie formacją AK o kryptonimie „Żelbet".

Działalność tej formacji w pełnym przekroju lat okupacji to sprawa wymagająca bardzo obszernego opisu. Żołnierze pododcinka IIb, potem „Żelbetu", wykonywali wszystkie zadania w zakresie przygotowań powstańczych i walki bieżącej, realizowane przez AK na terenie okupowanego kraju. Osobiście wiosną 1944 zetknąłem się z dowodzonymi przez „Bicza" ich znakomitymi zespołami dywersyjnymi, które w Krakowie zapisały na swym koncie ogromny dorobek — przede wszystkim w skutecznym zwalczaniu nieprzyjacielskiej agentury.

Po zakończonych ostatecznie niepowodzeniem próbach odbicia płk. „Lutego" powstał pierwszy — dowodzony przez „Gołębia" — zwarty partyzancki oddział „Żelbetu". Niedługo potem sformował się kolejny oddział „Bicza", a następnie jeszcze oddziały „Wagi" i „Stryszawy". Wszystkie cztery stanowiły jesienią 1944 roku partyzanckie zgrupowanie o sile batalionu. Szlak bojowy tych oddziałów — to osobna barwna historia. Szkice na ten temat opublikowałem w roku 1969 na łamach „WTK". 19.XI.1979 r.".

Dominik Ździebło był człowiekiem o ogromnym poczuciu odpowiedzialności. Jak twierdzili moi rozmówcy, nigdy nie szafował cudzym życiem. Jednocześnie odznaczał się niepospolitą odwagą.

W połowie 1944 r. do Ździebły dotarła wiadomość o wykryciu przez hitlerowców działającej na Pochwaciu silnej komórki konspiracyjnej. W czasie zakrojonej na szeroką skalę obławy i wymiany ognia w ręce gestapo dostaje się wówczas sąsiad rodziny Ździebłów, Dominik Kania (powstaniec śląski) zamordowany później w obozie koncentracyjnym Gross Rosen.

Rodzina Ździebłów

Prześladowania nie ominęły również rodziny Ździebłów, niemal od pierwszych dni hitlerowskiej okupacji działającej w ruchu oporu. Gestapo aresztuje matkę „Kordiana" oraz jego dwie siostry: Katarzynę i Annę, które następnie dzielą los więźniarek obozu Ravensbrück. Po latach Anna Ździebło, ps. „Hela", tak przedstawia uwięzienie i pobyt w obozie.

Gdy 13 sierpnia 1944 r. budzę się rano z niespokojnego snu, stoi nade mną gestapowiec i z krzykiem każe mi się ubierać, siostra jak i matka są już ubrane. Już bez żadnej rewizji, popychane krzykiem do pośpiechu prowadzą nas gestapowcy do budynku żandarmerii w Jastrzębiu Zdroju, gdzie znajdują się już odwróceni do ściany Błażejowska, Maciończyk Marta, Kopyto i inni. Wszystkich razem pakują do samochodu ciężarowego i wywożą do więzienia w Rybniku. Po kilku dniach wywożą nas do więzienia w Katowicach. Zaczyna się śledztwo i konfrontacje. Co podtrzymywało nas na duchu podczas całej gehenny to myśl, że zeznania nasze nie obciążyły nikogo nawet w najmniejszym stopniu. Z mamą, siostrą czy Maciończykową udaje mi się czasem zamienić słówko. Schorowaną mamę z braku dowodów, zwolniono — chyba w październiku — z więzienia katowickiego. Nas natomiast tj. Maciończykową, siostrę i mnie dołączono do transportu, który z Katowic przez Bytom, Wrocław i dalej wyznaczoną trasą dotarł 24 grudnia 1944 r. w sumie 1500 więźniów do obozu Ravensbrück. (...).

Niemałym dramatem był los młodszego brata „Kordiana" — Józefa Ździebły,

który musiał wybierać: nie dać się wcielić do Wehrmachtu i w ten sposób skazać wówczas matkę i siostrę wtedy jeszcze na obóz koncentracyjny, albo ratując rodzinę przywdziać mundur wroga, z którym cała rodzina, a więc i on walczyła. Na zachowanym zdjęciu formatu pocztówki, przesłanym rodzinie widzę smutną twarz młodego Józefa w mundurze Wehrmachtu, a na odwrocie tego zdjęcia coś w rodzaju adnotacji „To co chciałbym tu napisać, to musisz czytać bez liter. Z rekruckich czasów maj-wrzesień 1942 r. Józek".

Józef Ździebło dzielił los wielu Ślązaków przymusowo wcielonych do wojska niemieckiego. Inne zdjęcie przedstawia już inny jego status — status żołnierza generała Maczka. Pod samolotem wojsk brytyjskich, w strefie okupacyjnej Quackenbrück, której komendantem był ppłk. pilot inż. Karol Ranoszek z Jastrzębia, stoją ubrani w polskie mundury trzej żołnierze w tym Jan Mazur i Józef Ździebło. Zdjęcie pochodzi z 1945 r.

Stryj „Kordiana" — misjonarz ks. Franciszek Ździebło urodzony 17.04.1883 r. w Jastrzębiu Dolnym. Po szkole powszechnej studiował w Krakowie. Z zachowanego i przekazanego mi przez jego bratanka Józefa Ździebłę dokumentu wynika, że 16 marca 1907 r. jako kleryk ze Zgromadzenia Misjonarzy św. Wincentego a Paulo został wyświęcony do „Świętego Stopnia Subdiakonatu". Następnie po dalszych studiach i święceniach jego duszpasterska służba misyjna wiodła przez dalekie kraje Ameryki Łacińskiej. Tuż przed napaścią hitlerowską przybył do Polski na leczenie. Przebywał w klasztorze w Koronowie. Został aresztowany pod zarzutem publicznego występowania w języku polskim przeciwko wysiedleniu ludności polskiej. Krytykował władze hitlerowskie, mówił prawdę o wojnie, jej skutkach, gdy III Rzesza tę wojnę przegra.

Ks. Franciszek Ździebło aresztowany został przez gestapo 3 czerwca 1942 r. w Chełmie, więziony był w Toruniu i Koronowie. Akt oskarżenia z dnia 11 marca 1943 r. i oznaczony sygnaturą 4 Sg. Kls.46/43Po.V. został sporządzony przez Prokuraturę w Toruniu, a jak to wynika z wezwania — termin rozprawy wyznaczony został na dzień 23.03.1943 r. na godz. 9.45 w sali Sądu Specjalnego w Toruniu na Backerstr. 51. A potem Zuchthaus Krone — w Koronowie telegramem z dnia 6.04.1943 r. powiadomił siostrę Angelę z Klasztoru w ówczesnym Kulm, że Franciszek Ździebło zmarł i jego zwłoki można odebrać w ciągu 24-ch godzin. Ks. Franciszek Ździebło zginął jako męczennik, zamordowany za głoszenie prawdy w dniu 2 kwietnia 1943 r. w więzieniu w Koronowie.

Jego nazwisko widnieje obok kapłanów Dekanatu Jastrzębskiego pomordowanych przez okupanta hitlerowskiego w latach 1940-1945: ks. Franciszka Macherskiego — zamordowanego 30.10.1940 r. w Mauthausen-Gusen, ks. Edwarda Rducha — zamordowanego 29.05.1941 r. w Mauthausen-Gusen, ks. Franciszka Styry — zamordowanego 10.10.1941 r. w Oświęcimiu i ks. Józefa Kani — kapelana AK, zamordowanego 12.06.1944 r. w Oświęcimiu. Tablica z nazwiskami tych ofiar ufundowana przez wiernych dekanatu umieszczona została na ścianie kościoła parafialnego w Jastrzębiu Zdroju w 1992 r. Hołd męczennikom oddała społeczność Jastrzębia wraz z przybyłym Arcybiskupem dr. Damianem Zimoniem — Metropolitą Katowickim.

Nieznany był również „Kordianowi" los jego przyszłej żony Heleny Klimas deportowanej na Syberię. Stałe niebezpieczeństwo groziło także rodzinie jego brata, Stanisława Ździebły, zamieszkałej w Krakowie uczestniczącej aktywnie w ruchu oporu.

Każdy krok „Kordiana" mógł być jego ostatnim krokiem na wolności. Dominik Ździebło zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła.

„Kordian" na terror wroga odpowiada kontrakcją, rozbudowuje jednostki, starannie kontroluje wykonanie rozkazów. Podległe mu specjalistyczne oddziały prowadzą na szeroką skalę rozpoznanie wroga i likwidują najbardziej okrutnych siepaczy okupowanego Krakowa, sądy podziemnej organizacji karzą zdrajców, szpicli i konfidentów gestapo. Oddziały leśne wykonują akcje na posterunki policji i żandarmerii, urzędy administracji okupacyjnej, staczają potyczki i bitwy z Niemcami. Inne jednostki paraliżują idące na wschód transporty.

„Żelbet" miał szczęście do wspaniałych ludzi, odważnych i pełnych fantazji — choćby takich jak „Afrykańczyk" — Stefan Pawlik, urodzony w Raciborzu na Śląsku, którego nordycka uroda plus mundur wysokiego oficera SS przesądzały o losach niejednej, wprost niezwykłej, akcji „Żelbetu".

Rok 44

Dzieje „Żelbetu" dowodzonego przez w pewnym sensie anonimowego „Kordiana" — bo prawdziwego nazwiska Ździebły nie znał do końca wojny nawet jego pierwszy zastępca, kpt. „Siekierz" — to historia wkładu tego zgrupowania w walkę z hitlerowskim najeźdźcą.

Przypomnijmy choć kilka ważniejszych walk, jakie oddziały partyzanckie tego zgrupowania stoczyły z siłami okupanta.

8 maja 1944 r. — wielogodzinna walka zbrojna z oddziałami policji niemieckiej w Łęgu pod Krakowem. Zginęło siedmiu hitlerowców, a dziewięciu zostało rannych. Straty własne: zginęło trzech partyzantów i tyluż skoczków spadochronowych.

15 maja 1944 r. stoczona w Krakowie walka z policją.

W czerwcu 1944 r. — akcja na Charsznicę oraz odbicie więźniów pod Książem Wielkim.

30 lipca 1944 r. — rozbrojenie lotników niemieckich w Naramie.

13 sierpnia 1944 r. zwycięski bój o Sieciechowice, które Niemcy — w odwet za zlikwidowanie przez partyzantów „Żelbetu" ukraińskich policjantów — zamierzali spacyfikować.

15 sierpnia 1944 r. żołnierze „Żelbetu" zmierzyli się pod „Barbarką" z pacyfikacyjnym oddziałem Wehrmachtu. Zginęło tam 23 Niemców.

Walki trwały niemal nieustannie. Oto kolejne przykłady: 12-16 września 1944 r. w rejonie Łysiny i Kamiennika w powiecie myślenickim, 21 listopada całodzienny bój z baonem SS w miejscowości Poręba, 20 września rozbrojenie kompanii Wehrmachtu w miejscowości Tokarnia pow. Myślenice.

„Najbardziej utkwiła mi w pamięci — snuje swe wspomnienia mgr Stanisław Gaczoł — bitwa partyzancka stoczona z silnymi jednostkami hitlerowskiej policji w dniu 29 listopada 1944 r. w rejonie wsi Zawadka, położonej na stokach Kotonia".

Nie mniej ważnym wycinkiem walki „Żelbetu" z okupantem była działalność wywiadowcza i kontrwywiadowcza, fabrykowanie dokumentów, dzięki którym uratowano wielu Polaków, czy też pomoc w innej formie, np. przerzucanie pieniędzy i kartek żywnościowych na teren Śląska. Mgr Nawara z pełnej szuflady wyjmuje najcenniejsze pamiątki: — *O, widzi pan, to zdjęcie zostało wykonane 10 września 1944 roku w czasie przeprowadzonej przez „Kordiana" inspekcji leśnych oddziałów w Bysinie w powiecie myślenickim.*

Na innej fotografii utrwalono małą uroczystość, która odbyła się w 1944 r. Koledzy składają dowódcy I batalionu „Orawie" — Józefowi Golińskiemu, późniejszemu profesorowi Politechniki Wrocławskiej, życzenia z okazji ślubu.

Omiatam spojrzeniem stos zdjęć. To fotografia dzielnego „Orlika" — Wojciecha Kiełkowicza, ostatniego adiutanta „Kordiana", którego już po wojnie skrytobójczo zamordowało UB.

Znamienne jest stanowisko, jakie zajął „Kordian" wobec planu „Burza". Ździebło, w wypadku wybuchu powstania dowódca zachodniego obwodu Krakowa, nie zgadzał się z koncepcjami tych, którzy parli do walki w samym mieście. Był realistą, jego oddziały przeprowadziły przecież pełne rozpoznanie sił wroga. Wyprowadzić partyzantów z zamkniętego miasta, bić wroga poza jego murami, nie narażając ludzi i Krakowa — pomnika kultury polskiej — takie było prawdopodobnie stanowisko „Kordiana". Ze źródeł wywiadowczych wiedział, iż w razie wybuchu powstania w Krakowie lub w razie udanego zamachu na Franka — Wawel i centrum Krakowa zostałyby wysadzone, a tysiące Polaków poniosłoby śmierć. Jako racjonalnie myślący Ślązak, miał na tyle cywilnej odwagi, aby nie przedkładać sukcesu wojskowego nad tak wielkie narodowe dobro, jakim jest życie tysięcy rodaków i istnienie Krakowa. Może właśnie dlatego oddziały „Żelbetu" stoczyły poza Krakowem tyle regularnych zwycięskich walk.

Nowe czasy

Wkroczenie wojsk radzieckich do Krakowa tylko częściowo oznaczało dla „Kordiana" wyzwolenie od własnej anonimowości i od lęku o podległych mu żołnierzy. Minęła długa okupacyjna noc, ale radość Dominika Ździebły mącił niepokój o los sióstr, zamkniętych w obozie koncentracyjnym, o Polskę o której losie zadecydowali nie walczący Polacy a trzy Mocarstwa, krojąc Europę niczym świąteczny tort, którego część — Polskę oddali ZSRR.

„Kordian" kończy swoją służbę w stopniu majora (11 listopada 1942 r. awansowano go bowiem do stopnia porucznika, a dokładnie dwa lata później do stopnia kapitana). W 1943 r. został odznaczony Krzyżem Walecznych, a następnie Krzyżem Virtuti Militari i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Według nie potwierdzonych źródeł po wojnie „Kordiana" awansowano do stopnia podpułkownika. Paradoks: niektóre odznaczenia bojowe nadawano również przez władze Polski Ludowej, gdy „Kordian" pozbawiony już był przez tę władzę wolności i poddawany torturom.

Zaraz po wyzwoleniu nie było uregulowania sprawy Armii Krajowej i w tym sensie Dominik Ździeblo, który przybrał nazwisko Danowski znajdował się — jak to określił w swoim życiorysie — do sierpnia 1945 r. na stopie nielegalnej. Wtedy jednak pracował z ramienia Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki oraz Związku Literatów Polskich Oddział Śląski w Katowicach jako pełnomocnik do spraw organizowania ośrodków i imprez kulturalnych na Opolszczyźnie. Sprowadził żonę z Włoch. Wysłał do niej depeszę: „Wracaj! Polskę odbudować można tylko w Polsce".

Od sierpnia 1945 r. brał czynny udział w pracach Komisji Likwidacyjnej do spraw AK na Okręg Krakowski, jako członek, a później przewodniczący tej Komisji, a po zakończeniu jej działalności był pełnomocnikiem do spraw AK, Okręg Kraków, do roku 1949. Był tym, kim był płk „Radosław-Mazurkiewicz" w Warszawie, z którym później przyszło mu dzielić miejsce na ławie oskarżonych w sfingowanym procesie „czterech".

Równocześnie od października 1945 r. pracował na stanowisku dyrektora Oddziału Papierniczego i Materiałów Piśmiennych „Społem" w Katowicach, obejmującego swoim zasięgiem cały kraj. Był to oddział wzorcowy i szkoleniowy.

Dnia 1 lutego 1949 r. w domu przy ul. Kopernika w Katowicach, w którym jego żona Helena Ździebło rodziła drugiego syna Zbigniewa — służby bezpieczeństwa aresztowały Dominika Ździebłę. Skutego, pod lufami 6 automatów gotowych do strzału, transportowano go w mroźną noc w otwartym samochodzie z Katowic do X Pawilonu Więzienia Mokotowskiego w Warszawie. W domu urządzono „kocioł" i każdy, kto w przeciągu kilku dni celowo lub przypadkowo odwiedził mieszkanie Ździebłów został aresztowany. Nawet lekarza, który odbierał poród przez kilka dni nie wypuszczano. Tymczasem „Kordiana" poddawano wymyślnym torturom, fizycznym i psychicznym, których nawet Gestapo by nie wymyśliło. Aby go złamać i zmusić do przyznania i obciążenia innych, UB postanowiło temu bohaterowi amputować zdrowe nogi. Polecenia tego jednak nie wykonał lekarz. Po wieloletnim okrutnym śledztwie w areszcie na ul. Rakowieckiej w Warszawie, skierowano akt oskarżenia do Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie, gdzie sprawa ta oznaczona została sygnaturą Sr. 615/53. Dominik Danowski-Ździebło należał do tych, którzy mimo tortur się nie ugięli. Czasami wręcz z oskarżonego zmieniał się w oskarżyciela, co wywoływało przerażenie jego żony, wyczekującej na sądowym korytarzu, aby przy przechodzeniu podać mu kanapkę.

Dzięki uprzejmości Naczelnego Prokuratora Wojskowego, zastępcy Generalnego Prokuratora RP — gen. dyw. Ryszarda Michałowskiego, udostępniono mi 16 tomów akt tej sprawy opatrzonej napisem „tajne", w której oskarżono czterech wybitnych oficerów AK. A oto fragmenty odpisu oryginalnego wyroku:

WOJSKOWY SĄD REJONOWY W WARSZAWIE — Odpis — Znak akt Sr. 618/53

WYROK
W IMIENIU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Warszawa, dnia 7 grudnia 1953 r.

Wojskowy Sąd Rejonowy
w Warszawie
w składzie:
1) przewodniczący
— ppłk. Widaj Mieczysław
2) sędziowie
— kpt. Drohomirecki Jerzy
— kpt. Paramonow Jan
z udziałem protokólantów chor. Góry Henryka i ppor. Sułkowskiego Stanisława, z udziałem prokuratora ppłk. Ligięzy Henryka, z udziałem obrońców wojskowych adw. Maślanki Mieczysława — z urzędu, adw. Załęskiego Jana — z wyboru, adw. Pintarowej Alicji — z wyboru, adw. Wegnera Jana — z wyboru, rozpoznał sprawę Sr. 618/53, w której zostali oskarżeni:

1) MAZURKIEWICZ JAN syn Bazylego i Franciszki (...),

2) DANOWSKI DOMINIK syn Karola i Florentyny, urodzony 31.07.1914 r. m. Jastrzębie Zdrój, pow. Rybnik, zamieszkały Stalinogród, ul. Kopernika 13, Polak, obywatel polski, bezpartyjny, mający wykształcenie wyższe handlowe, żonaty, ojciec 2-ga dzieci w wieku 6 i 5 lat życia, bez majątku, odznaczony krzyżem Virtuti Militari V klasy krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Partyzanckim, Medalem za Wolność i Zwycięstwo, z ojca rolnika na 14 ha ziemi (średniorolny), — 12-ro dzieci, niekarany,

— oskarżony z art. 86 par. 2 KKWP z art. 13 par. 2 w zw. z art. 1 3 MKK, z art. 2 dekr. z dnia 31.08.1944 r., z art. 4 par. 1 MKK,

3) GORAZDOWSKI JAN (...),

4) PLUTA-CHACHOWSKI (...),

orzekł:

1) MAZURKIEWICZ JAN, syn Bazylego jest winien: (...),

2) DANOWSKI DOMINIK, syn Karola jest winien:

a) przestępstwa z art. 86 par. 2 KKWP popełnionego w czasie od stycznia 1945 r. do lutego 1949 r. w Krakowie i w innych miejscowościach w ten sposób, iż usiłował przemocą usunąć organa władzy zwierzchniej Narodu, zagarnąć ich władzę i zmienić ludowo-demokratyczny ustrój Państwa Polskiego przez to, że od wyzwolenia do września 1945 r. brał udział w kontrrewolucyjnej organizacji „NIE" a następnie w ośrodku dyspozycyjnym w Katowicach, zaś od września 1945 r. po fikcyjnym ujawnieniu uczestniczył w zainicjowanej przez osk. Mazurkiewicza nowej formie walki z ustrojem Państwa, polegającej na długofalowej konspiracji, zachowując kadry byłych akowców do bezpośredniej walki z Polską Ludową i sprawdzając w 1948 r. działanie łączności organizacyjnej w/g starych kontaktów,

b) przestępstwa z art. 13 par. 2 MKK popełnionego jesienią 1947 r. w Warszawie w ten sposób, iż w celu dokonywania gwałtownych zamachów i sabotaży kwalifikujących się jako przestępstwa z art. 1 i 3 dekr. z dnia 13.06.1946 r. wchodził w porozumienie z oskarżonymi Mazurkiewiczem i Plutą-Chachowskim, omawiając z nimi plany tych akcji,

c) przestępstwa z art. 2 dekr. z dnia 31.06.1944 r., popełnionego od jesieni 1943 r. do maja 1944 r. w ten sposób, iż w Krakowie jako komendant najpierw odcinka II okręgu AK a następnie zgrupowania „Żelbet", idąc na rękę władzy hitlerowskiego Państwa Niemieckiego działał na szkodę Państwa Polskiego zwalczając przez rozpracowanie i szkalowanie oddziału lewicowego ruchu oporu.

d) przestępstwa z art. 4 par. 1 dekr. z dnia 13.06.1946 r. popełnionego od 1945 r. do lutego 1949 r. przez przechowywanie bez zezwolenia trzech pistoletów: „Beretta:", „Parabelumm" i „Czeskiej zbrojówki".

5) Za powyższe czyny Sąd skazał:

A) Mazurkiewicza Jana s. Bazylego (...),

B) DANOWSKIEGO DOMINIKA syna Karola

a) na podstawie art. 86 par. 2 KKWP na 13 (trzynaście) lat więzienia z pozbawieniem w myśl art. 46 par. 1 lit. „b" KKWP praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 5 (pięć) lat i z przepadkiem w myśl art. 48 par. 1 KKWP całego mienia,

b) na podstawie art. 13 par. 2 dekr. z dnia 13.06.1946 r. na 12 (dwanaście) lat więzienia z pozbawieniem w myśl art. 49 cyt. dekretu praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 5 (pięć) lat i z przepadkiem całego mienia na rzecz Skarbu Państwa,

c) na podstawie art. 2 dekr. z dnia 31.08.1944 r. na 10 (dziesięć) lat więzienia z pozbawieniem w myśl art. 7 cyt. dekretu praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na czas lat 5 (pięciu) i z przepadkiem całego mienia na rzecz Skarbu Państwa,

d) na podstawie art. 4 par. 1 dekr. z dnia 13.06.1946 r. na 8 (osiem) lat więzienia.

Na zasadzie art. 32 par. 2 i 33 KKWP Sąd wymierza Danowskiemu Dominikowi s. Karola łącznie 13 (trzynaście) lat więzienia z pozbawieniem praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 5 (pięć) lat i z przepadkiem całego mienia na rzecz Skarbu Państwa.

Dnia 7 grudnia 1953 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie uznał Dominika Danowskiego-Ździebłę za winnego naruszenia całego szeregu przepisów karnych, w tym art. 86 § 2 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego, art. 13 osławionego małego kodeksu karnego i skazał go na karę 15 lat więzienia, utratę praw publicznych na okres 5 lat oraz przepadek całego majątku.

Na skutek rewizji, postanowieniem Najwyższego Sądu Wojskowego z dnia 31 grudnia 1954 r. wyrok ten został uchylony, a sprawę przekazano znów do śledztwa. „Kordian" znów był więźniem śledczym ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ale i wtedy nie zdołano na nim wymusić oczekiwanego przyznania. Postanowieniem Naczelnej Prokuratury Wojskowej z dnia 24 listopada 1955 r. śledztwo przeciwko „Kordianowi" umorzono z powodu braku dostatecznych dowodów winy.

Na wolność wyszedł więc po 81 miesiącach i 3 dniach pozbawienia wolności. Licząc, iż przeciętny miesiąc ma 30 dni — wychodzi, iż Dominik Ździebło był pozbawiony wolności przez 58.372 godziny. W czasie pobytu w więzieniu do mieszkania jego rodziny dokwaterowano funkcjonariusza UB. Zważmy, iż jego żona Helena i jej matka przeszły deportację na Syberię, gdzie zmarł ojciec żony Ździebły. Następnie wraz z armią Andersa przebyły szlak przez Bliski Wschód aż do Włoch. Kiedy Ździebłę aresztowano, badanie lekarskie wykazało, iż był zdrowy i pełen sił. Gdy opuścił ubowskie kazamaty w Warszawie był w ciężkim stanie i wymagał leczenia szpitalnego. Leczył się w kilku placówkach szpitalnych, w tym w I Klinice Chorób Wewnętrznych Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrzu. Jeszcze 23 sierpnia 1956 r. ta klinika w swoim zaświadczeniu stwierdziła zmiany będące następstwem stosowanych wobec niego tortur. Zniekształcenie dużego stopnia stawu kolanowego, lewego, przewlekłe zapalenie mięśnia sercowego i szereg innych chorób — oto rezultat metod jakie stosowano wobec autentycznych bohaterów.

Nie mniej tragiczny był los jego starszego brata Stanisława Ździebły, który jeszcze przed wojną przeniósł się do Krakowa, a w czasie okupacji był żołnierzem ZWZ-AK, bliskim współpracownikiem „Kordiana". I on za tę walkę z hitlerowskim okupantem w PRL zapłacił wysoką cenę: wielu lat więzienia, wybiciem wszystkich zębów, okaleczeniem, zrujnowaniem całej jego rodziny, całego dorobku życiowego.

Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z dnia 7 września 1951 r. sygn. Sr. 709/51 Stanisław Ździebło skazany został na karę łączną 8 lat więzienia, utratę praw publicznych na 3 lata i przepadek całego mienia. Po przełomie październikowym Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy wyrokiem z dnia 15 marca 1958 roku sygn. VII K 186/57 uniewinnił Stanisława Ździebłę, ale majątku, którego go na podstawie uchylonego wyroku pozbawiono, Kraków, dla którego wraz z bratem „Kordianem" tyle zrobił, dotąd mu nie zwrócono.

Związana z ruchem niepodległościowym siostra Anna Ździebło ps. „Hela" po wyjściu z Ravensbrück w 1945 r. i powrocie do Polski umknęła przed aresztowaniem przez UB, była zmuszona się ukrywać pod nazwiskiem Marii Puławskiej w Krakowie, pod Krakowem i w Poznańskiem. Na Śląsk do swego rodzinnego Jastrzębia mogła wrócić dopiero po 9 latach ukrywania się.

Dla władz okresu stalinowskiego rodzina Ździebłów należała do wrogów nie tylko politycznych ale i ideologicznych. Brat „Kordiana" i Stanisława — teolog-misjonarz ks. Izydor Ździebło, wychowawca seminarium duchownego w Krakowie, a bodajże po likwidacji przez władze Wydziału Teologicznego na Uniwersytecie Jagiellońskim, Wyższego Seminarium Duchownego w Gorzowie Wlkp. zginął tragicznie w latach sześćdziesiątych. Ździebłowie byli ludźmi z charakterem. Opowiadał mi nieżyjący już dzisiaj Stanisław Ździebło jak to w czasie przesłuchania funkcjonariusz UB zarzucił mu, iż „Ty i twój brat chcieliście obalić ustrój, a ten trzeci, ten klecha też był przeciw. Wszyscy płyniecie pod prąd. No dlaczego?". — Bo z prądem płyną tylko zdechłe ryby — odezwał się nie wytrzymując Stanisław Ździebło. Ta wypowiedź kosztowała go wybicie wszystkich zębów.

Ostatnie lata

Sytuacja materialna „Kordiana" była niezwykle ciężka. Po odzyskaniu wolności „Kordian" tylko w okresie gorącego Października 1956 odegrał ważną rolę. Potem wierny pewnym zasadom nie przyjął ofert ówczesnych władz. Władze zaś skazały go powtórnie, tym razem na zapomnienie. Z pomocą przyszedł mu jego gimnazjalny kolega, Jerzy Kucharczyk z Ministerstwa Górnictwa w Katowicach, gdzie wówczas był dyrektorem. Stan zdrowia Dominika Danowskiego-Ździebły był jednak taki, iż od sierpnia 1959 r. ten energiczny i pełen zapału 45-letni mężczyzna przeszedł na rentę inwalidzką. Nadal jeszcze dorabiał sobie do nędznej renty, aby pomóc żonie w utrzymaniu rodziny powiększonej o urodzonego 13 czerwca 1960 r. syna Jacka. W kwietniu 1961 r. „Kordian" przeszedł pierwszy zawał serca, drugi 13 stycznia 1962 r. dopadł go na ruchliwej katowickiej ulicy i okazał się śmiertelny. Konał wśród zgiełku przechodniów, nikomu nieznany wielki Polak, najwybitniejszy dowódca AK ze Śląska, wspaniały człowiek, który jak twierdzą niektórzy żołnierze AK, swoją odpowiedzialną postawą dowódcy w pewnym sensie przyczynił się do uratowania nie tylko wielu Polaków, ale i pomnika naszej kultury i historii, jakim jest Kraków.

Ta śmierć była wynikiem uwięzienia i stosowanych wobec „Kordiana" zbrodniczych metod śledztwa. Potwierdził to Sąd Najwyższy — Izba Wojskowa, w swoim orzeczeniu z dnia 15 czerwca 1993 r. rozstrzygając problemy prawne dotyczące interpretacji przepisu ustawy z dnia 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego.

Kiedy w listopadowe Święto Zmarłych przechodziłem główną aleją katowickiego cmentarza przy ulicy Francuskiej, przy której spoczywają Wojciech Korfanty i Jerzy Ziętek, niedaleko wejścia, po lewej stronie, dostrzegłem skromną płytę z napisem: „Mgr Dominik Ździebło-Danowski b. major AK „Kordian", Dowódca Zgrupowania „Żelbet" Kraków, ur. w Jastrzębiu w 1914 r., ÷ w Katowicach 1962 r. Żołnierze „Żelbetu"...". Jak mi opowiadał kiedyś brat „Kordiana", Stanisław Ździebło, treść napisu na tej tablicy jak i sam pogrzeb kontrolowały służby bezpieczeństwa. Mimo tego pogrzeb był manifestacją.

„Kordian" pozostawił żonę Helenę — byłą więźniarkę radzieckich kazamatów i dalekiej Syberii, żołnierza PSK u Andersa oraz trzech synów: Jana Danowskiego-Ździebłę (inżyniera i dyrektora śląskich kopalni) oraz Zbigniewa i Jacka (lekarzy).

Już po zmianie systemu w Polsce władze rodzinnego Jastrzębia imieniem Dominika Ździebły nazwały jedną z ulic. Podobne kroki poczyniły władze Krakowa. Środowisko kombatanckie przygotowuje też wniosek o pośmiertne awansowanie „Kordiana" do stopnia generała brygady.

Może jednak nieformalny, ale najokrutniejszy wyrok skazujący „Kordiana" na zapomnienie zostanie nareszcie uchylony i w Polsce, w tym szczególnie na Śląsku, ta wspaniała postać doczeka się należnego jej miejsca w naszej zbiorowej pamięci.

* * *

Autor i Redakcja „Śląska" zwracają się do byłych podkomendnych i współtowarzyszy walk „Kordiana" o podzielenie się wiadomością o tym niezwykłym i zapomnianym Ślązaku, ofierze stalinizmu, który całe swoje życie poświęcił walce o niepodległy byt Państwa Polskiego. ■

Pewne miejsca, rzeczy, sytuacje przywołują obrazy. Niczym proustowska „magdalenka" stanowią bodziec poruszający najgłębsze struny duszy. Rozbrzmiewają tym wszystkim, co kojarzy się z ukochanymi osobami, miejscami, wydarzeniami. Tym wszystkim, co stanowi więź z ziemią, na której się urodziliśmy, na której dorastaliśmy, na której znamy każdy kamień i każde drzewo. Wszystko to decyduje o pewnej magicznej otoczce, otoczce związanej z „małą ojczyzną", o poczuciu przynależności narodowej oraz zdolności do samookreślenia się.

W poszukiwaniu straconej tożsamości

Coś się jednak załamało, w pewnym momencie utraciliśmy tę „magię", ową szczególną więź łączącą z „małą ojczyzną". Znaczny wzrost liczby mieszkańców Śląska i ich nadmierne zagęszczenie doprowadziły do przekroczenia swoistego progu anonimowości, powyżej którego otaczający ludzie stali się bezimienni, miejsca przestały cokolwiek znaczyć. Utraciliśmy pewne szczególne śląskie poczucie familiarności i swojskości. Wtłoczeni w wielopiętrowe budynki na pozbawionych wyrazu, szarych i zimnych blokowiskach — noclegowniach stojących niczym wyrzut sumienia na gruzach takich osiedli jak choćby Giszowiec tracimy wspomnianą więź już w samym miejscu zamieszkania. Ludzie przestali tam poszukiwać więzi z innymi, są rządzeni przez prawa rynku.

Świat uległ przeorganizowaniu, pęd ku ciągłemu lepiej, więcej, taniej stał się życiową koniecznością. Bauman uważa, że współczesny człowiek przechodzi w życiu przez wiele niespójnych, a czasem nawet sprzecznych wewnętrznie społecznych światów. Z każdego z nich jest wykorzeniony, nigdy i nigdzie nie może powiedzieć „jestem u siebie".

Tę właśnie sytuację wykorzenienia, utraty emocjonalnego związku z otoczeniem chciałbym potraktować jako punkt wyjścia do krótkich rozważań na temat poczucia tożsamości narodowej dzisiejszych Ślązaków. Chcę jednak na wstępie zaznaczyć, iż narodu nie będę traktować przez pryzmat takich kryteriów jak: wspólnota losów historycznych, kultury, języka, terytorium oraz życia ekonomicznego istniejących w świadomości jego członków. Można być przecież świadomym tych wszystkich (lub co częściej się chyba zdarza tylko niektórych) elementów, nie odczuwając równocześnie absolutnie żadnej więzi, żadnego poczucia przynależności i świadomości narodowej. Chciałbym skupić się na nieco innym wymiarze, a mianowicie na wszystkim, wiążącym się z tym, co tak trafnie oddaje niemiecki termin „Heimat". Naród nie jest tylko świadomością posiadania pewnych „stycznych" z innymi ludźmi. Świadomość taka nie implikuje automatycznie poczucia wspólnoty. Naród jest już sam w sobie poczuciem tej wspólnoty. Istnieje on tylko w takiej mierze, w jakiej jego członkowie identyfikują się intelektualnie i emocjonalnie ze zbiorowością. Naród jest w tym sensie przejawem wspólnoty świadomości owej wspomnianej wcześniej „magii".

Czy w tym świetle możemy mówić o tak często poruszanym dziś temacie jak istnienie narodu śląskiego, uznanego przez sąd jedynie za grupę etniczną?

Nie jest moim celem odpowiadanie na tak postawione pytanie, lecz jedynie pobudzenie do indywidualnego namysłu nad istnieniem specyficznej kategorii śląskości.

Dziś w czasach przelotności, przygodności kontaktów, postępującej uniwersalizacji w granicach globalnej wioski na nowo zaczynamy poszukiwać i odkrywać pragnienie wspólnoty, jako swoistego pogodzenia indywidualizmu z zespołowością. Lecz czy człowiek unoszony falami ekonomicznej konieczności jest jeszcze w stanie odnaleźć zagubioną tożsamość, czy w tak zindywidualizowanym świecie jest w stanie oprócz wszędobylskiego „ja" uchwycić w sobie emocjonalne „my". Nie mówię tu o wypaczonej identyfikacji dychotomicznego przeciwstawienia się mniej lub bardziej abstrakcyjnym innym. Mówię tu o uczuciu prawdziwego związku z ziemią i ludźmi, którzy nas otaczają, poczuciu przynależności i zdolności do samookreślenia się w ramach określonej wspólnoty. Jest to może uczucie zbyt romantyczne w tak zracjonalizowanej rzeczywistości. Lecz to właśnie ta bezduszna racjonalność skłania do wszczęcia poszukiwań za jakimś punktem oparcia, do podjęcia prób odnalezienia własnej tożsamości.

Na wstępie padły słowa mówiące o utracie tego niedefiniowalnego czegoś, co stanowiło o silnym poczuciu tożsamości narodowej Ślązaków. Utrata tradycyjnych elementów tej więzi, stanowiła niezaprzeczalną konieczność historyczną. Presja rozwoju cywilizacyjnego odcisnęła na Śląsku (choć oczywiście nie tylko tam) wyraźne znamię. Wszystko to, co stanowiło o niegdysiejszej tradycyjności „śląskości", z jej tradycyjnymi ośrodkami skupienia, by spłycając znacznie temat wymienić choćby tylko familok (słowo mające już genetycznie wpisane w siebie poczucie rodzinności czy wspólnotowości) czy kopalnię.

Nie mam zamiaru być piewcą tego co minęło. Rozwój cywilizacyjny świata musiał automatycznie pociągnąć za sobą konieczność dokonania pewnych przewartościowań. Zmiany w tradycyjnym stylu życia, pracy, w hierarchii wartości stanowiły swego rodzaju koszty własne, koszty cywilizacyjne, zwielokrotnione zresztą przez miniony ustrój permanentnego niedoboru i nieracjonalnie prowadzonej gospodarki. Równając z ziemią tradycyjne śląskie osiedla, nie zaoferowano niczego w zamian. Pozbawione treści betonowe pudełka skutecznie pozbawiały tej iskierki magii, owego emocjonalnego związania ze swoim środowiskiem. Wzrost liczby napływających na Śląsk w poszukiwaniu pracy ludzi z innych regionów Polski rozmył poczucie solidarności i jedności często już w najbliższym otoczeniu, jednak z drugiej strony wyzwoliło to i wzmocniło „negatywną" tożsamość narodową, szowinizm oparty na jawnej wrogości i przeciwstawieniu lepszego „my" gorszym „im".

Do tych i innych procesów dochodzi element kolejny. Konieczna, a tym samym nieunikniona restrukturyzacja górnictwa. Ograniczenie zatrudnienia w tym sektorze zmienia tradycyjny model rodziny z niepracującą żoną, sukcesją zawodową syna po ojcu oraz silne związanie z zakładem pracy. Ten upadek pociągający za sobą automatycznie zmianę oblicza tej ziemi stanowi zamknięcie pewnej epoki w historii Śląska.

Nakreślona tu została wizja może nieco apokaliptyczna, jednak w swych zasadniczych aspektach oddająca ducha naszych czasów. Czy w takiej sytuacji możliwe jest zaistnienie imaginacyjnej wspólnoty angażującej emocjonalnie i intelektualnie swoich członków?

Za odpowiedź niechaj świadczy tak żywa debata na temat śląskiej tożsamości narodowej odbywająca się chociażby na łamach tego miesięcznika. Jest to o tyle zaskakujące, a zarazem optymistyczne, że po latach uśpienia i wykorzeniania poczucia istnienia odrębności narodowej i poczucia tożsamości Ślązaków okazuje się, że „magdalenka" nie straciła jeszcze smaku. Świadomość istnienia poczucia tożsamości wciąż wywołuje burzliwe dyskusje. Jednak jedno jest pewne — nowa odrodzona wspólnota jest zasadniczo różna od dawnej, tradycyjnej. Tak jak zmieniły się czasy, tak też zmienił się skład ludnościowy tych ziem. Istnieje zatem konieczność zdefiniowania na nowo wyznaczników konstytuujących tę nową śląską tożsamość w warunkach, gdy relatywnie jest coraz mniej prawdziwych „pniaków", ale zarazem gdy „krzoki" zaczęły się ukorzeniać, a „ptoki" założyły już stosunkowo trwałe gniazda.

MARCIN JAKUBOWSKI

Literatura instant

JACEK WOJCIECHOWSKI

Od pewnego czasu na międzynarodowych targach książki, gdziekolwiek są, daje się zauważyć praktyka handlowania nie tylko książkami, lecz także pomysłami na książki, głównie literackie, a dokładniej — powieściowe. Pod rozwagę poddaje się nawet nie półprodukt jeszcze, a zaledwie zamysł, intencję, szkic. Przypomina to zupę w proszku albo kawę instant.

Po wymyśleniu edycji próbnych, od których następnie zależy ostateczny nakład, dokonał się najwyraźniej kolejny krok w kierunku pełnego dopasowania rynku wydawniczego do rzeczywistego popytu. To nie jest pomysł efemeryczny, na jeden sezon — wygląda na to, że nie zniknie. Co dla książki literackiej oznacza nową sytuację, a zarazem stanowi świadectwo, co jeden z drugim (także wydawcy) uważają za literaturę oraz za powieść.

Powieść w proszku

Zamiast więc produktu literackiego, gotowej powieści do przeczytania, pojawia się tylko oferta pomysłu na powieść. Równie dobrze handel roślinami dałoby się zastąpić przez handel nasionami. Z których może coś wyrośnie, ale może nie.

Wszystko zaś dlatego, że wydawca wolałby nie ryzykować nadmiernie. Owszem, bywa dobrym wujkiem, ale w umiarkowanym zakresie. Koszt produkcji książki jest dostatecznie wysoki, żeby za ryzyko nie brać się codziennie.

Na krajowy rynek „rzuca" zatem nakład próbny i obserwuje jak biega, a potem dodrukowuje następne setki egzemplarzy albo nie. Ale to jest dawkowanie wytworu gotowego, ostrożne rozlewanie zupy, która już istnieje.

Współpraca międzynarodowa stwarza inną szansę. Można porozmawiać na temat intencji powieści, nim została napisana (więc przed kosztownym etapem produkcji) — w oparciu o zreferowaną treść, więc po przedstawieniu przepisu, w najlepszym wypadku: proszku. W zamian rysują się możliwości sporego szmalu. Można już na pniu skierować tekst do tłumaczenia, można koszt edycji rozłożyć na kilka wydawców w rozmaitych krajach i można myśleć o setkach tysięcy nakładu. Albo — nie widząc nadziei — można dać za wygraną.

Oczywiście, można w ten sposób zreferować jedynie fabułę, opisać składniki, akcesoria, jak na torebce z produktem spożywczym. On jest taki, ona jest taka, ich losy potoczą się tak i tak. Będą cztery trupy, dwa „momenty" umiarkowanie śmiałe oraz trzy możliwe wersje zakończenia. Panowie wydawcy wybierają, akceptują, albo mówią: nie.

Na tym etapie zwykle nie ma jeszcze mowy o autorze. Ważny jest sam produkt w zarysie, choć byłoby dobrze, gdyby ktoś mniej więcej znany użyczył swojego nazwiska.

Fabrykacja

Wszystko to nie jest w każdym szczególe ani tak do końca nowe. Nowy jest całkowity brak skrupułów w tym postępowaniu oraz skala zjawiska. Mamy do czynienia z czymś na kształt fabryczek literatury.

Bo samo pisanie tekstów literackich — może zresztą nibyliterackich albo słaboliterackich — według narzuconego schematu, było i jest uprawiane od dawna. Murzynami pióra posługiwał się podobno George Simenon, produkując kolejne opowieści o komisarzu Maigret, natomiast to jednak on sam nadawał ostateczny szlif wszystkim produktom. Piszącymi wyrobnikami posługiwał się też rosyjski superproducent pseudohistorycznej chałtury, Walentyn Pikul — który w dodatku pisać właściwie nie umiał, a opowieści naprodukował bez liku. No więc jeżeli to w ogóle była i jest literatura, to jednak najniższych, owadzich lotów.

Taką fabrykację, z uwagi na dość prosty, prymitywny rozkład powinności, dałoby się nazwać manufakturalną. Ale oprócz tego rękodzieła, pojawiły się już wcześniej przemysłowe formy produkcji (niby)literackiej, wykreowane przez filmowe fabryki snów. Mowa o prefabrykatach, zwanych scenariuszami.

W rozwiniętej produkcji filmowej pisanie scenariuszy — tekstów poniekąd jeszcze literackich — zatraca charakter indywidualny. Odnotowane w czołówkach nazwiska scenarzystów sygnalizują już to pomysłodawców fabuł, bądź ostatecznych koordynatorów, stąd tak częsta tożsamość z nazwiskami reżyserów. Szczegóły natomiast wytwarza się w sposób wyspecjalizowany: segmentami.

W filmowym scenopisarstwie funkcjonują specjaliści od żartów oraz od gagów. Są też wyspecjalizowani producenci scen (tj. ich przebiegu) emocjonujących, sentymentalnych albo erotycznych. No i są jeszcze fachowcy od konstruowania dialogów — koniecznie zwartych, lapidarnych i dowcipnych.

Każdy w swojej specjalności produkuje to, co mu zlecono. Albo pisze i ktoś inny zlepia segmenty w całość — albo rozwija oraz wzbogaca w szczegóły cudze pomysły. Potem zaś naczelny scenarzysta (naczelny koordynator) zlepia te produkty w mniej lub bardziej spójną całość.

Historyjki

Można i oczywiście należy zadać sobie pytanie: cóż w tym złego? Ostatecznie nie jest przecież ważna technologia produkcji czegokolwiek, lecz efekt końcowy, produkt, rezultat. Otóż rzeczywiście diabeł tkwi w wyniku — mianowicie ten sposób produkowania (określenie „twórczość" nie ma już zastosowania) tekstów sprowadza się do wymyślania fabuł, do opowiadania historyjek: kto z kim albo przeciw komu oraz co wydarzyło się następnie.

Tak zwana topika, więc sekwencje fikcjonalnych zdarzeń, towarzyszy literaturze oraz innym formom narracyjnym (np. filmowi) od dawna, w gruncie rzeczy od zarania. Ale nie jest i chyba nie była składnikiem głównym, najważniejszym ani nawet bezwzględnie koniecznym.

Co więcej: zasoby topiki, jakkolwiek bogate, nie są przecież nieograniczone. Ilość historyjek do opowiedzenia, nawet jeśli znaczna, ma swoje granice, które przy masowej i przemysłowej produkcji zostały najprawdopodobniej już osiągnięte. Charakterystyczne schematy fabularne — np. on, ona oraz ten trzeci, albo: same kanalie i jeden sprawiedliwy — zaczynają powtarzać się z irytującą częstotliwością.

To najwyraźniej rzuca się w oczy w obiegu drugorzędnych oraz dalszorzędnych filmów fabularnych, gdzie w scenariuszach (jeśli tak można je nazwać) miesza się i skleja te same, nieliczne w końcu, sceny, zdarzenia i rekwizyty. Ładna buzia, różne rodzaje broni długiej i krótkiej, ketchup, goła pupa, porozbijane atrapy samochodów: ile można wykombinować wariantów? Istnieje ogromne zapotrzebowanie na nowe wątki, ale zasoby zostały wyeksploatowane. No więc zalatuje nudą i monotonią jak z nieczynnego kanału.

Dokładnie to samo stało się w kręgu literackich („literackich"?) tekstów TYLKO fabularnych. Czytelnik czyta i ma irytujące wrażenie, że już to czytał wielokrotnie poprzednio.

Producenci historyjek oraz wytwórcy składników tych historyjek łamią sobie głowy nad nowymi pomysłami, ale szanse odkrywania wydają się nikłe. Stąd zapewne próby ekspansji na obszary nowe: handel historyjkami-w-kawałkach na targach produktów, dotychczas oferowanych w całości. Bo może się uda.

Nie wygląda jednak na to, żeby szanse powodzenia były rozległe. Jakkolwiek co lepszym fabularystom bezrobocie na razie zapewne nie grozi. Natomiast w dłuższym wymiarze czasu może być różnie.

Poza fabułą

Tymczasem literatura z fabułą nie brała ślubu, nie związała się z nią na dobre i złe — jeśli długo przeegzystowały razem, to na kocią łapę. Więc to nie jest tak, że jeśli istnieje fabuła to od razu istnieje literatura. Ani nie jest tak, że jak nie ma fabuły, to nie może być literatury. Przeciwnie: w wyniku opisanych tu okoliczności twórczość literacka coraz częściej usiłuje obejść się bez fabuły i jest to możliwe.

Już przecież od dawna z fabułą rozeszła się poezja i żyje. Od dłuższego czasu trwa zaś postępowanie rozwodowe w prozie, trudniejsze ale też realne. Tak więc fabuła z powieści coraz częściej wyparowuje, względnie ulega poszatkowaniu albo redukcji do rozmiarów śladowych. Nie każdy to lubi, lecz alternatywą jest powtarzanie tych samych wątków, jak w tasiemcowych serialach.

A można uciec od fabuły dlatego, że nie stanowi sedna literatury — ma charakter pretekstu, sztafażu, jest jak wabiący zapach lub kolor. To jedynie skórka, pod którą ukrywa się owocowy miąższ.

Tak naprawdę to dba o nią przede wszyskim szkoła, z powodów czysto instrumentalnych. Panuje bowiem opinia, że przymus fabrykowania streszczeń fabularnych wyegzekwuje czytanie tekstów literackich przez uczniów przeciętnych i kiepskich. Lecz prawda jest inna: to tylko sposób na przekartkowanie fabularnych bryków.

Kto wie zresztą, czy to nie stąd wywodzi się związek przyczynowo-skutkowy. Oto bowiem później, byli uczniowie przeciętni i kiepscy, biorą się za pomysły fabrykowania literatury w proszku.

Dokładniej: „literatury". Ponieważ istotą literatury prawdziwej jest zupełnie coś innego. Mianowicie problematyka, wokół której okręca się każdy rozsądny tekst. Refleksja na czytelniku wynegocjowana. Wywołane wrażenia, odczucia, jak też przyjemności.

Otóż tego wszystkiego literatura instant nie oferuje. Ani na etapie koncepcji, ani na etapie produkcji, nikt nie rozczula się nad czymś takim. Cały wysiłek skupia się na wypromowaniu oraz wyprodukowaniu opowiastek fabularnych, zaserwowanych w kawałkach — które ewentualnie uda się sprzedać.

Pęknięcie

Tak czy inaczej, w podaży oraz w obiegu piśmiennictwa nieinformacyjnego, fikcjonalnego, nastąpiło radykalne i dramatyczne pęknięcie. Na jednej orbicie funkcjonuje nadal intelektualna, artystyczna literatura piękna. Na orbicie drugiej natomiast, już teraz osobnej, kręci się literacka tandeta, więc literatura z proszku.

W jakimś sensie ten podział istniał już od dawna, jeśli nie od zawsze, ale wydawało się, że to wciąż jest jedna i ta sama rodzina. Teraz, przez radykalną zmianę produkcyjnej technologii, pęknięcie jest bardzo głębokie i kto wie czy odwracalne; czy to można jeszcze skleić oraz czy wiadomo po co.



Rys. Ryszard Twardoch

Nie byłoby sprawy, gdyby rozłam miał wyłącznie charakter zewnętrzny, formalny. Tymczasem jest poważniejszy.

U genezy bowiem, u źródeł, pojawił się rozdział na literacką produkcję komercyjną, nastawioną wyłącznie na zysk oraz na twórczość niekomercyjną. W dłuższym wymiarze czasu można oczekiwać wypierania i raczej nikt nie ma złudzeń, co będzie siłą wypierającą, a co ulegnie wyparciu.

Wbrew pozorom: z obopólną szkodą. Literackie produkty komercyjne muszą bowiem liczyć się z konkurencją tandety audiowizualnej — w obszarze produkcji czysto fabularnej takie zagrożenie istnieje. Zarazem monotonia prostych, identycznych fabuł, nie zapowiada nadmiernego wzięcia bądź krociowych zysków. No i następuje utrata figowego listka, który literatura artystyczna udostępniła literaturze tandetnej, dopóki stanowiły rodzinę. Odtąd kicz literacki będzie już kiczem nagim, a ta nagość akurat niejednego odstręcza.

Z kolei „literatura literacka" stanie się prawdopodobnie literaturą elitarną, o nikłym obiegu. Bez zaplecza produkcji komercyjnej może nawet mieć trudności z zaistnieniem.

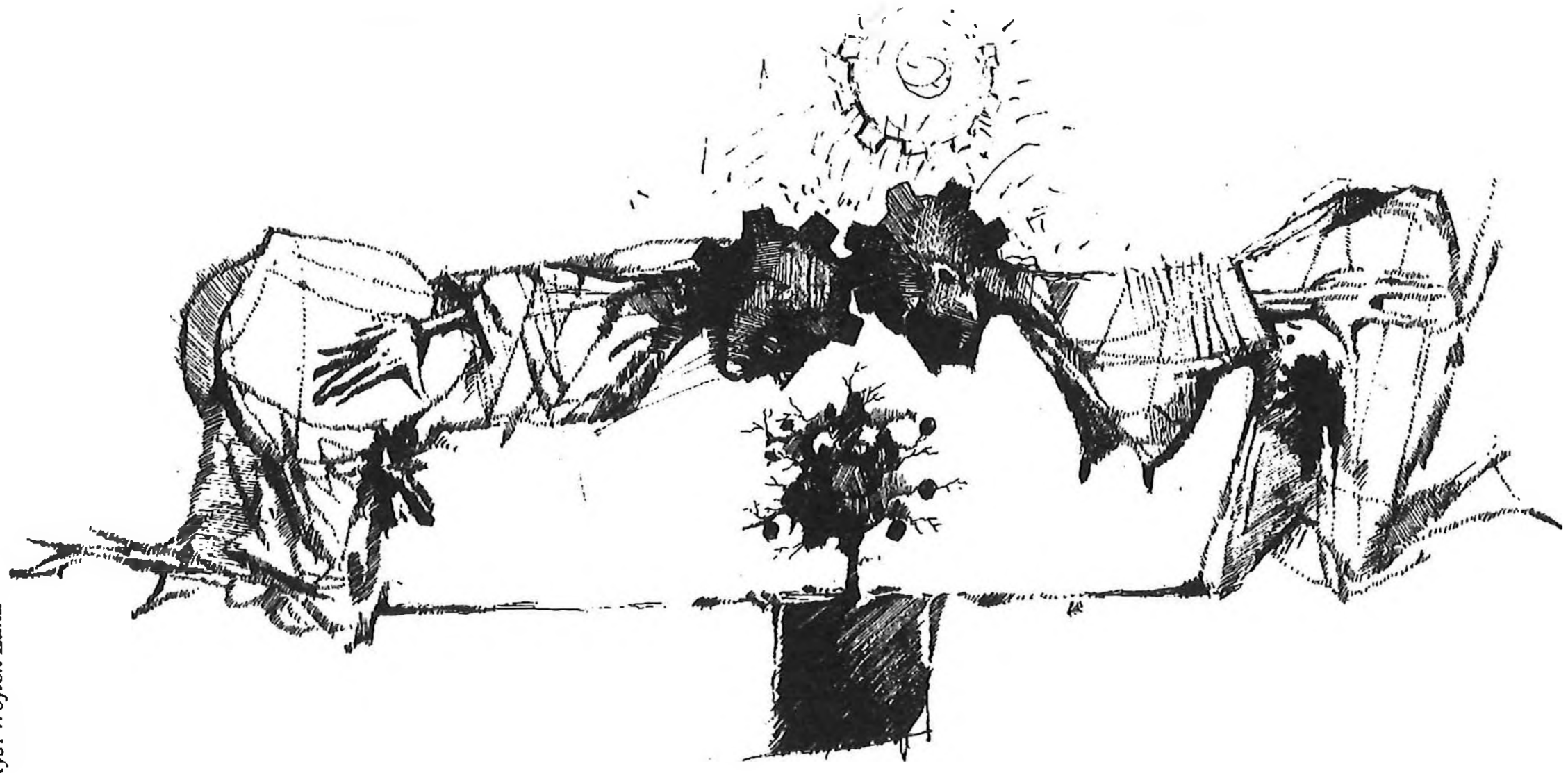
W tej chwili publiczność literacką w Polsce da się oszacować na 20 proc. populacji dorosłej, z czego stali odbiorcy literatury prawdziwie literackiej stanowią około 7 proc. — nie więcej. To wciąż jeszcze sporo, byłoby nawet kilka miejsc w Sejmie, jednak tendencja jest malejąca. Nie można przewidzieć jak będzie jutro.

Pęknięcie oznacza więc kryzys dla obu pękniętych stron, mocno kłopotliwy, choć niby to jeszcze nie śmierć. Literatura tandetna i literatura intelektualna są sobie potrzebne, jak noga lewa i prawa — żeby posłużyć się znaną metaforą.

Dopóki zatem na targach książki oraz w księgarniach i bibliotekach występują obok siebie, to jeszcze nie jest aż tak źle. Początek kłopotów poważnych zasygnalizuje się dopiero wtedy, kiedy rozpocznie się wypieranie. Wówczas na stoiskach, ladach, regałach, obok literackiej tandety, może nagle zabraknąć literatury artystycznej, bo żaden wydawca nie zechce zaryzykować grosza. Tak wprawdzie nie musi być, ale duże prawdopodobieństwo istnieje.

MICHAŁ WROŃSKI

Bajdoła



Rys. Wojtek Łuka

BURZA

Bajdoła nie bała się błyskawic i piorunów. Kiedy — pomrukując — zbliżała się letnia burza, wychodziła podniecona na balkon i brała na siebie pierwsze krople deszczu, jak pieszczotę. Lubiła, gdy w strugach ulewy mokra sukienka przyklejała się do ciała. Właśnie taką zobaczył ją kiedyś Bajgór, który wszedł niespodziewanie na balkon. Widząc błyszczące ciało w świetle błyskawicy, powiedział:

— Jesteś wspaniała!

Bajdoła krzyknęła przestraszona, bo nie spodziewała się człowieka w tym miejscu. Ale jej krzyk zagłuszył piorun, który uderzył w antenę telewizyjną sąsiada.

DYWAN

Jakiś człowiek zapukał do drzwi Bajdoły i chciał sprzedać jej dywan. Zawahała się czy go wpuścić, bo nasłuchała się o napadach i gwałtach, a poza tym na wszystkich podłogach miała położoną pomarańczową wykładzinę. Ale mężczyzna wyglądał przyzwoicie i był nieporadnie nieśmiały; przestępował z nogi na nogę, trzymając oburącz dwumetrowy rulon — jakby się bronił. Nawet jamnik Bingo nie szczekał.

— Proszę, niech pan wejdzie. Ja nie potrzebuję dywanu, ale zadzwonię do koleżanki, może ona kupi...

Przyjaciółki nie było w domu, zrobiła kawy i usiedli w ulubionym kąciku Bajdoły. Rozmawiali do wieczora. O Bogu, o czasie, o gwiazdach, o przyrodzie, o przypadku; kiedy zaczęli mówić o miłości, Bingo zaczął warczeć. Bajdoła nagle wyczuła, że taka rozmowa może skomplikować jej życie. Spojrzała na zegarek (zaraz miał przyjść Bajgór) i przybysz zrozumiał, że musi już iść.

Odszedł, zostawiając zwinięty dywan w przedpokoju. Po krótkiej kłótni Bajdoła i Bajgór wystawili rulon na korytarz, skąd zniknął po kwadransie.

DZIECKO

Bajdoła zrozumiała kiedyś w jednej sekundzie, że świat ludzi nie jest taki skomplikowany, jak myśli Bajgór. Po prostu w cyklicznym oddechu czasu odnawia się co pokolenie; tak jak drzewa, które co roku zrzucają liście, aby zastąpić je nowymi. To ludzie w strachu przed śmiercią, aby żyć wiecznie, moszczą się w swoich grajdołach, spychając innych. Z mozołem budują wielopiętrowe kruche konstrukcje, które i tak runą zdmuchnięte w jednej chwili. Bo trzeba ustąpić miejsca następnemu w kolejce.

Bajdole zrobiło się jasno w głowie, ale smutno. Spojrzała na fotografie sprzed kilkunastu lat, potem zerknęła na swoją twarz w lusterku i rozpłakała się.

Miała już suche oczy, kiedy przyszedł Bajgór i przepraszając za spóźnienie, zaczął narzekać na komunikację miejską. Klął tak zabawnie, że Bajdoła zaśmiewała się do łez.

Ale wieczorem, uroczyście poważna, wyznała Bajgórowi cicho, że chciałaby mieć dziecko. Bajgór był przerażony, bo wyobraził sobie, jak takie dziecko skomplikuje jego życie.

Nie rozmawiali o tym już więcej.

GWIAZDY

Bajdoła postanowiła spędzić noc pod gwiazdami. Nadmuchała materac i rozłożyła go na balkonie. Noc była upalna, duszna i usnęła nago dręczona ciężkimi erotycznymi snami, zjednoczona z kosmosem. Śpiąc pod gwiazdami tworzyła nowe niezależne światy, w rozkoszy i bólu...

Kiedy następnego dnia opowiedziała o tym Bajgórowi, ten pocałował ją i powiedział banał:

— Wiesz, każda kobieta jest twórcą kosmosu.

Tego dnia długo się kochali. I byli w niebie.

RĘCE

Bajdoła miała dziwną słabość — lubiła, żeby podczas snu jej ręce drętwiały aż do utraty czucia (kładła je pod głową). Po obudzeniu się, czekała: dwie drewniane kłody wracały do życia ukłuciami igiełek; było to rozkoszne — jakby z obcego ciała tworzyło się jej ciało.

Kiedyś, po jakiejś strasznej kłótni z Bajgórem, położyła się, aby przespać swoją winę. Śniło jej się, że Bajgór z bladą twarzą szedł pustą drogą, która przebiegała przez zaorane pola, ponure i śmiertelnie puste. Droga znikała za horyzontem i wiedziała, że jeśli Bajgór tam pójdzie, straci go na zawsze. Krzyczała: „Nie idź tam, Bajgórze! Nie idź!", ale nie słyszał jej. Jak manekin stawiał kroki — ku swojej zgubie...

Obudził ją dzwonek telefonu.

— Bajgór! Przeproszę go. Niech tylko przyjdzie, niech tylko przyjdzie!

Wstała, pobiegła do telefonu, ale przerażona zrozumiała, że nie podniesie słuchawki: zamiast rąk miała nieczujące kłody.

— Nie odkładaj słuchawki, proszę cię!

Ręce powoli wracały do życia. Już miała podnieść słuchawkę, kiedy telefon zamilkł. Siadła na podłodze i rozpłakała się ze wściekłości na Bajgóra.

Ale to nie Bajgór telefonował (przepijał piwem swoją winę), a jakiś M. Wroński do Z. Urbanowej, myląc numer.

ZAPACH DREWNA

Bajdoła należała do nielicznych ludzi, którzy potrafią podziwiać piękno drzew. Po kilku miesiącach znajomości nauczyła tego Bajgóra i nieraz ku rozbawieniu przechodniów zatrzymywali się nagle urzeczeni cudownie potarganym liniom gałęzi, niasamowitym kształtem pnia, czy fakturą rozfalowanej kory. Często jeździli do lasu, aby nasycić się widokiem drzew i zawsze dziwiło ich, że każde jest inne, że każde ma niepowtarzalny kształt — jak niepotwarzalne u ludzi są linie papilarne.

Kiedyś na miejscu swojego ulubionego lasu zastali pustynię z niskimi pniakami. Stali oniemiali, wdychając świeży zapach ciętego drewna. Bajdoła czuła, że zaraz się rozbeczy. Bajgór podszedł do jednego z pniaków i zaczął liczyć słoje.

— Chodź, zobacz, tutaj się urodziłem!

MRÓWKI

Inwazja mrówek faraona na dom Bajdoły przyszła znienacka, ale stopniowo. Najpierw Bajgór znalazł mrówkę na talerzu z kanapkami, powiedział o tym Bajdole (była przerażona) i wykonał egzekucję. Następnego dnia znaleźli mrówki w łazience i w kuchni koło kosza na śmieci. Potem małe ruszające się punkciki opanowały mieszkanie Bajdoły. Były wszędzie. Bajgór zwolnił się z pracy i zajadle tropił mrówki. Zabijał je na różne sposoby: topił, truł, rozgniatał palcem. Któregoś wieczoru, kiedy zmęczeni walką siedzieli przy lampce wina, Bajdole przyszły nagle pacyfistyczne myśli:

— Właściwie — powiedziała — jakim prawem zabijamy te stworzonka? Dlaczego decydujemy o ich życiu i śmierci?... Bogowie się znaleźli. A gdyby tak nas ktoś rozgniatał palcem?...

Bajgór, który był także znanym przeciwnikiem kary śmierci, zrobił niewyraźną minę i żeby ją zamaskować, łyknął wina.

— Niech sobie żyją! — powiedziała Bajdoła, zdejmując łagodnie mrówkę faraona z kieliszka. — Jakoś się do nich przyzwyczaję. Właściwie już się przyzwyczaiłam.

— Jeśli w domu trzyma się psa, to dlaczego nie można mieć mrówek — przyznał Bajgór.

I zostawili mrówki w spokoju. Ale co najdziwniejsze po tygodniu same się wyniosły od Bajdoły.

— Może takie mrówki też muszą mieć wroga? — zastanawiał się Bajgór.

CIEMNOŚĆ

Elektrownia wyłączyła światło i Bajdoła siedziała na fotelu zaskoczona i samotna. Nigdy nie bała się ciemności, ale ta otchłań pustki i cisza przeraziły ją, bo wyczuła, że jakaś straszna myśl przekrada się do jej głowy. Wstała i po omacku, panicznie zaczęła szukać zapałek i świecznika. Kiedy zapaliła ogień, ta myśl przyszła: W TEJ SEKUNDZIE NA ŚWIECIE UMARŁO TYSIĄCE LUDZI!... Świeczki zamigotały nagle i Bajdoła błagała je, żeby nie zgasły. Ale płomienie poruszył przeciąg, spowodowany wejściem Bajgóra. Bajdoła rzuciła mu się na szyję i wyszeptała o swoim przerażeniu. Bajgór delikatnie ją odsunął i powiedział cicho:

— A w tej chwili, kochanie, poczęto także tysiące ludzi...

KOŃ

Bajdołę zawsze podniecał widok pędzącego konia. Ale była dziewczyną typowo miejską i panicznie bała się dużych zwierząt. Gdzieś w mrokach pamięci wydawało jej się, że będąc dzieckiem siedziała na wielkim wierzchowcu i galopowała dokoła wiejskiego podwórka. Obraz ten z wiekiem stawał się coraz bardziej wyraźny; widziała więcej szczegółów: drewnianą chatę na skraju podwórza, kasztanowatą maść konia, kształt jego głowy i szyi. Coraz częściej też koń uczestniczył w jej snach. Miała już iść do psychologa, kiedy przeczytała w gazecie ogłoszenie — reklamę szkółki jeździeckiej „Hegemonia". W tajemnicy przed Bajgórem pojechała tam, aby zmierzyć się ze strachem i zrealizować fantastyczną wizję. Ale kiedy doszła do stadniny, zobaczyła tłum kobiet, mężczyzn i dzieci kłębiący się wokół instruktora, który rozdawał jakieś numerki. Okazało się, że chętnych do konnej przejażdżki jest tak wielu, że jazda z numerkiem 1678, jaki dostała, mogłaby być zrealizowana za dwa tygodnie. Bajdoła wróciła do domu, zaprosiła Bajgóra na koniak i odetchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że konie zniknęły z jej życia.

PLAŻA

Bajdoła opalała się samotnie na plaży (Bajgór poszedł z jamnikiem pooglądać nagie naturystki), mając dłonie pełne piasku i usiłowała wyobrazić sobie miejsce, na którym leżała — milion lat temu. Te ziarenka piasku były głazami? Nad jej głową szumiało morze?... Epoka lodowcowa, mrozy, mamuty. Małpoludy!... Otworzyła oczy i zobaczyła cudowne błękitne niebo z białymi obłokami — jak na landszafcie. Było jej rozkosznie, ciepło, sennie. Oddałaby życie, żeby leżeć tak milion lat...

Ale przybiegł Bajgór z Bingiem i powiedział, że trzeba wracać do domu wczasowego, bo dostaną znowu zimną zupę.

PRZESZŁOŚĆ

Było to ulubione drzewo Bajdoły i Bajgóra. W różnych porach dnia i roku siadywali pod nim, aby opowiadać o swoich przeszłościach. Oczywiście nie mówili całej prawdy, bo cała prawda w miłości (a nawet w przyjaźni) jest tak zgubna jak czysty tlen dla ryby. Starali się utrzymać rozsądną proporcję: trzy czwarte prawdy i jedna czwarta kłamstwa. Raz Bajgór — po jakiejś wspaniałej chwili — przesadził i wyznał, że Bajdoła jest jego pierwszą i zapewne ostatnią miłością. Drzewo zaszumiało ostentacyjnie. I nawet dzięcioł, który zaczął stukać w pień jak w

czoło, nie wiedział, czy była to jedna setna prawdy i dziewięćdziesiąt dziewięć setnej kłamstwa — czy też odwrotnie. Bajdole dech zaparło w piersi z chciwości, przez sekundę przyjęła to jako całą, najczystszą prawdę. A nawet wieczorem ugotowała Bajgórowi jego ulubiony, bardzo pracochłonny bogracz, którego nie znosiła robić, a za który Bajgór dałby się zabić.

HISZPANIA

Bajdoła zawsze chciała zobaczyć Hiszpanię, tak naprawdę. Bo w wyobraźni widziała ją codziennie: biało-żółtą, z błękitnym niebem, ze wspaniałymi mężczyznami, z flamenco na każdym placu. W tajemnicy przed Bajgórem zamówiła czasopisma hiszpańskie i zaczęła się uczyć języka Cervantesa. A ponieważ miała nieprawdopodobne zdolności językowe, nauczyła się go w ciągu pół roku i potrafiła nawet rozwiązywać krzyżówki w hiszpańskich tygodnikach. Pewnego dnia Bajgór wpadł — jak zwykle — niespodziewanie i nakrył Bajdolę, jak kończyła wpisywać ostatnie hasło w ogromnej krzyżówce. Nic nie pomogły żadne tłumaczenia — Bajgór przez tydzień szukał w mieście Hiszpana, a ponieważ nie znalazł, zupełnie bez sensu spał małego bruneta z wąsikiem w swoim barze, wybijając sobie przy tym boleśnie wskazujący palec, który potem Bajdoła długo musiała pielęgnować.

WODA

Bajgór nia znał bardziej czystej kobiety od Bajdoły. W domu pierwsze kroki kierowała do łazienki i wchodziła pod prysznic. Potrafiła myć się kilkanaście razy dziennie, a najchętniej siedziałaby w wannie przez cały dzień. W zależności od nastroju używała różnych mydeł, ale Bajgór nigdy nie zgłębiał, które należy do poszczególnych stanów psychicznych. Raz chciał wykryć mydło charakterystyczne dla wściekłości i powiedział jej o planowanej tygodniowej przerwie w dostawie wody. Bajdoła dostała szału i jak przewidział Bajgór, pobiegła do łazienki wziąć prysznic. Ale to wszystko było na nic, bo Bajdoła zamknęła się w łazience i tak nie wykrył mydlanej tajemnicy. A najgorsze, że następnego dnia naprawdę zabrakło wody z powodu pęknięcia rury i wściekły Bajgór musiał nosić całe wiadra z sąsiedniej ulicy, bo bez kąpieli Bajdoła umarłaby Bajgórowi.

BIZNES

Bajgór nie podejrzewał nawet, że Bajdoła jest taka mądra i sprytna. Bowiem za pomocą trzech trafnych posunięć na giełdzie papierów wartościowych kupiła mały samochód i otworzyła duży dochodowy biznes, polegający na metafizycznych poradach: JAK WYGRYWAĆ WE WSZELKICH GRACH LICZBOWYCH I KONKURSACH?... O dziwo, po miesiącu do biura Bajdoły zaczęły napływać dziękczynne listy, zapłakane ze szczęścia matki przysyłały swoje dzieci z czekoladkami, jakiś staruszek zaproponował jej wspaniale małżeństwo, uratowany od krachu szef placówki detektywistycznej obiecał ochronę, a nawet dosyć wysoko postawiony urzędnik administracji państwowej obiecał Bajdole współpracę i stanowisko dyrektora gier liczbowych w następnej jego kadencji. Onieśmielony tym wszystkim Bajgór przyszedł do biura Bajdoły, aby mu poradziła metafizycznie. Bajdoła stanowczo odmówiła, znając Bajgóra, ale po długiej awanturze udzieliła mu trzech rad jak grać. Skutek był taki, że Bajgór wydał wszystkie swoje pieniądze, sprzedał rower, szablę po dziadku, potem pożyczył pieniądze od Bajdoły, wreszcie rozgorączkowany grą wymusił na niej sprzedanie małego auta, a potem po długich szantażach miłosnych - dużego dochodowego interesu. Słowem - byli zgrani do stanu pierwotnego. Nie odzywali się do siebie przez dwa tygodnie, po których Bajgór dowiedział się od Bajdoły, że jest za mało metafizyczny.

PIĄTEK, TRZYNASTEGO

W piątek, trzynastego, Bajdoła pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby Bajgór w ogóle nie istniał. Miałaby wtedy spokój i perspektywę poznania zupełnie innych mężczyzn. Bowiem jego zazdrość była znana w okolicy i Bajdoła musiała nieraz wymyślać nieprawdopodobne historie, żeby umówić się niewinnie na kawę z jakimś przystojnym chłopem. Gdy właśnie myślała o tym, wszedł Bajgór ze swoim karzełkowatym kumplem Bajwodą i powiedział:
— Muszę wyskoczyć na walne zebranie Związku Świeckich Miłośników Koni. Żeby ci nie było smutno, pograj w szachy z Bajwodą. Znasz go... — i nie czekając na odpowiedź osłupiałej Bajdoły, wyszedł. Zanim zaczerwieniony i bardzo speszony Bajwoda wyjął małą szachownicę, Bajdoła wybiegła z mieszkania. Postanowiła wreszcie zdemaskować Bajgóra. Tydzień temu przeczytała w gazecie o rozwiązaniu Związku Świeckich Miłośników Koni z braku funduszy i zmiany politycznej opcji koniarzy.

BAJKÓWKA

Którejś wiosny na zamglonym horyzoncie Bajgóra pojawiła się Bajkówka, zupełnie, zdawałoby się, niepozorna istota o rudych lokach i małym nosku. Bajgór, gdy ją zobaczył — oszalał. Chodził koło niej w kółko, zaglądał w zielone oczka, kupował lody, bluzeczki, staniczki, buciki; raz nawet poszedł z nią na jakiś nudny musical. Kiedy Bajdoła dowiedziała się od swojej serdecznej przyjaciółki, że Bajgór zamierza kupić Bajkówce komplet nierdzewnych garnków, postanowiła działać. Poszła do fryzjera, ufarbowała włosy na rudo, włożyła najkrótszą spódniczkę, jaką miała w swej przepastnej szafie i stanęła pod domem Bajgóra. Ponieważ Bajgór chodził po wszystkich sąsiadach i pożyczał pieniądze na nierdzewne garnki, Bajdoła czekała aż kilka godzin. Wreszcie zdrajca wyszedł z pełnym portfelem i spojrzawszy na zupełnie nową Bajdołę, oniemiał.
— Dobry wieczór, Bajgórze, dawno cię nie widziałam — powiedziała Bajdoła od niechcenia.
— Już jest wieczór? O kurcze! — starał się być miły Bajgór. - Wiesz, chodźmy do parku. Poszuramy sobie po liściach...
Poszli, trzymając się za ręce. Albowiem po wiośnie nastała jesień, przeskakując lato.

NADLEŚNICZY

Bajdoła zawsze skrycie marzyła o mężu nadleśniczym, z którym mieszkałaby w obszernym, drewnianym domu, w środku gęstego szpilkowego lasu. Na ogrodzonym podwórku biegałyby oswojone sarny, zające, lisy, dziki i wiewiórki, a ona siedziałaby na pniaku z poduszką pod pupą i bawiłaby się zwierzętami. Potem gotowałaby mężowi gar bigosu myśliwskiego na cały tydzień, aby mieć czas na rzeźbienie w korze sosnowej, albo na słuchanie płyt z muzyką Chopina, Beethovena i Dworzaka. Tak sobie marzyła, kiedy wpadł jak bomba Bajgór z czerwoną różą w ręku. Bo nagle wydało mu się, że są imieniny Bajdoły. Wzruszona Bajdoła ucałowała Bajgóra i nawet nie przypomniała mu, że imienin nie obchodzi. Po prostu w kalendarzu nie ma jej imienia.

NOGI



Bajdoła wiedziała, że ma doskonałe nogi i zawsze potrafiła tak się ubrać, aby jej łydki, a nawet uda dostrzegane były przez każdego mężczyznę. Bardzo to denerwowało Bajgóra. Nawet miał zamiar kupić jej mały samochód, aby Bajdołowe nogi były schowane pod blachą, ale pomyślał, że przecież, co jakiś czas będą musiały wyjść na zewnątrz i pożałował pieniędzy. Wreszcie pewnego dnia spojrzał uważnie w lustro i zauważył, że ma zupełnie przyzwoicie szerokie ramiona i przyzwoicie płaski brzuch. Kupił sobie trykotową koszulę i spacerując po deptaku, łowił spojrzenia kobiet, co cholernie denerwowało Bajdołę. ■

MAŁGORZATA RYGIELSKA

(Autorka jest studentką Uniwersytetu Śląskiego. Debiutowała w 1995 r. w dwutygodniku „Cogito")

Obserwacje

K.S.

Leniwy rejestr fragmentów:
ognik papierosa w ciemnym przejściu,
wycinek twarzy (oko o długich,
jasnych rzęsach dziecka).
Chlupot piwa w giętkich kuflach.
Ciężkie, duże dłonie, ironiczny półuśmiech,
zarys szczęk (wysoki golf
broni dostępu do tętnic).
Patrzeć nie wystarczy. Poczuć trzeba,
dotknąć.

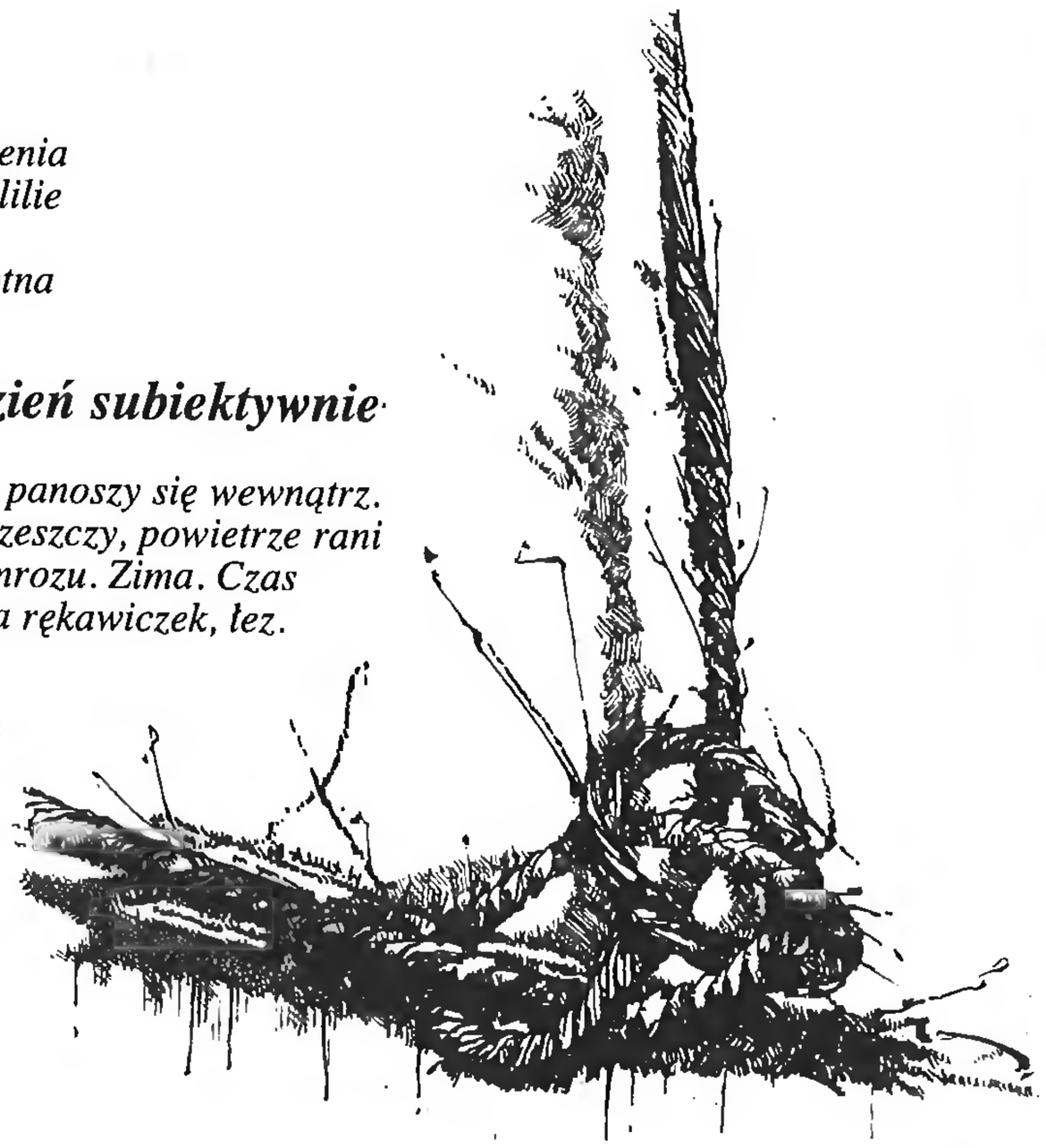
Do mademoiselle z wiersza „Krzesło z rycin Tolouse-Lautreca"

J.W.

Jestem krzykiem
mademoiselle Samotna
nie siedzę w komnacie pełnej zamyślenia
nie mam dłoni giętkich i białych jak lilie
nie płaczę bo to nie przynosi ulgi
Jestem krzykiem mademoiselle Samotna
nikt nie słyszy

Grudzień subiektywnie

Słabość panoszy się wewnątrz.
Śnieg trzeszczy, powietrze rani
igłami mrozu. Zima. Czas
gubienia rękawiczek, łez.



Duchowy ekshibicjonizm

odkrywamy siebie
a czasem zdzieramy skórę
by dotrzeć głębiej
ale to wszystko za mało
bo nawet płatek śniegu
może być początkiem metafory

KALINA TRZĄSKA

(Autorka jest absolwentką kulturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego)

Autoportret

Jestem chłodna jak kostka lodu
Ale wrzucona do miękkiej pościeli
Szybko się roztapiam
Moje dwie stopy
mieszkają w marmurowym stawie
Czasem jestem trudna
Może skomplikowana jak
ścieg szydełkowy albo wzór chemiczny
Studiowałam plażowanie i podróżowanie
A więc z zawodu jestem
Słonecznikiem
Nie jestem pewna czy coś więcej
mnie obchodzi...
Ale wiem, że wy i tak mnie kochacie!

D.G.IX.96.

Podłość

Pan Bóg jej nie pomógł
Musiała to znosić

Na gazetce ściennej zawisł portret Lenina
Podpisałam: ojciec Wesołowskiej

Płakała
To też było zabawne
Jej spuchnięte oczy i czerwony nochal
uczyniły ją jeszcze brzydszą
godną kolejnego szyderstwa

Jej słabość była moją ulubioną grą

Spowiadam się z tego teraz, kiedy
odprawiłam zadaną pokutę
i boli mnie głowa

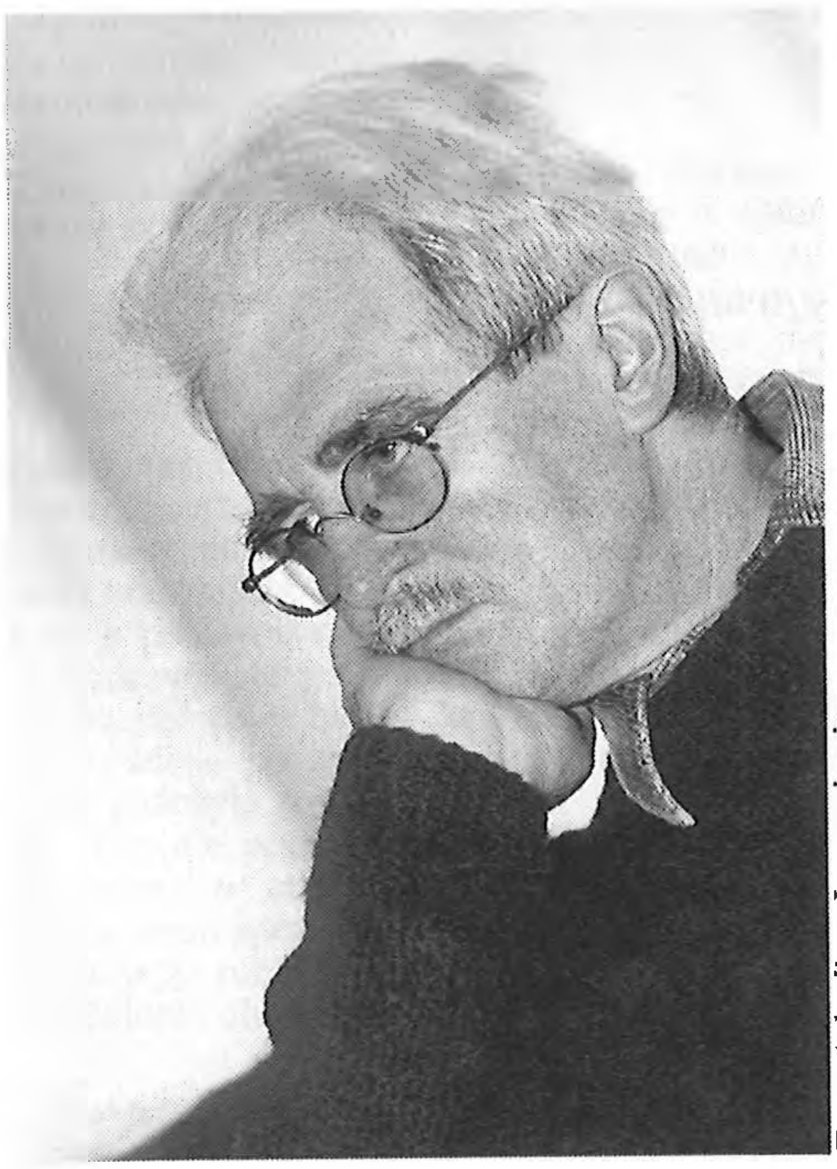


Foto: Arkadiusz Ławryniawiec

Rozmowa
z KRYSTIANEM LUPĄ

Metafizyczne tęsknoty

— Bardzo mnie zaskoczyło, gdy dowiedziałem się, że urodził się pan na Śląsku. Czy to prawda?

— Tak, w Jastrzębiu. Tam się też wychowałem. Potem przenieśliśmy się do Mokrego pod Mikołowem, gdzie ojciec, zresztą tam urodzony, wybudował dom. To była jego ojcowizna.

— Czy przywiązuje pan jakieś znaczenie do swych śląskich korzeni?

— Tak. Pejzaż, w którym człowiek się kształtował, jest tą pierwszą najgłębszą warstwą, z której później się czerpie. Często jest to nieświadome. Śląsk, mający swój rdzennie słowiański, polski charakter, jest rejonem granicznym, w którym kultura germańska — poprzez osmozę — łączy się z kulturą polską. Ta mieszanka nabiera pewnego nowego wymiaru. Najprostsze wartości na Śląsku oznaczają co innego. Tutaj się inaczej myśli, inaczej czuje... Zapewne to właśnie w dużej mierze zadecydowało o moich wyborach życiowych, teatralnych, literackich... Ale nie tylko o tym. Myślę, że mój kontakt ze Śląskiem sprawił, że tak a nie inaczej traktuję drugiego człowieka i wiem, czego w nim szukam. Być może jest to nieświadome, ale to nie zmienia istoty rzeczy.

— Czy to znaczy, że czuje się pan Ślązakiem?

— Tak, nie mam powodów myśleć i czuć inaczej. Pewna uwaga jest tu jednak niezbędna: byłem dzieckiem wychowanym w rodzinie nauczycielskiej, stąd ta moja śląskość wyglądała odmiennie, a i moje dzieciństwo nie było zupełnie takie samo jak dzieciństwo rówieśników z podwórka, rówieśników z robotniczych czy chłopskich domów. Ale przechwytywałem i język tego podwórka, i ową specyfikę czucia i myślenia, tak charakterystyczną dla tego obszaru kulturowego. Oczywiście, te moje doświadczenia nie są czysto śląskiego „chowu"; nie jestem Ślązakiem w takim znaczeniu, jak jest nim na przykład Kazimierz Kutz. Ten mój śląski rodowód nie jest tak gorący, tak oczywisty, tak dotykalny.

— Może to kwestie generacyjne o tym zadecydowały?

— Na pewno. Ale nie tylko. Rzecz w tym, że bardzo wcześnie, bo już na początku moich studiów w Krakowie, wszedłem w inne obszary zainteresowań, w inne światy.

— Ale maturę tutaj pan jeszcze zdążył zrobić?

— Tak, w Żorach.

— I potem był już tylko Kraków.

— To miasto stało się moją „drugą ojczyzną", nie ukrywam — najbardziej ukochaną. Kraków mnie wciągnął, zafascynował. Nie wyobrażam sobie, abym mógł żyć w innym mieście. To jest niezwykle silny związek. Tak było od początku, od czasów studiów.

— Jakoś jednak ta odległość Krakowa od Śląska — w pańskim przypadku — bardzo się wydłużyła. Dlaczego jako artyście teatru nigdy nie udało się panu jej pokonać?

— Przez długie lata Śląsk nie kojarzył się z teatrem, który był tu traktowany trochę po macoszemu, zresztą w przeciwieństwie do muzyki czy plastyki. Nie wiem, dlaczego tak było. Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałem. Wie pan, rzecz w tym, że ja miałem możliwość reżyserskiego startu właśnie w Krakowie, mieście, które do dziś — moim zdaniem — jest ciągle najważniejszym ośrodkiem teatralnym w kraju. Poza tym — nie jestem „człowiekiem wędrownym". Łatwo się zagnieżdżam, łatwo się przyzwyczajam do pewnych ludzi, z którymi lubię przebywać i pracować. Oto najważniejsze powody, które sprawiły, że nigdy nic teatralnego nie zrobiłem w okolicach Katowic.

— Zasugerował pan, że być może te ziarna śląskości, które w panu tkwią, wpłynęły na typ literatury, którą pan czyta i teatralizuje. Czy tym tłumaczyć, że porusza się pan najchętniej po niemieckim obszarze językowym? Wymieńmy dla przykładu: Rilke, Broch, Musil, Bernhard...

— Tak, choć z pewnością w tych wyborach można się doszukać także „galicyjskości". Mówimy wszak o pisarzach austriackich. W tym dziedzictwie literackim dostrzegam rodzaj „cięższego" podejścia do człowieka, pozbawionego — tak to określmy — słowiańskiej romantyki i emocjonalności. Z czym się to jeszcze wiąże? Ano, z pracą, z dźwiganiem jakiegoś takiego balastu codzienności. Interesuje mnie człowiek, którego życie jest często „nieefektowne", znaczone jakimś uporem. To decyduje także — w ostatecznym bilansie — o wyborze innego gatunku humoru. Tak to widzę i oceniam, jeśli — zastrzegam — w ogóle potrafię z jakimś dystansem spojrzeć na własną twórczość teatralną, co przecież nie jest łatwe. Takie są jednak moje upodobania. Wiem, że są one także dlatego nieco inne niż człowieka wychowanego wyłącznie w kulturze polskiej, „czysto polskiej".

Uważam, że wszelkie przenikania na granicy kultur są płodne. To uwaga dość oczywista, gdy pomyślimy jak wielu wspaniałych twórców zrodziło się na przykład na obrzeżach kultury europejskiej i żydowskiej. W końcu jednak rozmawiamy w Katowicach i w sposób naturalny nasza uwaga kieruje się w stronę Konrada Swinarskiego, tutaj właśnie urodzonego i wychowanego, a którego twórczości nie pojmie się, jeśli nie uwzględni się wpływów kultury niemieckiej na jego osobowość artystyczną.

— Cóż, Swinarski był częścią szerszego tabu, którego nie można było przez długie lata rozbić.

— Mam wrażenie, że dotąd tym sprawom, o których teraz rozmawiamy, nie dość wyraźnie się w Polsce przyglądano. Kiedyś albo milczano, albo wstydzono się. Tymczasem nie można lekceważyć nawet tych czasów, w których rządziły antagonizmy i sprzeczności. Sam zresztą — jako Ślązak — odczuwałem skutki owych przemilczeń i półprawd.

— Doprawdy?

— Tak. Ale mnie to nie dziwiło ani nie dziwi. W naszym kraju mniej naraża się na niezrozumienie na przykład Francuz, gdyż wiadomo, że jest jednoznacznie „obcy". On nie stanie się źródłem żadnych antagonizmów, bo jest „z daleka". Ludzie z pogranicza, a ci zawsze są i daleko, i jednocześnie blisko, stają w zupełnie innej sytuacji. Nie ma więc powodu ukrywać, że były konflikty różnego rodzaju mię-

dzy Ślązakami a „rdzennymi Polakami". Tym bardziej, że wszyscy o tym wiedzą.

— Mówimy o tych najgłębszych, bo kulturowych źródłach inspiracji twórczych, które — jak pan przyznaje — lokują się często poza świadomością artysty. Ale poza wszystkim jest pan nie tylko inscenizatorem, ale także profesorem krakowskiej PWST, wieloletnim dziekanem reżyserii w tej szkole. Jaki to typ doświadczeń? Co można, a czego nie można przekazać swoim następcom i zastępcom? I czy sam zachował pan jakiś rodzaj wdzięczności wobec tych, którzy pana uczyli teatralnego rzemiosła?

— Reżyserii można nauczyć tylko w ograniczonym stopniu. Można przekazać jakieś porady, na przykład dotyczące struktury dzieła literackiego albo sposobów obcowania z aktorem. Wtedy można powiedzieć, że lepiej postąpić tak a nie inaczej. To jest jednak sfera rzemiosła i jako taka jest ona ograniczona. Kiedy zacząłem uczyć w szkole teatralnej, zacząłem się zastanawiać, co mnie jako studentowi dało najwięcej, a jednocześnie — próbowałem przypomnieć sobie, jakie były moje niedosyty. Studia to rodzaj poligonu, gdzie codziennie człowiek zmaga się z drugim człowiekiem, z jakimiś wymaganiami i oczekiwaniami. Konflikty i walki, jakie prowadzi wtedy młody człowiek z tym kimś, kto stoi po drugiej stronie profesorskiej katedry, są czymś naturalnym. Bezkrytyczne podążanie za pedagogiem jest mało twórcze.

A sam? Wiele zawdzięczam Konradowi Swinarskiemu, który przez dwa lata był moim profesorem. Trzeba by też wymienić Jerzego Krassowskiego, Jerzego Jarockiego, u którego kiedyś byłem asystentem, czy Jerzego Golińskiego. Ale muszę też powiedzieć o tych, którzy prowadzili mnie przez literaturę. To przede wszystkim Kazimierz Wyka i Jan Błoński. Warto też przypomnieć, że studiowałem na pierwszym roku reżyserii krakowskiej. Wydział ten był „oczkiem w głowie" miasta. Wszyscy ciekawi ludzie, którzy w jakiś stopniu byli związani z pejzażem krakowskim i teatrem równocześnie, uczestniczyli w życiu tego wydziału. Miałem więc poczucie, że biorę udział w czymś wyjątkowym. Zresztą to myślenie było powszechne i dotyczyło również moich kolegów. Stąd moje przekonanie, że takie studia to nie tylko miejsce nauki. Tam powinna panować taka atmosfera, która wprowadza u młodego człowieka rodzaj twórczego niepokoju. Musi być ferment. Nieraz więc mam podejrzenie, że wydział ten co jakiś czas przechodzi pewien kryzys, „jest zmęczony". Nieraz trzeba odczekać, aby „coś się stało", aby ktoś nowy przyszedł, ktoś, kto porwie młodzież, zbulwersuje ją, do czegoś przekona, lub odwrotnie — sprawi że stanie ona w kontrze wobec niego i jego propozycji estetycznych, filozoficznych.

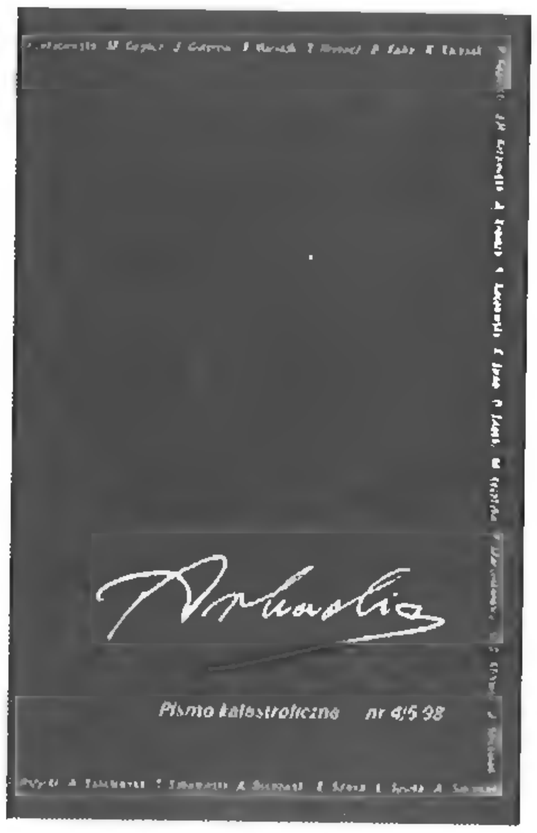
— O to wszystko chyba trudniej niż przed laty. Jakże łatwo dziś młodemu człowiekowi uwierzyć w to, że osiągnie w zawodzie „wszystko", i jakże równie łatwo dochodzi do katastrofy, do upadków.

— I tak się dzieje. Wielu młodych ludzi rzeczywiście spada. To jest częste. Ten zawód staje się coraz bardziej ryzykowny, niepewny. A jednocześnie — proszę zauważyć — przyciąga coraz więcej chętnych. Nigdy dotąd nie było tylu kandydatów na wydział aktorski.

— Czym to wytłumaczyć?

— To zjawisko irracjonalne i przez to optymistyczne. Tłumaczę to swoistym niepokojem duchowym, który drąży młodych ludzi. Zwykło się sądzić, że ta generacja ciąży ku materializmowi. Widocznie, nie jest tak do końca. Te postawy wynikają z nieświadomych być może, ale głębokich, prób przeciwstawienia się temu, co dominuje w świecie zewnętrznym. Stąd to nagłe rozbudzenie marzeń. Ono powstaje na metafizycznym podłożu, które sprawia, że młodzi ludzie chcą wypowiadać się językiem sztuki. Bardzo mnie to cieszy.

Rozmawiał: KRZYSZTOF KARWAT



„Arkadia" - pismo bez kompleksów

Witaliśmy już w lutym roku ubiegłego *Arkadię - pismo katastroficzne*, periodyk wydawany w Mikołowie przez Stowarzyszenie Kaj. W roku 1997 ukazały się wprawdzie tylko dwa zeszyty (1 i 2/3), lecz redaktorzy *Arkadii* udowodnili, że zdolna jest ona wypełniać ważną rolę kulturotwórczą w śląskim środowisku artystycznym. Otwartość intelektualna, pogłębiona refleksja nad problemami współczesnej literatury, sztuki i filozofii — wszystko to sprawia, że pismo czyta się z zainteresowaniem *od deski do deski*. Nie są to z mojej strony żadne gołosłowne agitacje, ponieważ nie mam w tym żadnego interesu, aby reklamować konkurencję (trzeba jednak oddać sprawiedliwość wysiłkowi zespołu przygotowującemu kolejne zeszyty pisma).

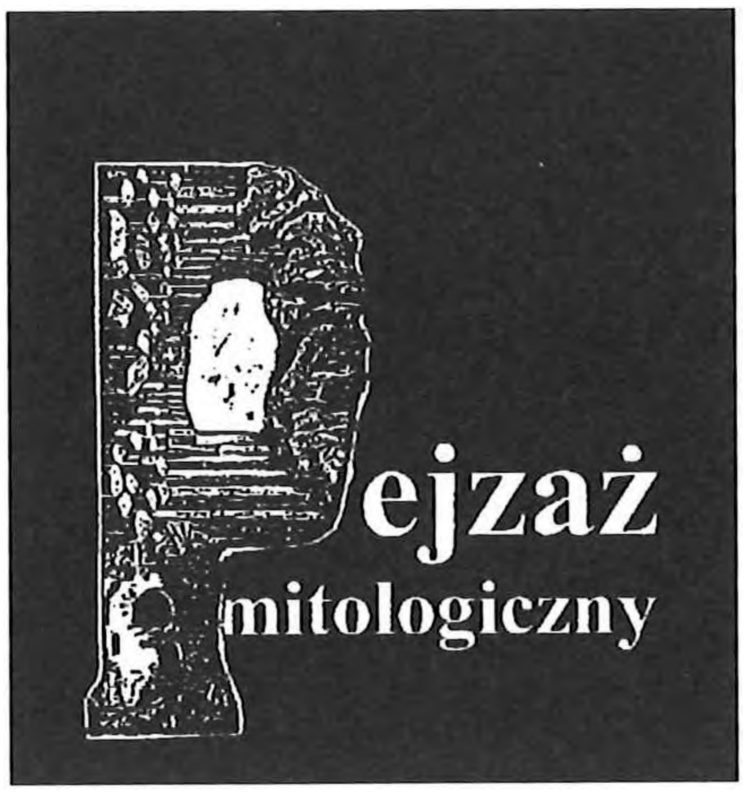
W pierwszym numerze tegorocznym (w numeracji ciągłej: 4/5) również wiele interesujących i smakowitych rzeczy. Największą uwagę przyciąga krytyka literacka, reprezentowana piórami Anny Sobolewskiej (o prozie lat dziewięćdziesiątych), Romualda Cudaka (o wierszu Wojaczka *Piosenka bohaterów II*), Tadeusza Sobolewskiego (o Kazimierzu Kutzu) i Seweryna A. Wisłockiego (o malarstwie Erwina Sówki). Eseistyka — równie ciekawa: ks. prof. Mieczysław Gogacz pisze o *Aktualnym stanie teorii aniołów*, Adam Czerniawski przedstawia jeden ze swoich *krótkopisów*, natomiast Marian Sworzeń śledzi losy ludzi związanych z historią *Dezyderaty*. W poezji zwracają uwagę głównie autorzy młodzi (m.in. Marek Krystian Emanuel Baczewski, Robert Gutorow, Arkadiusz Kremza, Grzegorz Olszański, Monika Łyżyczka), choć swoje nowe wiersze przedstawiają także Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, Krzysztof Karasek i Krzysztof Kuczkowski. Prozę reprezentują utwory m.in. Andrzeja Sosnowskiego (*Konwój*), Krystiana Lupy (*Mętne*), Włodzimierza Paźniewskiego (*Ogrody Allacha*) oraz Adama Wiedemana (*Sceny łóżkowe*). W dziale przekładów warto wskazać na wiersze chińskie imitowane przez Pawła Marcinkiewicza, *Prozy ewangeliczne* Arthura Rimbauda przyswojone przez Tomasza Różyckiego oraz na esej Miguela de Unamuno *O pochodzeniu balkonów* w tłumaczeniu Aleksandry Stefaniak.

Na łamach ostatniego numeru *Arkadii* spotykają się ze sobą regionalizm i uniwersalizm, doświadczenie potoczne i arystokratyzm myśli, epifania prostolinijnej intuicji i głębia intelektualnej refleksji. Redaktor Paweł Targiel, wspomagany przez sześcioosobowy zespół, zadbał nie tylko o to, aby prezentowane w piśmie gatunki pisarskie wyszły spod znakomitych piór, ale także o to, aby tak uszeregować wszystkie teksty, iżby autonomicznie opisując jakiś problem - wzajemnie się oświetlały, interpretując - podsuwały syntezę, syntetyzując — nie rezygnowały z rzeczy marginalnych.

Krytyka i esej w *Arkadii*, trzymając spoistość pisma, są znakomitym pejzażem dla publikowanych tutaj wierszy i opowiadań. W efekcie twórczość oryginalna nie jest wyizolowana z ruchu myśli, przeciwnie — ten ruch wspomaga, nadaje mu kierunek i spełnia rolę inspirującą do dalszych odkryć. *W Króliczoku zamiast wstępu* Paweł Targiel napisał: *Kultura jest [...] wielowątkowym procesem zmierzającym we wszystkie możliwe kierunki, eksploatuje wszystkie możliwe doświadczenia człowieka myślącego i bezmyślnego, który tak czy inaczej musi pływać w tej samej rzece: symboli, znaków, znaczeń, w przestrzeni nicującej pospolitość z wielkością, magię z religią, prawo z obyczajem, sen z jawą w odwiecznej walce. W tym sensie można by powiedzieć, że wojna jakiego bądź rodzaju podkreśla wyrazistość bytu, tak jak anioł zapośrednicza nas w Bogu. To, co nas zakotwicza realnie jest chwilą teraźniejszą, szczeliną w przemijaniu, która jak do tej pory nie została zakwestionowana przez żaden system filozoficzny. Tego rodzaju doświadczenie czasem każe zamilknąć i często zamyka komentarz.*

To najlepsza wizytówka najnowszego numeru *Arkadii*.

M. K.



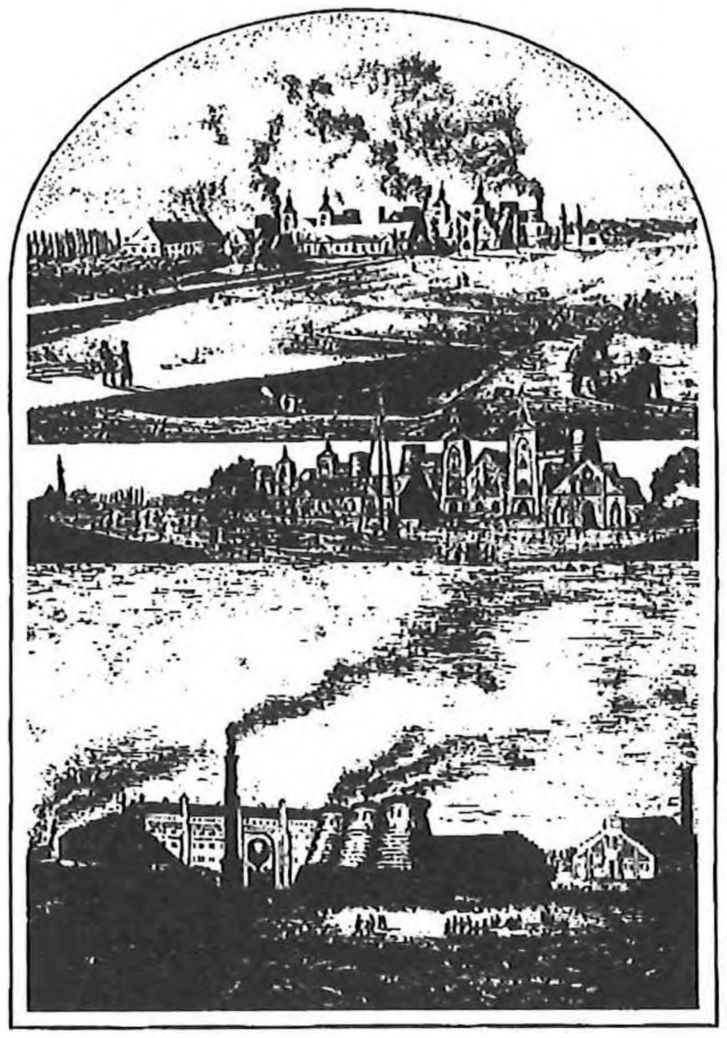
Twardy żywot pewnej legendy

ANTONI HALOR

Od wielu już lat, wciąż od nowa, wychyla się spod opiekuńczych skrzydeł muzy wszelkiej ikonografii z fałszywą wizytówką i pojawia co pewien czas w moim polu widzenia pewna bardzo stara weduta przemysłowa...

Gdy rok temu, tuż przed Bożym Narodzeniem, zatrzymałem się przed wystawą eleganckiej księgarni na ul. Wolności w Chorzowie, w oczy rzucił mi się solidny tom pt. *Chronik der Stadt Königshütte Oberschlesien* (Kronika miasta Królewska Huta na Górnym Śląsku), wydany w Niemczech w 1994 r. I zdębiałem. Nie tylko z powodu ceny. Wpatrując się w obwolutę, zobaczyłem przed sobą legendę. Najprawdziwszą z prawdziwych, mającą zdumiewająco twardy żywot i potwierdzającą wszystkie wielokrotnie na tym miejscu poczynione uwagi o nie malejącej roli mitu w naszym życiu. Pokaźna księga wabiła bowiem wzrok atrakcyjną — trzeba to przyznać — ryciną z owym wspomnianym sugestywnym i romantycznym pejzażem hutniczym — barwną wersją znanej z wielu reprodukcji XIX-wiecznej grafiki, występującej od co najmniej stu lat z okładem jako wizerunek huty „Królewskiej", czyli „Kościuszko" w Chorzowie. W przeczytanej nieco później w specjalistycznym wydawnictwie recenzji tej pracy, pióra kompetentnego i cenionego historyka, zwróciłem uwagę na zdanie: *Piękna obwoluta, twarda oprawa i dobry papier przyciągają uwagę czytelnika* — z którym trudno się nie zgodzić. Ale wynika zeń też, podobnie jak z użycia rzeczonej grafiki na owej *pięknej obwolucie*, że znów została, po raz nie wiadomo już który, przyjęta z dobrą wiarą, jako jeden z najstarszych, a może i najstarszy wizerunek huty „Kościuszko" właśnie. Wśród rozlicznych jej reprodukcji, zamieszczanych w ciągu lat w różnych publikacjach, podpisywana była to jako: *rycina z końca XIX w.*, to z *„połowy XIX w."*, *„z 1840 r."*, a nawet *„1820 r."*, ale zawsze z wyraźnym adresem chorzowskim, a raczej królhuckim. Z taką też atrybucją funkcjonuje w zbiorach specjalnych Biblioteki Śląskiej. Nie z winy kustosza. Tak bowiem oznajmia figurująca pod ryciną inskrypcja: *Die Königshütte in Schlesien. Gez. v. C. Weiss* („Huta Królewska na Górnym Śląsku rys. C. Weiss"). Zachowana w B. Śl. odbitka, czarno-biała zresztą, pochodzi zapewne z jakiegoś albumu okolicznościowego z końca XIX w. Ale rysunek stanowiący podstawę tej grafiki musiał powstać znacznie wcześniej, około 1850 r.

I cóż z tego? To, że rycina nie ma nic wspólnego, ani z Chorzowem, ani hutą „Królewską". Ściśle mówiąc, ma, ale pośrednio. Ukazuje bowiem jeden z dwu sztandarowych zakładów, powołanego do życia przez Donnersmarcków z siemianowickiej linii tego rodu, potężnego ongiś koncernu „Zjednoczone Huty Królewska i Laura" (w 1871 roku, po zakupieniu w 1870 roku przez Hugona Henckla fiskalnej dotąd huty „Królewskiej". I przedstawia właśnie tę drugą.



Ryc. Antoni Halor

Jest to widok na zbudowaną w 1836 roku przez hrabiego Hugona Henckla hutę „Laura" (dziś „Jedność") w Siemianowicach od strony rozległego placu hutniczego z trzema wielkimi piecami ustawionymi prostopadle do potężnego gmaszyska wydziałów pomocniczych.

W odróżnieniu od czterech królhuckich pieców stojących w szeregu. Łatwo to sprawdzić. Wystarczy uważnie przyjrzeć się reprodukcji grafiki Weissa u dołu naszej ilustracji i porównać ją z widocznymi powyżej fragmentami litografii Mondro i Knippla (skądinąd autentycznymi widokami Królhuty z 1820? i 1845 r.). Z poprawną atrybucją, podług mej wiedzy, wizerunek siemianowickiej huty występuje w dobrze znanym historykom regionu tomie wspomnień A. O. Klausssmanna, wydanym w 1911 r.

Drzeworyt sztorcowy? staloryt? C. Weissa jest, być może, wykonaną po 1870 roku, dla potrzeb jakiegoś „promocyjnego" wydawnictwa koncernu, kopią litografii (a może tylko rysunku) wspomnianego wcześniej Ernesta W. Knippla (1811-1900), który, w ciągu mniej więcej ćwierćwiecza, pomiędzy 1839 a 1865 rokiem, na zlecenie kilku magnatów przemysłowych, stworzył (w oparciu o pracowicie z natury sporządzone rysunki) przeszło 100 litografii i gwaszy z wedutami i przedstawieniami krajobrazowymi różnych śląskich miast i zakładów przemysłowych, w tym około 40 w naszych stronach. Rzucająca się w oczy rzetelność i precyzja ich wykonania, pozwoliła mi przed laty, z niewielką tylko przesadą, nazwać Knippla *górnośląskim Canalettem*. Stworzył bowiem, co do dziś nie zostało w sposób właściwy docenione, pierwszy chyba w historii sztuki, nie tylko regionu, ale całej środkowej Europy, tak obszerny artystyczny zapis, którego przedmiotem jest przemysł: industrialne instalacje i osiedla. Wizerunki Knippla są świadectwem wczesnego etapu tego procesu, gdy technika jeszcze nie zdążyła zdewastować przyrody, a wznoszone jeden po drugim przemysłowe *etablissements* musiały być *piękne*, w zgodzie z obowiązującym stylem artystycznym epoki. Stąd te charakterystyczne, osobliwe wieże gichtociągowe huty „Królewskiej", podobne do potężnych gotyckich wież kościelnych. Bóg jeden wie, jak można było je pomylić z zupełnie przecież odmienną sylwetką huty siemianowickiej.

Cóż, nie na darmo pełno na „naszej łączce" przykładów łatwego zbaczania pamięci powszechnej z trzeźwej ścieżki faktu na zwieńczoną barwnymi fajerwerkami fantazji, pełną urzekających widoków promenadę wyobraźni-ułudy-legendy-mitu. Omawiana „królhucka graficzna legenda" jest jaskrawym przykładem tego właśnie mechanizmu. Jego przyczyn należy szukać nie tylko w niedoskonałości naszego widzenia i pamięci, ile w niesamowitej, czasami wręcz wywołującej ciarki na plecach naszej podatności na sugestię. Efekty tej powszechnej dla homo (sapiens?) cechy w wymiarze społecznym bywały od początku dziejów często katastrofalne. Lubimy być oszukiwani, mówią moraliści. Myślę, że raczej dajemy się zwodzić dla wygody, z lenistwa pamięci i lubej drzemki umysłu, aż nazbyt często szukającego wszelkich do tego okazji.

wędrówki po kinie

Następca Formana

W katowickiej „Zorzy" pokazano niedawno filmy czeskiego reżysera Jana Svěraka, który uważany jest przez krytykę filmową na świecie za godnego następcę Miloša Formana. Młody, trzydziestotrzyletni twórca ma na koncie 4 pełnometrażowe filmy fabularne, a dwa z nich („Szkoła podstawowa" i „Kola") uzyskały nominacje Oscarowe. Wreszcie za „Kolę" nagrodzono Svěraka Oscarem w kategorii najlepszego filmu nieanglojęzycznego w 1997 roku. Dzisiaj Jan Svěrak jest niewątpliwie najsławniejszym, po Milošu Formanie, czeskim reżyserem filmowym na świecie.

Urodzony w 1965 roku Jan Svěrak jest synem popularnego w Czechach scenarzysty i aktora Zdenka Svěraka, który pracuje w Barrandovie od połowy lat siedemdziesiątych. To właśnie Zděnek Svěrak napisał dla Menzla scenariusze takich filmów, jak „Na skraju lasu" i „Wsi moja sielska, anielska", a przedtem neoprodukcyjniaka „Kto szuka złotego dna". Jeszcze częściej Zdeněk Svěrak współpracował z reżyserem Ladislavem Smoljakiem, tworząc teatr mistyfikacji z „zapomnianym geniuszem czeskim" — Jary Cimrmana. A potem napisał dla swego syna Jana „Szkołę podstawową" i zagrał w niej główną rolę. Od tego czasu pisze i gra dla syna stale, wyjąwszy tylko „Jazdę".

Nie bez powodu młodszego Svěraka nazwać więc można dzieckiem kina. Także dlatego, że młodszy Svěrak zadebiutował w fabule wspomnianą „Szkołą podstawową" w 1991 roku, mając wtedy zaledwie 26 lat życia, a na dodatek zyskał za nią od razu nominację do Oscara. Jeszcze wcześniej, podczas studiów w praskiej FAMU, zdobył Oscara studenckiego za niezwykłą etiudę „Ropożerni", która wywodzi się z czeskiej tradycji mistyfikacji. Jego dwa szkolne filmy, właśnie „Ropożerni" i wcześniej „Odyseja kosmiczna II", trafiły przed laty na festiwale krótkiego metrażu w Krakowie. I oba zdobyły poważne trofea. Najpierw „Odyseję kosmiczną II" nagrodzono w 1987 roku Srebrnym Smokiem, a rok później „Ropożerni" dostali Złotego Smoka. Z tymi filmami Jan Svěrak objechał wiele europejskich festiwali, wszędzie zdobywając nagrody i uznanie.

Debiutancka „Szkoła podstawowa" jest nostalgiczno-komediowym portretem czeskiej prowincji w pierwszych miesiącach po II wojnie światowej. Wszędzie widać jeszcze ślady walki, lecz Svěrak starannie unika patosu, poszukując uroków zwyczajności. Jeśli nawet zdarzają się momenty dramatyczne, to akcja zaraz przechodzi w tonację pogodną. Bohaterami są nie tylko uczniowie szkoły podstawowej, lecz również dorośli, a raczej — głównie dorośli. Najciekawszą kreację stworzył Jan Třiska w roli nauczyciela z mitologiczną partyzancką przeszłością, a duże role mają Zdeněk Svěrak (to w gruncie rzeczy jego wspomnienia z dzieciństwa) i popularny Rudolf Hrušinsky jako dyrektor szkoły. I jeszcze Jiři Menzel w epizodycznej kreacji ginekologa. Z jednej strony film uniwersalny, lecz zarazem przecież lokalny, pełen nawiązań do czeskiej tradycji np. w lekcjach o Janie Žižce i muzyce Antoniego Dworzaka. Można w nim dostrzec fascynację czeskim kinem obyczajowym z lat sześćdziesiątych, które tak zajmująco opowiadało o zwyczajnych ludziach i zwyczajnej codzienności.

Drugi film Svěraka „Akumulator 1" (premiera w 1994 roku) był mniej udany. To parodia gatunku science-fiction o tajemniczym świecie energii. Jednak tej opowieści o bohaterze potrafiącym skupiać energię z tysięcy telewizorów, przechodzącej w karykaturę cywilizacji telewizyjnej, brakuje siły dramatycznej i poczucia stylu. Interesujące są tu natomiast nawiązania do Miloša Formana, przejawiające się w cytatach z jego filmów, a nawet w decyzjach obsadowych. Prócz Zdenka Svěraka i komicznego Bolka Polivki, reżyser obsadził w głównej roli Petra Formana, syna Miloša, a na dodatek Verę Křesadlovą, czyli matkę Petra i byłą żonę mistrza Formana, w jednej z głównych ról kobiecych. Zdaje się, że nie było to kwestią przypadku.

Jeszcze w tym samym roku Svěrak nakręcił kameralną „Jazdę", nagrodzoną później Kryształowym Globusem na festiwalu w Karlovych Varach. To zrealizowany za niewielkie pieniądze film drogi, nawiązujący wyraźnie do sławnego przed laty amerykańskiego „Swobodnego jeźdźca" Dennisa Hoppera. Tyle że bohaterowie — dwaj młodzieńcy i przypadkowo napotkana po drodze dziewczyna — podróżują samochodem, a nie motocyklami, i podróżują po czeskiej, a nie amerykańskiej prowincji. Nic specjalnego się nie dzieje, lecz film zrobiony jest nadzwyczaj zręcznie. Na swój sposób to zresztą film poważny, bo traktujący także o agresji, która ujawnia się z czasem w bohaterach, a nie w świecie zewnętrznym, jak u Hoppera. W każdym razie film spodobał się młodej czeskiej publiczności i stał się kasowym sukcesem.

Po tej młodzieżowej road movie po czesku Svěrak sięgnął ponownie do sprawdzonej formuły obyczajowej, by opowiedzieć o przyjaźni zawiązującej się między starzejącym się mężczyzną (w tej roli świetny tutaj Zdeněk Svěrak) i pięcioletnim chłopcem w filmie „Kola", rozegranym w czeskiej scenerii końca epoki komunizmu. Właśnie za „Kolę" nagrodzono Svěraka amerykańskim Oscarem, i trudno się temu dziwić, zważywszy że film nosi ślady hollywoodzkiej kalkulacji.

W gruncie rzeczy to opowieść bardziej o tym starym kawalerze, który nagle i niechętnie musi się zająć podrzuconym dzieckiem. To ktoś, kto żyje na marginesie kultury oficjalnej (zarabia grą na wiolonczeli), lecz nie stroni od uroków życia. Z kolei dziecko jest rosyjskie, co stwarza wiele dodatkowych sytuacji komicznych. Z jednej strony film nawraca znowu do czeskiej tradycji, a z drugiej — to po prostu jeszcze jedna wersja „Brzdąca". Wszystko kończy się w dniach aksamitnej rewolucji w 1989 roku, gdy na praskie place wylegają tłumy. Jednak dla Svěraka nie polityka jest sprawą najważniejszą.

Zwłaszcza w tym filmie sporo jest nostalgicznej ironii, przemieszanej ze smutkiem, co przypomina powieści Milana Kundery. I sporo zabawnych obserwacji w stylu czeskiej szkoły z lat sześćdziesiątych, która potrafiła odnajdywać — jak chociażby w filmach Formana — poezję w codzienności. To kino nostalgiczne, lecz z nastawieniem na życie i ludzkie sprawy. Tak mógłby opowiedzieć tę historię Miloš Forman, gdyby nie wyemigrował z Pragi.

Zdaje się, że w Pradze zabraknąć może wkrótce także i Jana Svěraka, bo kolejny film kręci już na świecie, w koprodukcji międzynarodowej. Można więc powiedzieć, że młody Svěrak podąża drogą swego poprzednika Miloša Formana. Tyle, że wcześniej dostał statuetkę Oscara.

JAN F. LEWANDOWSKI

Opowieść o świętej królowej

„I zbudzi się święta królowa w koronie chwały. A głos rzewny i potężny zarazem doleci ze stron ojczystych, z piersi milionów, aż do Rzymu, do bram białego starca i odbije się silnym echem po całym katolickim świecie, sławiąc i roznosząc dzieje życia, cuda i proroctwa świętej królowej Jadwigi"

Pisał w roku 1910 z ogromną wiarą w kanonizację królowej biskup Władysław Bandurski w obszernej opowieści biograficznej pt. *Jadwiga. Święta królowa na polskim tronie*[1)], przepowiadając niebywałe wydarzenie, którego naocznymi świadkami byliśmy w czerwcu ubiegłego roku. Nie przewidział tylko, że akt kanonizacji dokona się w Krakowie, a Biały Starzec będzie Polakiem, przy tym najwybitniejszym - obok Mikołaja Kopernika - wychowankiem tej Akademii, którą święta wzniosła do rangi europejskiej.

Królowa Jadwiga jest najpopularniejszą historyczną postacią dziewczęcą w naszej literaturze dla młodego odbiorcy. Frekwencyjnością przewyższa ją jedynie książe Józef Poniatowski - Pepi; jego burzliwe, pełne przygód i awantur życie czyni go bowiem ulubionym bohaterem chłopców. Sylwetka świętej królowej mieści się zaś idealnie we wzorcach bohaterki dziewczęcej. Młody wiek, osamotnienie, tragizm serca, wrażliwość na krzywdę i cierpienie, wola czynienia dobra, zdolność do wyrzeczeń i wzniosłe cele życia - to niektóre z cech królowej, jakie dopowiadają potrzebom osobowościowym dziewczęcych czytelniczek, dostarczają im treningu emocjonalnego i wyzwalają mechanizm indentyfikacji z bohaterką. Jest zatem święta postacią wręcz modelową dla tzw. literatury dla dziewcząt. Przy tym niezwykle pociągającą, gdyż - mimo ustaleń naukowych - nie rozpoznaną do końca (nie ma nawet jej podobizny!), osnutą jakąś tajemnicą, którą tak trafnie wyraża w zagadkowym pół uśmiechu królowej portret Piotra Stachiewicza, przypominający pod tym względem obraz Mona Lizy.

Przywołajmy niektórych autorów i teksty, adresowane do młodych, których główną bohaterką jest święta królowa. Stanowią one różnorodne formy gatunkowe, są to rozbudowane fabularnie powieści, opowieści zbliżone do gawęd, opowiadania oraz pogadanki biograficzno-historyczne, mniej lub bardziej podporządkowane dydaktyzmowi. Tematyka ta nasila się na przełomie XIX i XX wieku, dochodzi do głosu między innymi w takich utworach, jak: *Trzewiczek królowej Jadwigi* - W. Izdebskiej, *Litwinka* (w zbiorze *Z przeszłości*), *Kara boża* i *Z czasów Jadwigi i Jagiełły* - T.J. Papi, *Szesnastoletni wojewoda* - M. Zielińskiej, *Grunwaldzki bój. Powieść historyczna* - E. Zoriana (E. Sedlaczka), *Jadwiga. Święta królowa na polskim tronie* - W. Bandurskiego. Obok elementów biograficznych, dotyczących dziejów życia i panowania królowej, uwaga autorów koncentruje się w tych utworach także na faktach historycznych, głównie na problematyce krzyżackiej oraz bitwie pod Grunwaldem.

Sylwetka królowej Jadwigi inspiruje literacko także międzywojennych autorów dla młodego wieku. Powstają wtedy: *Pod godłem krzyża. Powieść z czasów Jadwigi i Jagiełły* - E. Zoriana (E. Sedlaczka), (1921), *Męczennica na tronie piastowskim. Powieść o królowej Jadwidze* - M. Rott (1930), *Jadwiga, królowa Polski. Opowieść* - J. Duninówny (1933), *Wiesławek. Opowiadanie z czasów królowej Jadwigi* - W. Grochowskiej (1934), *Królowa Jadwiga patrzy sobie przez okno* - opowiadanie M. Dąbrowskiej (1930) i inne utwory.

W czasach nam współczesnych pisarką, która przybliżała młodym postać królowej, była Cz. Niemyska-Rączaszkowa, autorka dwóch powieści: *Jadwiga i Jagienka* oraz *Świecą gwiazdy*, powiązanych ze sobą na zasadzie kontynuacji fabularnej. Niezwykle cenną pozycją - choć niewątpliwie nie napisaną z myślą o młodym odbiorcy - jest znakomita powieść pt. *Litwin i Andegawenka* S.M. Kuczyńskiego, historyka, profesora uniwersyteckiego, badacza i znawcy epoki jagiellońskiej.

Na uwagę zasługuje koncepcja losów królowej, jaka rysuje się w większości z wymienionych powyżej tekstów. Elementem wspólnym jest niewątpliwie swoisty tragizm postaci, z pokorą dźwigającej na swych dziewczęcych barkach zbyt wielki ciężar władzy i odpowiedzialności, pogłębiony nadto koniecznością wyboru między głosem serca a obowiązkiem i nakazem wiary. Zaznacza się to już w samej tytulaturze, np. u Marii Rott królowa jest określona jako męczennica, zaś w opowiadaniu Marii Dąbrowskiej - po prostu „patrzy sobie przez okno" z żalem i tęsknotą za utraconym dzieciństwem, najbliższymi i zwyczajnością życia: *„Jadwiga zdjęła koronę i powiesiła na haku przy oknie. Zaczęła sobie złotym pasem podpinać nieco suknie, żeby jej było wygodnie się ruszać"*. A kiedy niespełna dwudziestoletni wojewoda krakowski strofuje ją słowami: *„Niech Wasza Królewska Mość pamięta, że ma już czternaście lat. Trzeba być rozsądną i siedzieć spokojnie na tronie"*, Jadwiga odpowiada: *„To na co żyć, kiedy by nie można być człowiekiem jak drudzy"*. Wyakcentowaniu tej samej wymowy służy także wprowadzona przez Cz. Niemyską - Rączaszkową paralela losów królowej oraz jej rówieśnicy Jagienki, zabranej na zamek wawelski z podkrakowskiej wsi, która uwydatnia tragizm życia w majestacie korony.

Taka kreacja postaci młodziutkiej królowej mieści się w rygorach literatury dla młodego odbiorcy. Dzięki wyakcentowaniu jej dziewczęcych i zarazem ludzkich rozterek budzi sympatię i współczucie, ale zarazem podziw dla mężnej i ofiarnej postawy. Przybliża zatem młodym czytelniczkom sylwetkę świętej Jadwigi i wiąże z nią emocjonalnie, nie pozostawiając im przy tym wątpliwości co do tego, że mają do czynienia z postacią niezwykłą, nachyloną wyraźnie w stronę sacrum.

Świętość królowej - jako cecha nadrzędna - została wyeksponowana we wspomnianej na wstępie opowieści biskupa Władysława Bandurskiego, co też autor sygnalizuje w tytule. Ta obszerna, bo licząca 383 strony opowieść-gawęda biograficzno-historyczna wydana została w 1910 roku, a więc w pięćsetlecie bitwy pod Grunwaldem (jest o tym wzmianka w tekście na s. 324), a zatem ma charakter rocznicowy.

W prezentowanej książce zwraca uwagę typ narracji, który w swej stylistyce mieści się wprawdzie w formule opowieści, ale nosi ślady z jednej strony retoryki kaznodziejskiej, z drugiej - wpływów młodopolskich. Widoczna jest zatem nastrojowość i emocjonalność relacji, a miejscami styl osiąga cechy prozy poetyckiej (s. 140). Autor - biskup stosuje również liczne chwyty stylistyczne, charakterystyczne dla retoryki kazania, takie jak: powtórzenia, wykrzyknienia, pytania retoryczne, które pełnią zarówno funkcję perswazyjno-agitacyjną, jak też służą nawiązaniu ściślejszego kontaktu z odbiorcą-czytelnikiem, aktywizują go intelektualnie i emocjonalnie. Mieszczą się nadto w stylistyce młodopolskiej. Miejscami widoczne są też próby fabularyzacji opowieści poprzez wprowadzenie partii dialogowych oraz użycie mowy pozornie zależnej. Zabiegi te z reguły zwiększają ekspresywność wypowiedzi. Narracja jest tylko nieznacznie archaizowana, głównie poprzez zastosowanie rozbudowanych konstrukcji składniowych z pozycją orzeczenia na końcu zdania. Nie zaciera to jednak komunikatywności opowieści, która — jak się wydaje — skierowana jest przede wszystkim do młodego odbiorcy, ale jej adres czytelniczy może być z powodzeniem szerszy.

Autor — snując swoją długą opowieść — korzysta z wypróbowanych sposobów ożywiania narracji, stosując czas teraźniejszy. Istotne dla relacji nadawczo-odbiorczych są też bezpośrednie zwroty do adresata w rodzaju: *„Po skończonej Mszy św. (...) tylko jedne oczy były załzawione... Czy wiecie czyje?"* (s. 23).

Zgodnie z formułą gatunkową opowieści narracja prowadzona jest z perspektywy współczesnej pisarzowi, który często posługuje się dopowiedzeniem, odniesieniem, dygresją, komentarzem, np.: *„Niektóre kamienice, jak np. Pod Baranami lub sławna kamienica Wierzynków, były już te same, które i dziś widzimy"* (s. 27) lub: *„O! Polsko! Co by też było z tobą, gdyby to paniątko z Wiednia było na tronie Piastów jako król — ukoronowane"* (s. 74).

Najwięcej jednakże jest pełnych uniesień apostrof — wykrzyknień o dużej ekspresji, co z jednej strony wynika z powszechnej w modernizmie maniery stylistycznej, z drugiej — jest zapewne indywidualną cechą stylu autora-kaznodziei. Opisując bogactwo ślubu pary królewskiej, wtrąca on na przykład z wielkim uniesieniem i bólem patriotycznym: *„O! Polsko nasza biedna dziś i nieszczęśliwa, jak sierota w łachmanach przed Europą stojąca, gdzież twe bogactwa i tryumfy, twe uroczystości dziejowe, twe święta nigdy nie zapomniane?* (s. 74).

Opowieść W. Bandurskiego o świętej królowej zbudowana została w oparciu o materiały źródłowe, stąd też liczne cytacje i odniesienia, czynione wprost w tekście lub w przypisach, do różnych autorów i dzieł, najczęściej do współczesnych historiografów: K. Szajnochy i J. Szujskiego, np.: *„Rynek podówczas, jak opisuje Szujski, był już bardzo pięknymi budynkami otoczony"* (s. 27). Powołuje się też autor na inne źródła, jak: *Kroniki* Długosza, *Dzieje starożytne narodu litewskiego* - T. Narbutta (s. 108), *Unię Litwy z Koroną* - S. Smolki (s. 34, 138), także na książeczkę do nabożeństwa św. Jadwigi, księżny śląskiej (s. 132-133), a nawet powieść J.I. Kraszewskiego pt. *Semko* (s. 5, 10) oraz Legendy (s. 35). Są to zatem odwołania bądź o charakterze dokumentacyjnym, bądź unaoczniające i uplastyczniające relację.

Opowieść W. Bandurskiego obejmuje całe życie królowej Jadwigi, od momentu przybycia do Polski, aż po opis cudów, jakie działy się po jej śmierci. Zgodnie z koncepcją zaznaczoną w tytule książki, akcent został położony na fakty i zdarzenia, które mają dowodzić jej świętości. W ujęciu losów królowej widoczna jest zatem idealizacja i sakralizacja. Od pierwszych stronic książki Jadwiga jest prezentowana jako wzór dobroci, miłości i religijności. Zaraz po przyjeździe do Polski deklaruje w myślach: *„Ja chcę tak rządzić Polską, ażeby wrogów jej nie zabijać, ale pojednywać sercem, oświatą, wiarą..."* (s. 50). Z wielu bezpośrednich opisów bohaterki, nie pozbawionych młodopolskiej maniery stylistycznej, wyłania się obraz istoty nieziemskiej, budzącej powszechną miłość i cześć: *„... Ona, dziewica biała, Anioł pokoju, gołębica cicha i smętna"* (s. 170). Nieustannie podkreśla się wyjątkową misję Jadwigi, związaną z chrztem Litwy, jej szczególne posłannictwo i apostolstwo: *„... cicha i korna służebnica Pańska (...), apostołka wiary, która na rozkaz Chrystusa czyni ofiarę z swego serca"* (s. 178), a także niezwykłe oddanie i bezgraniczną ufność Bogu: *„Bądź wola Twoja! Chryste! Jakoś dał mi poznać znikomość ziemskiego szczęścia, tak wiecznego i niezmiennego nie odmawiaj mi, Chryste! - szepce znów dziewica apostolska i chyli w pokorze czoło"* (s. 170).

Dzięki takiemu ujęciu postaci świętej królowej, budowanej konsekwentnie z wydobyciem majestatu królewskiego i rysów świętości, ale też osobistych przymiotów umysłu i serca, książka wpisuje się w pewnym sensie w formułę literatury parenetycznej, propagującej określone wzorce osobowe. Jednakże obok wyraźnych celów wychowawczych, zmierzających w głównej mierze do wyakcentowania chrześcijańskiej postawy pokory i miłosierdzia, opowieść zawiera bogaty materiał poznawczy, zarówno w płaszczyźnie historyczno-politycznej, jak i społeczno-obyczajowej. Można ją zatem sklasyfikować jako opowieść biograficzną, która zarazem popularyzuje historię Polski wśród młodych i niewyrobionych czytelników, wpisując się tym samym w szeroki nurt publikacji tego typu, powstałych w XIX stuleciu i wcześniej, jak: *Pielgrzym w Dobromilu* - I. Czartoryjskiej, *Śpiewy historyczne* - J.U. Niemcewicza, *Wieczory pod lipą* - L. Siemieńskiego.

W zakończeniu swej obszernej trzytomowej książki autor skupia się na cudach, jakie miały miejsce za życia Jadwigi, takich jak: stopka królowej odciśnięta w kamieniu budowanego przez nią kościoła, cudowne zniknięcie opatrzonego przez nią chorego nędzarza, a także po jej śmierci, kiedy przy trumnie, wystawionej w kościele według ówczesnego zwyczaju przez miesiąc, widziano jasność nad czołem zmarłej, słyszano śpiewy anielskie, dokonywały się cudowne uzdrowienia chorych. Autor pisze: *„Tak w drodze poświęceń i ofiar wschodziły błyski cudownych objawień i zdarzeń"* (s. 331).

Zaprezentowana opowieść o Świętej Królowej — mimo oczywistych walorów dydaktyczno-wychowawczych i niewątpliwego uroku — nie ma jednakże szans wejścia w powszechny obieg czytelniczy w naszych czasach. Młodego odbiorcę zniechęciłyby głównie rozmiary książki, a zapewne też maniera stylistyczno-językowa, charakterystyczna dla początków naszego stulecia, pełna patosu i egzaltacji, powiedzmy wprost — już staroświecka. Żaden współczesny wydawca, dbający o interes swej firmy, z pewnością nie zaryzykowałby wznowienia tej książki. Ale warto ją przypomnieć. I to nie tylko okazjonalnie, jako publikację proroczo przepowiadającą kanonizację Jadwigi, która miała miejsce na naszych oczach, ale też jako dokonanie pisarskie z regionu Śląska wpisane w polską kulturę.

ZOFIA ADAMCZYKOWA

[1]) Biskup Władysław Bandurski: Jadwiga. Święta królowa na polskim tronie. Opowieść dziejowa w trzech tomach. Kolorowe ryciny obrazów Piotra Stachiewicza. Ozdoby drukarskie J. Bukowskiego. Bytom 1910. Nakładem i czcionkami „Katolika" - spółki wydawniczej z ograniczoną odpowiedzialnością, s. 383.

W marcu 1945 roku, z namowy mojego przyjaciela — magistra Jerzego Hutki, ówczesnego naczelnika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Katowicach — zdecydowałem się pilnie wyjechać do Strzelec Opolskich, aby przy tamtejszym starostwie zorganizować i prowadzić referat Kultury i Sztuki.



Autor tego wspomnienia, Stanisław Jędrzejek (zdjęcie dzisiejsze), jest wybitnym znawcą dziejów Zagłębia Dąbrowskiego, które przybliża czytelnikom prasy od lat kilkudziesięciu.

STANISŁAW JĘDRZEJEK

U kolebki św. Jacka

Z ekipą około czterdziestu osób — przyszłych pracowników starostwa, jak również innych instytucji jakie należało obok starostwa zmontować — po całonocnej podróży w towarowych wagonach, zziębnięci, znaleźliśmy się w Strzelcach Opolskich.

Po wyjściu z dworca zostaliśmy porażeni widokiem zniszczonego miasta. Między zgliszczami wypalonych budynków tylko gdzieniegdzie widać było ocalałe z pożogi domy w centrum oraz na przedmieściach. Nie było jednak czasu, aby zastanawiać się nad losami rozmyślnie i złośliwie zniszczonego przez Sowietów miasta, bo należało natychmiast zabrać się do roboty. W ocalałym z pożogi budynku hotelowym, w pobliżu rynku, ulokowaliśmy urząd starostwa, a jednocześnie parę wolnych w tym budynku pokoi zajęli na zamieszkanie kierownicy organizowanych w starostwie referatów. Inni pracownicy ulokowani zostali u miejscowej ludności, którzy posiadali większe mieszkania w ocalałych domach.

Po zorganizowaniu starostwa oraz dokonaniu zmiany nazw ulic z niemieckich na polskie, najważniejszym zadaniem było zapoznać się z terenem objętym granicami powiatu strzeleckiego.

Przede wszystkim należało zorientować się jakie obiekty posiadające wartość kulturową ocalały a znalezione zabezpieczyć przed zniszczeniem lub rabunkiem. W tym celu — razem z przydzielonym mi do pomocy artystą malarzem — Michałem Stańką — wyruszyliśmy w teren.

Pierwszym ciekawym obiektem do jakiego dotarliśmy, był pałac w Żyrowej — w pobliżu Góry Św. Anny. W tym pałacu znajdowało się dużo niezwykle wartościowych, zabytkowych okazów z dziedziny sztuki, ale w stanie budzącym grozę i oburzenie: potargane, w połamanych ramach obrazy mistrzów włoskich i flamandzkich, pocięte perskie dywany, skorupy porozbijanych posągów oraz waz z miśnieńskiej i serwskiej porcelany, potłuczone lustra, połamane śliczne empirowe meble i porozrywane na strzępy stare księgi gotykiem pisane z pięknymi iluminacjami. To wszystko zwalone było w dużej sali na jeden stos i zlane fekaliami, gdyż na stosie tych bezcennych przedmiotów urządzono kloakę; zresztą cała ta sala — z pięknym, zrąbanym kulami plafonem — stanowiła jedną wielką ubikację. Postaliśmy parę minut w progu i nie mogąc znieść nieznośnego fetoru, szybko obejrzeliśmy inne pomieszczenia pałacu, które zresztą nie różniły się od tej dużej sali z tym, że nie było tam tak wiele zniszczonych przedmiotów. W jednym nieco lepiej utrzymanym salonie widniał na ślicznym parkiecie ślad palonego tam ogniska.

Przymknęliśmy prowadzące do wnętrza pałacu dębowe, bogato rzeźbione drzwi, na których, raczej dla formalności — bez wiary w skuteczność tego zabezpieczenia — umocowaliśmy kartkę z nadrukiem: *„Zabezpieczone przez Ministerstwo Kultury i Sztuki”*.

Podobnie wyglądały inne pałace i dwory w okolicy.

Zapoczątkowane w czasie wojny i tuż po zakończeniu działań wojennych rabunki i zniszczenia w dalszym ciągu kontynuowali — niestety — niektórzy nasi rodacy, jacy zza Brynicy i zza Przemszy gromadami ciągnęli na tak zwane „ziemie odzyskane” i bezkarnie rabowali resztki tego co pozostało.

W piękny wiosenny dzień, w końcu kwietnia, wybraliśmy się do Kamienia Śląskiego.

O Kamieniu mówiono mi w Strzelcach, że w tamtejszym pałacu znajduje się kolebka św. Jacka, który się w Kamieniu urodził. Kamień Śląski jest prastarą wsią na Opolszczyźnie, będącą w średniowieczu siedzibą rodu Odrowążów, z którego pochodzili; święty Jacek, błogosławiona Bronisława i błogosławiony Czesław.

Po półgodzinnej jeździe ze Strzelec znaleźliśmy się w centrum wsi, nad stawem, do którego z jednej strony zbiegało niewielkie wzgórze z barokowym kościołem na szczycie, a z drugiej strony do stawu podchodził duży park. Z potężnych drzew parkowych wyłaniała się jasna budowla siedemnastowiecznego pałacu. Nad stawem biegła wąska wiejska uliczka zabudowana jednostronnie między parkiem i kościołem gospodarskimi domami tonącymi w powodzi kwiatów i zieleni. Zostawiliśmy naszą „Dekawkę" pod rozłożystą lipą i ruszyliśmy w stronę pałacu obserwowani przez gromadkę czysto ubranych dzieciaków. Nim doszliśmy do parkowej bramy, zauważyłem jak w naszą stronę szybkim krokiem zmierza szczupły, wysoki mężczyzna, który już z daleka kłaniał się kapeluszem i dawał ręką znak, abyśmy się zatrzymali.

Przystanęliśmy. Starszy człowiek podszedł do nas, wyciągnął rękę na powitanie i uśmiechając się przyjaźnie powiedział:

— *Nazywom sie Śleziona, pochodza z Kamienia, jezdem tukej sołtysem, i jak panowie chcom to ich chętnie po Kamieniu pooprowadzom. Ale może wpierwy wstąpicie panowie do mojej chaty na skromny posiłek, bo pewno po podróży głodni jesteście.*

Podziękowaliśmy sołtysowi za zaproszenie przyrzekając, że z przyjemnością go odwiedzimy, tylko przedtem chcielibyśmy oglądnąć pałac i zobaczyć co się w nim znajduje.

— *Wiele w tym pałacu ciekawych rzeczy się znajdowało, ale już ich panowie nie ujrzycie* — powiedział z żalem sołtys.

— *Dużo pięknych przedmiotów zniszczono, dużo zrabowano, a resztę — co jest bardzo bolesne — rozkradają nasi rodacy. Jo im tego zabronić nie moga, bo oni mają pistolety, albo jakieś ważne legitymacje* — westchnął i machnął ręką z rezygnacją.

Razem poszliśmy do pałacu. Front jego ocalał, ale spalone zostało skrzydło, gdzie była zamieniona na kaplicę komnata, w której — według tradycji — miał się urodzić św. Jacek.

W tej kaplicy — według słów Śleziony — znajdowała się stara drewniana kolebka św. Jacka.

— *Ta kolebka spłonęła razem z kaplicą* — mówił smutno zamyślony sołtys — *a była ona skarbem i relikwią dlo cołej Opolszczyzny. Tysiące ludzi ze Śląska i nawet od Częstochowy, corocznie do Kamienia przyjeżdżało i niejeden z pielgrzymów — modląc się przy kolebce — cudu doznawoł. Ale już jej ni mo. Diabelskie syny bolszewickie razem z kaplicą ją spoliły* — zakończył swoje opowiadanie, obcierając chusteczką załzawione oczy.

Zwiedzanie zdemolowanych komnat pałacu napełniło nas bólem i rozgoryczeniem. Hordy wandali spełniły i tutaj swoją szatańską misję. Z pięknych mebli, obrazów, rzeźb i książek zostały tylko stosy połamanych i porozbijanych szczątków zmieszanych z rumowiskiem oraz fekaliami, podobnie jak w Żyrowej.

W przykrym nastroju opuszczaliśmy wnętrze zdewastowanego budynku. Po wyjściu z parku zaprowadził nas Śleziona na pobliski cmentarz i pokazał mogiły powstańców.

— *Powstańcy* — mówił — *zostali wzięci przez Niemców do niewoli w bitwie pod Kalinowem, przyprowadzeni do Kamienia i tu pomordowani.*

Po krótkiej modlitwie opuściliśmy cmentarz i zapraszani serdecznie przez poczciwego staruszka, udaliśmy się z nim do jego domu. W obszernej sieni schludnie utrzymanej chałupy, powitała nas uśmiechnięta starsza niewiasta w śląskim stroju i prosiła do kuchni żebyśmy sobie po podróży ręce obmyli. Okazało się, że ta niewiasta to siostra owdowiałego sołtysa. W dosyć obszernej, pachnącej ziołami izbie stał już nakryty stół zastawiony talerzami, pełnymi wędliny, masła i sera, pomiędzy którymi stał dzban kawy.

W czasie posiłku gościnny gospodarz napełnił kieliszki z ostatniej zachowanej z czasów wojny flaszki i wznosząc swój kieliszek do góry powiedział:

— *Za zdrowie panów i za to, żeby nom się wszystko złe na dobre odmieniło.*

— *To znaczy, że nie jesteście ze wszystkiego co się stało zadowoleni?* — zapytał Michał.

Śleziona trwał chwilę zamyślony, a potem powiedział:

— *Panowie, my na Opolszczyźnie czekaliśmy na naszą ukochaną Polskę jak dusze w czyścu na wybowienie. Gdyby tu Hitler jeszcze przez kilka lot rządził, to na pewno byłaby zupełnie zniszczona polskość jaką myśmy — nieroz w ciężkiej walce — przez pięćset lot utrzymywali, bo Hitler był bezwzglyndny i bezlitosny. Nienawidzioł wszystkiego co polskie. Za jego rządów wydawało nom się, że już stoimy nad przepaściom, ale wy nos w ostatniej chwili nad tą przepaściom chyciliście, tylko że chyciliście nos takimi brudnymi łapami, iż czasem — Boże odpuść mi bo grzyszę — przychodzi mi podła myśl do głowy, że można byłoby lepij jak byśmy do ty przepaści slecieli.*

Zamilknął i my milczeliśmy jakby porażeni słowami starca. Bo cóż można było mu na to odpowiedzieć? Jednak po chwili milczenia rzekłem:

— *Nie można panie Śleziona tak czarno patrzeć na wszystko to co się dzieje wokół, chociaż dzieje się bardzo źle, bo może dobry Pan Bóg wszystko na lepsze odmieni.*

A potem Śleziona zamyślił się chwilę i powiedział:

Teroz zaśpiwom panom porę pieśni do naszych świętych, którzy się z Kamienia wywodzą. Te pieśni przed dawnymi laty ponoć w Kamieniu powstały i tylko tukej są śpiwane.

— *Bardzo prosimy* — powiedziałem nieco zaintrygowany propozycją sołtysa. Za chwilę zafascynowani słuchaliśmy jak

starzec trochę drżącym głosem śpiewa:

O święty Jacku, wielki
patronie,
najdroższy kwiecie
w ojczyźnie nam wonnej.
W Twojej opiece, w Twojej
obronie
niech będzie zawsze naród
nasz zakonny.

Po pieśniach do św. Jacka śpiewał nam jeszcze pieśni do błogosławionej Bronisławy i do błogosławionego Czesława. Słuchaliśmy z zainteresowaniem — dziwnych, starych melodii i staropolskich zwrotów językowych. Gdy sołtys na chwilę przestał śpiewać zapytałem:

— *Panie Śleziona, czy za czasów niemieckich też śpiewaliście te pieśni?*

— *Śpiwaliśmy w kościele, a szczególnie na odpustach* — odparł — *ale za Hitlera tylko po kryjomu, po chatach.*

— *Ciekawy jestem jaką Ojczyznę mieliście na myśli, bo w pieśni do św. Jacka o Ojczyźnie jest mowa?* — zagadnął sołtysa Stańko.

Starzec spojrzał uważnie na pytającego, lekkie zdziwienie malowało się się na jego twarzy, wreszcie odparł:

— *Jedną my od wieków Ojczyznę w sercach nosili — Polskę naszą ukochaną. Prosiliśmy Boga, aby z tą Ojczyzną się połączyć i Bóg wreszcie naszemu pokoleniu tej łaski użyczył. Rozmaicie się teraz dzieje, ale wierzymy, że przy Boskiej pomocy wszystko na dobre się odmieni, bo przecież w Polsce na pewno jest dużo ludzi mądrych i dobrych, którzy swoją Ojczyznę prawdziwie kochają i ci ludzie dla dobra całej Polski pokochają także i nos, ich braci — Ślązaków.*

Zdumiony słuchałem tych słów Śleziony podziwiając w duszy jego rozum, a przede wszystkim jego gorącą miłość do Polski. A on jakby w natchnieniu mówił dalej:

— *Znimczyła się na Śląsku szlachta i polscy magnaci. Nasi Odrowążowie od dawna są Strachwitzami, lecz lud bidny polskim pozostoł. Było i tu trochę przez Niemców ogłupiołych naszych ludzi, ale ogromno większość była za Polską, co się pokozało w plebiscycie. Przez pięć wieków nie udało się Niemcom wydrzeć z serc naszych świętej wiary katolickiej, mowy ojczystej i miłości do Ojczyzny za jaką uważaliśmy tylko Polskę.*

Zamilknął wreszcie wzruszony starzec, a ja zapytałem:

— *Panie sołtysie, czy macie może zapisane te pieśni, które nam śpiewaliście?*

— *Mom nie tylko zapisane ale nawet wydrukowane* — jakby z lekką dumą odparł Śleziona.

— *Poczekojcie chwileczkę zaroz wom je pokoża, bo to się jak świętość za Hitlera w ukryciu trzymało".*

Wyszedł z izby i po paru minutach wrócił trzymając w ręku czerwono oprawioną broszurkę. Wziąłem ją od Śleziony, a kiedy rzuciłem okiem na tytuł i autora, ogarnęło mnie dziwne wzruszenie, bo jej autorem był mój kolega z ławy szkolnej w mysłowickim Seminarium Nauczycielskim — Kurt Szczudło.

Trzymając broszurę w ręce błyskawicznie przypomniałem sobie jak to sztubackich czasów podśmiewaliśmy się z Kurta, gdyż urodzony w Westfalii źle mówił po polsku, ale po paru tygodniach polubiliśmy go serdecznie.

Szczudło został nauczycielem i w latach trzydziestych wydelegowano go na Opolszczyznę w celu zorganizowania tam i prowadzenia polskich szkół. Pracował w polskich szkołach a Centawie, Jędryniach i Kamieniu Śląskim. Zbierał oraz spisywał polskie pieśni kościelne i świeckie śpiewane w okolicach Opola. Między innymi zebrał i zapisał z nutami pieśni do św. Jacka, błogosławionej Bronisławy i błogosławionego Czesława, i ten zbiorek trzymałem właśnie w rękach.

Tuż przed wojną udało się Szczudle wyjechać do Polski, ale w czasie okupacji został przez Niemców ujęty i w więzieniu zamordowany.

W krótkich słowach opowiedziałem Ślezionie o tragicznej śmierci Szczudły przy czym zauważyłem, że starzec chusteczką wyciera załzawione oczy.

Potem sołtys ściszonym głosem począł snuć opowieść o niezwykle okropnych dla Polaków na Opolszczyźnie czasach hitlerowskiego panowania:

— *Szkoły polskie niby istniały, ale w Centawie polską szkołę panu Szczudle spolono, w Jędryniach zdemolowano, a u nos* — mówił — *w czasie nauki wpadli roz do klasy hitlerowcy, zaczyli bić bykowcami dzieci i nauczyciela, targać książki i zeszyty i łomać stołki i stoły. Zaczon więc pan Szczudło potajymnie, przewożnie wieczorami, po chałupach zbirać młodzież i tam jom uczył jenzyka polskiego, historii i geografii o polskich zimiach. Tako nauka łodbywała się przy zaciongnionych łoknach roz w ty, a roz w tamty chałupie, bo w izbach szkolnych, skiż tych napadów uczynie polskich dzieci było nimożliwe.*

Słuchając wywodów sołtysa trzymałem w ręce książęczkę Szczudły, a kiedy po obejrzeniu chciałem ją oddać Ślezionie, ten przytrzymał moją rękę z broszurą i powiedział serdecznie:

— *Zabiercie jom sobie panie na pamiontka.*

Gdy się wahałem przed przyjęciem tego daru, bo wiedziałem czym on jest dla starca — Śleziona mówił dalej:

— *Jo te wszystkie śpiwki mom w paminci, ksionżka ni jest mi ni jak potrzebno, a jak bydzie w waszych rękach to te nasze pieśniczki można rozyjdom się po Polsce. Ni miołbych komu ty ksionżeczki zostawić* — dodał jakby z żalem — *bo jedynego synka zabroł Hitler na wojna i nie wim co się z synkiem robi".*

Przy tych słowach westchnął ciężko i przetarł załzawione oczy.

Podziękowałem serdecznie staruszkowi za ten dar, który włożyłem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Po pożegnaniu, wychodząc od sołtysa, prezent jego miałem na sercu, a w sercu głęboką obawę, czy wysiłki Ślązaków, o utrzymanie polskości na tych ziemiach — z winy naszych nibysojuszników zachodnich, którzy za krwawy nasz trud włożony w ich zwycięstwo bez skrupułów wtrącili nas w niewolę bolszewickiej Rosji — nie zostaną zmarnowane. ■

Palcem po mapie

Rozmowa z WŁODZIMIERZEM PAŹNIEWSKIM
— pisarzem i publicystą

— Ostatnio nasiliły się tego rodzaju „podróże". Odbywają się jednak wedle jakiejś przedziwnej marszruty...

— Masz na myśli kolejny rozbiór Polski? Wbrew podniosłym hasłom w tego rodzaju poczynaniach chodzi o rzecz bardzo prozaiczną: po prostu z każdym rokiem rośnie liczba sfrustrowanych działaczy i każda władza musi myśleć o przygotowaniu dla nich biurek, sekretarek i palm. Marszałek Piłsudski określił to jednym, używanym w garnizonach, słowem: „pierdzistołki"...

— Jak zwykle u Naczelnika określenie dosadne, ale i też bardzo trafne...

— Chodzi w tym wszystkim o przygotowanie tysięcy miejsc dla owych „pierdzistołków" w powiatach. Wyobraź sobie, jak wpłynie to na biurokratyzację życia polskiej prowincji. Ale otworzy się również nieograniczona możliwość rozwoju jedynej, najlepiej funkcjonującej gałęzi polskiej gospodarki, tj. korupcji. Nie jest to moje odkrycie, przed wojną prof. ekonomii, Adam Krzyżanowski, zajął się na serio gospodarką carskiej Rosji. I doszedł do wniosku, że najbardziej wydajną jej dziedziną była właśnie korupcja, bo każdy zainwestowany w ten sposób rubel przynosił krocie. Może jest to spojrzenie skrajne, ale taki ogląd tego, co się w Polsce dzieje, trzeba brać pod uwagę.

— Rzymianie dali nam receptę ustrojową: Divide et impera. Tę maksymę łatwo jednak sparafrazować: Zdziel i rządź. Nasza historia składa się jakby z ciągłych rozbiorów, to znów scaleń. Nie zawsze jednak tego typu przedsięwzięciom towarzyszył instynkt państwowy...

— Niestety, w Polsce ów instynkt bardzo często myli się z prywatą. W Polsce dzisiejszej, znakomitym parawanem przekrętów i dbania wyłącznie o własną kieszeń, stanowią reformy. Nie można przecież powiedzieć otwartym kodem, że grupa ludzi chce zwyczajnie rozkraść mienie państwowej fabryki. O wiele lepiej brzmi, że chce się ją zrestrukturyzować.

— Zrestrukturyzować, czyli...?

— Zwykle pierwszym etapem działań przyszłych właścicieli jest nawiązywanie kontaktów z szefostwem zakładu. Za odpowiednie apanaże dyrekcja ma za zadanie zdołować firmę... Po co? Aby podczas rokowań nabywcy zapłacili możliwie najniższą cenę. Na tej transakcji każdy zarabia, z wyjątkiem Rzeczypospolitej. No i załogi, której się mówi: — Jak pracujecie, ćwoki nieoświecone. I wy chcecie wejść do Europy?!

— Ileż sarkazmu w tej przyganie...

— Przewrotnie można powiedzieć, że są reformy, które niszczą państwo, i społeczeństwo. Parę lat temu na poważnie zająłem się historią Bizancjum. Swego czasu było to państwo-gigant, potężne i wpływowe. A wiesz co właściwie spowodowało jego upadek? Wygląda to na paradoks, ale na dobrą sprawę imperium bizantyjskie wykończyła nieuleczalna choroba reformowania; zmiany wprowadzano tylko dla samych zmian. A było to mocarstwo, które posiadało coś w rodzaju dzisiejszych regionów. Nazywały się one — nomen omen — despotiami...

— Znów zadziwiające w tym kontekście pojęcie...

— Wyobraź sobie, że kiedy cesarz mianował nowego szefa takiej despoty, ten oczywiście wymieniał cały aparat administracyjny, czyli reformował. Skutki były takie, że przez jakiś czas panował nieopisany bałagan. Ale kiedy opanowano jako tako sytuację, znów z Konstantynopola nadchodziła kolejna nominacja. I wszystko zaczynało się od początku. Czy zatem takie państwo mogło przetrwać?! Rzecz ciekawa, że najważniejsze reformy państwowe, nawet jeśli je zaczynano, nigdy nie doprowadzono do końca. Urzędnicy Bizancjum wyżywali się przeto we wprowadzaniu reform dotyczących drobiazgów. Np. zmieniano liczbę zapinek w mundurach żołnierzy imperium, lub zalecano całej monarchii jeden obowiązujący kształt ucha pucharu do wina...

— Pogłos opisywanej przez ciebie sytuacji przetacza się również przez naszą najnowszą historię, która — jak z tego wynika — wciąż nas nie może niczego nauczyć.

— Stąd też po lekcji Bizancjum, gdy ktoś obok mnie woła o reformie, to zaraz we mnie rodzi się pewien sceptycyzm — czego tak naprawdę ona jest zasłoną?!...

— Odpowiedzi te pełne są tyleż trafnych, co bolesnych konstatacji. Ale mnie, jako obywatela, mrożą.

— A ja się niczemu nie dziwię. Państwo jest takie, jakie jest społeczeństwo. A zbiorowość polska nie znajduje się w najlepszej kondycji. Na dobrą sprawę od XVI wieku, nie udały się także u nas żadne reformy, więc i teraz nie oczekujmy cudów. Sprawa reform, to nie tylko dokonywanie zmian, ponieważ zarówno władza jak i społeczeństwo musi do takich przeobrażeń dojrzeć. Na siłę nic się tu nie da zrobić. Reformy po polsku zaprowadzano albo za wcześnie, albo za późno, choć tych drugich było stanowczo więcej.

— No cóż, także i tym razem nie ukoiłeś mnie...

— Dla państwa — że dodam jeszcze raz — nie ma nic bardziej niszczącego niż reformy, na które decydujesz się za późno. Degrengolada życia zbiorowego jest tak daleko posunięta, że zmiany te niczego nie naprawiają. Dołączają bałagan reformy do już istniejącego chaosu. Korzystniejsze dla zbiorowości byłoby ich zaniechanie... Reformować państwo, Polskę, trzeba było w roku 1990, góra rok później. I niech nikt nie wmawia, że to wymagało czasu. 1 listopada 1918 Polska odzyskała niepodległość, a do końca roku, czyli w niecałe dwa miesiące wprowadzono w życie 150 najważniejszych dla ustroju aktów prawnych, decydujących o jego przyszłości.

— Wciąż i wciąż trzeba się odwoływać do matki — historii?!

— Bo teraźniejszość nie napawa optymizmem. Polak, działający publicznie, jest przede wszystkim deprymująco leniwy. Pomijam już niezbyt imponujący stan jego umysłu i ducha. Gdybym wiedział jak to zmienić, zabrałbym się do polityki. Ale naprawdę nie wiem. Obserwuję tylko, tak jak ty, co się wokół nas dzieje, a ponieważ znam historię Bizancjum, nawet nie potrafię się już dziwić...

Spisał: EDWARD SZOPA

Katowickie wydawnictwo „Książnica" przy okazji publikacji najnowszego utworu Włodzimierza Paźniewskiego *Skoro świt* poinformowało, że przygotowywane jest wznowienie jego powieściowego debiutu *Krótkich dni* (w tych dniach w Szwajcarii ukazał się właśnie przekład francuski). Warto zwrócić uwagę na zapowiadaną książkę, gdyż jest ona głosem, mieszkającego od lat na Śląsku pisarza, w dyskusji na temat miejsca Ukrainy w świadomości Polaków, polskiej tradycji i kulturze. Historia tego zagadnienia liczy sobie dobrze ponad sto lat, jednak szczególnego znaczenia nabrała ostatnio, wobec zmian na politycznej mapie Europy.



Smak ukraińskiego życia

ELŻBIETA DUTKA

Od czasów romantyzmu w literaturze pojawiały się dwa opozycyjne obrazy Ukrainy. Przedstawiano ją zarówno rozśpiewaną, pachnącą czeremchami — „mlekiem i miodem płynącą" jak i jako krainę demoniczną, „ziemię przeklętą", zbuntowaną, okrutną i czerwoną od przelanej tu krwi. Te dwa obrazy: Ukrainy jako ziemskiego Raju lub Piekła, oddziaływały na całe pokolenia twórców i czytelników. Najbardziej spektakularnym dowodem na to, że pisanie o Ukrainie budziło zawsze i budzi wciąż dużo emocji, jest historia recepcji *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza. To trudne wyzwanie Włodzimierz Paźniewski podjął ponad piętnaście lat temu pisząc *Krótkie dni*. Jednak pracę nad swoją formą przedstawiania Ukrainy pisarz rozpoczął jeszcze wcześniej. Pięć lat przed wydaniem powieści, na łamach „Polityki" pisarz opisał „ostatni spór o istnienie Boga". „Sklep towarów kolonialnych wypełniony zapachem pieprzu, goździków, cynamonu i gałki muszkatołowej w niczym nie przypominał pomieszczeń wydziału filozofii uniwersytetu w Cambridge. Biblioteką była stara księga buchalteryjna z zabrudzonym dolnym rogiem. Sześcioletni Platon został potem sławnym rabinem — Izaak Num — zagadnął go stary kupiec korzenny przejazdem ze Lwowa — dam ci guldena, jeśli mi powiesz, gdzie znajduje się Bóg? — A ja ci dam dwa guldeny — odpowiedział chłopiec jeżeli mi powiesz, gdzie on się nie znajduje". W następnym zdaniu pisarz dodał: „Ta opowieść odnaleziona na stronach pożółkłych gazet z końca ubiegłego wieku, pomiędzy reklamą damskich kapeluszy, a ogłoszeniem zachwalającym działanie maści na odciski, (...) więcej mówi o atmosferze dawnej Galicji niż szeregi liczb z podręczników historii". Ta anegdota została powtórzona w *Krótkich dniach* jako wydarzenie z życia słynnego na całą okolicę Rebe Rokachema.

Trzynaście lat po opublikowaniu *Krótkich dni* w eseju zatytułowanym *Pal*, Paźniewski napisał: „Wschodnie obszary Polski były ojczyzną nawiedzonych ludzi, licznych cudów i zaskakujących fabuł". Te dwie wypowiedzi Paźniewskiego przedstawiają w skrócie jego „sposób" pisania o Ukrainie, który został zastosowany w *Krótkich dniach*. Wiele fragmentów powieści przypomina „ciekawostki" zamieszczane pomiędzy reklamami, gdzieś na ostatnich stronach gazet. Niektóre z nich, podobnie jak przytoczona powyżej „historia o mądrości sześcioletniego żydowskiego chłopca", są wręcz przypowieściami filozoficznymi. Inne, jak fragment o „znakach na niebie" przeczytany przez dziadka w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym", przypominają „sensacje", w które kto chce, niech wierzy: „Pan Michał Zawadzki nadsyła nam z Zarytego-Rabki list z opisem ciekawego zjawiska atmosferycznego. Po nadzwyczaj upalnym dniu nadeszła poprzedzona wichrem groźna burza. Z południa i południowego zachodu nadbiegły ciężkie, ołowiane chmury, miejscami szarożółte. Zgięły się czuby drzew, pofrunęły sterty i stogi, a niebo rozdzierały bezustanne pioruny. Przelatując wzdłuż i wszerz kreśliły grube zygzaki na niebie, zataczały łuki, fantastyczne spirale, wszystko wśród ulewnego deszczu. Nagle wiatr ścichł, na zachodzie ukazała się smuga seledynowego nieba i wytrysnęły pęki promieni sierpniowego, zachodzącego słońca. Dziwne się teraz zaczęły dziać rzeczy. Świat stanął jakby w płomieniach. Ściany domów, zwykle białe zaświeciły pomarańczowo. (...) Dzieci, zwykle hałaśliwe i ruchliwe, tuliły się do siebie w zwartej grupce. Ktoś mówił o zachodzie słońca, który poprzedził powódź ostatnią, ktoś inny przypomniał zachód słońca w 1914 roku, który poprzedził wielką wojną".

Takie opowieści zwykle traktuje się pobłażliwie, są one tak powszednie w mało ambitnych pismach jak reklama maści na odciski. Zwyczajność to jednak pozorna, maść, według reklamy, ma przecież działanie cudowne! Podobnie w tej powieści nie ma zwykłych rzeczy czy wydarzeń. Każdy drobiazg, jak na przykład słynne fajki sprzedawane przez Moszkowicza, czy rewelacyjna maść wynaleziona przez doktora Dowoyno-Sołłohuba z Ostroga, jest ważny, wyraźnie zarysowany. „Cuda" codzienne mają swoje znaczenie, są znakiem, zapowiedzią przyszłości lub przypomnieniem przeszłości. Także każda postać przedstawiona w powieści jest niezwykła. Dziadek nie jest zwykłym hreczkosiejem, lecz z uporem poszukuje złóż nafty, kupiec Moszkowicz nie zajmuje się jedynie handlem, lecz prowadzi filozoficzne dysputy, wyczekuje codziennie Mesjasza „który przyjedzie z Podola ubogą żydowską furką, zaprzężoną w byle jakiego łoszaka, stanie pod sklepem z wypchanym krokodylem na wystawie, popro-

si o nocleg albo bochenek chleba", profesor geografii nie tylko uczy w szkole, ale także tropi nieznane autografy Słowackiego, stary pan Muszalski, zamiast dbać o majątek, kolekcjonuje i opisuje Stradivariusy... Pozornie zwykli, a jednak to właśnie ich Paźniewski nazwał „nawiedzonymi", ktoś inny być może nazwałby dziwakami czy szaleńcami. Ich „niepraktyczne" zazwyczaj szaleństwo wzbudza jednak sympatię i szacunek — to ludzie z pasją i charakterem. Ich historie składają się na opowieść o krainie, to oni tworzą jej barwną, narodowościową mozaikę. Wśród nich są Polacy, Rosjanie, Ukraińcy i Żydzi. Żyją razem, dzieląc pełną „cudów i zaskakujących fabuł" codzienność tej krainy, która była jakby „ziemską Wieżą Babel". W takiej wspólnocie o konflikty nie było trudno, jednak w świecie przedstawionym przez Paźniewskiego, nawet najtrudniejsze z nich znajdują proste rozwiązanie. Ból i konflikty nie przysłaniają pogodnego obrazu krainy.

W *Krótkich dniach* nie ma „rozdrapywania ran", „rozdzierania szat" i „dochodzenia dziejowej sprawiedliwości". To obraz Ukrainy takiej, jaką wielu chciałoby pamiętać, odpowiadający równocześnie wyobrażeniom tych, którzy Ukrainę znają jedynie ze wspomnień innych i artystycznych przekazów. W tej krainie różnorodność nie jest źródłem konfliktów, lecz jej bogactwem: „nasza zwariowana kraina nie była zwyczajną euforią chaosu, dowolności oznaczającej zawsze nieuchronnie zwycięstwo przypadku. Posługiwała się zrozumiałym tylko dla siebie alfabetem, co dawało jej mimowolną przewagę nad innymi krainami, których jedyną wadą, była jednoznaczność i zbyt nudna dosłowność". Historie licznych bohaterów powieści są najczęściej zamknięte w ramach jednej krótkiej, lecz dramaturgicznie wręcz zbudowanej sekwencji, lub przewijają się przez różne anegdoty i opowieści, wątki zrywają się i nawiązują raz po raz. Rozbiegane fragmenty łączy fakt, że wszystkie one tworzą tak naprawdę jeden obraz — kolaż przedstawiający kraj niezwykły. To Ukraina jest zarówno tłem, jak i bohaterką całej powieści. „Opowiadają" o niej mieszkańcy, co dodatkowo potęguje wrażenie autentyczności.

Technika Paźniewskiego nie kończy się jednak na „kolażowym" nakładaniu na siebie wielu fragmentów, historii i anegdot. *Krótkie dni* przywołują nieustannie tradycję literacką, w niej głęboko jest zanurzona wizja Ukrainy stworzona przez katowickiego pisarza. Ta kraina jest wypełniona motywami znanymi z literatury romantycznej. Tajemnicze jary, kurhany porośnięte trawą stepy i młaki zapełniają dziwne zjawy, diabły, wiedźmy i dusze potępione. Kraina przedstawiona w *Krótkich dniach* „uwielbiała romantyków". Szczególnym szacunkiem darzono tu Słowackiego. Jego twórczością są zafascynowani mieszkańcy krainy. Rebe Rokachem wyjaśnił istotę poezji wieszcza w następujący sposób: „zaprowadził gościa do otwartego okna i kazał mu się wsłuchiwać w szelest, szuszczenie i skapywanie krótkiego wołyńskiego deszczu zapewniając, że pomiędzy tymi odgłosami można wyodrębnić słowa wypowiadane przez Słowackiego". Mądry Rebe i tym razem wykazał się niezwykłą przenikliwością. Kraina przedstawiona w *Krótkich dniach* jest sama w sobie poezją. Tak Ukrainę widzieli romantycy. Wizja tego kraju stworzona przez Juliusza Słowackiego, Tomasza Padurrę, Antoniego Malczewskiego i innych twórców „szkoły ukraińskiej" raz po raz pobrzmiewa w powieści Paźniewskiego. Przez przywoływanie zabobonów i wierzeń ludowych współczesny pisarz nawiązuje do twórczości Seweryna Goszczyńskiego, który w *Zamku kaniowskim* napisał, że „nic się na Ukrainie ważnego nie stanie, czegoby nie przepowiedziało nadzwyczajne zjawisko". W utworze Goszczyńskiego dziwne zjawiska i wróżby zwiastowały rzeź humańską, w *Ogniem i mieczem* w podobny sposób zapowiadany jest bunt Chmielnickiego, w *Krótkich dniach* znaki na niebie i ziemi zapowiadają największą tragedię w historii Ukrainy — rok 1939 i drugą wojnę światową. Paźniewski nie wykorzystuje aluzji literackich i elementów tradycji jedynie w celach „upiększających", lecz ukazuje jak symbole, mity stworzone przez literaturę „wrastają" w świadomość czytelników, tworząc zupełnie nowy świat.

Powieść przedstawia krótkie dni lata 1939 roku. W historii koniec tego lata oznaczał, jak napisał Jacek Kolbuszewski „kres kresów", śmierć tamtej krainy. W powieści ten świat istnieje nadal w swoim fantastycznym wymiarze. Przetrwanie gwarantuje mu tradycja i mity, które wymieszały się z rzeczywistością. Taka kraina jest dostępna narratorowi i czytelnikowi *Krótkich dni*. W powieści raz po raz ponawiane są próby opisania i zrozumienia jej skomplikowanej istoty. Każdy fragment jest jakby szkicem do portretu tej mitycznej krainy. Oto jeden z takich obrazów: „Kraina pełna wyniosłości, przypominała dumnego wędrowca, który utrudzony zachodzi do napotkanego domu i mimo pragnienia nie prosi o nic. Innym razem, zapobiegliwa jak kupiec, lubiła obnosić się ze swoim kresowym bogactwem. Była to więc kraina winogron kuracyjnych z Zaleszczyk, derenia i najsmaczniejszych w całym kraju śliwek węgierskich, z których w Trembowli robiono rytualną pejsachówkę, miodu górskiego z okolic krzemienieckich i konfitury różanej noszonej przez wiejskie kobiety po osiedlach oficerskich, strefa niesamowitych tragicznych wydarzeń, o których opowiadano na targach i pisano łzawo w gazetach". Próby opisu krainy są równocześnie poszukiwaniem jej tożsamości: „Nasza zwariowana kraina wytrwale szukała dla siebie stosownej metafory, ponieważ zawsze była pokojem przejściowym i sprawa tożsamości stanowiła dla niej wartość wprost obsesyjną". Kłopoty z tożsamością były spowodowane statusem tej krainy usytuowanej na pograniczu mitu i rzeczywistości, obrazuje je brak jednej konsekwentnie stosowanej nazwy dla ziem przedstawionych w *Krótkich dniach*. Nie pasują już nazwy geograficzne, czy polityczne, które tak cząsto budziły konflikty. W książce nie pojawia się ani słowo „Ukraina", ani „Galicja" czy „Ruś"! Paźniewski mnoży propozycje, pisze między innymi o: „dziwnej krainie", „błyskotliwej i przewrotnej", „zachłannej, zwariowanej i bogatej". Przy każdym z tych zmieniających się określeń pojawia się niezmiennie przymiotnik „nasza". Zastępienie powszechnie używanych nazw formą opisową przypomina poetycką figurę peryfrazy, jest formą indywidualnego oglądu krainy. Peryfrazę stosowano także wówczas, gdy nie była znana prawdziwa nazwa danego zjawiska.

Narrator *Krótkich dni* nie zna Ukrainy z autopsji, sygnalizuje to już na pierwszej stronie powieści: „Nigdy nie byłem w tym domu, a przecież pamiętam wszystko doskonale". Narrator zna jednak krainę ze swoich „doświadczeń wewnętrznych" z tradycji, z opowiadań, wspomnień tych, którzy znali Ukrainę, z historii, literatury i pożółkłych roczników starych gazet i kalendarzy... Taka jest kraina jego myśli, którą może „pamiętać", mimo, że w niej nigdy nie był! To jest sposób pisania o Ukrainie — z perspektywy jej mieszkańca, nawet jeśli jest się nim nie w znaczeniu realnym lecz mitycznym. W ten sposób powstała niezwykła powieść ukazująca ciekawą wizję kraju usytuowanego na pograniczu mitu i tradycji. Profesor Ireneusz Opacki w studium poświęconym liryce romantycznego wieszcza napisał, że „uobecnia ludzkie smaki historii, smaki losu utrwalone w słojach przekroju życia. Smak jego słodyczy i smak jego goryczy. Smak dumy i smak upokorzenia. Smak człowieczego losu".

O powieści Paźniewskiego *Krótkie dni* można powiedzieć, parafrazując te słowa, że utrwala niepowtarzalny „smak ukrainnego życia". Smak to może nie raz opisany przesadnie, wyjaskrawiony i niewiarygodny, lecz taki jest zawsze wynik zbierania esencji, tego co z rzeczy pospolitych najpospolitsze, a z rzeczy niezwykłych najbardziej niezwykłe... ■

Czeska polka

ANDRZEJ BABUCHOWSKI

O literaturze polskiej w czeskich przekładach

Pierwotny podtytuł miał być nieco inny: *O recepcji literatury polskiej w Czechach po II wojnie światowej.* Zdrowy rozsądek nakazał mi jednak ominąć pułapkę scjentyzmu, jaką zastawia już samo słowo *recepcja*, zobowiązujące przecież do wnikliwych studiów (m.in. o charakterze socjologicznym) nad odbiorem dzieła literackiego. Ponadto określenie *w Czechach* nie byłoby zbyt adekwatne, bowiem aż do 31 grudnia 1992 roku na mapie Europy istniało państwo o nazwie Czecho-Słowacja, noszącej wcześniej, w okresie totalitarnym, miano Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej. Świadom wszystkich tych ograniczeń, postanowiłem podryfować w stronę literackiej gawędy, opatrując całość tytułem *Czeska polka,* który — choć żartobliwy — ma jednak swoje, całkiem poważne, historyczne uzasadnienie. Ale o tym później.

Mocne uderzenie

Zacznijmy od „mocnego uderzenia" czyli od kilku danych, które wydają się imponujące. Oto w latach 1946-1988 (okres ten został już z grubsza podsumowany) ukazało skę w języku czeskim ponad tysiąc tytułów polskiej literatury pięknej. Dla porównania można podać, że od roku 1573, kiedy to wydany został w Czechach pierwszy przekład polskiego utworu, anonimowej *Tregedii żebraczej,* do końca II wojny światowej — a więc w ciągu niespełna czterech stuleci — przetłumaczono na język czeski około 950 polskich książek. Dane te przytacza, zmarły w ubiegłym roku, znany badacz i tłumacz naszej literatury, Otokar Bartoš w szkicu zatytułowanym *Zamyšlení nad českými překlady z polské literatury* (wielką zasługą Bartoša było m.in. opracowanie słownika pisarzy polskich, który pod nazwą *Slovník spisovatelů. Polsko.* ukazał się w roku 1974 nakładem wydawnictwa Odeon). Komentując ilościowy dorobek swoich rodaków autor szkicu dodaje, iż „w okresie powojennym literatura polska zajmuje zaszczytne trzecie miejsce w całej czechosłowackiej produkcji przekładowej, za wielonarodową literaturą radziecką i anglo-amerykańską".

Oczywiście, przy całym uznaniu dla owej, tak łechcącej naszą narodową dumę, ilości przekładów, nie wolno ani na chwilę zapominać, że czterdziestoletni okres komunistycznego reżimu (w Czechosłowacji zaczął się on później niż u nas, bo w lutym 1948 roku) naznaczył bardzo silnym piętnem ideologii także wymianę dóbr kulturalnych, która odbywała się, rzecz jasna, pomiędzy „bratnimi krajami" i zawsze „w duchu proletariackiego internacjonalizmu". Dlatego wśród książek tłumaczonych po obu stronach granicy, znajdujemy, zwłaszcza w czasach stalinowskich, także sporo literatury bezwartościowej, tworzonej wyłącznie według sztywnych kanonów socrealizmu. Pomińmy jednak tę produkcję głębokim milczeniem.

Pierwsze czeskie przekłady ukazały się już w roku 1946: *Dziewczęta z Nowolipek* Poli Gojawiczyńskiej i *Cudzoziemka* Marii Kuncewiczowej — obydwa były dziełem Heleny Teigovej. Spośród wszystkich polskich tytułów przełożonych po II wojnie światowej aż jedną trzecią zajmuje klasyka, zaś pozostałe dwie trzecie — literatura współczesna. Warto w tym miejscu przyjrzeć się trochę bliżej samemu zjawisku publikowania klasyków na użytek współczesności.

W latach pięćdziesiątych praska oficyna Odeon wydała *Dzieła* Adama Mickiewicza w czterech tomach. Zdaniem Otokara Bartoša, dużą zaletą tej edycji było wykorzystanie zarówno przekładów wcześniejszych, jak i nowych, które współtworzyli przedstawiciele różnych pokoleń pod kierunkiem wybitnego polonisty prof. Karela Krejčego. W tym czasie Odeon rozpoczął zakrojoną na szeroką skalę akcję publikowania dorobku innych polskich klasyków, która po latach objęła m.in. 11-tomową edycję *Dzieł* Henryka Sienkiewicza (ukończoną w roku 1975), 7-tomową edycję *Dzieł* Bolesława Prusa (ukończoną w roku 1981) oraz nie ukończone do tej pory wydanie *Dzieł* Stefana Żeromskiego.

Jak odbierani są przez czeskich czytelników wspomniani twórcy? W 4 numerze „Zeszytów Literackich" z 1995 roku znalazłem krótkie i nieco zaskakujące zwierzenia tłumaczki Heleny Stachovej, których fragment chciałbym przytoczyć: „Dzisiaj byłoby rzeczą niemożliwą wydawać polską klasykę, może z wyjątkiem Sienkiewicza i *Faraona* Prusa, którego poprawioną wersję oddałam właśnie do wydawnictwa w Ostrawie. Romantycy czy pisarze tacy, jak Żeromski, nigdy nie znaleźli czeskiego czytelnika. Zawsze większe zainteresowanie budzili autorzy z tzw. nurtu socjalnego".

Myślę, że jeśli można by się (ewentualnie!) zgodzić z zawartą w tej wypowiedzi diagnozą „na dzisiaj", to kategoryczne stwierdzenia typu „nigdy" lub „zawsze" są mocno przesadzone i — delikatnie mówiąc — mijają się z prawdą, zwłaszcza gdy chodzi o romantyków. W wywiadzie udzielonym przed laty „Literaturze na świecie" (nr 7 z 1974 roku) prof. Karel Krejči, największy autorytet w dziedzinie polsko-czeskich wzajemności literackich, stwierdził coś zupełnie przeciwnego: „Gdyby nie Vrchlický, Halas, Holan, Sojka, tłumacze wybitni, Czesi nie znaliby Mickiewicza i Słowackiego. Chodzi bowiem o przekład artystycznie adekwatny. A dzięki nim mamy, można powiedzieć, wszystkie dzieła Mickiewicza. **I są powszechnie czytane** (podkreślenie moje). Zwłaszcza *Pan Tadeusz* w znakomitym przekładzie Ericha Sojki, powstałym parę lat temu (Odeon, Praga 1969 — przyp. mój). Bo są to niemal całkowicie osiągnięcia powojenne".

Półtora wieku wcześniej

W tym miejscu konieczna jest krótka dygresja lub raczej retrospekcja — powrót do lat trzydziestych wieku... dziewiętnastego. To właśnie wtedy rozpoczyna się, trwająca do dziś, ponad 150-letnia ciągłość zainteresowania Czechów polskim piśmiennictwem i polską kulturą w ogóle. Niezwykłą rolę odegrało wówczas powstanie listopadowe. Wśród młodej generacji tzw. budzicieli wywołało ono istną falę entuzjazmu, znajdując szeroki oddźwięk w czeskim

społeczeństwie, czego wyrazem były m.in. narodziny nowego tańca, zwanego *polką*.

Swoje propolskie sympatie demonstrowali wtedy tak wybitni twórcy młodego pokolenia, jak Karel Hynek Macha, Karel Havlíček, Božena Němcová czy Bedřich Smetana. Dziesiątki młodych Czechów, a także Słowaków, spieszyło na pomoc polskiemu powstaniu z bronią w ręku. Ta niespotykana w dziejach naszych wzajemnych stosunków fala polonofilstwa przeniknęła wkrótce do literatury i właśnie tam, w królestwie słowa zadomowiła się na dobre, jak gdyby nie bacząc na późniejsze zawirowania polityczne i kaprysy historii. A szczególnie znamienna jest tutaj „kariera" *Pana Tadeusza*, który — choć pierwszego pełnego przekładu (pióra Eliški Krasnohorskiej) na język czeski doczekał się dopiero w 1882 roku — to już w chwili swego powstania, czyli w roku 1834, miał nad Wełtawą opinię arcydzieła, zaś różne fragmenty tego poematu co pewien czas ukazywały się w czeskiej prasie.

Przytoczone wyżej przykłady stanowią niewątpliwie ważną, ale tylko cząstkę prawdy o rzeczywistej genezie także współczesnych zainteresowań polską literaturą ze strony naszych południowych sąsiadów. Jak rozległy był zasięg tych fascynacji w dziewiętnastym wieku, pokazuje wydana w roku 1947 — i niestety dziś trochę już zapomniana — praca prof. Mariana Szyjkowskiego pt. *Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym*. Sądzę, że świadomość roli, jaką odgrywał polski romantyzm również w późniejszym rozwoju czeskiej kultury, inspirowała niejednego wybitnego tłumacza przy podejmowaniu konkretnych wyborów i decyzji twórczych.

W stronę klasyki

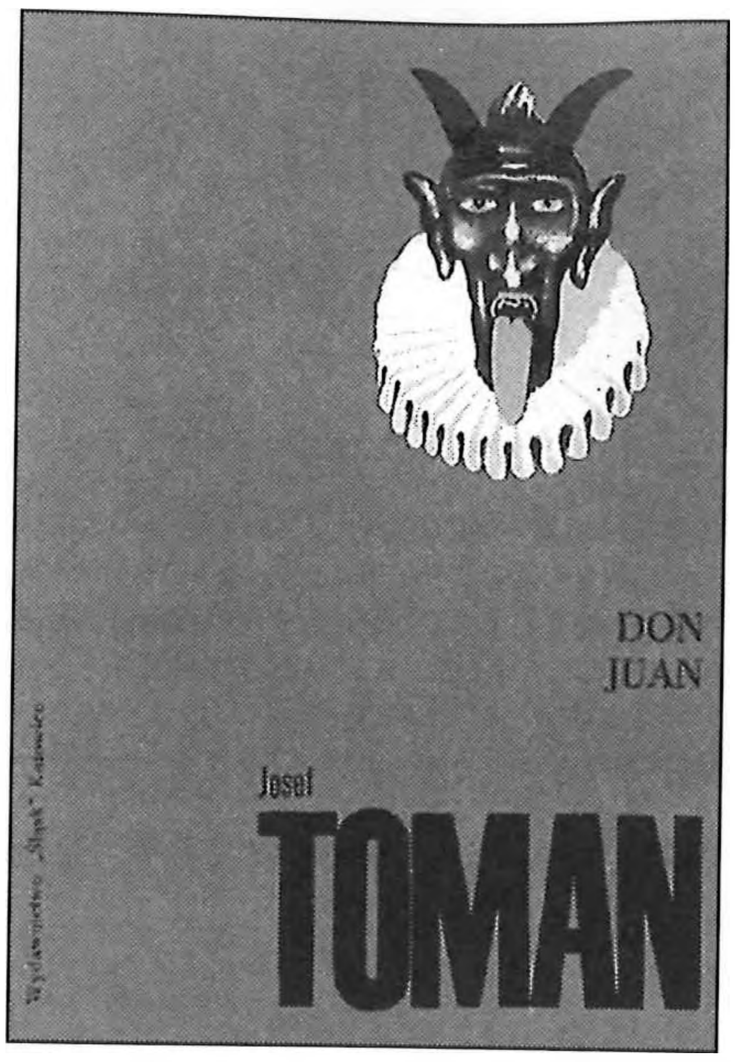
Potężnym impulsem dla pokolenia powojennego stała się działalność translatorska Františka Halasa, a zwłaszcza jego kongenialne, dokonane na początku lat pięćdziesiątych, przekłady takich dzieł, jak *Grażyna, Konrad Wallenrod* czy *Dziady* Mickiewicza, oraz *Balladyna* i *Lilla Weneda* Słowackiego. Natomiast inny wielki poeta współczesny o „romantycznym rodowodzie", Vladimir Holan przełożył obydwa cykle Mickiewiczowskich *Sonetów* i poemat Słowackiego *Ojciec zadżumionych*. Zarówno Halasa, jak i Holana wspierał przy tłumaczeniach swoimi cennymi radami świetny znawca polskiej literatury, pisarz z kręgu „Moderni revue", Josef Matouš. Zdaniem wielu krytyków, szczytowym osiągnięciem translatorskim ostatnich dziesięcioleci był jednak wspomniany już przekład *Pana Tadeusza*, za który Erich Sojka otrzymał w roku 1975 prestiżową nagrodę polskiego PEN-Clubu. „Zastępując polski trzynastozgłoskowiec czeskim aleksandrynem z ruchomą cezurą i stosując zarówno rymy żeńskie, jak i męskie, tłumacz znakomicie odtworzył wszystkie partie opisowe oraz specyficzny Mickiewiczowski humor" — napisał w swoim szkicu Otokar Bartoš.

Lista obecności polskiego romantyzmu na czeskiej mapie wydawniczej bynajmniej nie zamyka się przekładem naszej narodowej epopei. W roku 1984 Odeon wydał *Nie-boską komedię* Zygmunta Krasińskiego w nowym przekładzie Jaroslava Simonidesa, również laureata nagrody polskiego PEN-Clubu. Istnieją aż trzy wybory z twórczości Cypriana Kamila Norwida: dwa z nich *Černé kwety* (1970) i *Chopinův klavír* (1976) są dziełem Jana Pilaře, trzeci *Mramory a blesky* (1968) — Václava Renča. Kilka utworów Norwida w tłumaczeniu na czeski znalazło się także w świeżo wydanym, trzecim tomie *Dzieł* Jana Zahradníčka, jednego z najwybitniejszych poetów czeskich naszego stulecia. W roku 1967 Hana Jechová z wielkim wyczuciem stylu przełożyła poemat Słowackiego *Beniowski*, w 1976 wyszły w dwóch tomach *Básně (Poezje)* tegoż autora, dziesięć lat później ukazał się reprezentatywny wybór jego liryki w przekładzie Pilaře, zatytułowany *Ja, Orfeus*, a w roku 1988 wydano tom wierszy lirycznych Mickiewicza *Vyhnanec živlů (Wygnaniec żywiołów)*.

Dużym powodzeniem cieszy się też w Czechach polska dramaturgia klasyczna, należąca do stałego repertuaru teatrów zawodowych i amatorskich, chociaż przez długi czas istniały spore kłopoty z książkowym wydawaniem sztuk teatralnych. Przetłumaczone teksty rozpowszechniane były początkowo tylko poprzez skrypty agencji autorskiej DILIA. Jednak już w latach sześćdziesiątych następuje przełom. Niezależnie do swej częstej obecności na czeskich scenach, pojawiają się także w księgarniach i są kilkakrotnie wznawiane m.in. komedie Aleksandra Fredry *Zemsta* i *Pan Geldhab* oraz tragikomedie Gabrieli Zapolskiej. Co pewien czas grywane są w Czechach dramaty Słowackiego, np. *Mazepa, Maria Stuart, Balladyna*. Przestarzałe tłumaczenia Wesela i *Warszawianki* Stanisława Wyspiańskiego, którym wcześniej nie udało się przebić na tamtejszą scenę, zastąpiono nowymi, iście mistrzowskimi przekładami Ericha Sojki. Ich książkowe wydanie z roku 1988 poprzedzone zostało ciekawym i klarownym wstępem Jaroslava Simonidesa, umiejętnie wprowadzającym czytelnika w skomplikowany świat teatralnej symboliki.

XX wiek i tradycja

W połowie lat osiemdziesiątych Czesi — nie bez oporów ze strony oficjalnych czynników zawiadujących kulturą — odkryli wreszcie twórczość teatralną Witkacego. Kameralna prezentacja kilku fragmentów jego sztuk w Ośrodku Kultury Polskiej w Pradze była delikatnym testem politycznej „cenzuralności" autora (obawę budziły zwłaszcza zawarte w *Szewcach*, mimowolne zresztą, aluzje do współczesności). Wszystko jednak skończyło się pomyślnie i w roku 1985, z okazji setnej rocznicy śmierci pisarza, Odeon wydał w jednym tomie cztery dramaty Witkacego: *Szaloną lokomotywę, Wariata i zakonnicę, Matkę* oraz *Szewców*. Nakład był wprawdzie bardzo mały, bo zaledwie 1000 egzemplarzy, ale już w roku 1987 postarano się o reedycję.



Nie tylko nas Czesi tłumaczyli — W wydawnictwie „Śląsk" przez całe lata ukazywała się seria literatury czeskiej.

Współczesna dramaturgia polska na czeskim rynku wydawniczym reprezentowana jest m.in. wyborem sztuk Tadeusza Różewicza i Jerzego Szaniawskiego. Obie publikacje ukazały się w latach osiemdziesiątych. Największym jednak wzięciem cieszy się tutaj twórczość Sławomira Mrożka (aż trzy wybory książkowe, w tym również proza). Wielki sukces odniosła inscenizacja *Emigrantów* w przekładzie Ericha Sojki na deskach praskiego teatru Na zábradlí. Niektóre mniejsze, pozastołeczne sceny eksperymentalne wystawiały również sztuki Witolda Gombrowicza — *Iwonę, księżniczkę Burgunda* oraz *Operetkę*.

W latach siedemdziesiątych pojawiła się nowa tendencja translatorska, zmierzająca do poszerzenia obrazu naszej klasyki o literaturę staropolską. Była to, zdaniem Otokara Bartoša, niejako „naturalna potrzeba kompleksowego przyswojenia czeskiemu czytelnikowi dziedzictwa polskiej kultury", ale można w tym również dopatrywać się chęci ucieczki od trudnych, społeczno-politycznych problemów współczesności (przypomnijmy, że okres tzw. normalizacji, jaki nastąpił po upadku Praskiej Wiosny, był katastrofalny w swoich skutkach dla całej czeskiej i słowackiej kultury). Wspomnianą tendencję translatorską zapoczątkował w roku 1971 wybór poezji Jana Kochanowskiego *Renesanční loutna* w tłumaczeniu Pilara i Sojki. Dziesięć lat później wydano

poemat *Szachy*, zaś czterechsetną rocznicę śmierci Mistrza z Czarnolasu uczczono piękną edycją *Trenów* w przekładzie i z posłowiem Jana Pilařa. W latach 1973, 1974, 1975 i 1977 Jaroslav Simonides opublikował całą serię swych znakomitych przekładów z literatury staropolskiej. Ukazywały się więc kolejno: *Rękopis znaleziony w Saragossie* Jana Potockiego, *Listy do Marysieńki* Jana III Sobieskiego, *Pamiętniki* Paska oraz *Dworzanin polski* Łukasza Górnickiego. W roku 1984 opublikowany został wybór poezji Jana Andrzeja Morsztyna zatytułowany *Divy lasky* w przekładzie Vlasty Dvořáčkovej, znanej poetki, przedstawicielki pokolenia „dnia powszedniego", formacji, która na scenę literacką wkroczyła pod koniec lat pięćdziesiątych. Tak więc czeska kultura wzbogaciła się w tym okresie o prawdziwe „perły" polskiego renesansu i baroku.

Kwestionując rozmaite stereotypy oraz pochopne opinie na temat gustów i zainteresowań naszych pobratymców z południa, nie zamierzam wcale podważać faktu, iż najbardziej powszechną „strawą literacką" była dla nich w przeszłości — i chyba jest nadal — proza realistyczna. Dotyczy to, rzecz jasna, także literatury polskiej. Można tutaj przytoczyć niektóre fragmenty wypowiedzi osoby szczególnie zasłużonej i kompetentnej, Vendulki Zapletalovej („Literatura na Świecie" nr 1 z 1975 roku): „W roku 1974 zaczęłam przekładać <swego> klasyka — Sienkiewicza. *Trylogię* przetłumaczono u nas natychmiast po ukazaniu się oryginału i pokolenia młodzieży w okresie międzywojennym czytały ją z takim samym entuzjazmem, jak w Polsce. Po drugiej wojnie jednak trzeba było czekać aż dziesięć lat, zanim nowy przekład wszedł do planów czeskich wydawnictw (...) Czytelnicy czescy lubią polskich pisarzy, mają wśród nich <swoich> autorów i chętnie zapoznają się z nowymi. Polskich pisarzy nie trzeba naszej publiczności narzucać, wystarczy ich dobrze, w dostatecznej mierze i właściwym wyborze prezentować."

Sukces współczesnych

Popularność klasyki stanowiła naturalną odskocznię dla zainteresowań literaturą współczesną, która, jak już wcześniej wspomniałem, zajmuje dwie trzecie ogólnej liczby powojennych przekładów z języka polskiego. Warto jednak wiedzieć, że i na tym polu nie zaczynano od zera. Już bowiem w dwudziestoleciu międzywojennym czytelnicy czescy mieli możność zaznajomienia się z dziełami Wacława Berenta, Zofii Nałkowskiej, Juliusza Kadena-Badrowskiego, Jana Parandowskiego, Zygmunta Nowakowskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Kuncewiczowej; natomiast utwory poetów awangardowych zebrane zostały w antologii *Poesie svobodného Polska*. Książki wymienionych tutaj autorów ukazywały się w ramach redagowanej przez Mazáča i ukończonej w roku 1937 dziesięciotomowej serii *„Polská knihovna" (Biblioteka Polska)*, która odniosła wielki sukces edytorski. Oprócz tego tłumaczeni byli m.in. Julian Tuwim, Jalu Kurek, Wacław Sierowszewski, Michał Choromański, Emil Zegadłowicz.

W bezpośrednich rozmowach z czeskimi pisarzami starszego pokolenia kilkakrotnie miałem okazję przekonać się, że pamięć o polskich lekturach okresu międzywojennego jest nadal żywa. Zmarły niedawno, wybitny prozaik, Ladislav Fuks ze szczerym zachwytem wspominał zawsze *Przylądek Dobrej Nadziei* Zygmunta Nowakowskiego, zaś Bohumil Hrabal, w wywiadzie, którego udzielił mi przed laty w słynnej praskiej gospodzie „Pod Złotym Tygrysem", powiedział o *Sklepach cynamonowych* Brunona Schulza, że jest to „najpiękniejsza, a zarazem najsmutniejsza książka na świecie".

Tuż po tzw. rewolucji lutowej, czyli komunistycznym przewrocie w roku 1948, czołowe miejsca na liście przekładów z literatury polskiej zaczęli zajmować — zgodnie z przewidywaniami — gorliwi wyznawcy socrealizmu i piewcy nowej rzeczywistości: Leon Kruczkowski, Jerzy Putrament, Igor Newerly, Tadeusz Breza, Bohdan Czeszko, Tadeusz Hołuj, Wojciech Żukrowski i oczywiście, Jerzy Andrzejewski, którego *Popiół i diament* doczekał się w Czechosłowacji aż 5 wydań.

Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że niezależnie od różnego rodzaju literackich serwitutów, spłacanych w imię „braterskiej przyjaźni", spora grupa czeskich tłumaczy starała się nie tracić nigdy z pola widzenia tego wszystkiego, co na naszym rynku wydawniczym niosło ze sobą autentyczną wartość. Dziś coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że wobec literatury polskiej stosowano w Czechosłowacji — mam tu na myśli zarówno politykę wydawniczą, jak i działalność cenzury — nieco łagodniejsze kryteria ideowo-polityczne niż wobec własnej, rodzimej twórczości. Oczywiście, w pewnych okresach, a zwłaszcza w epoce tzw. normalizacji (po roku 1968), niektóre nazwiska naszych pisarzy-dysydentów także nad Wełtawą nie mogły się pojawiać, lecz fakt ten był częściej wynikiem donosicielstwa polskich funkcjonariuszy kultury niż przejawem nadgorliwości ze strony czeskiej. W sytuacji, gdy niemal wszyscy „nieprawomyślni" autorzy czescy skazani byli na czytelniczy niebyt, dość paradoksalnie musiały brzmieć słowa Otokara Bartoša: „Nie boimy się wydawania dzieł pisarzy (polskich — przyp. A.B.), z najróżniejszych przyczyn kontrowersyjnych". I rzeczywiście — trzeba to przyznać — wydawano... także utwory kontrowersyjne, nowatorskie, daleko odbiegające od „neosocrealistycznej" sztampy epoki Husaka. Być może, właśnie literatura polska, traktowana pluralistycznie i bardziej liberalnie, była dla Czechów w tamtym, trudnym okresie jakimś substytutem duchowej wolności?



Vlasta Dvořáčková — dzięki niej wielu polskich poetów zyskało sympatię w Czechach

Spójrzmy jednak na całą rozległą panoramę dokonań translatorskich w przyswajaniu naszej literatury współczesnej. Widać wyraźnie np. obecność nurtu kresowego, zwanego też galicyjskim, o czym świadczy powodzenie książek Juliana Stryjkowskiego — *Czarna róża*, Leopolda Buczkowskiego — *Czarny potok*, a nade wszystko Andrzeja Kuśniewicza — *Korupcja, Król Obojga Sycylii*. Są powieści Tadeusza Konwickiego — *Sennik współczesny* i *Kronika wypadków miłosnych*. Pozycje te zdobywały uznanie dzięki takim tłumaczom, jak: Balájaková, Stachová, Teigová czy Vlášek. W roku 1971 wyszły równocześnie, w przekładzie Heleny Teigovej, dwie nowsze powieści Marii Kuncewiczowej *Gaj oliwny* i *Tristan 1946*. Pojawiło się też sporo, jak na powojenne „warunki", przekładów dzieł pisarzy katolickich — opublikowanych głównie w wydawnictwie Vyšehrad — m.in. *Krzyżowcy* i *Przymierze* Zofii Kossak, *Kamienie wołać będą* i *Przemija postać świata* Hanny Malewskiej, *Kroniki Assyżu* Romana Brandstaettera, *Srebrne orły* Teodora Parnickiego i aż siedem powieści Jana Dobraczyńskiego. Tu z kolei jako tłumacze najbardziej zasłużyli się: Balajková, Janouch i Simonides.

Spośród polskich pisarzy współczesnych szczyty popularności — ponad dwadzieścia wydanych tytułów — osiągnął nad Wełtawą Stanisław Lem; np. *Opowieść o pilocie Pirxie*, wydana w nakładzie 56 tys. egzemplarzy, rozeszła się tutaj błyskawicznie. Niemałym powodzeniem cieszyła się także trzyczęściowa powieść psychologiczna Jerzego Krzysztonia *Obłęd*. Warto odnotować dużą poczytność książek należących do tzw. nurtu wiejskiego, a zwłaszcza baśniowo-mitologicznej prozy Tadeusza Nowaka. W latach 1975-84 opublikowano w Czechosłowacji aż cztery jego powieści

w tłumaczeniu Josefa Váška: *Diabły, Dwunastu, Prorok, A jak królem, a jak katem będziesz* oraz wybór poezji pt. *Bielsze nad śnieg* w przekładzie Jana Pilaŕa. Spory sukces wydawniczy odniosła powieść Edwarda Redlińskiego *Konopielka,* głównie dzięki świetnemu przekładowi Vlasty Dvořáčkovej.

Swoją wyraźną obecność zaznaczyła także, co wydaje się rzeczą oczywistą, różnorodna pod względem pokoleniowym i gatunkowym, choć bardzo nierówna w swej wartości poznawczo-artystycznej, a często, niestety, zafałszowana, literatura o tematyce II wojny światowej. Czeski czytelnik ma więc do swojej dypozycji zarówno przekłady najpoczytniejszych książek dokumentalnych w rodzaju *Medalionów* Zofii Nałkowskiej, *Dymów nad Birkenau* Seweryny Szmaglewskiej czy *Westerplatte* i *Hubalczyków* Melchiora Wańkowicza, jak i najbardziej znanych utworów fabularnych, do których zaliczyć można np. *Pożegnanie z Marią* i *Kamienny świat* Tadeusza Borowskiego. Lista dzieł i autorów jest naprawdę długa, więc nie będę jej tutaj cytował. Chciałbym tylko zwrócić uwagę, że istotnym dopełnieniem obrazu wojny widzianej polskimi oczami stał się *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* Mirona Białoszewskiego, przetłumaczony przez Danielę Lehárovą z doskonałym wyczuciem kolokwialności języka oryginału i jego warstwy intonacyjno-brzmieniowej (poszarpana składnia, mnóstwo równoważników zdań, liczne powtórzenia, nagłe wtręty, zawahania, przejęzyczenia itp.). Książka opublikowana w roku 1985 przez Odeon, dwa lata później doczekała się kolejnego wydania. Zanim jednak ów przekład pojawił się w czeskich księgarniach, kilka lat wcześniej Józef Waczków na łamach „Literatury na Świecie" dokonał, moim zdaniem, niezwykle cennego odkrycia: „Kiedy w roku 1970 wyszedł *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* (...) miałem z początku wrażenie, że czytam przekład z utworu czeskiego (...) Jeżeli w sposobie opowiadania Białoszewskiego uderzyła mnie «czeskość», to rzecz jasna nie dlatego, bym go podejrzewał o uleganie wpływom Haška czy Hrabala. Wykreował on w polszczyźnie technikę narracyjną łudząco bliską zwłaszcza stylowi Hrabala, no, bo widać, są to pokrewne dusze, łączy ich podobna postawa artystyczna".

Pilař i inni

W przyswajaniu polskiej poezji współczesnej największy udział ma niewątpliwie Jan Pilař, co wcale nie oznacza, że pod względem talentu nikt mu nie dorównuje. Jako wieloletni, „namaszczony" przez władze, naczelny redaktor wydawnictwa Československý spisovatel, był Pilař jednym z ważnych funkcjonariuszy polityki kulturalnej komunistycznego państwa i pilnie przestrzegał reguł ideologicznej poprawności, monopolizując w pewnych okresach również dziedzinę przekładów z polskiej poezji. W posłowiu do wydanej w roku 1979, „swojej" antologii *Setkání nad Vislou (Nadwiślańskie spotkania),* prezentującej 50 polskich poetów XX wieku, napisał m.in., że — w przeciwieństwie do naszych krytyków i historyków literatury — nie jest skory „przeceniać niektórych pierwiastków awangardowych, ani tolerować specyficznej polskiej obrazowości religijnej".

Przy wszystkich zastrzeżeniach nie sposób odmówić Pilařovi jego autentycznych zasług dla upowszechniania naszej poezji. Skala jego dokonań translatorskich jest bardzo rozległa — począwszy od Leopolda Staffa, a skończywszy na poetach „nowej fali", których obszerny wybór pt. *Hledam, tedy jsem (Szukam, więc jestem)* opublikował w roku 1987 w Mladej froncie. Najwięcej jednak miejsca w dorobku Pilařa zajmują Broniewski, Tuwim, Gałczyński i Harasymowicz — ich utwory wydawał wielokrotnie w rozmaitych zestawach i konfiguracjach.

Współczesną poezję tłumaczy z powodzeniem Vlasta Dvořáčková. Prawdopodobnie najbliższa jest jej twórczość Tadeusza Różewicza, o czym świadczyłaby ilość przełożonych zbiorków — pięć, ale ma ona także w swoim bogatym dorobku tomiki wierszy Zbigniewa Herberta *Studium przedmiotu* (tłum. wspólnie z Miroslavem Holubem) i wydany już w roku 1991, a więc po „aksamitnej rewolucji", wybór zatytułowany *Poslání pana Cogito (Przesłanie Pana Cogito* — tłum. wspólnie z Mirosłavem Červenką). Nasz noblista, Czesław Miłosz, będąc przez wiele lat na komunistycznym indeksie, swej pierwszej książki w języku czeskim doczekał się dopiero w roku 1990, kiedy to ukazał się wybór jego poezji opatrzony tytułem *Mapa času* w przekładzie Vlasty Dvořáčkovej, Ivety Mikešovej i Václava Buriana. Natomiast w roku 1992 Miroslav Červenka opublikował w Mladej froncie poemat Miłosza *Hymn o perle*.

Z pozostałych pozycji, które zdołały ujrzeć światło dzienne po „listopadowym przewrocie" 1989, można by jeszcze tylko wymienić trzy tomy *Dzienników* Gombrowicza, *Inny świat* i *Dziennik pisany nocą* Herlinga-Grudzińskiego (wszystkie te utwory w przekładzie Heleny Stachovej), a także *Małą Apokalipsę* Konwickiego oraz *Początek* Szczypiorskiego, który okazał się w Czechach edytorskim niewypałem.

Niezależnie od wydawnictw książkowych przez wiele dziesięcioleci ważnym miejscem prezentacji naszego dorobku były różne czasopisma społeczno-kulturalne, a zwłaszcza miesięcznik „Světková literatura", w którym drukowano nie tylko polską poezję i prozę, ale także wnikliwe, pogłębione analizy oraz eseje i szkice krytyczno-literackie autorstwa wybitnych czeskich polonistów i tłumaczy.



Pilař znany był Polakom jako poeta

Trzeba, niestety, z pewnym żalem stwierdzić, że po krótkim czasie euforii z odzyskanej wolności, gdy wydawało się, iż wymiana kulturalna pomiędzy dwoma sąsiadami, którzy niemal równocześnie zrzucili z siebie jarzmo totalitaryzmu, jeszcze bardziej się rozwinie i umocni, nastąpił dość nieoczekiwany regres. Społeczeństwa naszych krajów, zaabsorbowane głównie przeobrażeniami gospodarczo-politycznymi, w pogoni za materialnym dobrobytem zdają się zapominać o roli i znaczeniu stałego przepływu wartości duchowych. Jak gdyby wraz z upadkiem „murów" i szerokim otwarciem się granic zniknęło gdzieś wzajemne zaciekawienie sobą.

Co dalej?

Znajoma tłumaczka z Pragi, Daniela Lehárová, której zawdzięczam wiele cennych informacji zamieszczonych w niniejszym szkicu, w liście do mnie, wysłanym pod koniec lutego, stwierdza nie bez goryczy: „Po 1989 roku literatura polska przestała się u nas prawie pokazywać — tzn. w porównaniu z okresem wcześniejszym, kiedy to wychodziło ok. 10-20 książek rocznie."

Czesko-polskie wzajemności literackie na pewno weszły w nową, niełatwą fazę. Ale może to i dobrze, że w jakimś sensie uwolniły się one wreszcie od narzucanych przez ideologię, „internacjonalistycznych" zobowiązań. Wcześniej czy później po obu stronach granicy znów zapanuje świadomość, że właśnie kultura stanowi najbardziej bezinteresowne, czyli — w gruncie rzeczy — najbardziej opłacalne dobro, jakie wymieniać mogą pomiędzy sobą dwa żyjące po sąsiedzku narody.

■

GOSPODARKA

Rozmowa z TADEUSZEM ADAMSKIM, pełnomocnikiem Zarządu Funduszu Górnośląskiego d/s. Górnośląskiego Funduszu Restrukturyzacyjnego

Przekształcanie „średniaków”

— Górnośląski Fundusz Restrukturyzacyjny to nowa instytucja. Czym będzie się zajmowała?

— Jest zwieńczeniem działań, jakie w ramach Funduszu Górnośląskiego podejmujemy od samego początku, tj. od roku 1996, kiedy to zaczęliśmy badać te przedsiębiorstwa państwowe, których prawnym właścicielem pozostaje wojewoda katowicki, a które powinny się zrestrukturyzować. Przeanalizowaliśmy ponad 100 przedsiębiorstw pod kątem ich możliwości ekonomiczno-finansowych, sprawdzając jednocześnie, jaki jest stopień akceptacji projektowanych zmian prywatyzacyjnych. W ten sposób wyselekcjonowaliśmy 21 przedsiębiorstw.

— Małych i średnich?

— Tak, z reguły zatrudniających od 100 do 200 osób. Następnie, po konsultacjach z Wydziałem Przekształceń Własnościowych Urzędu Wojewódzkiego, poszerzyliśmy tę listę do 41 przedsiębiorstw. W lutym roku 1997 wystąpiliśmy do wojewody z wnioskiem o przekształcenie tych przedsiębiorstw w spółki i wniesienie ich do Funduszu. Konsultowaliśmy te działania z ministerstwem skarbu państwa. Nie funkcjonujemy przecież jako Fundusz Górnośląski w próżni, realizujemy przypisaną nam w Kontrakcie Regionalnym misję.

— Niemniej w jego ramach powstała nowa struktura organizacyjna. Dlaczego trzeba było ją stworzyć?

— Fundusz Górnośląski był i jest nakierowany na pomoc w restrukturyzacji przedsiębiorstw państwowych. Wiedząc, że będzie to proces długi i żmudny część sił i środków przerzuciliśmy na obszar prywatnych podmiotów gospodarczych, które też potrzebują zasilania kapitałowego. W ubiegłym roku w tym właśnie obszarze realizowaliśmy 14 projektów inwestycyjnych. Statystycznie rzecz ujmując — liczba to niezła, lecz zaangażowanie finansowe, przyznajmy, jest niewielkie w porównaniu z potencjalnymi możliwościami Funduszu. Nam się cały czas marzy, aby inwestować w tzw. układzie pakietowym, by właśnie wyselekcjonować jakąś grupę przedsiębiorstw i sprawdzonymi już metodami zmierzać do ich przekształcenia.

— Iloma przedsiębiorstwami „zajmie się” ta nowa instytucja finansowa?

— Nie ma ograniczeń, gdy idzie o górną granicę. Dolną — wyznacza kalkulacja finansowa, czyli poziom opłacalności.

— A konkretnie? Od ilu przedsiębiorstw zaczniecie?

— Możliwości na już to kilkanaście przedsiębiorstw. Obecnie wojewoda katowicki dysponuje 320 przedsiębiorstwami, z czego 85 jest w stanie upadłości, 50 kwalifikuje się do upadłości, kilkadziesiąt znajduje się w zarządzie komisarycznym, 20 — podlega komunalizacji. Okazuje się więc, że ilość przedsiębiorstw, jakie mogą zainteresować Fundusz, jest znacznie ograniczona, również przez wielkość możliwego do przeznaczenia na ten cel kapitału.

— Rozumiem, że interesują was tylko takie firmy, które da się przekształcić i które będą przynosiły zyski. I tym przedsiębiorstwom i — potem — Funduszowi.

— My to określamy trochę inaczej: te przedsiębiorstwa muszą mieć tzw. potencjał wzrostu. Ten zaś oznacza możliwości rynkowe danego przedsiębiorstwa a także określa możliwości tkwiące w ludziach zarządzających firmą. Ten ostatni czynnik jest bardzo ważny.

— Zapewne jednak interesują was przede wszystkim te najlepsze przedsiębiorstwa państwowe?

— Nie, bo jesteśmy realistami i wiemy, że te najlepsze podlegać będą procesom uwłaszczeniowym. Przecież planowane są m. in. fundusze emerytalno-rentowe, reprywatyzacyjne. Z drugiej strony — jest masa upadłościowa. Dla nas pozostaje więc ów środek. I wcale nie przedsiębiorstw największych, tylko średnich i małych.

— Rozumiem, że Fundusz będzie dokapitalizowywał wskazane przedsiębiorstwa.

— Najpierw dokładnie zbadana będzie sytuacja danego przedsiębiorstwa. Z naszych symulacji wynika, że najdogodniejszą ścieżką przekształceniową będzie komercjalizacja wybranych przedsiębiorstw, a następnie wniesienie ich udziałów i akcji do Górnośląskiego Funduszu Restrukturyzacyjnego. Oczywiście, w trakcie tego procesu musi być wypracowany program działania dla danego przedsiębiorstwa. Kadra zarządzająca musi wiedzieć, jaką drogą pójdzie firma w ciągu najbliższych 3-5 lat. To nie jest łatwe, bo przedsiębiorstwa, o których mowa, są w takiej a nie innej sytuacji.

— Proszę — poglądowo — pokazać, jak będzie przepływał kapitał i przebiegał proces restrukturyzacyjny, prywatyzacyjny.

— Akcje i udziały wyselekcjonowanych przedsiębiorstw Skarb Państwa wniesie do Funduszu Górnośląskiego, w zamian za akcje Górnośląskiego Funduszu Restrukturyzacyjnego. Innymi słowy — Skarb Państwa zamieniać będzie jeden papier wartościowy na inny, a ściślej kilkanaście papierów wartościowych na jeden. Co z nim zrobi — to już jest sprawa właściciela. Przede wszystkim jednak inicjatywa przechodzi w ręce specjalistów, mających już pewne doświadczenia i gwarantujących, że podejmowane działania będą skuteczne.

— Skuteczne, tj. prowadzące do utrzymania na rynku firm, które nie przekształcone zapewne by upadły.

— To jest cel najważniejszy. Aby go osiągnąć przedsiębiorstwa będą musiały najpierw głęboko się zastanowić, co z sobą zrobić, jaka ma być ich przyszłość. W ten sposób określą swoją misję. Z niej zaś wezmą się programy działania i potrzeby inwestycyjne, i wtedy dopiero będziemy wiedzieli, ile pieniędzy trzeba wydać. Wówczas zastosowana zostanie prosta zasada: Górnośląski Fundusz Restrukturyzacyjny w oparciu o środki, które uzyska z Funduszu Górnośląskiego, zainwestuje w owe nowo powstające spółki.

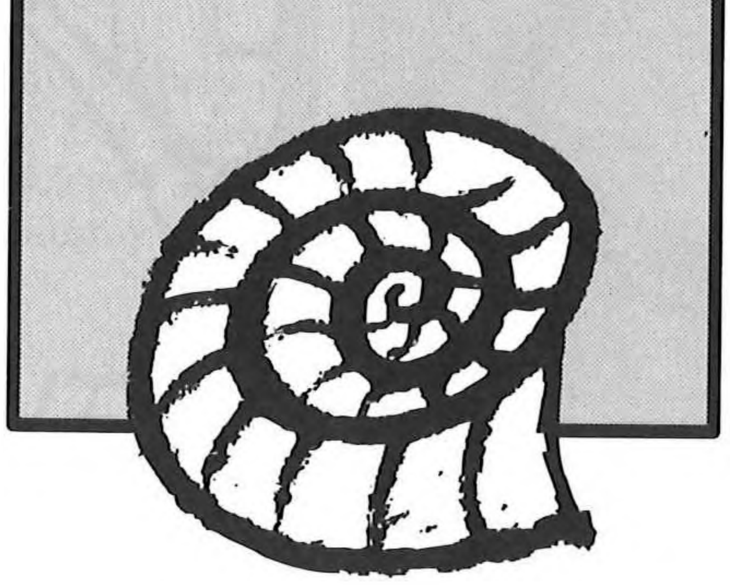
— W zasadzie, wszystkie strony powinny być zadowolone.

— Tak, bo my traktujemy ten projekt w kategoriach restrukturyzacyjnych, społecznych, ale także biznesowych. Spodziewamy się określonych zysków, lecz jednocześnie Skarb Państwa powinien mieć świadomość, że oddając w zarząd materię gospodarczą nie najlepszej jakości, również osiągnie w perspektywie wymierne korzyści.

Rozmawiał:

KRZYSZTOF KARWAT

EKOLOGIA



Bałamucenie ekologią

Ze zdumieniem przeczytałem ostatnio artykuł w Gazecie Częstochowskiej (nr 11/344) pt. „Kochajcie te Katowice!" . W jego "części ekologicznej" okryłem fragmenty, które cytuję poniżej:

— *„Śląsk to stary i zasłużony skansen przemysłowy. Są tam fabryki i huty, ...które bardzo śmierdzą. Gdyby zmusić je do produkcji nieśmierdzącej a nowoczesnej, albo dokładniej przypilnować ich oczyszczalni, to zaczęłyby produkować najdroższe żelazo na świecie. Nie można tego tak zamknąć, bo Ślązacy kochają swoje śmierdzące fabryki i huty i palcem ich nie pozwolą tknąć... Lepiej więc przyłóżmy się do roboty tu w Opolu, Częstochowie i Bielsku i zapłaćmy za ekologiczne urządzenia dla fabryk i hut biednego Śląska... Na brudnym Śląsku walczącym o przeżycie. Śląsk przypomina biednego emeryta, który całe życie pracował i niczego się nie dorobił oprócz czyraków. Gdzie nie dotknąć, tam wszystko się sypie. W porównaniu Częstochowa, Opole Bielsko to Szwajcaria.... wizja płacenia horrendalnej kontrybucji na utrzymanie przy życiu Katowic z przyległościami powoduje, że ręka szuka szabli."* — Muszę dodać, że inne fragmenty tego artykułu dotyczące górnictwa, kultury są jeszcze bardziej kontrowersyjne.

To, że „ekologia" i sprawy środowiska są coraz powszechniej komentowane przez przeciętnego Polaka, nie oznacza, że każdy może nieodpowiedzialnie przenosić zdeformowaną świadomość ekologiczną na papier w celu podburzania opinii publicznej. Artykuł ten napisany jest napastliwym i nieprecyzyjnym językiem bazującym na stereotypach.

Górny Śląsk — katastrofa ekologiczna. Ale dlaczego obwiniać o wszystko Ślązaków? Kim właściwie są owi „Ślązacy" w tym artykule? Czy mieszkańcami województwa katowickiego, czy tylko części górnośląskiej tego województwa? Dlaczego inwektywy ekologiczne nie są też skierowane pod adresem Zagłębia, gdzie zlokalizowanych jest wiele zakładów przemysłowych — bliższych Częstochowie - takich jak Huta Katowice czy Koksownia Przyjaźń? Stan środowiska nie ma ścisłych granic administracyjnych. Na wielu mapach ekologicznych (w skali Europy czy Polski) nie dostrzega się zbyt wielkich różnic parametrów ekologicznych obszarów sąsiadujących bezpośrednio z Aglomeracją Katowicką. Używanie stanu środowiska na Górnym Śląsku, (sprzed wielu lat) jako straszaka dla mieszkańców woj. częstochowskiego przed reformą ustrojową państwa jest nie na miejscu. Tylko ignorant ekologiczny lub świadomy manipulant może tak napisać.

W ostatnich dziesięciu latach w zakresie poprawy środowiska w Polsce a szczególnie w województwie katowickim zrobiono wiele. Nie bez powodu Polskę nazywa się ostatnio Zielonym Tygrysem Europy. Polska ma nowoczesne instrumenty i instytucje ochrony środowiska (system opłat i kar za korzystanie ze środowiska, Bank Ochrony Środowiska, EkoFundusz działający na zasadzie ekokonwersji długów itp.). Może się również pochwalić widocznymi postępami w rewitalizacji środowiska, które należą do najbardziej dynamicznych w Europie. Odczuwamy to w woj. katowickim w zakresie jakości powietrza we własnych płucach, widzimy coraz więcej zieleni, słyszymy coraz więcej ptaków śpiewających, a pieśń „Dymią Kominy Śląska, wali stalowy młot" odchodzi do lamusa. Niestety świadomość powszechna o realnym stanie otaczającego nas środowiska zmienia się zbyt wolno — stąd pewne utrwalone mity i stereotypy.

Zbitka myślowa Katowice skansen, Częstochowa — Szwajcaria — jest bardziej manipulacją niż stereotypem. Po 1945 roku to w regionie Górnego Śląska wypracowywano sporą cząstkę dochodu narodowego, z którego budowano rozwój wielu innych województw. Dzisiaj nadal kreuje się tu spory procent tego dochodu. Zapytajmy ile w katowickim i częstochowskim województwie jest przedsiębiorstw należących do pierwszej 500-setki najlepszych firm w Polsce? Otóż z ostatnich opublikowanych danych w woj. katowickim jest ich 70, w częstochowskim 3. Katowickie zdecydowanie wyprzedza Częstochowskie w wielu ważnych wskaźnikach gospodarczych, m. in, w atrakcyjności inwestowania, dochodach własnych na jednego mieszkańca, itp. W statystycznych wskaźnikach kach „skansen" bije na głowę „Szwajcarię", zaś w świadomości mieszkańców Częstochowskiego jest na odwrót.

Autor zapewne nie wie o setkach zamkniętych przestarzałych ciągach technologicznych, i zmodernizowanych zakładach w województwie katowickim. Warto zatem przypomnieć o hutach: Kościuszko, Miasteczko Śląskie , Bobrek , Orzeł Biały, Zakładach Cynkowych w Katowicach, nie wspominając o największej inwestycji proekologicznej służącej też mieszkańcom częstochowskiego — instalacji odsiarczania spalin w Elektrowni Jaworzno III. Sugestia, że mieszkańcy Częstochowskiego będą się dokładać do funduszy ekologicznych dla Katowickiego jest zwykłym bałamuceniem. Widać, że autor nie wie jak tworzone są fundusze ekologiczne, to wiedziałby że fundusz wojewódzki ochrony środowiska w Katowickiem wielokrotnie przewyższa fundusz Częstochowski. To raczej obecny Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej wspiera projekty ekologiczne w sąsiednich województwach. Sugerowanie, że Ślązacy tak sobie i innym niszczą środowisko jest zwykłym ignoranctwem. W tzw. realnym socjalizmie, z planowaną gospodarką rynkową, decyzje gospodarcze zapadały w centrali partyjnej w Warszawie. Górny Śląsk produkował tani węgiel, tanią stal dla całego kraju, a realne koszty środowiska obarczały społeczność lokalną w postaci zdewastowanego krajobrazu, infrastruktury komunalnej, a szczególnie poprzez niszczenie zdrowia mieszkańców. Niestety to decyzjami Biura Politycznego KC PZPR lub Prezydium Rządu w celach pozornych oszczędności — likwidowano urządzenia ochrony środowiska z wielu inwestycji budowanych w Katowickiem. Do dzisiaj skutkują one negatywnie dla wielu milionów Polaków. Taką inwestycją wstrzymaną decyzją ówczesnych władz centralnych była stacja odsalania wód dołowych dla kopalń węgla kamiennego „Piast", „Ziemowit", „Czeczot". Jest to jedna z nielicznych decyzji która bardziej skutkuje „ekologicznie" dla Polski niż dla Górnego Śląska. Zasolona woda niszczy życie biologiczne w Wiśle, powoduje korozję instalacji wodociągowej m.in. Krakowa, Warszawy i ostatecznie zasala Bałtyk. Właściwie wszystkie miasta czerpiące wodę pitną z Wisły mają pogorszoną jakość wody pitnej. Jakość wody — najważniejszego naszego pokarmu, rzutuje na nasze zdrowie. Sądzę, że stan środowiska, który jest też wyznacznikiem odrębności regionalnej, powinien nas łączyć a nie dzielić. Zasypmy więc „pozorne rowy ekologiczne" a wspólnym działaniem przyczyńmy się do osiągnięcia „Szwajcarii ekologicznej" w całym regionie.

JAN RZYMEŁKA

LIMERYKI



Rys. Ryszard Twardoch

TADEUSZ KIJONKA

KULTURTÄGER

1 Kulturtäger gdzieś spod Zamościa,
Grał na Śląsku ważnego gościa.
Hanysów z góry rugał,
Okrutne miny strugał,
Bo tu w sobie poczuł waszmościa.

PUDEL-STRUDEL

2 Durna baba zwinęła w strudla
przez pomyłkę wścibskiego pudla.
- Co to - woła - ten strudel
Skacze, szczeka jak pudel!
I jak pudel z ciasta się skudla.

GORE

3 Niejeden w Żywcu chłop żywcem się pali
Na widok talii cycastej Eulalii.
Czy grucha z kim - czy nie grucha,
Gdzieś stale pożar wybucha...
I straż pożarna na syrenie wali!

LECH OCHLAJ

4 Śledczy Lech Ochlaj nie kryjąc zamiarów
Węszy i tropi szlakiem knajp i barów.
Lecz w drugiej połowie drogi
Plączą i gną mu się nogi,
Aż śmiech się niesie zbirów i chacharów.

STOLARZ - GITARZYSTA

5 Stolarz Gwóźdź Błażej, z natury zuchwalec,
Co w gwóźdź chciał trafić - walnął młotkiem w palec.

Przez plastry i przez bandaże,
Wciąż nie mógł grać na gitarze,
Aż raz z gitarą rzucił się pod walec.

AFORYZMY

1.

Rezultaty dobrych zamiarów są zazwyczaj w połowie złe.
Rezultaty złych zamiarów są zazwyczaj w połowie dobre.

MARK TWAIN

2.

Zły początek czyni zły koniec.

EURYPIDES

3.

Gdy umiera drzewo, posadź nowe na tym samym miejscu.

LINNEUSZ

4.

Sumienie i tchórzostwo są w istocie tym samym. Sumienie jest to logo firmy.

OSCAR WILDE

5.

Konstytucja powinna być krótka i niejasna.

NAPOLEON I

6.

Nic nie zadowoli tego, którego nie zadowoli małe.

GRECKIE PRZYSŁOWIE

7.

Rząd konserwatywny jest zorganizowaną hipokryzją.

BENJAMIN DISRAELI

*(Aforyzmy z tomu „21 st Century Dictionary of Quotations" tłum. **Feliks Netz**)*



PODKOPKI

JERZY BILEWICZ

BYŁO - NIE BYŁO

przegląd nie-wydarzeń

Z funduszów Unii Europejskiej, w ramach kontraktu dla Śląska, powstał drugi już w naszym regionie Salon Śmierci przy Wysypisku Miejskim im. Okrągłego Stołu.

W skupieniu i bez zupy obchodziliśmy Światowy Dzień Drugiego Dnia. Były też ostatnio Dni anatomiczne: Dzień Mózgu, Dzień Jelita Cienkiego i ogólnopolski Miesiąc Skrętu Kiszek na tle reformy administracyjnej.

SZCZEGÓŁY

„Nędza kompatybilna a dobrobyt wirtualny" — na taką grę komputerową natknęła się bezrobotna Janina C., gdy w zastępstwie chorej koleżanki sprzątała sieć Internetu.

KRONIKA POLICYJNA I SĄDOWA

Aresztowanie jest ingerencją w strefę prywatności — ostrzega Rzecznik Bezprawia.

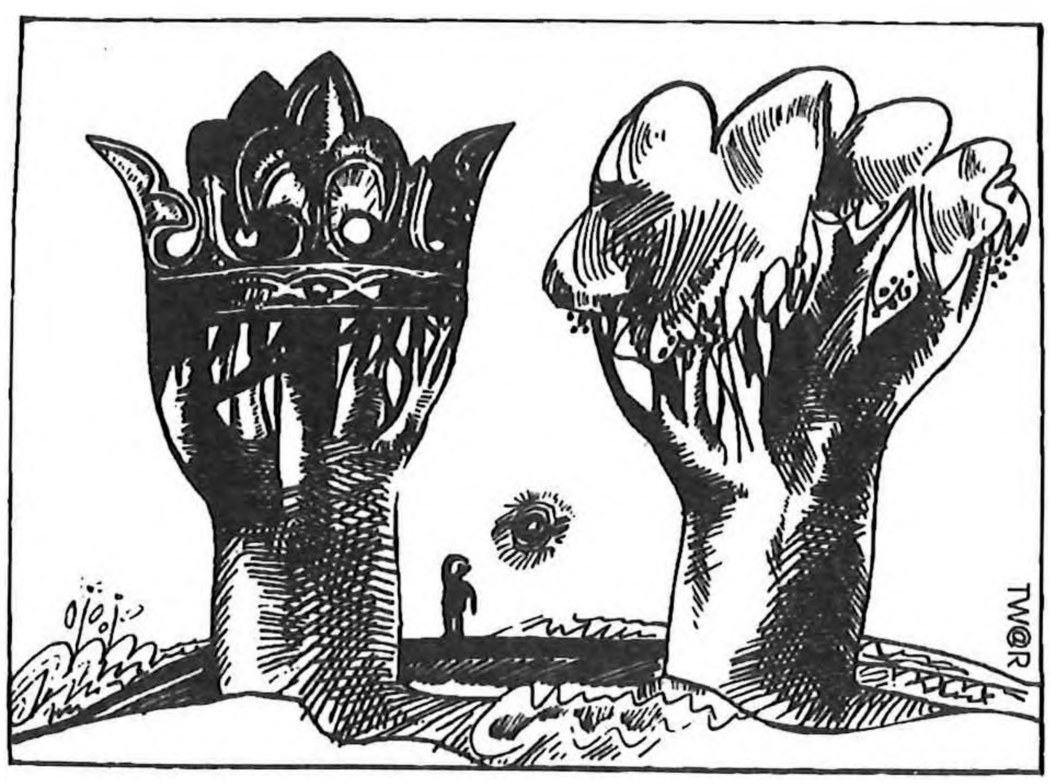
W pościgu za oddziałem prewencji uzbrojony małolat postrzelił Rzecznika Praw Dziecka.

Badacze drapieżników pomogą prokuraturze w stworzeniu psychologicznego portretu skorumpowanego urzędnika.

Z OSTATNIEJ CHWILI

320-tu przyszłych starostów zmienia żony gminne na starościny.

Szkoda sensu i głowa do góry, obywatelu, kto dziś jest bez pieniędzy — może mieć nadzieję, że po roku 2.000-nym będzie europieniężny.



Rys. Ryszard Twardoch

TRZYMINUTOWA NOWELKA

Wróciłem z dalekiej podróży, nie planowanej, wymuszonej przez kolegę, który zmarł w Mińsku Mazowieckim. Przyczyn śmierci kolegi nie znam, sposób jej wykonania: samobójstwo. Był to mój kolega z ogólniaka (TPD imienia Wilhelma Piecka), który przysyłał mi systematycznie, od matury, kartki świąteczne na Wielkanoc (w kopertach, nigdy luzem!), co wymuszało na mnie grzeczność w postaci kartek świątecznych na Boże Narodzenie. Dlaczego mój szkolny kolega upatrzył sobie akurat mnie — nie wiem. Wiem natomiast, że mnie nie lubił, i przez te dwa lata, kiedy dzielił ze mną ławkę w klasie dziesiątej i jedenastej, nie ustawał w intrygach (małych i wrednych), które miały mu przynieść wolność, co oznaczało wygryzienie mnie z naszej wspólnej ławki. Dlaczego tak mnie odtrącał, nie wiem. Możliwe jednak, że domyślał się, czy zgoła odczuwał, że go nie cierpię. Nie okazywałem mu niechęci w sposób jawny; po prostu nie odpowiadałem bezpośrednio na jego (niezliczone) pytania, na przykład, pytał, pamiętam jakby mnie spytał przed chwilą:

— Kiedy urodził się Szekspir?

Na co odpowiedziałem natychmiast, jakby od tej informacji zależało jego życie:

— Wiem gdzie można tanio zreperować obcasy!

W chwili, gdy o tym myślę, widzę wyraźnie jego rozjątrzone oczy. Niebieskie jak niezapominajki. Pamiętam je doskonale, bo przecież przez dwa lata patrzyłem w nie z nieznośnie bliskiej odległości. Ale nie umiałbym wtedy docenić ich urody. Miał też na pewno długie i po kobiecemu wykręcone rzęsy. Na co zwróciła uwagę prześliczna, kasztanowowłosa Alicja.

To był okropny szarak. Co mnie w nim najmocniej drażniło. Nic nie umiał. Raz tylko przyniósł na lekcję zoologii wypchanego ptaszka, i okazało się, że było to dzieło pierwszorzędnego majstra. Ten ptaszek był zabalsamowany! Był tak tępym uczniem, że klasówkę z matematyki ściągał ode mnie, choć wiedział, że nie mam pojęcia o matematyce. Mimo to moja ignorancja musiała mieć, w jego rachubach, jakąś wartość.

— Odpisać klasówkę z matematyki od (tu padło moje nazwisko) to, mój sieroto, coś takiego jak popełnić samobójstwo z przymiarką!

Powiedział matematyk, który, jak się okazało, przewidział, że mój kolega umrze śmiercią samobójczą.

Nie umiał pływać, w piłkę grał jak noga, trójka z minusem, a nawet na szynach, dostarczała mu wiele radości. Chyba był wtedy szczęśliwy. Siedziałem obok niego jak skazaniec. Byłem głęboko przeświadczony, że siedząc obok takiej szarej myszy, okropnie się marnuję. Wiem, że były próby wyrwania mnie z tego Sing-Singu: jakieś skomplikowane transakcje, w które dał się wciągnąć syn wicedyrektora liceum, jeden z nielicznych wtedy (połowa lat pięćdziesiątych) Polaków, który żył wedle czystych reguł gospodarki rynkowej, ale nie zdało się to na nic. Mój kolega ze szkolnej ławy nie uległ pokusom, nie dał się skorumpować. Pewien, że jest dowodem na zwycięstwo ducha nad materią, powiedział mi, że koledzy chcą, aby za odpowiednią zapłatę, przeniósł się do innej ławki, ale odmówił, ze względu na mnie.

Spojrzałem mu w oczy. Dwa bagneciki z lodu.

A potem te kartki przysyłane na Wielkanoc. Pisał mi na przykład, że w Mińsku Mazowieckim, gdzie naprawiał telewizory, w środku rynku jest nieczynna studnia. Zwracam na to uwagę, bo pierwszą rzeczą, jaką sprawdziłem w Mińsku Mazowieckim, nim udałem się do cmentarnej kaplicy, był rynek, a właściwie środek rynku. Nikt nigdy nie słyszał o żadnej studni! Czyżby ze mnie kpił mój szkolny kolega? Czyżby nie cierpiał mnie aż tak silnie? Co prawda, ja donosiłem mu w kartce z motywem Dzieciątka i świeczek choinkowych, że „Plisowane spódnice wychodzą z użycia" (śmiejąc się w duchu, że znowu wystrychnąłem go na dudka), ale przecież to, co on mi donosił miało, w przeciwieństwie do moich komunikatów, wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Nie cierpiał mnie do tego stopnia?

Prześliczna kasztanowłosa Alicja jest stateczną wdową po dyrektorze zjednoczenia hutnictwa żelaza i stali. Pozostajemy w kontakcie. Lepiej nie umiem nazwać naszych wzajemnych relacji. Zadzwoniłem do Alicji, że jadę do Mińska Mazowieckiego, na pogrzeb (tu padło nazwisko mojego kolegi), na co rzekła bez chwili wahania:

— Miał oczy jak niezapominajki i rzęsy jak panna!

Pomyślałem, jak to możliwe, że ona to pamięta? Jak! I nagle zrozumiałem, że mój kolega zemścił się zza grobu. Na mnie. Chciał, żebym był na jego pogrzebie. Ja. Właśnie ja! Żebym go pochował, poniekąd. W tym celu musiał umrzeć przede mną, to zrozumiałe. Dlatego nie miał wyjścia: musiał odebrać sobie życie.

FELIKS NETZ



PODKOPKI

Rozmowa
z TOMASZEM JANIKOWSKIM,
dyrektorem Centrum Sztuki
w Bytomiu

Kronika sztuki współczesnej

— Wizytówką Centrum Sztuki w Bytomiu są dwie galerie — „Kronika" i „Rynek". Jaki jest ich program? Jak ewoluował on w ciągu tych siedmiu lat?

— Galeria „Rynek" do tej pory pokazywała rzeczy bardziej komercyjne, mniej ambitne. Działała przy kawiarni, była mniejsza niż „Kronika", więc i profil jej ukierunkowany był na sztukę łatwiejszą w odbiorze. Chwilowo jest nieczynna, ale wznowi działalność. Natomiast Galeria „Kronika" powstała jesienią 1991 roku. Program w podstawowym zamyśle nie zmienił się do tej pory. A zamysł był taki, by rejestrować zgodnie z nazwą galerii to, co jest najciekawsze w polskiej sztuce współczesnej.

— „Kronika" jest nastawiona bardziej na eksperyment, sztukę aktualną, tworzoną tu i teraz niż na poszukiwanie syntez sztuki współczesnej. Otwarta jest zarówno na dokonania artystów miejscowych, jak i tych spoza Śląska.

— Od początku tak ustaliliśmy program. Staraliśmy się pokazywać artystów z całej Polski, wychodząc z założenia że, by najłatwiej promować artystów ze Śląska, trzeba pokazywać na Śląsku artystów z Polski, żeby ci ze Śląska mogli prawem rewanżu pokazywać swe prace w innych regionach kraju.

— Czy takie założenie zaowocowało stałą współpracą z innymi tego typu galeriami w kraju?

— Współpracujemy w zasadzie z wszystkimi znaczącymi ośrodkami sztuki współczesnej. Robimy wspólne wystawy, wydajemy wspólne katalogi. W ostatnich latach np. dwukrotnie współpracowaliśmy z Galerią Foksal z Warszawy — przy wystawie Pawła Althamera i wystawie Stanisława Dróżdża. Przy wystawie Małgorzaty Niedzielko wydaliśmy wspólnie katalog z Galerią Arsenał z Białegostoku i Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie. Często współpracujemy z galeriami krakowskimi, np. z Galerią „Zderzak". Na pięciolecie „Kroniki" zaproponowaliśmy wystawę Stanisława Fijałkowskiego. Katalog do niej wspólnie przygotowaliśmy z Muzeum Sztuki w Łodzi. Tam też odbyła się pierwsza prezentacja tej wystawy, potem niemal w całości trafiła ona do nas. Nawiązaliśmy też współpracę z Galerią „Unwahr" w Berlinie. Najpierw Galeria „Unwahr" prezentowała w Bytomiu związanych z nią artystów — wśród nich byli Niemcy, Austriacy i Irlandczyk. A w zeszłym roku myśmy w Berlinie zaprezentowali artystów śląskich, związanych z naszą galerią.

— Jedną z głośniejszych wystaw „Kroniki" była wystawa prac Vladimira Boudnika z kolekcji praskich — pioniera powojennej sztuki abstrakcyjnej, uważanego za kluczową postać współczesnej sztuki czeskiej. Był to pierwszy duży pokaz jego prac w Polsce.

— Tak. Tę wystawę przygotowaliśmy w ramach Górnośląskiego Festiwalu Kameralistyki w 1996 roku. Wracając do współpracy z innymi ośrodkami, to polega też ona na wymianie wydawnictw i na kontaktach bezpośrednich, w czasie których staramy się promować naszych artystów. Robimy to oczywiście na miarę swoich możliwości.

— Siłą Centrum Sztuki jest to, że skupia ono własne grono artystów.

— Z Galerią „Kronika" związany jest Andrzej Szewczyk, który miał u nas już dwie indywidualne wystawy, prowadził też cykl wykładów. Na początku właściwie to on nam bardziej pomagał, niż my jemu, bo przecież Andrzej Szewczyk to artysta z uznanym dorobkiem. Za Szewczykiem trafili do Bytomia młodsi artyści, którzy współpracowali z nim w Cieszynie: Marek Kuś, Piotr Lutyński, Sławomir Brzoska, Krzysztof Morcinek — który teraz pracuje w BWA w Bielsku-Białej i prowadzi własną galerię w Cieszynie, a także Leszek Lewandowski — pracownik naszego Centrum Sztuki. Do tego grona zaliczyć też trzeba Wojciecha Kucharczyka, Wojciecha Dołhuna, Tomasza Koclęgę — absolwentów katowickiej filii ASP w Krakowie. Wszyscy ci artyści, poza Andrzejem Szewczykiem, pierwsze znaczące, poważne wystawy mieli właśnie w naszej galerii.

— Czy można więc powiedzieć, że przez Bytom wiodła ich droga na szlak ogólnopolski?

— Piotr Lutyński miał wystawy w Krakowie, teraz będzie prezentował swe prace w Warszawie. Leszek Lewandowski też bierze udział w znaczącej stołecznej wystawie.

— Czy wokół Centrum Sztuki udało się też skupić grono krytyków?

— Z tym są największe problemy. Jest bardzo mało piszących krytyków w Polsce, na Śląsku również. Współpracujemy z Andrzejem Przywarą z Warszawy, Janem Trzupkiem z Krakowa, kilka tekstów napisał nam rektor Uniwersytetu Śląskiego, prof. Tadeusz Sławek.

— W salach ekspozycyjnych „Kroniki" i „Rynku" gości nie tylko malarstwo, rzeźba, grafika, ale także to, co jest istotą sztuki awangardowej, a więc instalacje, performance, wideo-art.

— Tradycyjne podziały formalne zanikają. To wszystko się miesza. Bardzo często nasze wystawy łączą te wszystkie elementy. Nie staramy się robić jakiegoś wyboru. Artyści, których zapraszamy, zajmują się często i fotografią i malarstwem i wideo— artem. Większość wystaw w Galerii „Kronika" to są wystawy autorskie, czyli zapraszamy autora, a on robi wystawę dostosowując ją do przestrzeni, pokazując to, czym się zajmuje w danym momencie. Czasem robimy wystawy grupowe czy bardziej problemowe. Ale tego typu wystawy to rzadkość — jedna na sezon czy dwa sezony.

— Dlaczego?

— Takie spektakularne wystawy wymagają większych nakładów finansowych i pracy organizacyjnej, pracować przy nich powinno więcej osób niż mamy zatrudnionych na stałe w Centrum. Grupowe czy problemowe wystawy to domena większych galerii, np. Galerii Sztuki Współczesnej w Katowicach. Nie konkurujemy z BWA, ale robimy rzeczy wyraźne, rozpoznawalne, nasze wystawy mają coś wspólnego ze sobą i przez to jesteśmy zauważani w innych ośrodkach. Sukcesem jest to, że istniejemy już tyle lat i że się udało zachować spójny charakter galerii.

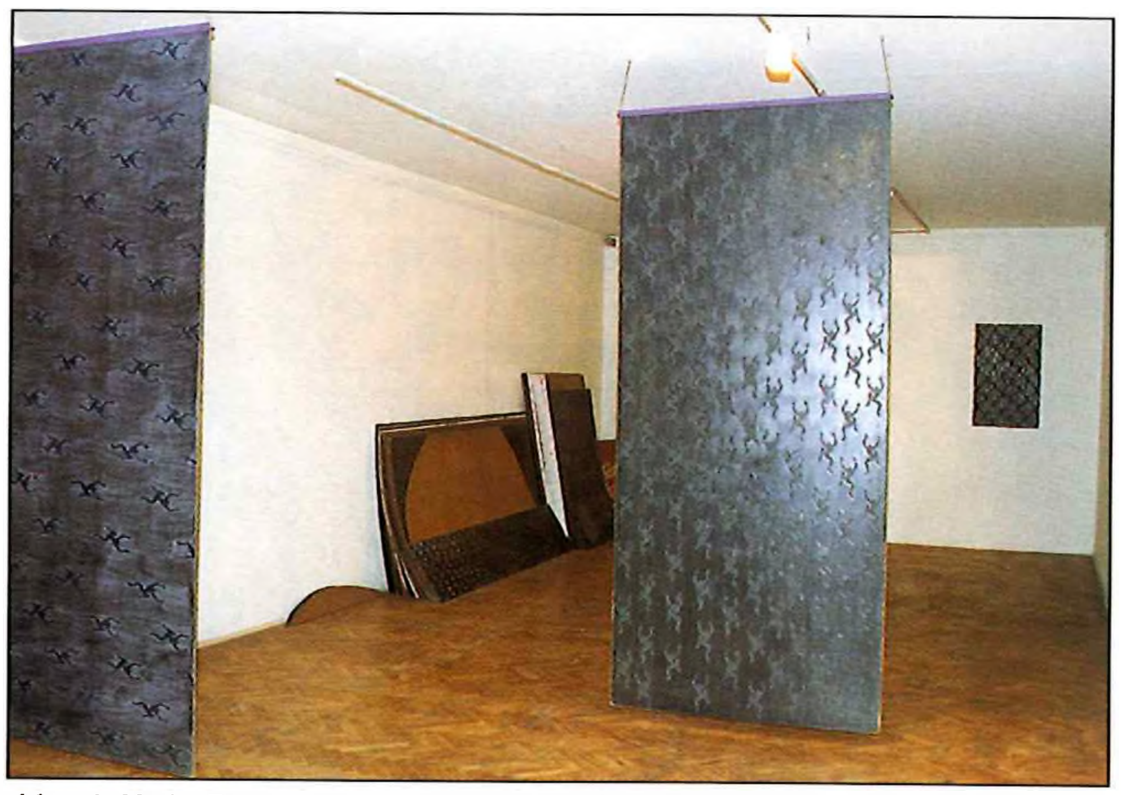
— Rzeczywiście o Galerii „Kronika" coraz głośniej. Centrum Sztuki to instytucja samorządowa, finansowana przez Urząd Miejski w Bytomiu. Toruje drogę sztuce szalenie hermetycznej, trudno przebijającej się do widza.

— Bardzo dobrze, że miasto w ogóle chce finansować tego typu działalność. Ze strony władz miasta jak do tej pory możemy liczyć na zrozumienie. Trzeba pamiętać, że sztuka w ogóle z trudem przebija się do widza. Nasze doświadczenie wskazuje, że największym zainteresowaniem cieszą się instalacje i prace, które wymagają współdziałania widza z danym obiektem. Nasza publiczność to przede wszystkim młodzież. I dobrze, bo ci młodzi ludzie będą głównymi odbiorcami sztuki za kilkanaście lat.

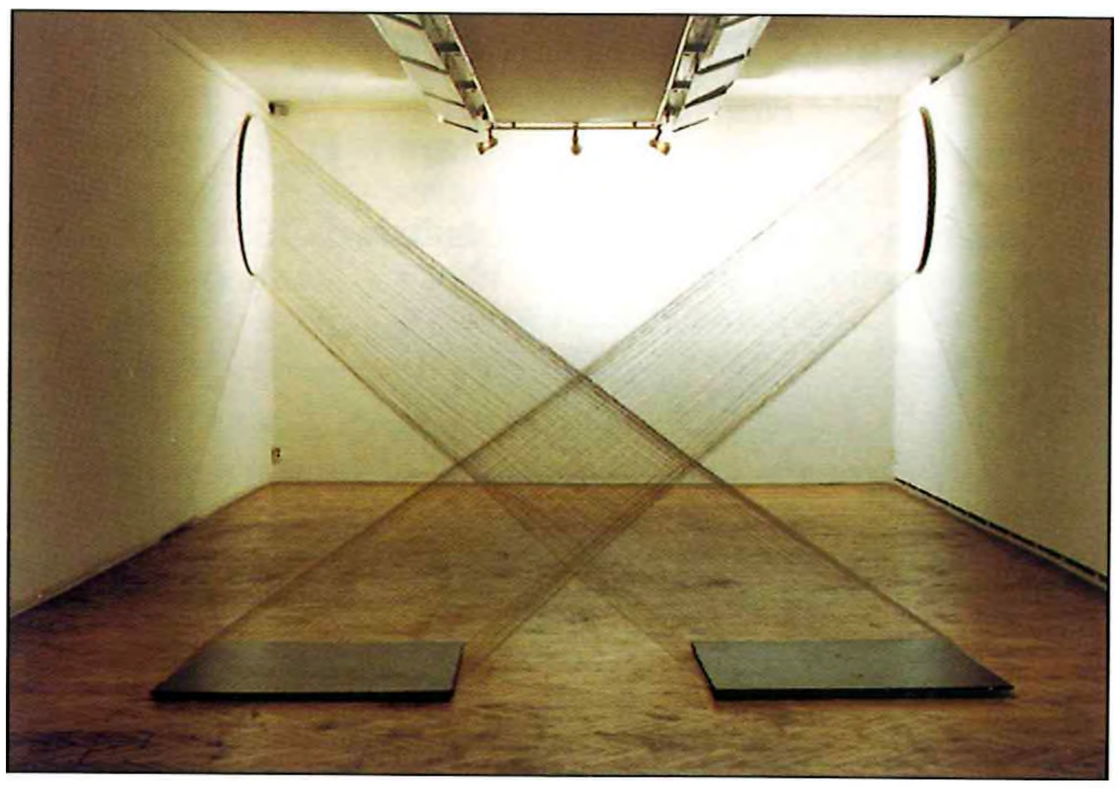
Rozmawiała:
DANUTA LUBINA— CIPIŃSKA



Grzegorz Klaman *„Hiper Trzoda" „Hyper Flock"*, styczeń 1988 (Galeria „Kronika")

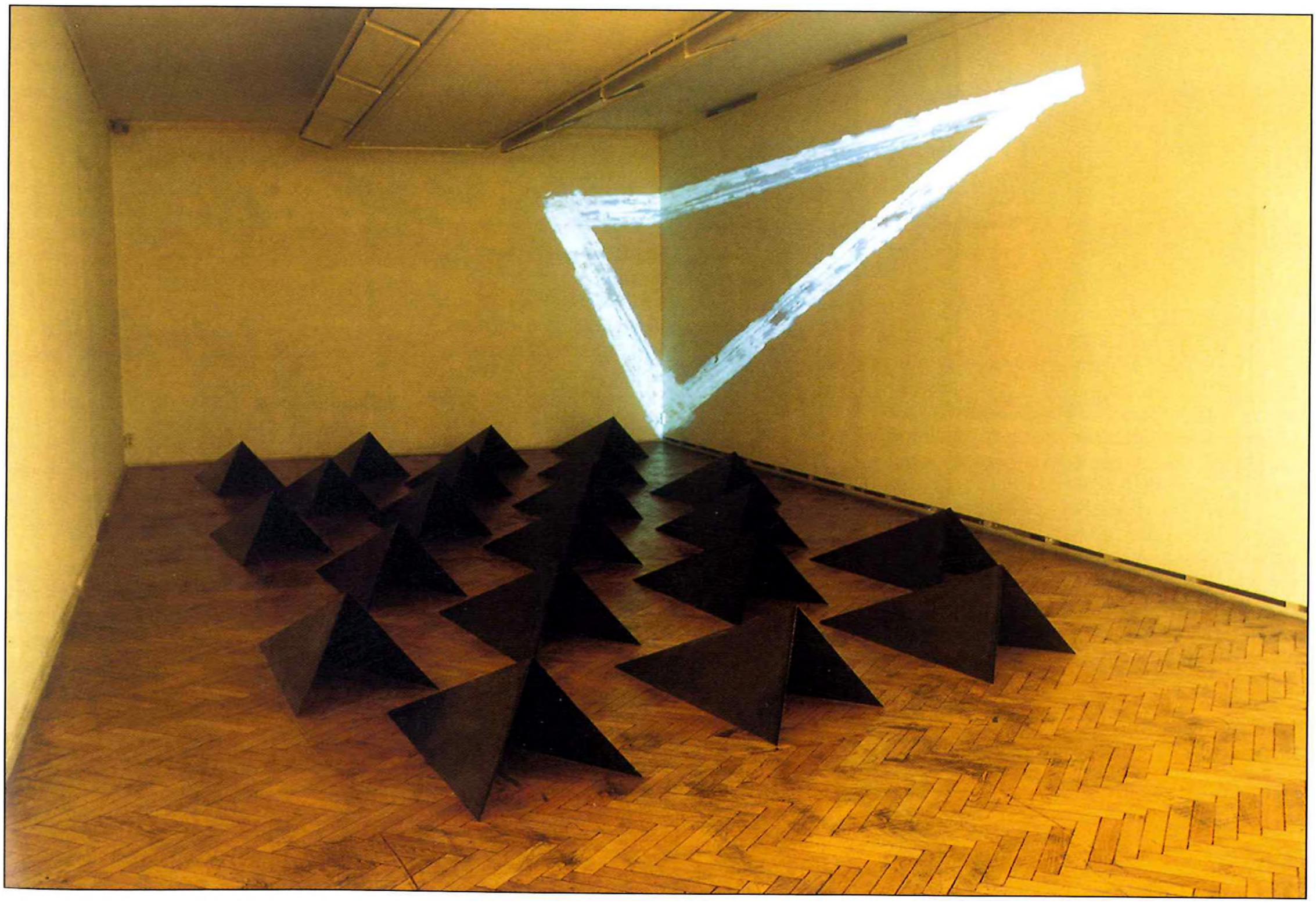


Marek Kuś *„Prywatne przestrzenie"* październik 1997



Sławomir Brzoska *„Pneumaszyna"* czerwiec1997 (Galeria „Kronika")

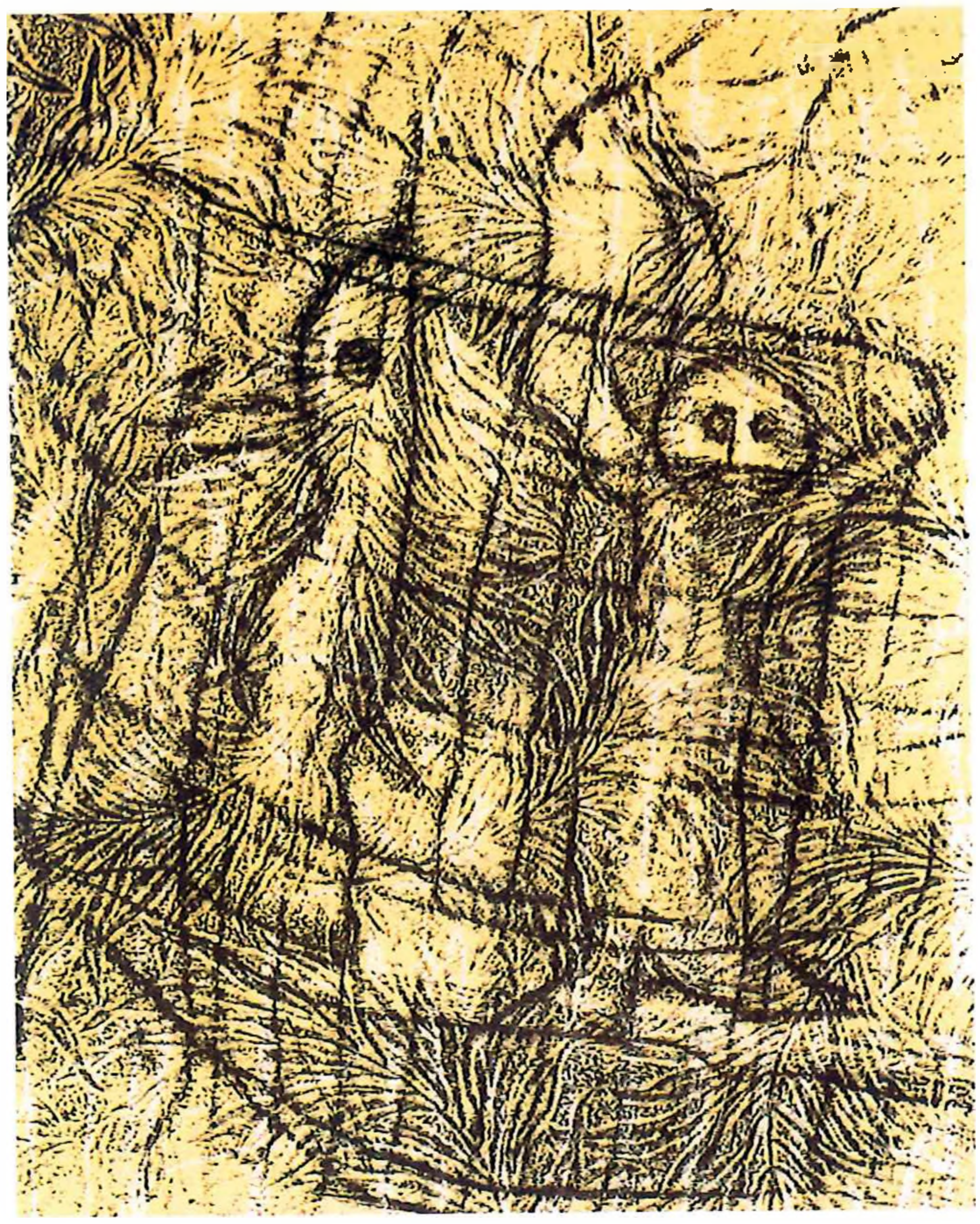
Antoni Mikołajczyk *„Transformacje"*
maj 1977 (Galeria „Kronika")

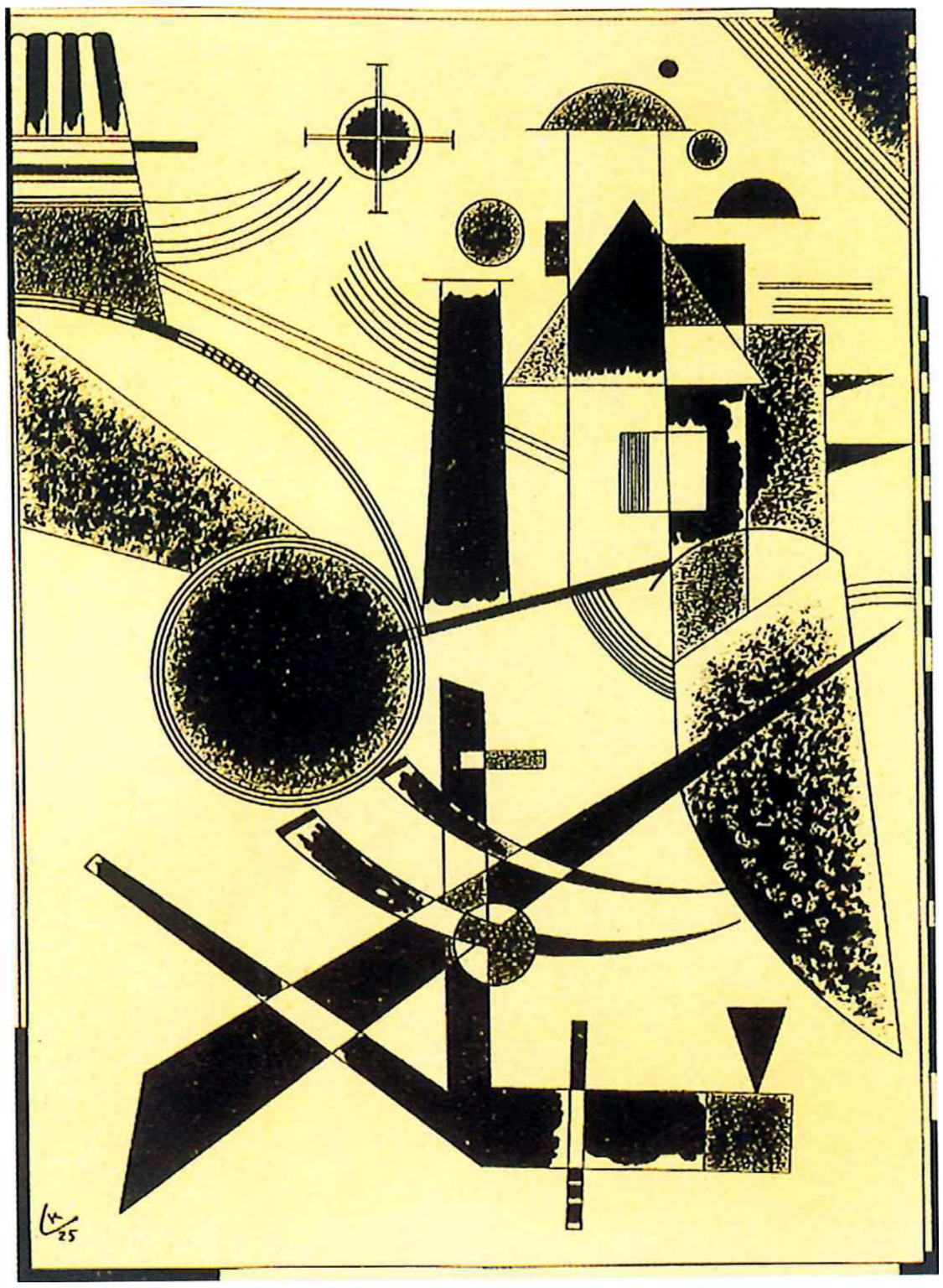




FERNAND LEGER „Woltyżerka" *litografia barwna 1953 r. (34,8 x 45 cm)*

MAX ERNST „Śpiew miłości" *litografia barwna 1958 r. (32 x 24,5 cm)*





WASILY KANDINSKY litografia nr II, *litografia dwubarwna 1925 r. (26,5 x 19 cm)*

PIERRE ALECHINSKY „Serra moiren en hirer" *litografia barwna ok. 1963 r. (65 x 47,5 cm)*



KOLEKCJA GRAFIKI WSPÓŁCZESNEJ BRIGITTY I WAWRZYŃCA WĘCLEWICZÓW

Spłacony dług

Wartość artystyczna i muzealna dzieł, które składają się na ofiarowaną kolekcję jest bardzo wysoka, dzięki czemu dar ten należy do najhojniejszych, jakie nasze Muzeum pozyskało. Jest tym cenniejszy, że nie ma w nim nic przypadkowego. Dzieła, które Państwo Węclewiczowie zgromadzili w swojej kolekcji świadczą o ich znawstwie i umiłowaniu sztuki - pisał w 1981 roku w katalogu towarzyszącym pierwszej wystawie darów Brygitty i Wawrzyńca Węclewiczów, prof. Stanisław Lorentz, ówczesny dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. Wydarzenie to, o wielkim znaczeniu dla kultury polskiej, przyćmiła dramatyczna sytuacja, w jakiej znajdował się nasz kraj w 1981 roku.

Przekazywanie swej kolekcji Muzeum Narodowemu Węclewiczowie rozpoczęli już w latach 1976-1977. Było to 181 rycin m.in. tak wybitnych artystów jak Pierre Alechinsky, Jean Arp, Marc Chagall, Corneille, Jean Dubuffet, Hans Hartung, Fernand Leger, Pablo Picasso, ponadto kilka obrazów malarzy polskich z początku XX wieku, dwie cenne ryciny Albrechta Dürera. W 1979 roku przekazali następną część kolekcji, którą stanowiło 10 rycin znakomitych malarzy europejskich m.in.: Maxa Ernsta, Henri Matisse'a, Marca Tobey'a, Karela Appela, Wassila Kandinskiego oraz 21 obrazów i rysunków malarzy szwedzkich m.in. N.R. Daf Stroma, L. Boethiusa, G.O. Marcusa i ...obraz namalowany przez Olgę Boznańską w 1890r. pt. „W oranżerii" (ponad 4 metrowej wysokości). Z tym ostatnim wiąże się zresztą zabawna anegdota, bowiem Wawrzyniec Węclewicz nabył go za pośrednictwem ogłoszenia w lokalnej, sztokholmskiej gazecie, za jedyne 800 dolarów. Dar Brygitty i Wawrzyńca Węclewiczów obejmuje 317 obiektów (pośród dzieł sztuki znajdują się także 72-częściowy komplet cennych sztućców, 12 dawnych rycin, 4 mapy i 13 prac artystów nieokreślonych).

Spośród wielu obiektów kolekcji na wystawę w katowickiej Galerii Sztuki Współczesnej BWA wybrano 176 prac autorów reprezentujących najwyższy kunszt grafiki europejskiej XX wieku. - *Mało jest w zbiorach polskich grafiki współczesnej zbieranej pod jakimś kątem* - stwierdza komisarz wystawy Dorota Folga-Januszewska z Muzeum Narodowego w Warszawie. Prezentowane są prace głównie z lat 60-tych i 70-tych naszego wieku. Jest to efekt fascynacji Węclewicza grafiką artystów skupionych wokół Ecole de Paris. Niezwykle cenne są również prace grafików niemieckich - wówczas młodych utalentowanych artystów, dziś uznanych w świecie twórców. Na katowickiej wystawie można zobaczyć „Śpiew miłości" Maxa Ernsta - jedyną zachowaną litografię z nakładu z 1958 roku.

Równie fascynująca jak opowieść o kolekcji darczyńców jest historia jej powstania. Rodzina Wawrzyńca Węclewicza pochodzi z Wielkopolski. Ojciec jego pracował przed pierwszą wojną światową w Berlinie, gdzie urodził się Wawrzyniec. Pracą zawodową związał się z konsulatem polskim w Berlinie. Tu ukończył Wyższą Szkołę Handlową. W 1938 roku został aresztowany przez gestapo i uwięziony w Moabit. Odrzucił propozycję służby w niemieckiej armii, za co z wyrokiem śmierci trafił do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Później był jeszcze obóz w Neugamme koło Hamburga. W czerwcu 1945 roku - podobnie ja wielu innych więźniów - został przewieziony sanitarką do Lubeki, a tam zaokrętowany na szwedzki statek „Kronprinsessan Ingrid". Tak rozpoczął się nowy rozdział w życiu Wawrzyńca Węclewicza. *Pełen głębokich urazów opuszczałem kraj, w którym się urodziłem i w którym zgotowano mi taki los. (...) Sam dźwięk niemieckiego przywoływał koszmar.* - pisał we wspomnieniach „Tyle śmierci ile dni" Wawrzyniec Węclewicz. Opiekowała się nim pielęgniarka - Szwedka o nazwisku Brygitta Berglof. Była jedną z tych, które jeszcze przed zakończeniem wojny zgłosiły się ochotniczo do organizowanej przez Czerwony Krzyż akcji ratowania ofiar hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Po opuszczeniu szpitala zaczął pracować jako robotnik, intensywnie uczył się języka i zapisał się na studia ekonomiczne na Uniwersytecie Sztokholmskim. Utrzymywał szerokie kontakty z Polakami, których wojna zagnała do Szwecji. Wśród nich był Antoni Olszewski, który opowiadał Węclewiczowi o ogromie zniszczeń w Warszawie, o ludziach, którzy padli ofiarą hitlerowskiego terroru. Olszewski wrócił do kraju. Węclewicz - chociaż był, a przede wszystkim czuł się Polakiem, wcześniej nigdy nie odwiedzał kraju swego ojca. Powody były dość oczywiste - wyniszczone zdrowie nie pozwalało na takie wyjazdy. Po jakimś czasie Brygitta Berglof została żoną Wawrzyńca Węclewicza. Rozpoczęli wspólne życie, poprzez które - również za sprawą żony - często przewijały się sprawy Polski.

Z początku nie myśleli o czymś takim, jak kolekcja sztuki. Najpierw trzeba było zarobić na życie. Założyli wytwórnię sztucznych pereł, na które był wówczas wielki popyt w Europie. Harowali dzień i noc. W końcu dorobili się znanej firmy „Aurogenta". Wówczas to zetknęli się z nazwiskiem polskiego emigranta Henryka Bukowskiego - zmarłego w 1900 roku antykwarysty o światowej renomie, mieszkającego w Sztokholmie. Szczególnie znane były jego kolekcje numizmatów i porcelany szwedzkiej. Był także fundatorem Muzeum Nordyckiego w Sztokholmie. Hojnie pomagał również Polakom przybywającym do Szwecji, pomagał muzeum i bibliotekom w kraju. Otoczył również opieką Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswilu. Jego grób znajduje się pod murami tegoż Muzeum.

Trochę z zamiłowania do dzieł sztuki, trochę przez pamięć dla zasług znakomitego rodaka założyłem w starej dzielnicy Sztokholmu niewielki antykwariat - tak początki swej kolekcjonerskiej działalności wspomina Węclewicz. Było to jednak początkowo zajęcie typowo komercyjne, które dopiero z czasem przeobraziło się w pasję kolekcjonerską. W Sztokholmie był - po Bukowskim - drugim polskim antykwarystą.

Wawrzyniec Węclewicz - urodzony w Niemczech, mieszkający w Szwecji, choć nigdy nie odwiedzał Polski, był Polakiem z ducha. Żył sprawami, które się tu działy, szukał kontaktów z ludźmi, szedł śladem Henryka Bukowskiego, chcąc pomóc polskiemu Muzeum Narodowemu, ale nie tylko - także Muzeum Nunsantary, czyli Muzeum Azji i Pacyfiku (zbierał również sztukę orientalną). Prowadził wraz z żoną działalność charytatywną na rzecz polskich dzieci. Na decyzję o przekazaniu kolekcji Muzeum Narodowemu wpływ miała zapewne przyjaźń z prof. Stanisławem Lorentzem, którego więzy krwi również prowadzą do Szwecji.

Wawrzyniec Węclewicz wraz z żoną przyjechali do Polski w 1981 roku. Po raz drugi pojawili się w roku następnym, ale ich pobyt miał dość dramatyczny charakter. Odtąd nigdy tu nie powrócili. Wawrzyniec zmarł dziewięć lat temu, natomiast Brygitta nadal mieszka w Sztokholmie.

Warto przytoczyć raz jeszcze słowa Wawrzyńca Węclewicza, które stanowią jakby jego życiowe credo: *Krajowi, który mnie przygarnął, w którym ja, ocalony z piekła, znalazłem dzielną, kochaną żonę i warunki do rozpoczęcia życia od nowa, spłacałem dług rzetelną, wytrwałą pracą, przysparzającą mu dobrobytu. Mając przed oczami takie wzory, jak Henryk Bukowski i tylu innych zasłużonych rodaków, których działalność tropiłem w czasie moich licznych podróży po całym świecie, starałem się jednocześnie służyć mojej Ojczyźnie i jej dobremu imieniu. Ich przykład potwierdzał wyniesioną z domu zasadę: że nie miejsce zamieszkania przesądza o tym, czym i jak służy się Ojczyźnie.*

Dar Węclewiczów - mimo swej niezaprzeczalnej wielkiej wartości - nie odbił się szerokim echem w mediach początku lat osiemdziesiątych. Głośniej mówiono o kolekcji Porczyńskich, a później Lanckorońskich. Są to jednak absolutnie różne kolekcje. Wartość unikalna kolekcji Węclewiczów leży głównie w tym, że dokonywali oni bardzo świadomego wybory prac powstałych w latach 60-tych i 70-tych, że znalazły się w niej dzieła, które dopiero w ostatnich czasach zyskały na wartości. Jest jednolita i konsekwentna. W Polsce trudno porównać ją z jakąkolwiek inną kolekcją współczesnej grafiki europejskiej.

WIESŁAWA KONOPELSKA

***Kolekcja grafiki współczesnej Brygitty i Wawrzyńca Węclewiczów.* Wernisaż: 8 maja w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach. Komisarz wystawy: Dorota Folga-Januszewska przy współpracy Joanny Gładych.**



Foto: Tadeusz Parcej

Komu potrzebna martyrologia?

TEATR

Na tegorocznych Konfrontacjach „Klasyka Polska" triumfowali gospodarze. Opolski spektakl „Dziady albo Młodzi Czarodzieje" zgarnął całą pulę. Sroka otrzymał grand prix za adaptację, inscenizację i reżyserię, nagrody dostali także Iza Toroniewicz za scenografię i Krzysztof Szmajgier za muzykę. Aktorom występującym w spektaklu jury przyznało nagrodę zespołową.

Choć spektakl Sroki jest nierówny i w nieco wyspekulowany sposób adresowany do młodej publiczności, werdykt jury nie dziwi. Z pewnością była to jedyna inscenizacja próbująca dokonać przemyślanej reinterpretacji klasycznego tekstu. Redukując do minimum historyczny i historiozoficzny wymiar dramatu, chciała przykroić go do uniwersalnych dylematów młodego pokolenia.

— I bardzo dobrze — chwaliła zamysł Sroki Izabela Cywińska, kierująca pracami jury. — Komu dziś jest potrzebna martyrologia? Jak długo można oglądać panią Rollinson?

Entuzjazm, jaki ogarnął gospodarzy festiwalu po ogłoszeniu werdyktu, psuła jedynie świadomość, że zwycięstwo nie było trudne. O słabym poziomie tegorocznych Konfrontacji najlepiej świadczy fakt, iż głównym konkurentem „Dziadów..." do nagrody dziennikarzy był dyplomowy spektakl studentów Akademii Teatralnej, którzy pod okiem Jana Englerta pokazali „W małym dworku" Witkacego. Niektórzy żurnaliści zastanawiali się nawet, co by się stało, gdyby w jury nie zasiadali artyści , ale, jak bywało dawniej, krytycy. Ci pierwsi całkowicie zignorowali spektakl Englerta. Jak tłumaczyła Cywińska, młodzież ma swój przegląd w Łodzi i nie powinna rywalizować z zawodowcami na równych prawach. Dyplomanci dostali więc swoistą nagrodę pocieszenia — wazę z piwem, przyznaną przez jury... za odwagę.

Co zadecydowało o kiepskim poziomie przeglądu? Być może dobór repertuaru. Sroka, dyrektor artystyczny Konfrontacji, przyznał, że istnieje tu pewien klucz — komisja stara się na przemian wybierać klasyków „starszych i młodszych". Ponieważ rok temu triumfowały bardzo efektownie, wręcz komercyjnie opracowane dramaty Gombrowicza i Witkacego, tym razem swoje pięć minut mieli otrzymać klasycy starsi. Krótko mówiąc — ci, których dzieła trudniej uaktualnić.

Oczywiście najłatwiej zrezygnować z prób ryzykownej reinterpretacji i poprzestać na przygotowaniu sprawnej inscenizacji. Tyle tylko, że tak pomyślane spektakle nie spotkały się z uznaniem jury, które nie zauważyło ani „Klątwy" Wyspiańskiego ze Starego Teatru w Krakowie w reżyserii Andrzeja Wajdy, ani „Karykatur" Jana Augusta Kisielewskiego wyreżyserowanych przez Iwonę Kempę na deskach Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu, ani wreszcie odtwórczych „Dziadów", które Adam Orzechowski wystawił w Teatrze Lubuskim im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze.

Z tego schematu wyłamała się tylko brawurowa farsa, w jaką zamienił „Pana Jowialskiego" Krzysztof Orzechowski. On otrzymał nagrodę za reżyserię, Anna Sekuła za kostiumy. Dwie nagrody otrzymali także aktorzy Teatru Ludowego z Krakowa-Nowej Huty: Marian Cebulski za rolę Szambelana.

Tak naprawdę były to jedynie nagrody przyznane po prostu za sprawne rzemiosło.

Jury najwyraźniej uznało, że uwagi warte są spektakle poszukujące bądź nowego przesłania, bądź nowych form wyrazu. Stąd deszcz nagród dla opolskich „Dziadów..." i spektaklu Piotra Szczerskiego, który wystawił „Ballady i romanse" na deskach Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach.

„Dziady..." były już na łamach „Śląska" recenzowane, skupmy się więc na inscenizacji Szczerskiego. Był to chyba najbardziej zaskakujący spektakl Konfrontacji. Początkowo planowano, że zostanie pokazany w ramach imprez towarzyszących (co chyba nie najlepiej świadczy o wyczuciu komisji ustalającej repertuar). W ostatniej chwili uznano, że wystartuje w konkursie. Zadecydował przypadek — wypadek samochodowy aktora Dariusza Siatkowskiego zmusił Srokę do skreślenia z programu „Tumora Mózgowicza" w reżyserii Jana Nowary. Szczerski pokazał „Ballady..." tak, jakby miał do czynienia ze skeczami przygotowanymi na użytek „Kabaretu Starszych Panów". W efekcie otrzymaliśmy dowcipne i mocno frywolne scenki żywcem wyjęte z komedii buffo. Viola Arlak, która otrzymała nagrodę aktorską, przypominała Kalinę Jędrusik w wersji blond, salwy śmiechu wywoływali także jej partnerzy, zwłaszcza Krzysztof Wieczorek (kolejna nagroda aktorska), który do perfekcji opanował sztukę kontrastu, łącząc nieśmiałą gestykulację z przeraźliwie ponurą miną i ironicznym błyskiem w oku. Ta nieco obrazoburcza, choć rzeczywiście przezabawna, interpretacja tekstów Mickiewicza spodobała się jurorom tak bardzo, że nagrodzili także Szczerskiego.

Taki a nie inny werdykt nasuwa jednak pewną refleksję. Zdaje się sugerować, że warte uznania jest tylko nowe spojrzenie na klasyczne teksty. Wierność nie tylko przestaje być zaletą, staje się wręcz przeszkodą. Wystarczy, by spektakl odżegnał się od tradycyjnych odczytań dramatu, i już liczyć można na uznanie. Inne spojrzenie staje się wartością samą w sobie, nawet jeśli wiąże się z ryzykownym kastrowaniem sensów. Odarty z historycznego kontekstu dramat Gustawa-Konrada w opolskich „Dziadach..." staje się nie tylko inną, ale być może nawet, wbrew intencjom reżysera, po prostu mniej uniwersalną opowieścią. Podobnie przykrojenie „Ballad i romansów" do gustów kabaretowej publiczności odziera je z autentycznego przecież metaficzycznego napięcia. I tu już wypada zadać sobie pytanie o bilans zysków i strat, jakie niesie ze sobą tak daleko idąca reinterpretacja.

Jeszcze jedna sprawa budzi wątpliwości. Choć opolskie Konfrontacje chcą być przeglądem tego wszystkiego, co dzieje się z klasyką na polskich scenach, zrezygnowano z zaproszenia „Nocy listopadowej" Grzegorzewskiego, spektaklu, który wzbudził w minionym roku chyba najwięcej emocji. Zadecydowały względy techniczne — spektakl wykorzystuje wszystkie możliwości techniczne Teatru Narodowego i nie było szans zaprezentowania go na deskach „Kochanowskiego". Podobno nie było także żadnej możliwości zaadaptowania go do możliwości opolskiego teatru. Czy brak tej inscenizacji miał znaczenie? Cywińska tłumaczyła, że nie, bo zna to przedstawienie i jest pewna, że jego udział w konkursie nie wpłynąłby na wynik obrad jury. Krótko mówiąc — jej się nie podobało. Widzowie przeglądu nie mieli okazji wyrobić sobie własnego zdania. Szkoda.

MAREK ŚWIERCZ

Nudny Bienek

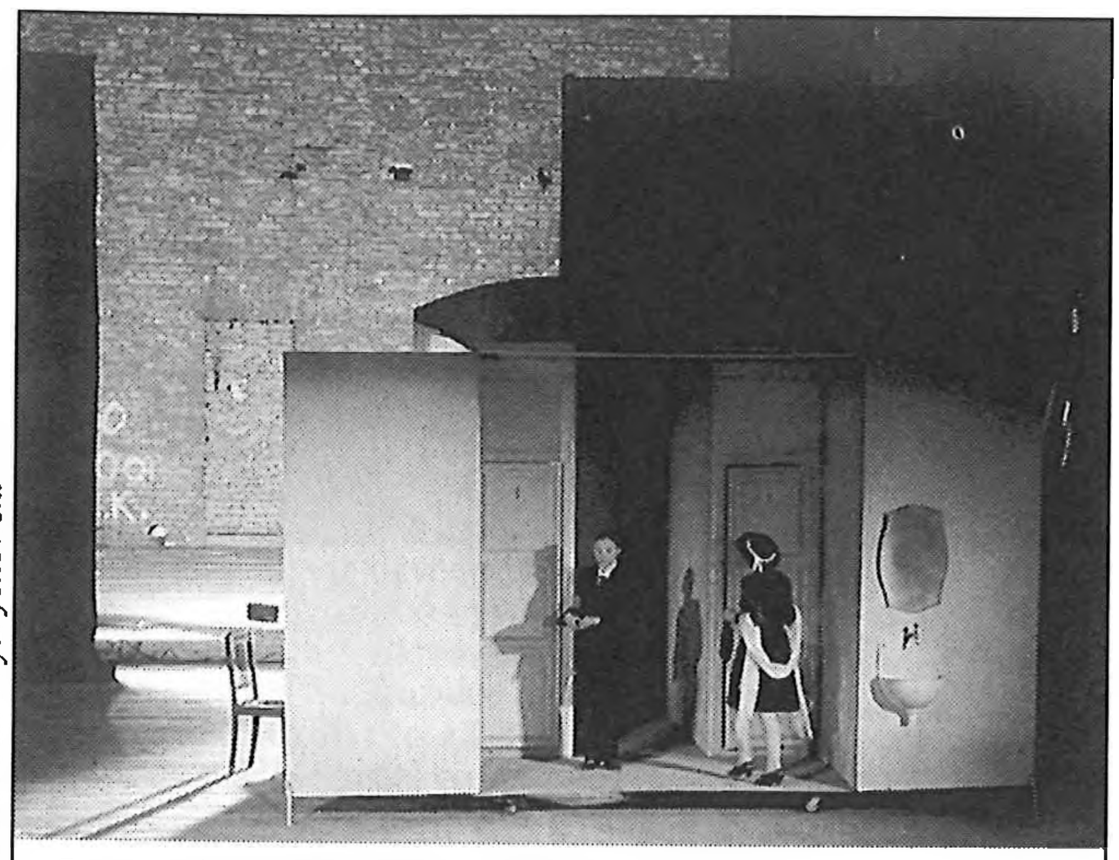


Foto: Jan Frydrychowski

Scena z „Pierwszej polki" wg Horsta Bienka

Nazwisko Horsta Bienka zelektryzowało śląskich teatromanów. Zaadaptowanie na scenę „Pierwszej polki" i pokazanie jej na inaugurację 9 Gliwickich Spotkań Teatralnych wydawało się pomysłem znakomitym, wszak akcja tej powieści, otwierającej najważniejszy w dorobku pisarza, czterotomowy cykl, toczy się w Gliwicach, w przeddzień wybuchu II wojny światowej.

Teoretycznie, jest to rzecz, która powinna dość wdzięcznie poddać się woli scenarzysty czy reżysera, wszak wielu z nas zachowało jeszcze pamięć o udanej filmowej wersji „Pierwszej polki", autorstwa Niemca Klausa Emmericha. Wprawdzie język kina jest w takich przypadkach pojemniejszy, to przecież utwór Bienka niesie w sobie pewne wybitnie teatralne walory, niemal w sposób klasyczny zachowując jedność czasu, miejsca i nawet — do pewnego stopnia — akcji. To, że tę realizację wpisano w tak niezwykłą przestrzeń, jaką stanowią ruiny gliwickiego Teatru Miejskiego, też raczej powinno było działać na korzyść tej koncepcji. Pomijam fakt, że właśnie ten obiekt, a raczej wspomnienie o jego świetności, jakże często pojawia się w twórczości Bienka. Chodzi raczej o tę niezwykłą szansę, jaką dawało realizatorom teatralne „poszukiwanie straconego czasu", błąkanie się po magicznej i, u Bienka, zmitologizowanej nieco przestrzeni historii, znaczonej dramatyzmem śląskich losów, których Teatr Miejski, a i okoliczne ulice i zaułki, pozostają wiarygodnymi, ciągle jakby żywymi świadkami. Dotąd — taką mogliśmy mieć nadzieję, zasiadając na wypalonej przed półwieczem widowni — tylko odpowiedniej literatury dramaturgicznej nam brakowało, abyśmy mogli dotknąć tamtych czasów, więc oto — myśleliśmy — za chwilę nareszcie jej doczekamy, i doczekamy jej teatralnego dopełnienia i spełnienia.

Ale, niestety, już pierwsze sceny spektaklu źle wróżyły. Josef Piontek (w tej roli Artur Święs) podgląda miłosne igraszki jednego z niemieckich żołnierzy, którzy korzystając z przepustki czy urlopu zapuszczali się w podgliwickie lasy, ciągnąc za sobą miejscowe dziewczyny. U Bienka młodociani bohaterowie powieści, odkrywając wokół siebie (i w sobie) zagadkowy świat doznań i uniesień erotycznych, przebijają się tym samym przez niezrozumiałe pułapki, jakie zarzuca na nich coraz groźniejsze przyjmująca formy rzeczywistość zewnętrzna. Inicjacja w dorosłość jest swoistym kontrapunktem dla tego, co dzieje się na ulicach śląskich miast, i co w postaci coraz realniejszej groźby wojny wdziera się do mieszkań, niepokoi, nie pozwala już myśleć i mówić o niczym innym, jak tylko o tym, co stanie się jutro, pojutrze, za tydzień. Cóż, w tym spektaklu owego balansowania między światem młodzieńczych uniesień a brutalną prozaicznością hitleryzmu kompletnie nie udało się pokazać, choć akurat scena z Adreasem (Mirosław Książek) i Ullą Ossadnik (Jolanta Sawoniuk), przez przypadek błąkających się w okolicach gliwickiej radiostacji i stających się mimowolnymi świadkami niemieckiej prowokacji, należy do bardziej udanych i coś z powieściowego ducha niesie.

Inna rzecz, że w tym spektaklu wiele scen czy raczej ich fragmentów może się podobać, zwłaszcza gdy udaje się im nadać jednolitą stylistykę, jednolity ton. Oto na przykład tchnąca realizmem i wewnętrzną prawdą scena, w której Valeska Piontek (Agata Witkowska) z matczyną troską strofuje syna Josefa, gdy ten udaje się na kolejną zbiórkę Hitlerjugend. Ale już za moment, już za chwilę uzyskany nastrój (i przez to — sens) zostaje beznadziejnie rozbity. Sebastian Majewski, który całą odpowiedzialność za ten spektakl wziął na siebie, zupełnie się pogubił, mieszając płaszczyzny realistyczną, historyczno-dokumentalną, poetycką czy wręcz oniryczną i nie mogąc się zdecydować, która powinna dominować. Fatalnie wypadają zwłaszcza owe sceny oniryczne, wywoływane ze snów czy świata obsesji. Niezrozumiałe są wtedy proporcje, także czasowe, i poprzesuwane akcenty znaczeniowe. Vide: rozpaczliwe próby zmieszczenia się w takiej konwencji Wincentego Grabarczyka jako Georga Montaga, owego niemiecko-żydowskiego pisarza zgłębiającego fenomen popularności Korfantego, i Jerzego Kuczery, który gra tu najwięcej postaci, dosłownie i w przenośni dwoi się i troi, lecz gdy mu przychodzi grać „ducha" Korfantego, to musi się poddać. Zresztą tak poustawiane przez inscenizatora role, pozbawione sfery motywacji, zawieszone w próżni, nie mogły być udane. To tylko atrapy ludzi, więc i cała przestrzeń teatralna, tutaj wykreowana, to też tylko atrapa rzeczywistości.

Zgoda, taki stylistyczny kogel-mogel był czymś pożądanym, może nawet niezbędnym, ale wybierając taką drogę, trzeba było zastosować inne, bardziej urozmaicone środki wyrazu, zmieniać rytm spektaklu, próbować — nie wiem — na przykład jakoś kreatywnie operować światłem, dźwiękiem czy muzyką. Tymczasem niemal przez cały czas muzycy filharmonii zabrzańskiej siedzą na obrzeżach sceny i robią za maszynistów, obracając centralnie ustawione, rozkładające się na wszelkie strony olbrzymie pudło. Ta konstrukcja scenograficzna sama w sobie jest interesująca i daje wiele możliwości, bardzo łatwo przenosząc nas z miejsca na miejsce, z mieszkania na ulicę, z pociągu do lasu, z lasu na zaplecze Haus Oberschlesien — owego sławnego hotelu gliwickiego, gdzie odbywa się przyjęcie weselne córki Valeski i Leo Marii Piontków. Tu zresztą udało się reżyserowi wybrnąć z nie lada kłopotu. Jak tu bowiem pokazać prawdziwe wesele, zabawę, gości i ową pierwszą polkę, którą zatańczyć mają chłopcy, skoro w spektaklu bierze udział ledwie siedmiu aktorów. No, jakoś się udało, bo Majewski przeniósł nas do... toalety hotelowej, więc tutaj mogą się pojawić „wszyscy", także nawiedzona Wodna Milka czy pijana hrabina Poremba (w tych rolach Izabella Malik).

Nic to jednak nie znaczy i spektaklu nie ratuje, gdyż ten jest chwilami przeraźliwie statyczny, przegadany i pretensjonalny, bo nieznośnie zawieszony w jakiejś dziwnej pustce. Reżyser chciał ją wypełnić jakimś rodzajem metafizyki. Tak się domyślam. Zamiast metafizyki otrzymaliśmy potężną dawkę nudy.

KRZYSZTOF KARWAT

***„Pierwsza polka"* wg Horsta Bienka. Adaptacja, reżyseria i scenografia: Sebastian Majewski. Przekład: Maria Przybyłowska. Muzyka: Jakub Ostaszewski. Realizacja pod patronatem Fundacji Odbudowy Teatru Miejskiego w Gliwicach. Premiera 7 maja 1998 roku w ruinach Teatru Miejskiego w Gliwicach**



MUZYKA

Serce Ochmana

Każdy słyszy, że pulsuje niespożytym żarem w jego głosie, rozpoznawalnym od razu, bo jest to śpiewak doskonały, dysponujący mistrzowską, nieskazitelną techniką. Toteż od kilku dziesięcioleci Wiesław Ochman utrzymuje się na wyżynach sztuki wokalnej, co potwierdzają wciąż jego międzynarodowe kontakty. Nikt z polskich artystów po wojnie nie zapisał sukcesów większych na scenach zagranicznych i nie ma równie wspaniałej kolekcji w swojej karierze: Metropolitan Opera, Coven Garden, La Scala, Opera Paryska, Wiedeńska, Madryt, Buenos Aires, San Francisco... A przecież start artystyczny Wiesława Ochmana był nie tylko skromny, ale i droga do wielkiej kariery nie mogła być łatwa, skoro w istocie wszystko zawdzięczał sobie, choć ludzi życzliwych też napotkał wielu. Lecz ich możliwości były raczej ograniczone, nawet jeśli byli to, obiektywnie biorąc, artyści i muzycy niepospolici, lecz bez większych międzynarodowych wpływów. Gdy rozwija się talent Wiesława Ochmana, Polska jest wciąż jeszcze krajem zamkniętych granic i długo nim pozostanie; nawet gdy już skończy się złowroga epoka żelaznej kurtyny.

Wiesław Ochman przebijał się więc na szczyty o własnych głównie siłach, z niezłomną konsekwencją i artystycznym samozaparciem. Kariera międzynarodowa tego formatu była możliwa dzięki wybitnym predyspozycjom — niepospolitej muzykalności, talentowi scenicznemu oraz inteligencji połączonej z dyscypliną życiową i artystyczną. Jest to niewątpliwie artysta o nadzwyczaj bogatej osobowości, a znajomość wielu języków i ujmująca serdeczność odegrały też znaczną rolę w nawiązaniu artystycznych kontaktów. Od początku fascynował więc publiczność wspaniałym głosem, ale i urokiem artysty obdarzonego wielkim osobistym czarem. No i ta cecha wręcz niespotykana — brak uczuć zazdrości!

Może i dlatego — choć to już czwarte dziesięciolecie imponującej kariery — Wiesław Ochman wciąż śpiewa głosem pełnym blasku, fascynującym bogactwem odcieni. To oczywiście kwestia wyjątkowej techniki, pozwalającej formować głos z niezawodnym mistrzostwem, ale i osobowości człowieka z natury życzliwego, który dzieli się chętnie nie tylko darem wspaniałego talentu, lecz także sercem właśnie. I to nie z artystycznego wyrachowania, dla potwierdzenia popularności. O wielu „darach" swego serca Wiesław Ochman nie mówi w ogóle, choć można by je przeliczyć na wartości materialnie wymierne, co zawsze sprawia jeszcze mocniejsze wrażenie.

★ ★ ★

Ileż już tych aktów szczodrego udziału w rozmaitych przedsięwzięciach charytatywnych zapisał w swoim społecznym życiorysie!... W niemal każdej ważniejszej akcji pomocy pojawia się jego nazwisko. Od lat uczestniczy w działaniach na rzecz ratowania zabytków Krakowa. Wspiera co roku akcję restauracji Powązek, tak jak wcześniej z całą mocą zaangażował się w działania dla odzyskania willi „Atmy" związanej z Szymanowskim. Wziął Ochman oczywiście aktywny udział w imprezie cyrkowej, z której dochód przeznaczony był na rzecz Domu Aktorów Weteranów w Skolimowie. Jesienią minionego roku wystąpił w Brzegu w koncercie i aukcji obrazów, by wesprzeć powodzian. Uczestniczył w imprezach dla „sprawnych inaczej". A to przecież tylko wyrywkowe przykłady aktywności „serca Ochmana".

Szczególnie jednak czynny jest od lat w rozmaitych akcjach charytatywnych na Śląsku. Wielki rozgłos towarzyszył katowickim koncertom z jego udziałem, z których dochód przeznaczony był dla wsparcia Fundacji „Dializa" profesora Franciszka Kokota oraz Fundacji Rozwoju Kardiologii powołanej przez profesora Leszka Gieca. W obu tych koncertach wystąpiła Wielka Orkiestra Polskiego Radia pod dyrekcją Antoniego Wita, zaś Wiesław Ochman nie tylko śpiewał, ale z błyskotliwością rasowego konferansjera koncerty te prowadził, w tym także aukcję obrazów śrubując wysokie stawki (za każdym razem rekordowe ceny zyskiwały prace jego przyjaciela Jerzego Dudy-Gracza).

Lecz o jego wyjątkowym zaangażowaniu w przedsięwzięcia charytatywne świadczy stały, od 6 lat udział w koncertach na rzecz Fundacji Pomocy dla Szpitala w Zawierciu „AUXILIUM", którą powołał i prowadzi zasłużony zawierciański lekarz, doktor Henryk Wnuk. To rzecz nadzwyczajna biorąc pod uwagę jak bardzo trudno o wolne terminy w międzynarodowym kalendarzu artystycznym Ochmana. A przecież co roku, w pierwszych dniach wiosny, spora sala teatralna Centrum Kultury w Zawierciu wypełnia się szczelnie publicznością, by uczestniczyć w koncercie zaprogramowanym przez Ochmana, z jego udziałem jako solisty i przez niego poprowadzonym w roli konferansjera (wspiera go w tym ostatnio także córka Małgorzata). Lecz Wiesław Ochman nie tylko występuje bezinteresownie w kilku rolach naraz, lecz przy okazji tego koncertu uczestniczy także w inicjatywach promujących firmy świadczące pomoc na rzecz „AUXILIUM". Stał się więc w Zawierciu popularnym do tego stopnia, że nadano mu tytuł honorowego obywatela miasta, zaś ambicją co bardziej znanych i wpływowych osobistości miasta i regionu, jest za każdym razem doprowadzenie artysty do pamiątkowego zdjęcia, czemu poddaje się zresztą ochoczo... z myślą o zyskach dla „AUXILIUM", ku radości doktora Henryka Wnuka.

★ ★ ★

W tym roku 4 kwietnia do udziału w koncercie Wiesław Ochman zaprosił dwie znakomite śpiewaczki — sopranistkę Joannę Kściuczyk-Jędrusik, solistkę Opery Śląskiej oraz współpracującą stale z bytomską sceną Bożenę Zawiślak-Dolny (mezzosopran). Był to „koncertowy" pokaz sztuki wokalnej, bo obie panie są w formie wybornej, a śpiewają z niepospolitą ekspresją. Świetnie skonstruowany program, popisowe wykonanie, więc co występ — eksplozja owacji. Koncert potwierdził jak nadzwyczajnie dysponowany jest wciąż nasz 1 tenor. Śpiewał wspaniale, imponował skalą głosu, sztuką frazowania, pulsującymi ekspresją fermatami i subtelnymi pianami. Znakomicie dysponowani byli, uczestniczący w tym koncercie co roku, filharmonicy zabrzańscy pod batutą swego szefa, Sławomira Chrzanowskiego, z którymi Wiesław Ochman współpracuje już od kilku lat. Zwraca uwagę coraz większa dyscyplina artystyczna orkiestry i skoncentrowane brzmienie.

Odkryciem okazała się także towarzysząca koncertowi, zaproponowana przez Wiesława Ochmana, wystawa malarstwa Szymona Szumińskiego, artysty związanego z Toruniem (1936-1986). To świetny kolorysta o znakomitym warsztacie, którego pejzaże znoszą porównania z mistrzami tej miary co Cybis.

Miał zawierciański koncert także akcent jubileuszowy — 25-lecie pracy artystycznej z tej okazji obchodził Jarosław Świtała, związany przez lata jako solista baletu z Operą Śląską, gdzie po powrocie z zagranicznego kontraktu objął kierownictwo baletu. W trudnej sytuacji życiowej, po katastrofie samochodowej, rozstał się ze sceną by związać się jako animator wielu działań kulturalnych z Zawierciańskim Centrum Kultury. To właśnie jemu zawdzięcza miasto pozyskanie Wiesława Ochmana, który zapewne chciał w ten sposób zmobilizować życiowo utalentowanego tancerza. Co też się stało, bo Jarosław Świtała powrócił na baletową scenę.

★ ★ ★

Z tego Wiesław Ochman był i jest znany: z uczynności i pamięci przysług. Nie zdarzyło się jeszcze by w jakimkolwiek ważniejszym wywiadzie, bądź publikacji, zapomniał o Włodzimierzu Ormickim, świetnym dyrygencie i znawcy sztuki operowej, który w roku 1960 jako szef artystyczny Opery Śląskiej, zaangażował nieznanego absolwenta Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie jako... tenora. Nigdy też nie pominie świetnej korepetytorki, Marii Szłapak, której opieka wokalna zaznaczyła się w rozwoju artystycznym młodego solisty. Toteż nie minęło wiele czasu, gdy po występie w roli Edgara w „Łucji z Lammermoor" na scenie bytomskiej padła znamienna zapowiedź — polski Caruso!...

Wiesław Ochman nawet po tylu latach nie ma wątpliwości, że gdyby nie Opera Śląska, gdzie został odkryty jako tenor, być może nie rozstałby się z zawodem inżyniera po ukończeniu Wydziału Ceramiki AGH. Z tego okresu wyrasta jego trwały sentyment do Śląska, wynikają liczne więzi, które podtrzymuje — także koleżeńskie. On, rodowity warszawiak, chłopak z Pragi, najczęściej śpiewa właśnie na Śląsku, uczestnicząc bezinteresownie w licznych występach charytatywnych. Zwykł w takich przypadkach mówić, że po prostu woli dawać — niż brać. W dzieciństwie, w okupacyjnej Warszawie, doświadczył znaczenia wzajemnej pomocy i solidarności ludzkiej w potrzebie. Tej filozofii życiowej jest wierny — z sercem w potrzebie.

TADEUSZ KIJONKA

MUZYKA

Pod znakiem Lutosławskiego

Zachęcony bardzo dobrze przyjętym i wysoko ocenionym, ubiegłojesiennym występem dyrygenckim Janusza Powolnego z filharmonikami katowickimi (ze Szwajcarii specjalnie przybyła wtedy doskonaląca się u Krystiana Zimermana w Bazylei laureatka ostatniego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie, Magdalena Lisak, by kreować z Powolnym Koncert f-moll op. 21) wybrałem się u progu wiosny do Filharmonii Opolskiej, na wieczór nietypowy, bo wypełniony aż trzema współczesnymi polskimi koncertami fortepianowymi, za to bez uwertury, symfonii czy oratorium.

Otwierał on zorganizowane po raz drugi Forum im. Witolda Lutosławskiego. Powodzenie edycji poprzedniej, sukces frekwencyjny, zgoda publiczności na ambicje repertuarowe i sporą dozę twórczości nowej — wszystko to zachęciło szefa Opolan, aby już po roku utwierdzić dopiero co napoczętą tradycję serią niemałej klasy zdarzeń artystycznych. Cel jest oczywisty: dać pole muzyce dzisiejszej, przyciągnąć i wychowywać do niej publiczność Opolszczyzny, w szczególności słuchaczy młodych (tu naturalnym sprzymierzeńcem jest miejscowa Szkoła Muzyczna) a Orkiestrze stworzyć wyrazisty, choćby i forsowny nieco wątek rozwoju, symetryczny do pracy w klasyce. Pomysł ten i model zdaje się skutkować, jeśli sądzić będziemy po inauguracyjnym wieczorze festiwalu i sposobie, w jaki partnerowała opolska orkiestra filharmoniczna, prowadzona dyrektorską ręką Powolnego, gościom o wielkich nazwiskach. Świetnie usposobiona do prezentowanych utworów i twórczych intencji Ewa Pobłocka grała dedykowany sobie Koncert obecnego na sali Pawła Szymańskiego (na długo zostaje w pamięci rozbudowana, nośna kadencja fortepianu solo we wstępie dzieła!) oraz syntezę faktur i etosu tej formy pianistycznej wyrażoną Koncertem fortepianowym Lutosławskiego, arcymuzyką, którą inspirowała myśl o Zimermanie. Niewątpliwe porozumienie wszystkich współgrających stron, ich radość interpretatorską wyczuwaliśmy też natychmiast w II Koncercie Zygmunta Krauzego, sugestywnie przedstawionym przez autora-pianistę, któremu we fragmencie utworu orkiestrowicze partnerowali — dosłownie! — „śpiewająco" lub raczej „nucąco", jak wymagała partytura prezesa Polskiej Sekcji SIMC... Z pewnością sformułował artysta sui generis wzorzec partii fortepianowej; czy także jej ideał? Pytanie nierozstrzygnięte, podobnie jak to, czy idealnym odtwórcą siebie samego był... Chopin.

Również finał festiwalu dobrano, w następny piątek, z form koncertujących, łatwiej — zda się — przyswajalnych w szerszym słyszeniu niż partytury czysto orkiestrowe. I znowu, tym razem pod czujnym okiem, uchem i batutą Mirosława Jacka Błaszczyka, inspirowali orkiestrę opolską do śmiałego lotu artyści wybitni: w „Capricciu" Krzysztofa Pendereckiego, oboista Mariusz Pędziołek, który wspólnie z harfistką Anną Sikorzak-Olek pokazał się też w Lutosławskim i wysublimowanej dźwiękowości Koncertu podwójnego oraz Dominika Falger w „cierpko" barokizującym Koncercie skrzypcowym D-dur Igora Strawińskiego. Zarówno tu, jak tydzień wcześniej, musieli filharmonicy pokonywać nie tylko ostre powinności techniczne, pilnować niuansowych oczekiwań kompozytorskich co do relacji solistów i tutti, sami zresztą stawiani niekiedy w roli chwilowych liderów, nie tylko „żłobić" konsztowne nierzadko mikroustroje dźwiękowe, ale zarazem odnajdywać się, co bywa w sztukach XX-wiecznych i najnowszych sporą ekwilibrystyką, w mozaice propozycji estetycznych i skokowo zderzanych gwoli tym intensywniejszego pobudzenia publiczności stylistykach.

Powolny, dyrygent z bardzo poważnym życiorysem artystycznym, obdarzony równolegle wybitnym zmysłem organizatora, działa w Opolu z rozmachem i śmiało poszerza progi, choćby doraźnie szwankowała jeszcze trochę orkiestrowa faktura lub rygoryzm szczegółów, czy brzmieniowe „kwanty" i proporcje. Dominuje rzetelnej próby artyzm, zaś wytrwałe promowanie muzyki współczesnej sprzęga się z właściwym wyczuciem zadań edukacyjnych. Wciąż jeszcze potrzeba w Polsce odwagi, by w programie abonamentowym lokować (tak było 16 stycznia) Koncert op. 24 Antona Weberna!

Udokumentowany pożyteczną książeczką programową festiwal nosił pod-imię „Prezentacja sztuki XX wieku — muzyka, taniec, wystawa plastyczna". W holu Filharmonii ekspozycje przedstawiali twórcy opolscy: Aleksandra Janik („Wizerunek — Maska — Alter ego") i Romuald Jeziorowski, który zaproponował malarstwo, rysunek i pomysłową instalację z kontrabasem jako obiektem plastycznym. Przy współpracy Teatru im. Jana Kochanowskiego przygotowano wieczór baletowy, przywieziony z Poznania przez Ewę Wycichowską; wystąpił Polski Teatr Tańca, dając choreografię jeszcze jednemu w ofercie festiwalowej dziełu koncertującemu, mianowicie Koncertowi klawesynowemu Henryka M. Góreckiego (spektakl „Cul-de-sac") a ponadto Kwartetowi smyczkowemu „Już się zmierzcha" tegoż katowickiego kompozytora. Słusznie uznano, że Lutosławski jest nieprzekładalny zarówno na taneczną interpratację, jak ilustrację sceniczną. Wycichowska przedstawiła oryginalne, gęste i barokowe ujęcie „Niebezpiecznych związków" na motywach de Laclosa, kojarzące się z optyką, ekspresjami i estetyką Petera Greenewaya, podług nagrań Bacha-ojca i Erica Satie. W wątku ściśle muzycznym zapisać wypada z uznaniem występ Orkiestry i Chóru opolskiej Szkoły Muzycznej, znów z dziełem patrona Forum. Zabrzmiały pieśni dziecięce (tetraptyk „Wiosna") Lutosławskiego, odnotować trzeba też zwłaszcza prawykonanie „Nokturnu" zaprzyjaźnionego autora niemieckiego Wolfganga Thiela, rocznik 1947, z Poczdamu.

Wiele wskazuje, iż festiwal otrzyma już za rok continuum i tradycja nasili się jeszcze wyraziściej. Cóż doradzać wysoce świadomemu opolskich realiów, perspektyw, szans i także uwarunkowań, które powściągają wyobraźnię, Januszowi Powolnemu? Może silniejsze wyeksponowanie kilku jakże ważkich nazwisk wywodzących się ze Śląska twórców, których postawy i sztuka pozostają w koniunkcji z Lutosławskim albo się z jego estetycznymi przesłaniami swoiście kontrapunktują. Myślę tu, przykładowo, o Witoldzie Szalonku, o przedwcześnie zmarłych: Aleksandrze Glinkowskim i Andrzeju Krzanowskim, również o nieżyjących już Bolesławach: Szabelskim i Woytowiczu, i o artystach młodszych, którzy dzisiaj stanowią wielkość śląskiej szkoły kompozycji a konsultowali się osobiście u Lutosławskiego, jak Bogusławski, Lasoń czy Radko. Warto rozwinąć stopniowo także nurt kameralistyki — i zacieśnić więź ze starszym, spod tegoż znaku, wiosenno-dorocznym Forum Kazimierza Korda w Filharmonii Narodowej. Aż proszą się o wpisanie do repertuaru kompozytorzy „emigranccy", wśród nich Andrzej Panufnik i bratysławianin Roman Berger oraz zagraniczni, jak Ligeti, którego Etiudy chętnie usłyszelibyśmy we wspaniałej interpretacji wspomnianej już laureatki Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina Magdaleny Lisak z Katowic, zaś idąc w głąb — Bartóka czy Messiaena.

O tym wszystkim myślałem krążąc po późnowieczornym mieście, efektownie rozświetlonym (baśniowe wieże!) i z zabliźnionymi już po powodzi spękaniami, arteriami, budowlami. To właśnie nurtowało mnie, gdy spacerowałem ulicą noszącą imię zasłużonego w zmaganiach o polskość Ziemi Opolskiej, w czasie wojny związanego z Ruchem Oporu i straconego przez Niemców w roku 1944, Leona Powolnego, dziadka dyrygenta szefującego drugi sezon Opolu. Przyszło mi także na myśl, iż dobry byłby temat na małą albo i znaczniejszą sesję naukową: „Lutosławski a Śląsk", ergo: artysta, jego dzieło i spuścizna — a my. Nieraz odwiedzał Katowice, nagrywał u nas, prawykonywał, uczestniczył w jury Konkursu „Patri Patriae"... duży by sumować. Ciekawe, czy również muzyczne Opole znało się bliżej z Witoldem Lutosławskim? Może i to objaśni szczegółowiej Forum trzecie, już następnej wiosny?...

ALEKSANDER GABRYŚ

Raporty kulturalne

Na straży przeszłości - z myślą o przyszłości

WIESŁAWA KONOPELSKA

Muzea - obok galerii, teatrów, filharmonii zajmują godne miejsce w szeregu nazywanym „instytucje upowszechniania kultury". Wynika z tego faktu kilka podstawowych , ogólnie obowiązujących zasad. Po pierwsze muzea - jak wszystkie instytucje - muszą być powoływane zgodnie z zasadami ustawy o upowszechnianiu kultury. Jedna z najistotniejszych zasad dotyczy funkcjonowania i finansowania muzeów.

Państwowe, samorządowe i inne

Dla muzeów państwowych organem założycielskim jest wojewoda. W województwie katowickim należą do nich Państwowe Muzeum Zamkowe w Pszczynie, Muzeum Śląskie, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu (z udziałem większościowym finansów samorządowych), Muzeum w Sosnowcu (fundusze wojewódzkie stanowią 25 proc., fundusze samorządowe 75 proc.), Muzeum Archidiecezjalne, Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie.

Muzea samorządowe to głównie muzea miejskie, znajdujące się w prawie wszystkich większych miastach województwa: Katowicach, Sosnowcu, Rybniku, Rudzie Śląskiej, Będzinie, Świętochłowicach, Tarnowskich Górach, Wodzisławiu Śląskim. Utrzymanie tych placówek leży głównie w gestii miejscowych władz. Jak wynika z dotychczasowych obserwacji posiadanie własnego muzeum w mieście jest ambicją samorządów, zwłaszcza, kiedy kładzie się nacisk na edukację regionalną dzieci i młodzieży prowadzoną w szkołach podstawowych i średnich. Ponadto, samorządy będąc wyłącznym dysponentem muzeum finansują prace nie tylko zmierzające do poprawy warunków funkcjonowania muzeów, zatrudniania odpowiedniej kadry merytorycznej, posiadania odpowiedniej jakości i ilości eksponatów ale także prowadzenie badań naukowych, archeologicznych, etnograficznych. Sprzyjają prowadzeniu działalności wydawniczej służącej (niezależnie od prowadzonej edukacji regionalnej) popularyzacji przeszłości miasta, regionu, jego historii, architekturze, sztuce świeckiej i sakralnej, także poznawaniu dawnego życia codziennego - obyczajów, tradycji, zwyczajów.

Muzea miejskie prowadzą również swoje filie (jak Muzeum w Chrzanowie, którego filią jest skansen w Wygiełzowie-Lipowcu).

Przykładem dobrze zarządzanego muzeum społecznego jest Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczynie. Jedyne w swoim rodzaju, bo zajmujące się wyłącznie zbieractwem i opracowywaniem dawnej prasy, broszur i innych wydawnictw ulotnych ukazującej się na Ziemi Pszczyńskiej od jej zarania. Niedawno do izby muzealnej trafiły maszyny drukarskie, które jeszcze nie tak dawno służyły bieżącej produkcji funkcjonującej pod jednym dachem z Muzeum oficyny wydawniczej, zajmującej się prawie wyłącznie wydawnictwami bibliofilskimi i innymi cymeliami sztuki drukarskiej. Dziś zastąpiła je nowoczesna technika i technologia. Należy wspomnieć, że przy okazji tworzenia muzeum w latach 80-tych uratowano od zniszczenia piękny obiekt architektoniczny, któremu wówczas groziła zagłada. Ten charakterystyczny budynek - z mocno spadzistym dachem, stojący przy jednej z głównych ulic Pszczyny - stał się jego prawdziwą ozdobą i zaliczany jest do jednych z najbardziej charakterystycznych obiektów tego miasta. Pod tym dachem znalazła również Izba u Telemana - przeniesiona z pszczyńskiego ratusza, czyli mini muzeum instrumentów dawnych - dworskich i ludowych. Odbywają się tu liczne koncerty, spotkania literackie i wiele innych imprez.

Takie podejście do funkcjonowania muzeów miejskich - jak to ma miejsce we wspomnianym Muzeum Prasy Śląskiej - staje się regułą.

Nie tylko skarbnica przeszłości

Muzea przestają wyłącznie pełnić rolę skarbnicy przeszłości, obiektu wystawienniczego zgromadzonych zbiorów, miejsca naukowych dociekań. Muzea zaczynają żyć innym życiem. Odbywają się w nich koncerty (np. w Muzeum w Świętochłowicach odbywają się regularne poranki muzyczne; w Muzeum w Siemianowicach częstymi gośćmi są znakomici muzycy jazzowi, poeci, pisarze, fotograficy, literaci), spotkania, wykłady, promocje książek, wydawnictw muzycznych itp.). Stały się cząstką całego kulturalnego organizmu miejskiego.

Zmiana widzenia swojej roli w życiu kulturalnym danej społeczności cechuje dziś w zasadzie wszystkie placówki muzealne - i te największe - jak Muzeum Górnośląskie czy Muzeum Śląskie i te najmniejsze - jak Muzeum w Pszczynie.

W ostatnich latach pojawiło się kilka cennych inicjatyw mających na celu powołanie nowych placówek muzealnych. Taką inicjatywę podjęły Tychy, w których czyni się starania o powołanie do życia Muzeum Ziemi Pszczyńskiej (trudno bowiem byłoby w tym młodym mieście powoływać muzeum miejskie). Jeszcze do niedawna do Tychów należały miejscowości takie jak Bojszowy, których korzenie należały do Ziemi Pszczyńskiej. Dziś już samodzielne nie mają możliwości rozwijania własnego muzeum, co wiążę się ze sporymi kosztami. Takich małych miejscowości jest wiele. Natomiast Pszczyna nie udźwignęłaby jeszcze jednego muzeum. Stąd idea ta wydaje się na wskroś słuszna.

Innym miastem starającym się o własne muzeum są Żory - w odróżnieniu od Tychów - jedno z najstarszych miast Śląska.

W niektórych miejscowościach - jak Olkusz (muzeum afrykanistyczne) czy Jaworzno funkcję miejscowego muzeum pełnią filie Miejskich Domów Kultury, które zajmują się gromadzeniem eksponatów z tego terenu. Nie mogą być samodzielnymi placówkami, bowiem nie spełniają określonych wymogów z zakresu muzealnictwa.

Tylko na płace i utrzymanie

Podobnie jak inne instytucje kultury, tak i muzea borykają się z kłopotami natury finansowej. Skala kłopotów rośnie wraz z rangą muzeum. Te państwowe, utrzymywane z budżetu wojewody, i tak muszą zadbać samodzielnie o swoje finanse. Przyznawane dotacje pokrywają koszty związane z płacami i bieżącym utrzymaniem obiektów. A że są to na ogół obiekty o dużej kubaturze, więc pieniądze szybko zostają pochłonięte przez sprawy dnia codziennego. Trzeba wielkiego wysiłku aby zdobyć je na remonty czy wyposażenie pomieszczeń. Obowiązujące w tym względzie w świecie standardy stawiają przed naszymi muzeami coraz to większe wymagania. Spełnienie ich przekłada się w codziennej pracy muzeum na właściwe przechowywanie i konserwację cennych, często unikatowych w skali europejskiej, zbiorów, na międzypaństwową wymianę wystaw, udostępnianie eksponatów do wystaw tematycznych, na ich bezpieczeństwo zarówno podczas przechowywania jak i eksponowania. Zatem nie tylko komputeryzacja, ale i właściwe oświetlenie, wilgotność pomieszczeń i klimatyzacja, zabezpieczenie sal ekspozycyjnych to podstawowe wymogi, jakim muszą sprostać nasze muzea. Nie jest to łatwe, kiedy na to wszystko trzeba w zasadzie samemu wypracować środki. Tzw. dotacje celowe obejmują wyłącznie niewielki wycinek potrzeb. Przykładowo na 10 propozycji zgłoszonych przez Muzeum Śląskie, dotację celową otrzymały 2-3. Są to głównie dotacje (oczywiście tylko w jakiejś części pokrywające ogół kosztów) do wydawnictw, katalogów czy organizacji wystaw. Zatem muzea muszą na własną rękę szukać sponsorów kolejnych przedsięwzięć. Tylko dlatego mogły powstać w Muzeum Śląskim wystawy, o których mówił cały kraj - w ostatnich latach

była to wystawa malarstwa Jacka Malczewskiego, Jerzego Dudy-Gracza, czy we współpracy z lwowskim muzeum - autoportretów wybitnych malarzy, oraz sztuki stepów Ukrainy.

Nie należy zapominać, że Muzeum Śląskie prowadzi jedyne w Polsce, jedyne w Europie i unikatowe w świecie muzeum scenografii pn. Centrum Scenografii Polskiej, dla którego została wymyślona odrębna formuła funkcjonowania: prócz gromadzenia projektów scenograficznych będących dziełem wybitnych polskich scenografów, dokumentacji spektakli, odbywają się tu od czasu do czasu przedstawienia pełnospektaklowe, wystawy scenografii powstałe w wyniku rekonstrukcji na podstawie projektu.

Do tego należy dodać działalność wydawniczą (katalogi wystaw, serie wydawnicze - „Ziemia Śląska", „Śląskie Prace Prahistoryczne", „Śląskie Prace Etnograficzne", „Leksykon Śląski", „Wszechnica Muzeum Śląskiego", „Rozprawy i Studia Muzeum Śląskiego", prace naukowe i popularyzatorskie z różnych dziedzin - historii Śląska, etnografii, literatury), konserwatorską (własna Pracownia Konserwacji) i biblioteczną (biblioteka naukowa). Jak widać, potrzebny na prowadzenie tak bogatej działalności są ogromne. Jednakże Muzeum Śląskie w dalszym ciągu rozwija się, przygotowując kolejną stałą ekspozycję dotycząca historii Śląska i dwustuletniego panowania pruskiego na tej ziemi. Jak dotąd jedyną stałą ekspozycją była Galeria Malarstwa Polskiego, na którą składają się najwybitniejsze osiągnięcia w historii sztuki polskiej. Prezentowane dzieła pochodzą ze zbiorów przedwojennego Muzeum Śląskiego w Katowicach.

Trudno tu nie wspomnieć o losie, jaki spotyka od lat Muzeum Śląskie. Zburzony w 1939 roku przez hitlerowców obiekt Muzeum (pozostały tylko fragmenty tego obiektu) nie doczekał do dnia dzisiejszego ponownej realizacji. Zbiory częściowo trafiły do Muzeum w Bytomiu, które kontynuowało tradycje przedwojennego Muzeum Śląskiego. W 1984 r. restytuowano Muzeum Śląskie, a na jego działalność przeznaczono zabytkowy budynek w centrum Katowic. W trzy lata później Muzeum stało się jego właścicielem. Miał to być obiekt przejściowy. Ogłoszono nawet konkurs na nowy gmach Muzeum Śląskiego. Doczekał się nawet zatwierdzenia do realizacji. Niestety, w dalszym ciągu pozostaje tylko - zakurzoną już - makietą. O potrzebie nowego gmachu przypominają od czasu do czasu wystawy organizowane przez Muzeum - jak ta niedawna pn. „Powroty", pokazująca kolejne odzyskane eksponaty z przedwojennego Muzeum Śląskiego.

Ogromnie bogatą działalność prowadzi również bytomskie Muzeum Górnośląskie. Działania te są zresztą podobne: wystawy czasowe, wystawy stałe (tych MG ma znacznie więcej), działalność wydawnicza i badawcza. Muzeum Górnośląskie, posiadając własne obiekty, może pozwolić sobie na organizację innych imprez - jak koncerty, spotkania i promocje. Muzeum Śląskie dysponując skromnymi możliwościami tylko w nieznacznym stopniu może rozwijać tę sferę działalności.

Jaka inwencja - taki byt

Naturalnie, że organizatorom wystawy łatwiej jest znaleźć sponsorów na organizację atrakcyjnej wystawy czy wydawanie interesującej publikacji. Gorzej jest z finansowaniem badań naukowych czy konserwacją dziel sztuki, które w wielkich ilościach zapełniają muzealne magazyny. Taniej byłoby organizować wystawy w oparciu o własne, jakże często atrakcyjne zbiory, ale w dużej części wymagają one konserwacji, czyli przeprowadzenia szeregu skomplikowanych i drogich operacji. Ponadto, bolączką muzeów - tych dużych i tych małych - są możliwości przechowywania zbiorów, czyli ciągle zbyt małych pomieszczeń magazynowych, które - podobnie jak sale wystawowe - w dużym stopniu nie spełniają odpowiednich wymogów. Dlatego też jest to jedną z przyczyn, dla których eksponaty z muzealnych zasobów tak rzadko wyglądają na światło dzienne. Częściej pojawiają się mniejsze wystawy zaspokajające potrzeby określonego środowiska (archeologiczne, malarskie, jubileuszowe itp.) niż wielkie, przyciągające na co dzień tłumy widzów - także spoza regionu. Te ostatnie jednak wymagają ogromnych nakładów finansowych i z tego powodu nie może być ich więcej niż jedna, dwie w roku.

Nieco inaczej funkcjonują tzw. muzea resortowe (np. Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach czy Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu). Utrzymywane są także z dotacji określonego resortu. Stanowią niewątpliwie atrakcję miasta czy regionu poprzez swą odmienność. Są jednostkami specjalizującymi się w określonej dziedzinie. I choć w ten sposób funkcjonują od wielu już lat, to okazuje się, że właśnie specjalizacja jest tym, do czego stara się dążyć wiele muzeów. Takie są trendy w światowym muzealnictwie. Zmienia się bowiem klientela muzeów. Odwiedzają je specjaliści z danych dziedzin. Rzadko kto zwiedza całe muzeum. Zachodzi do tego działu, który najbardziej interesuje. Dlatego też taką furorę w ostatnich latach robią skanseny - muzea przemysłu i techniki powstające na bazie dawnych fabryk, hut, kopalń. Podobnie jak nastąpiła specjalizacja we wszystkich dziedzinach życia tak i muzea - jako instytucje upowszechniania kultury - muszą dostosować się do współczesnych wymogów.

Dużą popularnością wśród odwiedzających muzea cieszą się pałace - muzea traktowane jako rezydencje. Taką metamorfozę przeszło np. Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie, które w 1994 roku przeobraziło się w Państwowe Muzeum Zamkowe. Wnętrza przestały być zbiorowiskiem historycznych przedmiotów ułożonych zgodnie z obowiązującymi kanonami od renesansu po XIX wiek. Przywrócono im dawny wygląd zgodny z charakterem użytkowania. Na sukces nie trzeba było długo czekać. W rok później w konkursie organizowanym corocznie przez organizację Europa Nostra z siedzibą w Hadze, nagrodzono pszczyńskie muzeum za przywrócenie wnętrzom zamkowym historycznego charakteru.

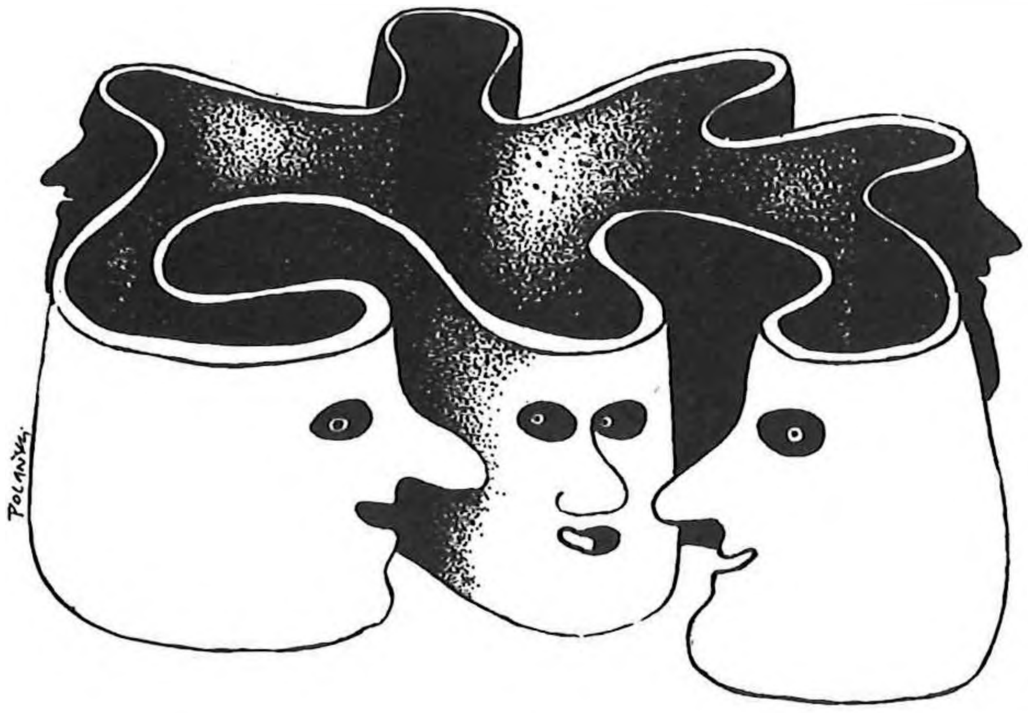
Również Muzeum Historii Katowic mieszczące się w XIX-wiecznej mieszczańskiej kamienicy, zorganizowało w kilku pomieszczeniach stałą ekspozycję dawnych wnętrz mieszczańskich, charakterystycznych dla tej ówczesnej warstwy społecznej. Tutaj również urządzono gabinet kompozytora - Ludomira Różyckiego.

Wbrew pozorom, podobnymi prawami rządzi się chorzowski skansen czyli Górnośląski Park Etnograficzny. Zgromadzone eksponaty stanowiące zabudowę wiejską z różnych rejonów dawnego województwa katowickiego zagospodarowywane są zgodnie z ich pierwotnym przeznaczeniem. Kilka z nich - karczma, kościół - zostały oddane do bezpośredniego użytkowania zwiedzających. Tętni w nich życie jak za dawnych lat. We wnętrzach chałup, ich obejściach i obiektach przemysłowych (farbiarnia, młyn itp.) zachowano oryginalny wystrój wraz z urządzeniami służącymi produkcji. Dodatkowymi elementami dopełniającymi są uprawne pola, stawy, zwierzęta domowe wypasane na łąkach. I mimo tego, że GPE znajduje się w sercu przemysłowego Śląska, w ciągu lat nabrał swoistego charakteru - stał się nie tylko ostoją zamierzchłych czasów śląskiej wsi, a także miejscem rozrywki - liczne organizowane są tu w sezonie wiosenno-letnim a także zimowym różnorodne imprezy - od występów zespołów folklorystycznych, po cykliczne imprezy ukazujące obrzędy i tradycje śląskiej wsi, doroczne dożynki - a ostatnio nawet odpust ku czci św. Józefa Robotnika.

Z kolei skansen w Wygiełzowie - Lipowcu zasłynął czymś innym - prócz znakomitych obiektów architektonicznych dysponuje dobrymi instrumentami - organami, dzięki którym możliwe jest organizowanie tu od lat letnich festiwali muzyki poważnej, cieszących się ogromnym powodzeniem wśród melomanów.

W Unii nadzieja

Wszystkie placówki muzealne - niezależnie od swojego statusu organizacyjnego - kierując się potrzebą wzajemnej współpracy, wymiany informacji i samopomocy w różnych zakresach, zawiązały porozumienie nazwane Unią Muzeów Województwa Katowickiego. Siedziba Unii mieści się w Muzeum Śląskim. Do osiągnięć może zaliczyć Unia zorganizowanie dyskusji o nowej ustawie o muzeach oraz sformułowanie własnej opinii przesłanej do Sejmu. Jedną z najpilniejszych potrzeb muzeów jest dysponowanie własnym pismem o charakterze informacyjno reklamowym służącym nie tylko wewnętrznej informacji ale także będącego pomocnym tym wszystkim, którzy chcą być zorientowani w bieżącej działalności wszystkich placówek muzealnych w naszym województwie. Trwają już zaawansowane przygotowania, które być może zaowocują pierwszym numerem przygotowywanym na Kongres Kultury, jaki odbędzie się we wrześniu tego roku Katowicach. ■



Rys. Marek Polański

Starty i falstarty

Codzienność, bezruch

1. Pisałem o tym już wielokrotnie, lecz z każdym nowym tomikiem debiutanckim trzeba powtarzać to raz jeszcze: otóż upowszechniona po roku 1989 dykcja codzienności, początkowo traktowana jako remedium na estetyzm końca dziewiątej dekady, stała się jedną z najbardziej szablonowych formuł poetyckiego wysławiania. Bodaj żadna z mód literackich tak długo nie utrzymywała się w Polsce tego wieku, jak ta właśnie. Minęło lat dziesięć i nie widać końca wierszom krojonym tym samym nożem!

Obojętnie jak będziemy nazywać różne odłamy poetów codzienności (barbarzyńcy, oharyści, banaliści, itp.), przecież nie uda się ich wszystkich uratować przed ogromnym paleniskiem poetyckiego śmietnika. Prawdopodobnie dotyczyć to będzie także „śląskiej poezji życia" (*resp*. codzienności), jak protetycznie nazwał twórczość garstki „nadzikowców" Karol Maliszewski. Kto pozostanie za jakiś czas w pamięci czytelniczej: Wojciech Kuczok, Maciej Melecki, Bartłomiej Majzel, Grzegorz Olszański, Marta Podgórnik, Krzysztof Śliwka? Trudno dzielić skórę na niedźwiedziu, ale już dzisiaj wiadomo, że dla wszystkich zabraknie miejsca na poetyckim Parnasie (więc także w sercu czytelnika).

2. Niepomny pouczeń, dzisiaj do nich dołącza Arkadiusz Kremza, debiutujący szerszym zestawem wierszy przed kilku laty i przypominający się pojedynczymi tekstami w wielu czasopismach ostatniego pięciolecia. Dołącza nie wiemy jeszcze z jakim skutkiem, bo o tym wiedzieć będziemy po drugim, a może dopiero po trzecim jego zbiorku wierszy. Ten pierwszy nosi tytuł *Bloki* i już swoją nazwą kieruje nas wprost ku codzienności, pospolitości, szarości pejzażu miejskiego. Niemal tak samo, jak przed laty u Piotra Jaska w cyklu wierszy o „wieżowcu" — synonimie współczesnego Molocha i Golema.

Jasek, Kremza, Kuczok, Majzel, Melecki, Olszański — wszyscy oni tworzyli czołówkę poetycką antologii *Inny świt*, którą przygotowałem w roku 1994. Kremza dostał z nich najmniej miejsca, bo też jakoś się do jego wierszy nie mogłem przekonać. Bardziej poruszała mnie w nich namiętna siła poetyckiego żaru niż ciężar intelektualnej refleksji. Pisałem wtedy: „Świat tych wierszy utkany jest z obserwacji otoczenia (niemal beznamiętnej, sprawozdawczej) i z emocjonalnej autoanalizy. Kremza zapisuje konkretne sytuacje, chwile czy fragmenty życia. Każdorazowo pyta też o siebie, przepływającego przez płynną materię świata. Jest w owych pytaniach dramatyczna świadomość własnej samotności i egzystencjalnej osobności. Świadomość braku łączności między światem i człowiekiem".

Podtrzymuję tamtą opinię. Nie żałuję też swojej ówczesnej decyzji, którą pozbawiłem młodego poetę większej ilości wierszy w antologii. Przeciwnie — cieszę się z niej w dwójnasób. Bo poeta po paru latach wydał tomik poezji bardzo przejmującej. O niej w tym miejscu — słów kilka.

3. Kremza — podobnie jak Maciej Melecki — jest poetą codzienności unieruchomionej. Poetą małomiasteczkowego pejzażu (śmietnika, podwórka, targu), społeczności naznaczonej jako peryferyjna czy marginesowa. Bardzo wyraźnie odbija się w jego wierszach koloryt lokalny, topograficznie rozpoznawalny i zaludniony charakterystycznymi postaciami. O tym przeczytamy w wierszu *Więcej miejsca*, rozpoczynającym zbiorek *Bloki:* „W takich miastach jak to zwykle są tacy. / Mija się ich, kiedy grzebią w koszach / albo zaczepiają przechodniów. Są niegroźni. / Realniejsi od innych. Magiczni".

Karol Maliszewski słusznie napisał: „W poezji Arka Kremzy ważne są miejsca. W labiryncie miasta jest kilka miejsc, do których ciągle wraca, które z uporem opisuje. Miejsce, miasto, mrok". Słusznie, lecz niezbyt precyzyjnie. Dla Kremzy bowiem miasto nie jest labiryntem, raczej — zbiorem ulic, które zna się na pamięć. Peregrynacja po mieście ma znieść smutek samotności i wyobcowania, tymczasem przynosi potwierdzenie stanu, przed którym chce się uciec. Magia „odrzucenia" (stąd pozytywnie waloryzowani są współcześni pariasi) przynosi przynajmniej tę świadomość, że w bezgranicznym świecie beznadziei nie jest się kimś wyjątkowym.

4. W świecie poetyckim Kremzy panuje niepodzielnie aura niezaangażowania, wycofania, rezygnacji z życia aktywnego. *Vita activa* staje się czymś najzupełniej obcym, znaczenia nabiera *vita contemplativa*, choć opisywany przez poetę świat wewnętrznych doznań bohatera lirycznego broni się przed jakimś większym do siebie dostępem.

Kiedy bohater-outsider powie w wierszu *Oprócz pępka:* „Nie mam odwagi się obawiać, / że może być tak, a nie inaczej" — to czytelnik wie doskonale, że lęk, o którym się dowiadujemy wynika raczej z gestu rezygnacji niż z jakiegokolwiek stanu zagrożenia. Zagrożenie bowiem nie istnieje na zewnątrz, istnieje wewnątrz bohatera, jest ono najprawdopodobniej wynikiem zarówno jego abulii, jak też — chęci zrozumienia swojego miejsca w świecie.

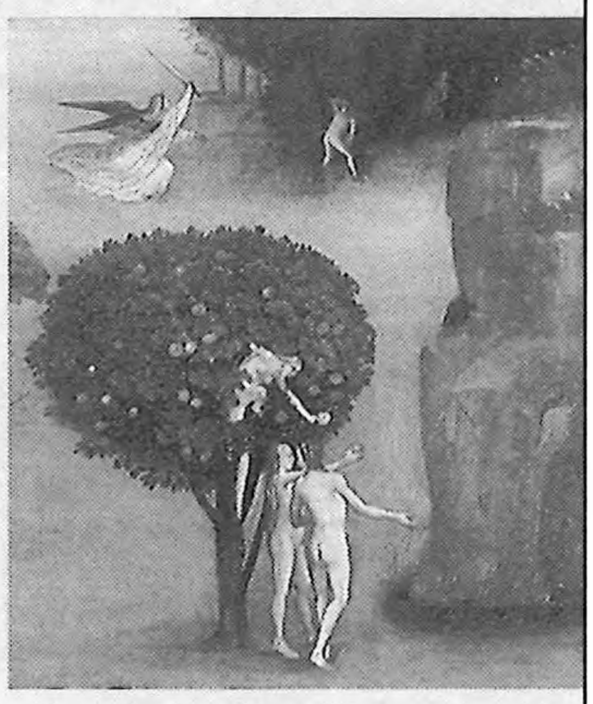
Życie kontemplatywne daje większą szansę na zrozumienie reguł świata niż życie uwikłane w wieczny ruch — o tym wiemy. U Kremzy czytamy jednak: „Leżąc na plecach gapimy się w żarówkę / i dłubiemy w pamięci. / Szukamy przyczyn. Dochodzimy albo / odchodzimy. W każdym razie / próbujemy. Każdy ból ma swoje racje. / Przełykamy, przystajemy, czekamy".

5. Taka poezja, jak Arkadiusza Kremzy nie może być powielana. Autor dobrnął do muru, za którym rozpoczyna się albo autoepigoństwo, albo zwyczajny banał. Nie jest to niebezpieczeństwo otwierające się tylko przed autorem *Bloków*. I Krzysztof Siwczyk, i Marta Podgórnik, i Maciej Melecki... — by przywołać postaci bardziej znane — stoją przed tym samym murem. Znakomicie uniknął tej pułapki Bartłomiej Majzel w *Robaczywości*, kierując swój wzrok ku symbolowi poetyckiemu, ufając więcej wartościom wyobraźni niż opisu. Jak postąpi Kremza?

Nie ma co udawać: neorealizm poetycki ostatnich dziesięciu lat gwałtownie się deprecjonuje. Pora najwyższa zastanowić się nad tym, jak go ocalić przynajmniej w dziesiątej części.

MARIAN KISIEL

Poznawanie Lipskiej



Ewa Lipska: *Ludzie dla początkujących*. Wydawnictwo a5, Poznań 1997, s. 34, 6 nlb.

Choć Ewa Lipska debiutowała przeszło trzydzieści lat temu (1961), jest ciągle obecna na arenie literackiej. Od roku 1967, kiedy ukazały się *Wiersze*, regularnie co dwa—trzy lata prezentuje czytelnikom kolejny tomik poetycki. W ubiegłym roku do dziesięciu wcześniejszych zbiorków (min. *Piąty zbiór wierszy, Żywa śmierć, Strefa ograniczonego postoju*) dołączył najnowszy tomik zatytułowany *Ludzie dla początkujących*. W świadomości wielu, nie zawsze przeciętnych, odbiorców nazwisko Ewy Lipskiej łączone jest z Nową Falą i wymieniane obok Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera czy Adama Zagajewskiego. Jednakże autorka *Stypendystów czasu* odżegnuje się od tej formacji pokoleniowej. W jednym z wywiadów udzielonych Krzysztofowi Lisowskiemu stwierdziła: „Zawsze byłam outsiderem i chodziłam własnymi drogami. (...) Z kolegami z Nowej Fali łączą mnie jednak nie tylko wspólnota metrykalna, ale też osobiste przyjaźnie".

Indywidualizm autorki *Przechowalni ciemności* zdaje się potwierdzać tomik *Ludzie dla początkujących*. Zbiorek ten składa się z dwu części: pierwszą stanowi osiemnaście wierszy, druga zaś, zatytułowana *Pan Schmetterling i nieuchronność dysonansu*, to osiem „wypowiedzi" napisanych prozą poetycką. Kompozycja tego tomiku nie była jednak dziełem przypadku. Obie części, pozornie nie podobne, łączy tematyka oscylująca wokół kwestii czasu, wyborów moralnych, postaw życiowych, możliwości poznania, zrozumienia.

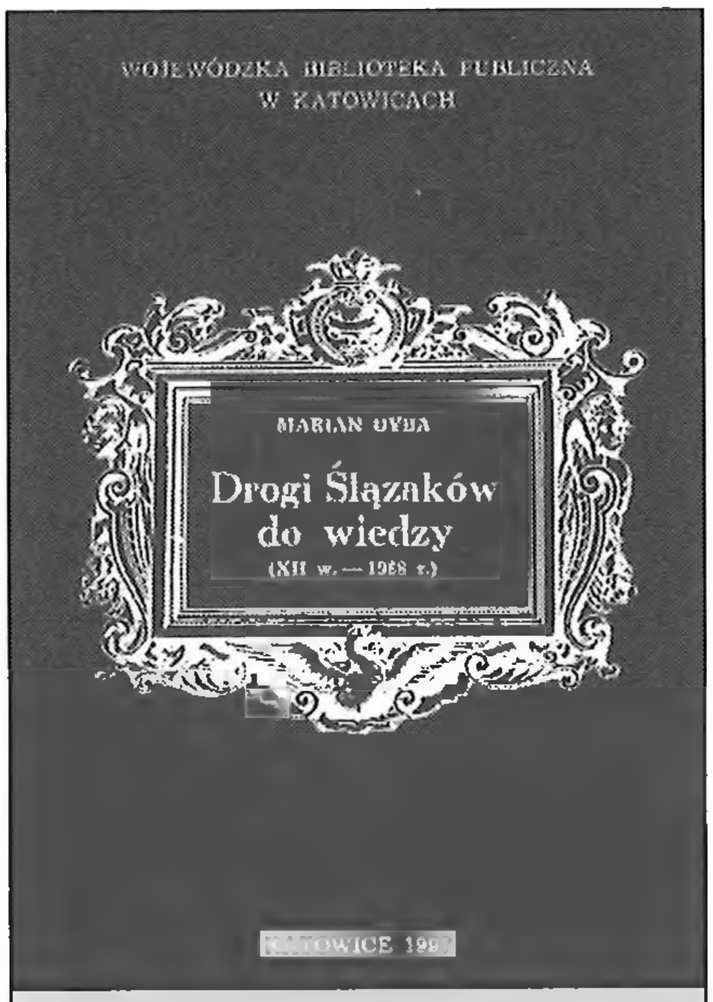
Otwierający zbiorek, tytułowy wiersz *Ludzie dla początkujących* bogactwem możliwości interpretacyjnych zdaje się zapowiadać kolejne utwory tego tomiku, będące w pewnym sensie rozwinięciem niektórych spraw wcześniej ledwie zasygnalizowanych. Odpowiedź na pytanie kim są, a może także kim byli, „ludzie dla początkujących" jest warunkiem zrozumienia omawianego tekstu. Podmiot liryczny wyraźnie się od nich odcina, nie identyfikuje się z nimi. Czy ludzie ci są jak kursy dla początkujących, jak podręczniki dla rozpoczynających naukę języka obcego prości, nieskomplikowani, przykładowi? Na pewno o ich istnieniu dowiadujemy się z „nostalgicznych depesz", ich postacie staramy się wyłuskać z ogromu wspomnień. Można o nich powiedzieć, że są „pośmiertni", że zostawili „na skalnych ścieżkach ślady", że są, bezinteresownie klasyczni". Ale żaden człowiek nie jest „prosty", „schematyczny". Podmiot liryczny świadom tej banalnej prawdy zdaje się jakby buntować przeciwko znanemu zdaniu Zofii Nałkowskiej „Jest się takim jak myślą ludzie, nie jak myślimy o sobie my". Sprzeciw ten jest jednak spokojny, bierny. Bo też nie można zrobić nic: „W harmonijnym milczeniu podczas śniadania / kiedy smarujemy chleb masłem / i rozpacz wysypuje się na stół". Poprzez uświadomienie sobie faktu, że nasza wiedza o świecie, o innych, o sobie wreszcie jest fragmentaryczna, stajemy się może smutniejsi, ale też dojrzalsi, mądrzejsi, lepiej przygotowani na wiadomość, że my też będziemy kiedyś „pośmiertni". Stąd właśnie niemożność poznania drugiego człowieka, a także samego siebie, jest myślą przewodnią tego tekstu. Lipska lekko, dając czytelnikowi wiele swobody na tzw. „dookreślenie" porusza w ten sposób delikatne struny naszego człowieczeństwa, naszego wnętrza.

Czas, sprawca tego, że przemijamy, stajemy się „ludźmi dla początkujących", jest również bardzo ważną kategorią w innych wierszach omawianego tomiku. Podmiot tej poezji wie, że nie można zatrzymać czasu, ale ta wiedza nie zakazuje mu powrotu do przeszłości. Rozważaniom o czasie minionym („Zawsze na zdjęciach wyglądaliśmy jak sekwens") towarzyszy nie tyle żal („Och, nie żałujmy tego co się stało / tym bardziej, że nie stało się nic"), co tęsknota za młodością („Młodość wymieniliśmy / na dojrzały wiek"). O przeszłości — młodości — mówi się z lekką ironią, ale zawsze z pewnym sentymentem („Wieloskrzydły pięknoduch / uleciał w powietrze / Stłukła się porcelanowa tancerka"). O teraźniejszości można zaś powiedzieć wiele więcej. Dzień dzisiejszy charakteryzuje rozwaga, rozsądek, wyciszenie, ale też depresja („Nadal bywamy w ambasadzie zmysłów / co wieczór ścieląc sobie / chroniczną depresję"), szarość, brak entuzjazmu („Nie pamiętamy kiedy / przestaliśmy rozróżniać kolory"), zgorzknienie („Podejrzliwie przyglądamy się / zachodowi słońca. / Widok pozbawiony ambicji."). Podmiot liryczny obserwuje te zjawiska, te zmiany w sposobie postrzegania świata, ale nie wyraża na nie zgody. Zdaje się powtarzać za Horacym „carpe diem" („Godziny trzymamy w banku / zegar z pobliskiego ratusza / bije na czyjś inny rachunek"), protestując jednocześnie przeciwko bezczynności, marnotrawieniu czasu („Akcjonariusze życia pozagrobowego / trwonimy z przyjemnością teraźniejszy czas / rymując się ze sobą / od czasu do czasu"). Upływ czasu i świadomość śmierci nie paraliżują, nie prowokują gwałtownych reakcji, raczej skłaniają do refleksji, przemyślenia sensu istnienia. W wierszach z najnowszego tomiku Lipskiej czas pędzi niepostrzeżenie („Nikogo nie zdziwiła neurastenia czasu / Makijaż chwili na tym nie ucierpiał / ani przetarg naszych uczuć / na który nie zdążyliśmy."), wkradając się nawet w obszary, w których teoretycznie nie powinien być mierzony („W miłości jesteśmy pedantyczni. / Daty. Godziny. Tresowane króliki."). Koncepcja czasu jest tu linearna: życie odmierzane jest przez kolejne torty urodzinowe, po młodości przychodzi starość, później zapewne śmierć. I choć śmierć nie wydaje się być definitywnym końcem, nie mamy prawa zmarnować czasu nam podarowanego.

Tak charakterystyczne dla Lipskiej paradoksy, koncepty, zaskakujące odwrócenia, aczkolwiek rzadsze, są również obecne w omawianym tomie. W chwilowe zakłopotanie wprawia choćby taki opis miłości: „Do tej miłości potrzebne jest / życie pozagrobowe i wyścigi konne. / Nie zdążymy się przecież rozstać. / Nie zdążymy zdradzić." Ale prawdziwą pomysłowością zadziwia dopiero druga część tomiku — wspomniana już proza poetycka. Główny bohater tych kilku krótkich „szkiców" — Pan Schmetterling — to postać nękana różnego rodzaju wątpliwościami, postać której nie sposób scharakteryzować jednym zdaniem. O Panu Schmetterlingu możemy zgromadzić wiele wykluczających się i czasem szczegółowych informacji. Otóż, znamy jego rozmiary: „Oberweite 100 cm, Bundweite 92 cm", wiemy, że czyta Thomasa Bernharda — jednego z popularniejszych współczesnych pisarzy austriackich, że „posiada skalisty brzeg wyobraźni", jest ubezpieczony w firmie Donau Versicherung, że „Będąc dzieckiem stał pomiędzy udami rodziców wiwatujących na cześć Hitlera". Możemy dokładnie określić jego wiek i zawód — „Obecnie ma 66 lat i podziwia swój higieniczny kraj. (...) Pan Schmetterling jest urzędnikiem państwowym. (...) Jest urzędnikiem lojalnym; starannie i posłusznie wykonuje wskazania wyższych władz". Wiadomości można mnożyć. Ta informacyjna pedanteria zastanawia. Bohater choć scharakteryzowany bardzo szczegółowo, pozostaje tajemniczy, skomplikowany. I tak już pozostanie, bo nie jesteśmy w stanie ogarnąć rozumem wszystkiego i wszystkich. Muszą nam wystarczyć, choć liczne, ale jednak częściowe dane, które tylko pozornie rozświetlają całą postać. I w ten sposób powróciliśmy do motywu trudności porozumienia się i poznania drugiego człowieka. Czasem nawet najbliższego... Ale wbrew pozorom nie jest to konkluzja przygnębiająca. Niemożność wniknięcia do świata innych nie wyklucza przecież możliwości podejmowania choćby takich prób.

BOŻENA
SZAŁASTA-ROGOWSKA

Nie do czytania



Marian Dyba: *Drogi Ślązaków do wiedzy (XII w.—1968 r.)*. Katowice 1997, s. 63, 3 nlb.

Idea regionalizmu jest od pewnego czasu szalenie modna: regionalne jest wszystko od kuchni zaczynając na drogowcach kończąc. Trend ten mie omija rzecz jasna także literatury, pojawia się w nauce i, a może szczególnie często, w pracach popularnonaukowych. Pod tym hasłem, mało zresztą konkretnym i niechętnie definiowanym, kryje się chęć bądź to wpisania się w pewną modę i podnoszenia rangi spraw i zjawisk lub owijania dawnych prawd w nowe opakowanie. Istnieją naturalnie także poważne prace traktujące o wyznacznikach regionalnych w języku, literaturze, kulturze, itp.

Niemało pojawia się także prac o Śląsku, zapełniających białe plamy w jego historii, wskazujących na nowe zjawiska, omawiające literaturę, kulturę, sztukę, budownictwo, przynosząc poważną dawkę wiedzy użytecznej dla badaczy, jak i zwykłego czytelnika, zafascynowanego tą krainą.

Do takich prac z pewnością nie należy publikacja Mariana Dyby zatytułowana *Drogi Ślązaków do wiedzy (XII w.—1968 r.)* wydana przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Katowicach jako 22 pozycja w serii bibliofilskiej. Książka jest pozornie porządnie wydana — ładna okładka i elegancki druk przyciągają wzrok. Poważnym mankamentem jest jednak brak spisu treści, zwłaszcza że wytłuszczone śródtytuły w obrębie pracy sugerują jednak istnienie wewnętrznej hierarchii tekstu oraz niestarannie przeprowadzona korekta, literówki w takiej ilości w druku bibliofilskim o objętości 63 strony nie powinny się zdarzać.

Podstawowym błędem pracy, niestety rzutującym na jej wartość jest brak definicji zasadniczych kategorii i pojęć — Śląsk i Ślązak. Autor wymiennie używa słowa Ślązak (s. 5) w dodatku zestawiając go z „rdzenną" Polska w XV wieku (s. 9) — jak niby mierzy się „rdzenność Polski"? — Polak ze Śląska (s. 21), Górnoślązak (s. 24), Ślązak polskiego pochodzenia (s. 29), niekonsekwentnie także dzieli Śląsk zaliczając Cieszyn raz do Górnego Śląska, a raz do Śląska Cieszyńskiego. Nie podjęto próby wyznaczenia zasięgu terytorialnego Śląska, w ramach czasowych prawie 700 lat, powoduje to spore zamieszanie.

Publikacja ta, w zamyśle chyba naukowa, o czym świadczy obecność np. przypisów pełna jest konstatacji zupełnie bezpodstawnych lub grzeszących naiwością: czy student średniowieczny miał kłopoty z przynależnością nacyjną jest trudne do udowodnienia, skoro nie istnieją ślady takich wahań, w każdym razie autor ich nie przywołuje.Trudno stwierdzić skąd autor czerpie wiadomości, że Polaków na studiach było z pewnością więcej, ale wiadomości o nich się nie zachowały. Nie można wysnuwać takich wniosków nie mając po temu żadnych przesłanek.

Książce, choć historycznej przecież, brakuje historycznej właśnie dbałości o daty, szczegóły i konkrety. Posługując się terminem wczesnośredniowieczny nie przypomina się o wyłącznie polskiej specyfice takiego określenia; zachód Europy przeżywał wczesne średniowiecze od około 800 r., a wiek XII, od którego się rozpoczyna omawiana analiza, to raczej jego rozkwit. Nieprecyzyjnie użyto określenia ultramontański i cismontański (taką pisownię zaleca Słownik Ortograficzny pod redakcją E. Polańskiego) sugerując, że dotyczyły one całości uczelni, tymczasem odnoszą się one tylko do niektórych wydziałów np. prawniczych, a już nie teologicznych.

Do relacji o Odrowążach także wkradły się nieścisłości. Czesław nie został awansowany na świętego — jest tylko błogosławionym — ale za to przypisano mu szczegółowy stopień pokrewieństwa z Iwo Odrowążem, w sytuacji gdy mówi tak jedynie legenda. Słowa „Lux ex Silesia", którymi ich określano, zostały użyte w zupełnie innym kontekście.

Kolejność powstania uczelni angielskich została zamieniona — pierwsze powstało Studium Generale w Oxfordzie — w 1170 nadaniem Henryka II Plantageneta, Cambridge powstał w latach 1208—9.

Wacław II nie był nigdy królem czeskim i węgierskim, jego panowanie dotyczyło wyłącznie Czech, na Węgrzech rządził jego syn Wacław III. Tego typu informacje wymagają sprawdzenia w zwykłej encyklopedii, zatem ich przekłamanie nie jest niczym usprawiedliwione. Kuriozalne wydaje się być używanie na określenia wydziału „artes liberales" sformułowania wydział artystów, tradycja polska tłumaczy to jako wydział sztuk wyzwolonych; muzyków, śpiewaków i malarzy tam nie kształcono, podobnie informacja, że Witelon był fizykiem wymaga informacji, że nie w dzisiejszym znaczeniu tego słowa.

Kompletnym nieporozumieniem jest także analiza ruchu husyckiego i postawy polskiej wobec tego prądu. Pomijany jest tu zarówno Spytek z Melsztyna, jak i wyprawy Zygmunta Korybutowicza, polityka Jagiełły wobec Zygmunta Luksemburczyka, wyprawy interwencyjne Dersława z Rytwian i Sędziwoja Ostroroga. Kategoryczność sądów i ocen typu „ruchu reformatorskiego Polska nie rozumiała" jest niewłaściwe z punktu widzenia prawdy naukowej. W tej sprawie dodatkowego smaczku dodaje niezręczność wywodu, z którego niezbicie wynika, że Jana Husa spalono za to, że był rektorem uniwersytetu w Pradze, dzięki czemu został kandydatem na ołtarze. Podobnych potknięć stylistycznych jest więcej.

Razi brak kompetencji w zakresie problematyki religijnej; nierozróżnianie ewangelików od protestantów (każdy ewangelik jest protestantem, ale nie każdy protestant jest ewangelikiem) oraz religii od teologii — nie można nauczać religii ewangelickiej na uniwersytecie. Poraża prostotą stwierdzenie, że wojna trzydziestoletnia była okrutną walką katolików z protestantami.

W XVIII wieku nie cały Śląsk należał do Prus, zresztą używanie wymiennie pojęcia Niemcy i Prusy jest mało precyzyjne, chyba że to znowu jest niedopatrzenie stylistyczne.

Dla szeregu polskich nauczycielek i inteligencji napływającej na Śląsk po roku 1922 jest co najmniej krzywdzące stwierdzenie, iż mieli oni niskie kwalifikacje. Po pierwsze: w jaki sposób to mierzono? Po drugie wykształcenie ich — przeważnie seminaria nauczycielskie było zgodne z ówczesnym systemem oświaty w Polsce. Dotarło tu wielu świetnych nauczycieli, w poczuciu misji, oddanych całym sercem dzieciom śląskim. Nie trzeba obrażać ich pamięci. Ponadto przybyła tu liczna grupa osób wysoce wykształconych, z tytułami naukowymi np.: dr M. Mitera-Dobrowolska, dr K. Gołba, dr Wincenty Ogrodziński i in. Również niczym nie są podbudowane stwierdzenia, że przyłączenie Zaolzia służyło wzmocnieniu pozycji Grażyńskiego lub iż uczeni krakowscy nie sympatyzowali z sanacją (wszyscy?) i dlatego nie chcieli przenieść się na Śląsk.

Czynienie zarzutów bp. Adamskiemu, że nie widział obłudy władz komunistycznych jest o tyle „zabawne", iż nie widzieli jej też znacznie więksi politycy i wytrawniejsi gracze z Rooseweltem i Churchillem na czele.

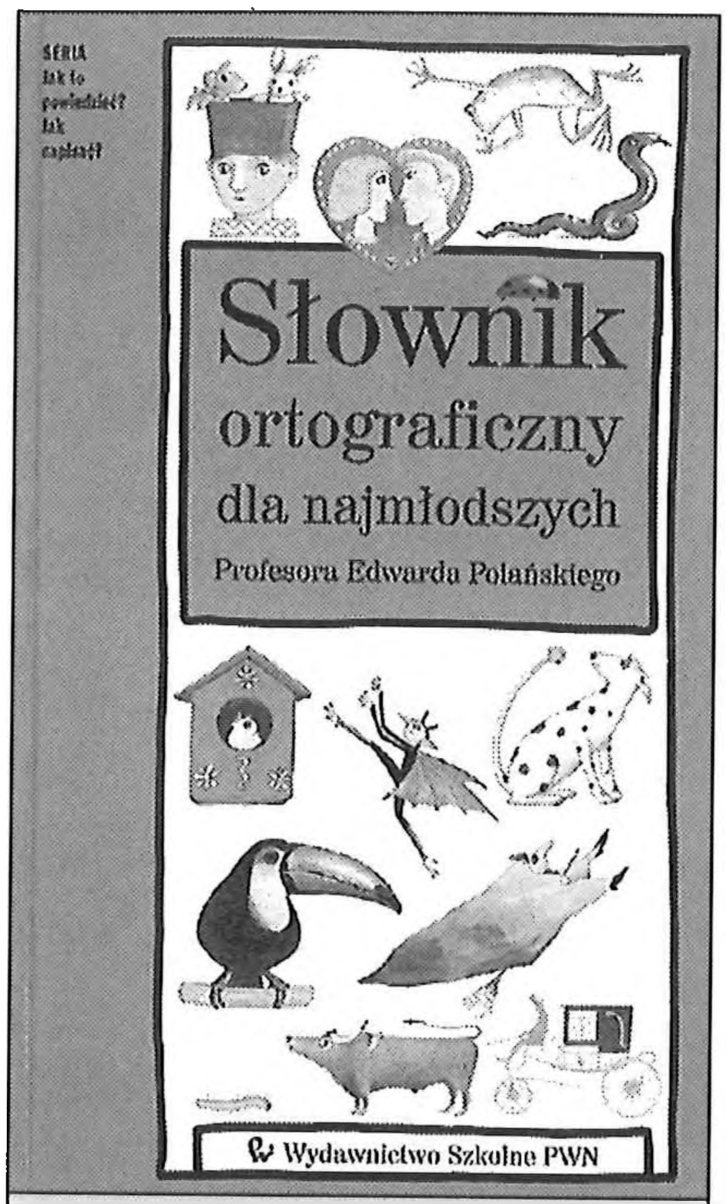
Wydział WSP w Katowicach nosił nazwę filologiczno-historycznego, a nie filologiczno-humanistycznego — cóż by to bowiem miało znaczyć? O ile pomyłki w historii dawnej można tłumaczyć trudnością w dostępie do źródeł, to w tym wypadku jest to brak dbałości i szacunku dla odbiorcy.

Na koniec uwaga następująca: wysnuwanie wniosku, że pierwsi sekretarze KW PZPR w Katowicach i Krakowie rozmawiali telefonicznie, bo nie zachowała się ich korespondencja jest humorystyczne. Są tylko trzy możliwości wyjaśnienia: 1) autor nie ujawnia całej swej wiedzy (podsłuchiwał rozmowę?), 2) nie wpadł na pomysł, że obaj panowie mogli się np. spotkać przy jakiejś okazji osobiście; 3) korespondencję zniszczono.

Trudno wymieniać wszystkie błędy, widać jednak, że brak recenzji wydawniczej jest zasadniczą wadą tej serii. Można by przecież sądzić, że wpisany w nią adresat — miłośnik regionu i dobrej książki ma prawo otrzymać towar najwyższej jakości. Z przykrością należy stwierdzić, iż tym razem w jego ręce dotarł knot wyjątkowej jakości.

MARIA KWAŚNIEWICZ

„Dzieckiem w kolebce”



***Słownik ortograficzny dla najmłodszych Profesora Edwarda Polańskiego*. Wydawnictwo Szkolne PWN Sp. z o.o., Warszawa 1998, s. 391, 1 nlb.**

Nie tak dawno przewinęła się przez środki masowej komunikacji dyskusja w alarmującym tonie podnosząca kwestię przygotowania Polaków do odbioru (czytania i rozumienia) tekstu pisanego. Dowiedzieliśmy się wówczas, że kraj nasz w zastraszającym tempie staje się krajem wtórnych analfabetów — zaledwie 3 proc. naszych rodaków zaliczono wtedy do grona osób, które w pełni rozumieją tak mało skomplikowane teksty, jak prognoza pogody czy instrukcja obsługi jednorazowej golarki.

Głównej przyczyny tego stanu rzeczy upatrywano rzecz jasna w niskim poziomie wykształcenia naszego społeczeństwa, złym stanie szkolnictwa, niedostatecznym przygotowaniu nauczycieli. Sytuacja wygląda naprawdę groźnie — w przygotowywanym przed rokiem rozporządzeniu o przeciwdziałaniu urzędnicy zapisali jako jedną z form kursy czytania i pisania.

Warto, sądzę, podnieść inny jeszcze aspekt sygnalizowanego zjawiska. Myślę o zdecydowanej w naszych czasach dominacji kultury oralnej, kultury mówienia — braku zainteresowania słowem pisanym. Pisanie coraz powszechniej staje się rzadką życiową koniecznością, większość spraw załatwić można mówiąc — w bezpośrednim kontakcie słownym, w kontakcie pośrednim używając telefonu. A przejście od języka mówionego do tworzenia tekstu pisanego to nie mechaniczny proces zamiany głoski na literę. To o wiele bardziej skomplikowany proces poddawania się regułom odrębnej odmiany językowej.

Zwróćmy dziś uwagę tylko na zewnętrzny wobec języka, ale konieczny do zaistnienia jego formy pisanej problem zapisu, a więc problem poprawności ortograficznej. Sprawność w pisaniu, dokładniej w budowaniu tekstu pisanego jest czynnością wielorako uwarunkowaną, przyznajmy jednak, że warunkiem koniecznym, wyjściowym niejako tekstu sprawnego, jest jego poprawność, w tym także poprawność ortograficzna.

Jest niezwykle ważnym pomysłem dostrzeżenie tego, że edukację w tym zakresie zacząć należy od najmłodszych, ale i w sposób dla najmłodszych najbardziej stosowny. Książka, o której mowa wprowadza nie tylko w świat poprawnie pisanych ortograficznie trudnych wyrazów — wprowadza w ten świat możliwie ciekawie. Ilustracyjnie bogata, przemyślana szata graficzna niewątpliwie przyciągnie uwagę młodego odbiorcy, dla którego wciąż jeszcze obraz jest komunikatem najłatwiej czytelnym. Pozna on podstawowe reguły naszej pisowni, pozna proste mechanizmy językowych wymian głoskowych, powtarzalność pewnych zjawisk językowych.

Niepostrzeżenie niemal wejdzie także — co niezmiernie ważne — w świat prostych, krótkich, łatwych zatem do zapamiętania, odtworzenia i utrwalenia kulturowych tekstów. Autor słownika wprowadza bowiem do swego tekstu sporą liczbę przysłów, porzekadeł, frazeologizmów. Naczelnym kryterium ich doboru jest rzecz jasna korespondencja z ortograficznym hasłem słownika, ale trudno nie zauważyć, iż dobór ten jest i kulturowo celowy. Oto spotka początkujący odbiorca słowa pisanego ciekawe wskazówki:

***Cudzego** nie ruszaj, a swego pilnie strzeż.*

*Czego **dobrocią** nie zrobisz, tego złością nie wskórasz,*

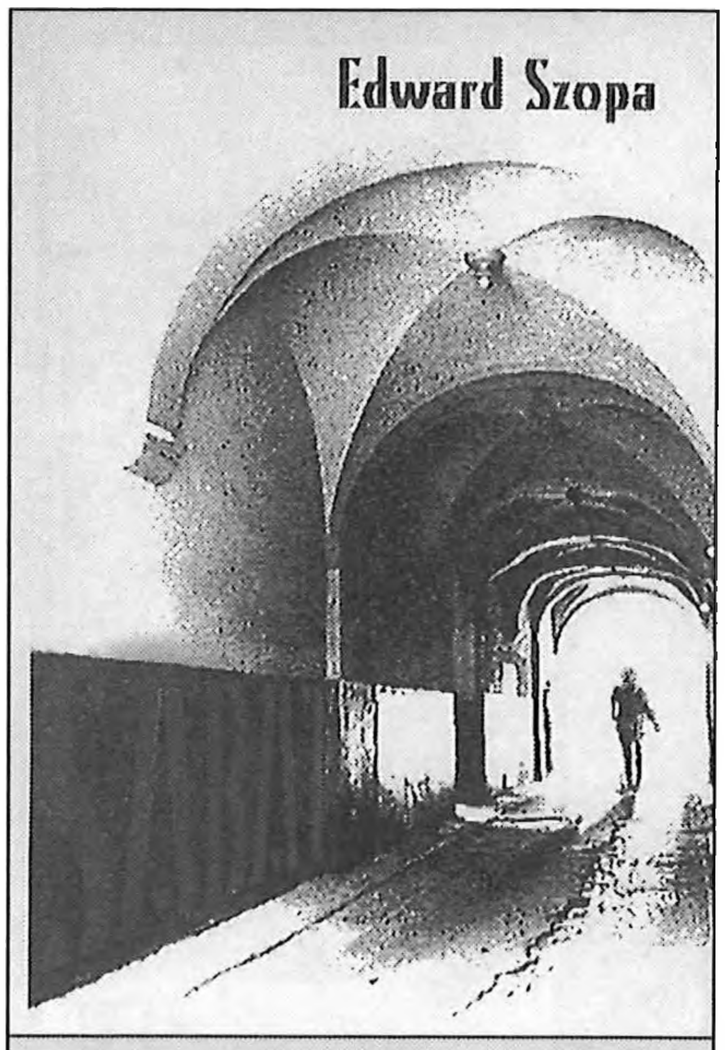
ale także stanie przed zagadką rozpoznania słów dotąd nieznanych, słów egzotycznych, bo odnoszących do realiów historycznych, czy ludowej kultury: *Jak kota nie ma, to myszy **harcują**; Daj kurze **grzędę**, a ona: „Wyżej siędę”;* pozna bez wysiłku (bo tekst odpowiednio krótki) przyjemność obcowania ze słowem poetycko ukształtowanym (rym, rytm, powtórzenia, metafory) i ważnym równocześnie dla naszego kręgu kulturowego „słowem skrzydlatym”: *Kości zostały **rzucone**; Co cesarskie — oddajcie **cesarzowi**, a co boskie — Bogu; Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie.*

Wspomniana na wstępie dominacja kultury mówionej łączona być może z drugim kulturowo nowym i ważnym zjawiskiem — ekspansją kultury potocznej. Także w języku do głosu dochodzą jej przejawy. Za takie niewątpliwie uznać możemy szeroką (zbyt szeroką w swym zasięgu) obecność regionalizmów w obiegu publicznym, zacieranie się granicy między tym, co poprawne w języku ogólnym, a tym, co tylko dopuszczalne w komunikacji codziennej, potocznej, rodzinnej. Myślę choćby o poziomie wymowy niektórych form językowych.

W omawianym słowniku znaleziono ciekawy sposób na pokazanie poprawności nie tylko ortograficznej, ale także ortoepicznej, co wiąże się w tym ujęciu z poprawnością fleksyjną. Niewątpliwym znakiem przynależności regionalnej jest w wymowie mieszkańców Polski południowej mieszanie kończących wyrazy głosek -om oraz -ą. To niezwykle ekspansywny błąd językowy. Wstawiając różne formy fleksyjne prezentowanych haseł w minimalne konteksty słowne, pokazał autor w przystępny sposób możliwość „zdiagnozowania”, z którą postacią graficzną mamy do czynienia: *z jasną **łuną**, przyglądać się **łunom**; chcieć zostać **piosenkarką**, dać kwiaty **piosenkarkom**,* itp.

Jest to więc nie tylko słownik ortograficzny, ale jednocześnie w znacznym zakresie słownik fleksyjny i w pewnym stopniu słownik typowych połączeń składniowych. Te walory poznawcze, ale pewnie głównie dydaktyczne — nie powstał wszak wcześniej słownik kierowany do dziecka i z myślą o możliwościach percepcyjnych dziecka konstruowany — godne są podkreślenia. One to sprawiły zapewne, że na V Targach Książki Szkolnej „Edukacja ‘98”, największej w Europie wschodniej imprezie promującej literaturę edukacyjną, omawiany słownik został uznany za najlepszą książkę edukacyjną i nagrodzony w kategorii słowników i encyklopedii.

ALDONA SKUDRZYKOWA



Edward Szopa: *Sabat*. Towarzystwo Zachęty Kultury. Katowice 1998.

Kabała dziecięcia wieku

Rozważaniami o szczęściu zaczyna się najnowszy zbiór opowiadań Edwarda Szopy zebranych w tomie *Sabat*. W tytułowej mikroprozie autor za temat obiera nie tyle filozoficzne refleksje co zgrzebny, codzienny przejaw uśmiechu fortuny uwidaczniający się we wróżbie Cyganki czy w chwytaniu za guzik na widok kominiarza. O takim małym szczęściu marzy i opowiada - a właściwie jego braku - bohater i narrator *Sabatu*. Jego monolog ma charakter psychoterapeutycznej spowiedzi mężczyzny, który większość życia przeżył w realnym socjalizmie i ma prawie tyle lat co ten upadły już ustrój. Oto u progu nowego systemu próbuje odnaleźć cel i sens w minionym żywocie. Analizuje i roztrząsa własne przeżycia, błahe wydarzenia, ważne tylko dla niego. Ta chronologicznie ułożona opowieść spięta klamrą wspomnianych dywagacji o uśmiechu losu zaczyna się w latach młodzieńczych. Kacper, bo tak ma na imię bohater snujący gawędę, z trudem zaliczający liceum, zdaje egzamin na studia i zostaje przyjęty za trzecim razem dziwnym zrządzeniem losu. Przekonuje do siebie egzaminatorów opowieściami o lekturach, które ostatnio przeczytał. Ten traf umacnia go w wierze w przesądy i świat w jego wyobrażeniu staje się bardziej zrozumiały. Dzieli go w myślach na dwa symboliczne bieguny utożsamione z konkretnymi osobami. Jedną postacią jest tajemniczy Albinos przynoszący pecha. Drugą personą staje się Darek, mąż opatrznościowy i przyjaciel z lat młodości, skądinąd rozmówca i adresat wyznań bohatera.

W tak uporządkowanej rzeczywistości świat realnego socjalizmu staje się bardziej ułożony. Absurd i ironia losu, knowania i sprytne intrygi kolegów z pracy, restrykcyjny system ukazujący brzydkie oblicze, zwłaszcza w stanie wojennym, wszystko to łatwiej wytłumaczyć. Szykanom Kacpra za podpisanie petycji o uwolnienie kolegi aresztowanego przez ZOMO towarzyszy wszak liczba 13, pechowa data grudniowego zawieszenia praw obywatelskich. Konsekwencje postępku są dla bohatera niewielkie. Drobna kara biurowa. Ale to wówczas w narratorze, dotychczas bezwolnym i znudzonym urzędasowaniem, budzi się chęć parcia do kariery z łokciami na sztorc. W paradoksalny sposób zostaje publicystą w czasopiśmie. Układny, stłamszony przez szefów odczuwa niedosyt i obrzydzenie, jednak nie umie się wyrwać z szarości i bylejakości własnego życia. Środkiem znieczulającym na skrzeczącą rzeczywistość i nieudane małżeństwa staje się alkohol. I wówczas nadchodzi przemiana. Pojawia się wolny rynek. Kacper ląduje w jego kolebce, u córki Kasi w Stanach Zjednoczonych. Szuka szansy w saksach. Żyje jak szczuropolak. I jego udziałem znowu jest klęska. Nie zbija majątku, nie uczy się nawet angielskiego. Wraca zza oceanu na tarczy. Wyniszczony fizycznie ma jeszcze siły psychiczne, żeby marzyć o odwróceniu pecha. Tym, z którym się spotyka i ma mu pomóc uporządkować życie, ma być Darek. Intymna rozmowa obu mężów wieku socjalizmu kończy się dość nieoczekiwanym wnioskiem, że trzeba rzucić się w wir robienia interesów i zbić majątek w Polsce okresu ustrojowej transformacji. Darek przekonuje Kacpra słowami: „wrócisz tam bogaczem! Spełni się wróżba Cyganki spod namiotu cyrkowego...". Pisarz zawiesza w tym momencie akcję. Wybór pozostaje nierozstrzygnięty. Te niedopowiedzenia co do dalszego losu Kacpra, dziecięcia PRL-u wzbogacają prozę Szopy. Opowieść pozostaje otwarta. Nie wiadomo, czy ten nieudacznik, początkowo zafascynowany intelektualnymi wartościami, później przytłoczony ciężarem politycznego bytu, wybierze wariant nowobogackiego życia. Nie ma pewności, że szmal zapanuje nad Kacprem.

Trzeba przyznać, że Szopa umiejętnie, z ironicznym dystansem portretuje stworzone przez siebie fikcyjne postacie, w których losach z pewnością znajdują odbicie jego pisarskie przeżycia. Po mistrzowsku charakteryzuje środowiska inteligencji socjalistycznej, tego tworu odchodzącego w przeszłość. Być może w ten sposób dokonuje osobistej ekspiacji.

Jednak pisarz nie tylko odwzorowuje znany mu świat i nie wyłącznie interesują go meandry polityki oraz psychiki. Prowadzi także swoistą grę z fikcją. Jego bohater poprzez opowiadanie stwarza świat. Wszak życie jest tylko opowieścią i można nim dowolnie manipulować. Bywa też odwrotnie. Fabuła staje się rzeczywistością, spełnioną projekcją marzeń. A zatem postacie z *Sabatu* kreują własny los poprzez opowiadanie historii.

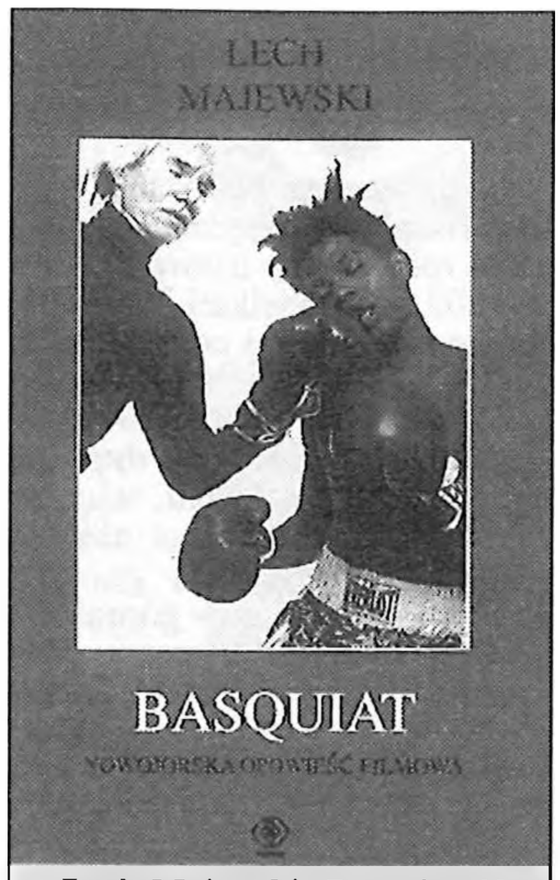
Ta świadomość istnienia fikcji literackiej pcha pisarza w autotematym. Narrator ciągle rozważa kwestie styku literatury i egzystencji. Gdyba o własnych przeżyciach jako o materiale na wielkie dzieło i żałuje, iż utwór ten nie spełnia się. Narracja Kacpra przeładowana jest aluzjami literackimi. Sztuka słowa pomaga mu zabić pecha, jak przykładowo wspomnienie na egzaminie *Zaczarowanego koła* Lucjana Rydla, sztuki, o ironio, obejrzanej w teatrze dzięki biletom z zakładu pracy. I szkoda, że na tym kończy się rola tych aluzji literackich.

Doskonałym uzupełnieniem tytułowego tekstu są pełne ciepłego humoru, a niekiedy obnażającej drwiny, krótkie opowiastki z cyklu *Mój wujek* dopełniające całość tomu. Narratorem podszytym dzieckiem w tych historyjkach jest mały chłopiec. Świat dorosłych widziany jest jego oczami, trochę naiwnymi, ale i spostrzegawczo-złośliwymi w wychwytywaniu słabości dorosłych. Głównym obiektem tych obserwacji jest wujek, kreowany trochę na idoła przez chłopięcą wyobraźnię. Jednak ten wyidealizowany bohater, uosobienie męskości, co rusz demaskowany jest przez ciocię i samo życie. Polowanie, wędkowanie, mecz, górska wycieczka widziane przez chłopięcego narratora zrazu jako heroiczne czyny, tak naprawdę okazują się alkoholową groteskową zabawą. Również biurowe wyczyny seksualne wuja, jak wynika z posądzeń ciotki, tak naprawdę polegają na plotkowaniu z urzędniczką, o czym naocznie przekonuje się narrator.

Niewątpliwą zaletą tych opowiastek jest ich humor słowny. Korzystanie z idiomów w rodzaju: „Brakowało nam nawet rojów much w nosie" natychmiast przypomina, że kreowany świat to tylko igraszka wyobraźni, zabawa poprzez którą przeziera jednak jądro gorzkiej prawdy o bólu istnienia zagłuszanego wizjami idealnej egzystancji. Choć tak naprawdę wcale nie wiadomo w prozie Szopy, czy to szczęście kabalarskie można w ogóle osiągnąć.

RYSZARD BEDNARCZYK

Nowojorskie haiku



Lech Majewski, *Basquiat. Nowojorskie opowieści filmowe*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 1997, s. 149.

Nie tak często zdarza się, aby wraz z premierą nowego filmu, pojawił się jednocześnie jego można rzec - pierwowzór literacki. Nieczęsto, lecz zdarza się. Mowa o filmie *Basquiat* i pozycji zatytułowanej *Basquiat*. Nowojorska opowieść filmowa - książce autorstwa Lecha Majewskiego.

Wieczór spędziłam na przemyśleniach dotyczących postaci Jean-Michel Basquiata, który to, było nie było, w ciągu ostatnich miesięcy stał się w Polsce szalenie modny (jeżeli można użyć takiego określenia). Osobiście malarstwo Basquiata znam już od dawna, ale nareszcie mogłam dowiedzieć się o jego życiu czegoś więcej i poznać bliżej środowisko, w którym tworzył. Mój głód wiedzy zaspokoiła powieść Lecha Majewskiego *Basquiat. Nowojorska opowieść filmowa,* chociaż i film - wyreżyserowany również przez malarza, Juliana Schnabla - całkiem nieźle zdaje się uzupełniać sylwetkę „czarnego Van Gogha.

Fenomen artysty polega na tym, że - podobnie jak w XVI wieku Leonardo da Vinci - obserwował on i opisywał przedmioty, które go otaczały. Studiował pudełko po papierosach, banknot i budowę anatomiczną swojej dłoni lub stopy. Basquiat wbrew pozorom nie jest Francuzem ani też jego antenaci stamtąd nie pochodzą. Zawsze mylące dla wielu jego francuskobrzmiące imię - Jean-Michel, ale jest to bodaj jedyna wskazówka mogąca sugerować, że pochodził z Europy.

Basquiat urodził się 22 grudnia 1960 roku na Brooklynie w Nowym Jorku, jako dziecko Haitanki i Portorykańczyka. Od wczesnej młodości jego ulubionymi artystami byli Jasper Johns, Pablo Picasso i Andy Warhol. Już jako nastolatek wraz z przyjaciółmi pisał na murach zaszyfrowane przeslania-informacje, które przyciągały uwagę przechodniów. Te komentarze dotyczące problemów społecznych i politycznych ostrzegały przeciw konformizmowi i biernemu dostosowaniu się. Zawsze sygnowane były znakiem SAMO.

W maju 1981, w wieku lat dwudziestu, Jean-Michel miał swoją pierwszą indywidualną wystawę, która odbyła się w Modenie we Włoszech. Jako dwudziestoczterolatek był już jednym z najsłynniejszych artystów nowojorskiej awangardy, a jego obrazy i rysunki wystawiano w prestiżowych galeriach Nowego Jorku, Los Angeles, Japonii i Europy. Z Basquiatem przyjaźnił się Andy Warhol, który był zafascynowany talentem i energią tkwiącą w młodszym koledze. Wspólnie stworzyli wiele obrazów, które pokazano po raz pierwszy w 1986 w Zurychu. Jean-Michel Basqiuat zmarł 12 sierpnia 1988 roku z przedawkowania narkotyków.

O śmierci Basquiata Lech Majewski dowiedział się z artykułu zamieszczonego w magazynie „Vanity Fair". Wiadomość ta była dla niego tak wstrząsająca, że postanowił udokumentować historię tego malarza. Przez kolejne trzy lata śledził jego losy, spotykał się z przyjaciółmi, marszandami i rodziną artysty. Zawarł nawet znajomość z emerytowanym agentem FBI, który nauczył go metod śledczych, umożliwiających bardziej dociekliwe badanie sprawy! Majewski przez 70 rozdziałów (bez obawy, książka ma tylko 149 stron) szkicuje barwny portret Basquiata, wgłębiając się zarazem do jego wnętrza.

Podczas lektury historii o Basquiacie możemy śledzić jak staje się on artystą i to w dodatku sławnym. Możemy się również przekonać, że droga prowadząca do sukcesu nie zawsze usłana jest różami. Malarz bez grosza przy duszy czasem kradnie puszkę tuńczyka albo robi napad. Ale nie jest to typowy napad z bronią w ręku i na tym polega jego oryginalność. Razem z kolegami odwiedzają butik w Greenwich Village, w którym sprzedaje się kicz i krzycząc: „To jest napad" wyciągają syfony z wodą sodową i oblewają eksponowaną tam tandetę.

Książka Majewskiego jest zatem swego rodzaju relacją wydarzeń z życia Basquiata. Charakterystyczna jest oszczędność słowa z jaką została napisana. Od czasu do czasu przypomina scenariusz, dzięki czemu czytelnik nie jest epatowany ciągnącymi się w nieskończoność opisami. Przeciwnie, lapidarność stylu jakim pisze Majewski, przypomina często sztukę haiku - minimum formy, maksimum treści.

KALINA TRZĄSKA

Nowe spojrzenie



***Górny Śląsk i Górnoślązacy w II wojnie światowej*. Pod red. W Wrzesińskiego. Muzeum Górnośląskie, Bytom 1997, s. 147, 1 nb.**

Badania śląskoznawcze przynoszą wciąż nowe odkrycia. Otwierają nieznane dotąd pola badawcze, pojawiają się nowe możliwości korzystania ze źródeł.

Muzeum Górnośląskie w Bytomiu wydało właśnie pracę zbiorową pod tytułem *Górny Śląsk i Górnoślązacy w II wojnie światowej* pod redakcją prof. Wojciecha Wrzesińskiego. Tom ten jest pokłosiem sesji naukowej, która odbyła się w 1995 roku w Bytomiu; jej organizatorami byli wydawca, Centrum Badań Śląskoznawczych i Bohemistycznych Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Instytut Historii Uniwersytetu Śląskiego. Współpraca dwóch ośrodków naukowych, będących naturalnymi partnerami w wysiłkach badawczych, dobrze wróży na przyszłość. Szkoda jedynie, że pozycja ukazała się w nakładzie tylko 300 egzemplarzy, co niestety stało się już normą przy tego typu pracach, trudno więc ją będzie kupić w jakiejś księgarni.

Artykuły zebrane w omawianej pracy dotykają wielu aspektów historii lat 1939 - 1945, sporadycznie wybiegając poza ten obszar czasowy. Widać wyraźnie ogromny trud autorów włożony w udokumentowanie swoich badań, szczególnie cieszy wykorzystanie archiwów państwowych i kościelnych, tak polskich jak i niemieckich, co sprzyja rzetelności badawczej. Zbiory tych placówek ciągle czekają na swoich odkrywców.

Niektóre teksty wybiegają nieco poza czysto historyczny kontekst łącząc go z elementami analizy socjologicznej. Obok prac stawiających sobie za cel opis pewnego stanu rzeczywistości jak np. artykuł Mieczysława Starczewskiego o Polskim Państwie Podziemnym na Śląsku przynoszący usystematyzowane opracowanie znanych już faktów, są także analizy J. Myszora i Wojciecha Wrzesińskiego dotyczące spraw trudnych i często dyskusyjnych, relacji kościół - okupant i kwestii volkslisty i związanych z nią dylematów moralnych, które szczególnie na Śląsku były bardzo trudne do jednoznacznego rozstrzygnięcia.

Wstrząsający materiał poddał analizie Zbigniew Kurcz z Wrocławia zajmując się problematyką końca wojny i okupacji na Górnym Śląsku wedle starannie zebranych relacji i pamiętników. Widać z nich wyraźnie jak koniec II wojny światowej był dla mieszkańców tej ziemi początkiem nowej gehenny: pojawiają się opisy traktowania autochtonów jako Niemców, znajduje w tych relacjach swoje odbicie zarówno tragedia wojenna jak i strach przed „nowym".

Odmienne oblicza Górnego Śląska ukazują teksty: Zbigniewa Kapały o Górnoślązakach w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i Ireny Sroki na temat Górnoślązaków w Wehrmachcie. Te dwa, jakże różne, szlaki Górnoślązaków do przeciwnych armii są idealnym przykładem głębokich i trudnych do zrozumienia podziałów ludności na tym terenie, świadectwem wymuszonych sytuacją wyborów, podobnych jak wzmiankowany już wyżej problem volkslisty.

Szersze spojrzenie na opisywane przez Wojciecha Wrzesińskiego postawy i nastroje Polaków na Górnym Śląsku na początku września 1939 roku rzuciłoby na pewno przywołanie poza relacjami niemieckiego dziennikarza Georga Bartoscha z „Kattowitzer Zeitung" dotyczącymi wydarzeń wrześniowych w Katowicach także innych niemieckich i polskich, źródeł.

Mimo niewątpliwej wartości całego dzieła w nim także widać nie do końca określonego „bohatera" rozważań, obok siebie funkcjonują określenia: Górnoślązacy, polscy Ślązacy i Niemcy. Wahania badaczy sa tutaj spore nawet w obrębie jednego tomu, ale to także jest już normą w pracach dotyczących tego obszaru.

Publikacja ta z pewnością zasili bibliotekę niejednego miłośnika Śląska, niewątpliwie przyda się też każdemu nauczycielowi historii w tym regionie.

MARIA KWAŚNIEWICZ

Jadwiga Lipońska-Sajdak: *Korfanty w anegdocie*. Muzeum Historii Katowic. Katowice 1998, s. 43, 1 nlb.

Tytuł tej wydanej nakładem Muzeum Historii Katowic publikacji winien raczej brzmieć — Korfanty prywatnie, bo od tej strony prezentuje postać trybuna i przywódcy śląskiego ludu Jadwiga Lipońska-Sajdak. Ale i barwnych anegdot nie brak, jak choćby tej o wilczurze Morycu, który, zdarzało się, że wyrywał się z zamknęcia i docierał nawet do kościoła za swym panem, by usadowić się w ławce u jego boku. Anegdoty te są jednak wtopione w zwarty szkic biograficzny zawierający wiele informacji rodzinnych i mniej znanych okoliczności życiowych. Ze szkicu Lipońskiej wyłania się postać mocnego, zdecydowanego, porywczego często mężczyzny, o wielkim uroku osobistym i wrodzonej charyzmie, człowieka prawego, wspaniałego ojca i męża. Także niezależnego w upodobaniach i sądach, co potwierdzają okoliczności powstania portretu Korfantego namalowanego w 1931 roku przez Witkacego podczas pobytu wybitnego polityka w Zakopanem. Publikacja zawiera wiele zdjęć i ilustracji ze zbiorów muzeum, w tym także fotografii rodzinnych i reprodukcji dokumentów. Cenne, popularne wydawnictwo. **(t.)**

Krzysztof Gąsiorowski: *Warszawa jako kosmos wewnętrzny*. Wydawnictwo Przedświt. Warszawa 1997, s. 138.

Książka nadzwyczaj osobista wybitnego poety; rozpisany na liczne wątki i miejsca obecności esej poetycki związany z Warszawą, miastem realnym, ale i zmitologizowanym, rekonstruktowanym ze wspomnień, zwidzeń i licznych wierszy. Jest ta książka fascynującą próbą zmierzenia się z Warszawą, gdzie autor się urodził i którą pamięta przez wielorakie doświadczenia i miejsca powrotów. Książka powstała w określonym czasie, gdy coraz trudniej odnaleźć się poecie w nowym pejzażu, bezosobowym i anonimowym. Stwierdza Gąsiorowski „Warszawa przestaje bywać moją przestrzenią wewnętrzną, coraz częściej ją widzę jako miasto beze mnie". A jednocześnie spostrzega jak mocno obecną jest w jego poezji, w ilu wierszach identyfikował się z jej doznaniami — swoim „kosmosem wewnętrznym". W książce odżywa temperatura czasów „Orientacji Poetyckiej Hybryd" i generacji, które ją tworzyły. Powracają obrazy literackich spotkań i kataklizmów pokolenia, które staje się z wolna nieobecne. Coraz więcej wokół zmarłych i poczucia obcości w mieście całego życia. To także wyraz poetyckiego zdefiniowania doświadczeń przełomu epok, gdy zmienił się pejzaż kulturowy życia. **(t.)**

Renata Zwoźniakowa: *Wielkie drzwi*. Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 1998, s. 125, 3 nlb.

Zmarła przed ponad rokiem katowicka pisarka i publicystyka, Renata Zwoźniakowa, autorka tomów opowiadań „Ekscelencja zegar" (1963), „Romans z ludożercą" (1970) i „Jakoś się żyje" (1989), pozostawiła w swej literackiej spuściźnie kilkanaście opowiadań, które nie weszły do wcześniejszych zbiorów. Teksty te ukazały się niedawno w tomie pt. „Wielkie drzwi" (opowiadanie tytułowe otwiera książkę), wydanym nakładem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, którego Renata Zwoźniakowa była współzałożycielem. Najstarsze z opowiadań pochodzi z roku 1955 — ostatnie z 1979 roku; są to więc utwory napisane w tym samym czasie, gdy powstała większość utworów prozatorskich Renaty Zwoźniakowej. Opowiadania te mieszczą się w obrazie jej literackiego świata zarysowanego we wcześniej wydanych tomach. Świat zdarzeń dziwnych, groteskowych, paradoksalne sytuacje odrealnionej codzienności, postacie ludzi żyjących w świecie złudzeń, skazanych na „mały realizm", liryzm i drwina, wymieszanie życia i literatury. Renata Zwoźniakowa była od początku taka sama — dojrzała i świadoma czego chce od literatury. **(t.)**

Michał Jagiełło: *Za granią grań*. Iskry. Warszawa 1998, s. 166, 2 nlb.

Nowa książka autora szkiców, reportaży i opowiadań poświęconych górom i ludziom gór. Michał Jagiełło, taternik przez długie lata związany z ratownictwem tatrzańskim (w latach 1972—4) był naczelnikiem Pogotowia Górskiego w Tatrach) jest pisarzem, który ma swój świat jako tworzywo i przestrzeń literacką wielu doznań, fascynacji i moralnych pytań. Wyznaczają go przede wszystkim Tatry, które stanowią scenerię większości opowiadań i są rdzeniem całej jego twórczości. Jako autor „Wołania w górach", reporterskich opowieści o akcjach ratunkowych w Tatrach, Michał Jagiełło sportretował wiele tatrzańskich szczytów i masywów, ukazując czym są i mogą stać się góry w poznaniu samego siebie i człowieka w ogóle. Ta wiedza i doświadczenia stanowią podstawę pisarskich penetracji tego obszaru, na który składają się kolejne tomy jego opowiadań. Po wydanej przed 2 laty „Trójkątnej turni", ostatnio Michał Jagiełło opublikował nowy tom opowiadań „Za granią grań", na który składają się 3 utwory z ostatnich lat. Miłość, ludzkie namiętności, powikłania historii, powroty poprzez góry do siebie, sytuacje na granicy życia i śmierci. **(t.)**

Włodzimierz Janiurek: *Królhuckie zamyślenia*. Kantor wydawniczy ELZA. Tychy 1997, s. 30, 2 nlb.

Rozpisana na 11 zwartych fragmentów refleksyjna gawęda historyczna poświęcona dziejom Chorzowa, miasta, które do 1934 roku nosiło nazwę Królewska Huta — od uruchomionej w 1802 roku wielkiej huty żelaza zbudowanej przez hrabiego Redena, zaliczanej podwóczas do najnowocześniejszej na kontynencie. Autor, wywodzący się z Chorzowa (ur. 1924) znany publicysta, w latach 1956—1966 redaktor naczelny „Trybuny Robotniczej", polityk i dyplomata, ambasador Polski w Czechosłowacji i Meksyku, snuje swoją opowieść wokół ważniejszych faktów i postaci zasłużonych dla rodzinnego miasta. Szczególnie fascynują go Friedrich Wilhelm Reden, jeden z czołowych twórców górnośląskiego przemysłu oraz urodzony w 1801 roku w Chorzowie Theodor Erdmann Kalide, sławny rzeźbiarz, autor pomnika Redena odsłoniętego w Królewskiej Hucie w 1853 roku. Szkic Włodzimierza Janiurka ukazuje, jak równocześnie z rozwojem przemysłu i napływem Niemców na Śląsk pojawiają się polscy przywódcy narodowi, choć są to jeszcze lata zgodnego współżycia ludzi różnych narodowości. W dygresjach i wspomnieniach Janiurek przywraca także pamięć wielu miejsc i zdarzeń związanych z jego chorzowskim dzieciństwem i młodością. Stąd liryczna tonacja szkicu, wydanego dzięki wsparciu Urzędu Miasta w Chorzowie. **(t.)**

Genowefa Jakubowska-Fijałkowska. *Pan Bóg wyjechał na Florydę*. Bydgoszcz 1997. Instytut Wydawniczy „Świadectwo", s. 52, 2 nlb.

Urodziła się i mieszka w Mikołowie. Wiersze drukuje od ponad 25 lat (debiut prasowy w „Odrze" w 1972 r.) Publikowała swe utwory następnie w „Życiu Literackim", Tygodniku Kulturalnym", „Faktach" i „Regionach". W latach ostatnich jej wiersze można było spotkać w „Magazynie literackim", „Zeszytach Literackich", „Opcjach", „Metaforze", „Frazie", „Toposie" i w „Śląsku". Teksty te odnajdujemy w jej drugim tomiku wydanym z końcem minionego roku, w 3 lata po „Dożywociu", które ukazało się w 1994 roku nakładem krakowskiej „Miniatury". Wiersze Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej — ostre, zdecydowane w wyrazie, często szokujące śmiałością wypowiedzi, odznaczają się wielką lapidarnością i celnością poetyckich stwierdzeń. To poezja prawd egzystencjalnych, okrucieństwa praw natury, bezbronności wobec losu ludzi wyrzuconych na margines, skazanych na unicestwienie i samotność. Choć nie wolna od brutalizmów, jest to jednocześnie poezja na wskroś czysta, traktująca doświadczenia ciała jako laboratorium poetyckiego doświadczenia. Uderza także słuch społeczny Jakubowskiej-Fijałkowskiej na problemy egzystencji i zjawiska patologiczne, którym potrafi dać przejmujący poetycki wyraz. Choć jest to poezja odległa od typowej liryki kobiecej, wiersze te pozbawione egotyzmu i kokieterii pisane są właśnie z pozycji duchowych i fizycznych doświadczeń kobiety. Twórczość ta odznacza się od początku wiarygodnością poetyckich wiwisekcji i bezwzględnością w wyrażaniu prawdy życia. **(t.)**

Anna Markowa: *Bracia najmniejsi — wiersze dla Renaty*. Górnośląskie Wydawnictwo Literackie. Katowice 1998, s. 106, 2 nlb.

Mieszkająca od lat w Białymstoku, wcześniej w Opolu, Anna Markowa, autorka kilku poetyckich zbiorów, tomów opowiadań i powieści, była przyjaciółką Renaty Zwoźniakowej od czasu wspólnych studiów w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Właśnie co wydany, liczący ponad 80 utworów zbiór wierszy „Bracia najmniejsi" nosi podtytuł „Wiersze dla Renaty", i nie jest to tylko imienna dedykacja. Druga część tomu zawiera wiersze bezpośrednio związane z Renatą Zwoźniakową, bądź odnosi się do jej osoby — wspólnych przeżyć, przemyśleń, lektur i listów. Przez kolejne wiersze cyklu „Długo trwało" przewija się wprost, bądź w postaci dygresji i aluzji postać zmarłej pisarki, z którą poetka prowadzi literacki dialog. Lecz także wiersze tytułowego cyklu wiążą się często z Renatą Zwoźniakową, która była zawsze bardzo wrażliwa na los zwierząt — „braci najmniejszych". To również świat wspólnych fascynacji, nie tylko literackiej wrażliwości zaprzyjaźnionych pisarek. Jest to piękna i mądra książka poetycka — liryka pamięci i wiernej przyjaźni aż po śmierć. Lecz także po śmierci, bowiem w wierszach Anny Markowej śmierć nie zrywa osobistego związku, lecz przechodzi w inny rodzaj duchowej obecności, także poprzez modlitwę.

BLOC -NOTES

Odrzuciwszy chrześcijańską eschatologię, zrzuciwszy z ołtarza Boga, markiz de Sade, autor „Dialogu między księdzem a umierającym", staje przed próżnią, domagającą się wypełnienia. Bo choć Umierający twierdzi, że „wszystko może być tym, czym jest i nie stoi za tym żadna mądra ani rozumna przyczyna", to dalej powiada, iż cała sztuka natury zasadza się na umiejętnym utrzymywaniu równowagi między złem i dobrem. Istnieje zatem „jakaś wszechmocna i skończenie mądra ręka"... To natura, albo lepiej — Natura, deterministyczna siła, która wystarcza sobie samej.

Bogini XVIII-wiecznych materialistów jest w „Dialogu" nie tylko źródłem jednej, podstawowej cechy o charakterze normatywnym — źródłem dobra i wzajemnej życzliwości między ludźmi, fundamentem umowy społecznej, na której zasadza się koncept Rousseau. U Sade'a to przede wszystkim manichejska mieszanka zła i dobra, „cnót" i „występków". Twierdzi Umierający: „Moja dusza, przyjacielu, jest taka, jaką upodobała ją sobie natura. A ponieważ naturze trzeba zarówno cnót jak i występków, skoro spodobało się jej skłonić mnie ku tym pierwszym — uczyniła to, jeśli zaś pragnęła drugich — zbudziła we mnie żądze, a ja im po prostu się poddałem. Cała jej sztuka polega na doskonałej równowadze, w której utrzymuje jedne i drugie".

W „Dialogu między księdzem a umierającym" markiz de Sade jest jeszcze wyznawcą równowagi. Im dalej, tym większy z niego antyroussoista, który choć zbudował swą koncepcję na podstawie tak drogich oświeceniowemu racjonalizmowi, odrzuci wszelki utylitaryzm naturalnych praw. Już w „Dialogu" widać rysujący się — dwa wieki przed Freudem! — natywizm: „Pociąga nas jakaś przemożna siła, nigdy nie jesteśmy w mocy skierować się ani na chwilę w inną stronę, jak ku naszym skłonnościom. Czyż możemy być winni temu, że natura rzuciła nas akurat w tę, a nie w inną stronę? Nie bardziej niż osa, zapuszczająca żądło w twoją skórę". W kolejnych książkach, od pierwszej „Justyny" poczynając, Sade'owska Natura jest siłą skłaniającą ku powszechnemu złu, jest jego motorem i samowystarczalnym źródłem. Naturalny zegar odmierza zbrodnię za zbrodnią; z każdej tworzy się nowe życie, które posłuży swym cierpieniom, męką, prochami wreszcie — do zasiania nowej formy życia. W „Historii Julietty" bohaterka powie: „Zasadą życia wszelkich istot jest śmierć". Więc oświeceniowa umowa społeczna jest mitem: świat dzieli się na mocnych i słabych, bogatych i biednych, oprawców i ciemiężonych. Umysł jest zabawką Natury, ciało — maszyną rozkoszy, a pośrednikiem między nimi jest obsceniczne i obrazoburcze Słowo.

Świat człowieka-marionetki kończy się tam, gdzie rodzi się Sade — filozof transgresji. Bo oto jego bohater spostrzega z przerażeniem, że wobec wszechpotężnej Natury jego „zbrodnia nie ma w sobie nic realnego i tak naprawdę nie ma żadnej zbrodni, żadnego sposobu, aby znieważyć naturę" („Historia Julietty"). I wszelkie przestępstwa, jakie libertyn może popełnić, to tylko marne wysiłki dla znieważenia bożków i ludzkich chimer. „Wszystko dobre, co w nadmiarze", chełpi się bohater „Nowej Justyny", ale i nadmiar ma swoje granice: zakreśla je Natura właśnie. To kolejne nowatorstwo Sade'a: materialistyczna filozofia francuskiego Oświecenia bada rzeczywistość w jej oddziaływaniu na człowieka. W książkach markiza — w „Nowej Justynie", a szczególnie w „Historii Julietty" — człowiek staje się po raz pierwszy podmiotem rzeczywistości. Natura, której libertyński bohater Sade'a pali kadzidła i dla niej gotów jest popełnić największe zbrodnie, drażni go swoją potęgą: co zrobić, aby dokonać zbrodni nie w zgodzie z prawami Natury, ale — przeciw niej? Biskup Lyonu snuje plany wygubienia jednej trzeciej ludności Francji; Dorota, jedna z bohaterek „Historii Julietty", chciałaby „zakłócić plany natury, pokrzyżować jej bieg, wstrzymać obrót gwiazd, wstrząsnąć światami unoszącymi się w przestrzeni, zniszczyć to, co jej służy, a co jej szkodzi — ochronić..."; inny libertyn, Curval, myśli „porwać się na słońce i wyrwać je wszechświatowi", a sama Julietta marzy, aby znaleźć taką zbrodnię, której skutek mógłby trwać i trwać, nawet po jej śmierci...



Rys. Marek Michalski

Uderzenie w Naturę jest jednak niemożliwe. Materialistyczne koło się zamknęło: bohater markiza de Sade jest sam. „Śmierć jest zaprzestaniem rozkoszy, myślenia, cierpienia". Ale prawdziwej śmierci nie ma. „Czyż nie mam przed oczami wciąż nowego i nowego odradzania się natury? — pyta w „Dialogu" Umierający. — W świecie nic się nie marnuje, przyjacielu, nic nie ginie; dziś człowiek, jutro robak, pojutrze mucha — czyż nie oznacza to ciągłego istnienia?". Uspokojenie. Świadomość wiecznego niespełnienia. Powieściowy libertyn zrozumie to, dane mu są przecież rozum i słowo.

Tak oto, jakakolwiek byłaby jego wizja, markiz de Sade dostrzegł rzeczywistość w sposób absolutnie nowoczesny, jako — proces. „Dialog między księdzem a umierającym" to pierwszy etap rozwoju tej koncepcji, wolny jeszcze od obscenicznego ładunku dynamitu, stonowany i racjonalistyczny. „Rozum — mówi Umierający — tak właśnie, sam rozum musi nas przekonać o tym, że szkodząc bliźnim nigdy nie staniemy się szczęśliwi. Samo nasze serce musi nas przekonać, że przyczynianie się do szczęścia bliźnich jest najbardziej wzniosłą cechą, jaką otrzymaliśmy od natury na tej ziemi. W tym jednym słowie zamyka się cała ludzka moralność: uczynić innych równie szczęśliwymi, jakbyśmy sami tego pragnęli i nie wyrządzać im nigdy zła większego niż to, którego sami gotowi bylibyśmy doznać. Oto mój przyjacielu, zasady, wedle których powinniśmy postępować".

To ten sam Sade, który ustami dobrego króla Zame, z powieści „Alina i Valcour", wołał przeciwko karze śmierci: „Myśl, że zło może kiedykolwiek zaprowadzić do dobra, to jedno z najbardziej przerażających szaleństw, zrodzonych w umysłach głupców". To Sade z jego politycznym temperamentem: „Królowie i ich majestat to jedyne, co mi imponuje i budzi mój szacunek" — mówi Umierający, a sam Sade, w grudniu 1791 roku, napisze w liście: „Jestem antyjakobitą, nienawidzę ich śmiertelnie. Ubóstwiam króla, lecz nie cierpię nadużyć w starym stylu. Nie pragnę wcale zgromadzenia narodowego, ale dwóch izb parlamentu, tak jak w Anglii...". Humanista i, powiedzielibyśmy dziś — liberał: to też ten sam markiz de Sade.

MAREK BASTER



Listy spod kapelusza

Witaj droga moja,

myślałam, że nie zakwitną. A jednak im się udało zdążyć w porę, to znaczy na pierwszy dzień matur. I wszystko jest, jak być powinno: abiturienci mozolą się nad książkami, a kasztany pysznią się kwieciem. W ogóle - maj zwariował, „zawiośniało-latopędzi...słowikując szeptolesia falorycznie caruzieją".

Jestem w pociągu relacji Leipzig-Berlin Lichtenberg, a stamtąd wsiądę w inny, który zawiezie mnie wprost do Katowic. Wracam z kolejnego lesungu, który wespół z „Literarische Bett" mieliśmy w Instytucie Polskim w Lipsku. Ale nie o tym chciałam dzisiaj pisać. „Imprezuję" na różne sposoby, raz literacko, raz teatralnie. To jeszcze trochę potrwa, dokładnie do 10 czerwca, bo taką właśnie datę wyznaczyłam sobie jako ostateczny termin zakończenia wojaży. A potem już tylko siedzieć będę przy własnym biurku po kilkanaście godzin dziennie i pisać to, co zaplanowałam i ułożyłam skrupulatnie podczas podróżowania. Nie ukrywam, że marzę już o tym, kiedy dzień będzie się liczył od strony do strony.

Byłam jurorką w Rybnickich Spotkaniach Teatralnych, poświęconych w tym roku tylko teatrom wizji, plastyki i ruchu. Nie przyznaliśmy grand prix, bo żaden z oglądanych spektakli nie rzucił nas na kolana. Nas - to znaczy także Piotra Tomaszuka („Wierszalin"), Mariusza Gołaja („Gardzienice") i Małgosię Mazurkiewicz („Scena Ruchu"). Wyróżniliśmy jednak I nagrodą spektakl w wykonaniu teatru „Witryna" z Bydgoszczy - „Pomalutku cichniemy, choć wokół tak ładnie". Tylko tutaj bowiem zobaczyliśmy niebanalne obrazy plastyczne, które współgrały z atmosferą duszności młodzieńczego świata i tylko tutaj nie dostrzegliśmy naśladowczości oraz manierycznego powielania wzorów wypracowanych przez teatry, które uznać możemy za profesjonalne.

Z początku myślalam, że Piotr zupełnie inaczej myśli o teatrze niż ja, ale po wielu godzinach rozmów znaleźliśmy punkty wspólne. Na pewno czekamy na to, by spektakl nas poruszył. Podkreślam to słowo, bo nie chodzi mi (nam) o wzruszenie, które może kojarzyć się z emocjami sentymentalnymi. Na pewno nie odpowiada nam w teatrze amatorskim gwiazdorstwo, ani teatr nie stwarzający sytuacji, w której forma rodzi się z myślenia o świecie, a nie na odwrót.

Jeżeli natomiast o poruszenie chodzi, to widziałam ostatnio coś, co mnie oczarowało, poruszyło i zachwyciło. I w takim stanie udaje mi się trwać od kilkunastu dni. Widziałam „Kordiana" w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu i to po tym spektaklu myślę sobie, że cudownym jest uczucie, kiedy przedstawienie się kończy, a ty chcesz, by trwało dalej, jak sen, w którym fruwasz. Nie czujesz, że minęły prawie cztery godziny, bo wydają ci się okamgnieniem. Ale też Zbigniew Zasadny, jak na fine de siecle przystało, zrobił iście diabelskiego „Kordiana". Ciągle słyszę muzykę Janusza Grzywacza, widzę postaci w urokliwych kostiumach, poruszające się tanecznym krokiem w czasie balu koronacyjnego czy odgrywające piekielną pantomimę. Widzę rozczarowanie Kordiana w scenie z Violettą, która jest perfekcyjnie „seksualna" i trochę mało erotyczna i czuję jego „jaskółczy niepokój". Tak czuję, że chciałabym mu (Grzegorzowi Widerze) na pociechę upiec ciasto z bakaliami, ale ponieważ robię to tylko dwa razy w roku, więc mogłabym poprzestać na podaniu campari z sokiem pomarańczowym, póki jeszcze jest w moim barku. Powraca do mnie też scena ze Strachem (znów przebojowa Staszeczka Łopuszańska, która zburzyła moje wyobrażenia o Strachu) oraz pojedynek Cara z Konstantym (Andrzej Lipski i Adam Kopciuszewski). Konstanty, taki perfekcyjny w swoich niejednoznacznych uczuciach, taki gwałtownik czasami, że dopiero gdy skończył swoją kwestię, mogłam wziąć głęboki oddech i rozkurczyć zaciśnięte pięści.

A poza tym, droga moja, wysyłam Ci „Co mi zostało z tych lat", wspomnienia Zofii Chądzyńskiej, wspaniałej tłumaczki Cortazara i Reverzy`ego. Wiem, że przeczytasz, wyznaczając sobie po parę stron dziennie, żeby na dłużej starczyło. Odważyłam się napisać do pani Zofii i cieszę się, że znalazła siły, by się do mnie odezwać oraz czytać z pomocą szkła powiększającego to, co piszę.

Słonecznie się do Ciebie przytulam.

Bądź w zieleni.

Twoja MARTA FOX

w maju 1998 roku, w podróży, w słońcu

Przegląd katowicki

Oto mamy wystawę katowickiego Okręgu ZPAP — ślad twórczości malarzy i rzeźbiarzy tworzących w naszym środowisku, a więc połączonych nie tylko wspólnotą geograficzną, ale jednością doznań estetycznych tego kontrowersyjnego pod względem malarskim regionu Polski.

Trudno ocenić pod względem jakościowym obecną wystawę okręgową w katowickim BWA. Z pewnością jest to bogata materia do przemyśleń nad różnorodnością prezentujących się tu osobowości, przedstawicieli kilku pokoleń, niemal wszystkich kierunków sztuki współczesnej. Ktoś, kto kocha malarstwo nie z powodów spekulacji finansowych, karier zawodowych i snobizmu, znajdzie tu z pewnością dobry klimat do odbioru czysto ludzkich, szczerych intencji podzielenia się z odbiorcą swoją wrażliwością. Bez względu na rodzaj malarstwa i efektu końcowego proces zamiany, jak pisał Adam Zagajewski w wierszu „Płótno" — tego kawałka materiału na nową jakość, następuje zawsze w tajemniczym akcie twórczym, nigdy nie przewidywalnym i metafizycznym. Ten produkt uboczny niewątpliwie zawdzięczający swoją jakość i siłę oddziaływania talentowi, bogactwu duchowemu artysty.

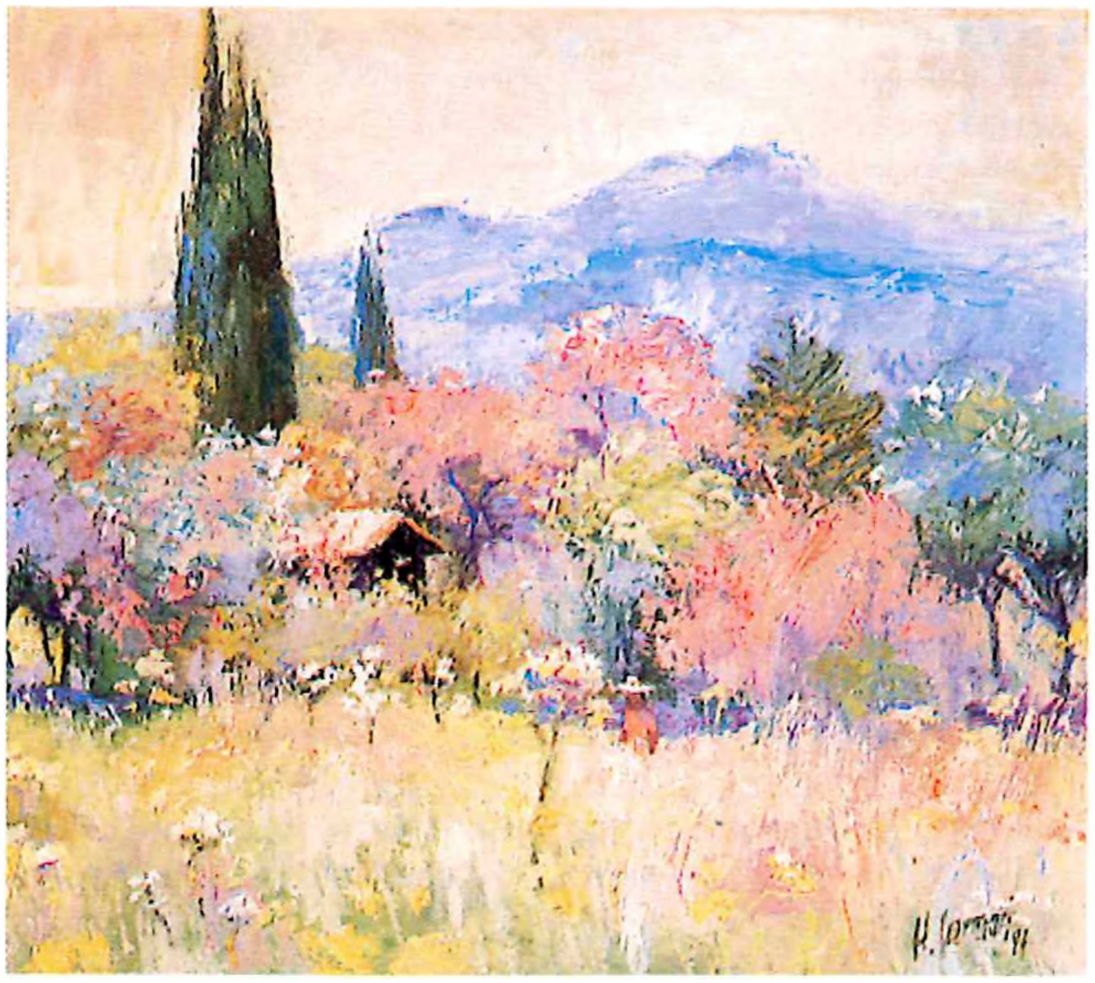
Na wystawie najsilniej działają olbrzymie płótna — Marka Kamieńskiego — groteskowe i dowcipne kompozycje cytatów malarskich hitów z wyraźnym ukłonem w kierunku Andy Warhola. Zbigniew Blukacz zdumiewa pejzażami, z bliska widać wyraźnie jakieś tępo malowane rodowody nadłóżkowej makatki, kupowanej na metry na powojennych jarmarkach — stojąc dalej, obraz przekształca się w szlachetne zjawisko, w przestrzeń żyjącą i pulsującą tajemnicą. Wielkie twarze Witolda Berusa malowane na ciemnym podkładzie wbrew wszelkim zaleceniom klasycznego malarstwa dają w efekcie sytuację psychologiczną portretowanego z szerokim marginesem zagadki i domniemania. Niemal monochromatyczne kompozycje Kazimierza Cieślika z prześwitami tłumionej secesji — powściągliwe ascetyczne i piękne. Agnieszka Bieniasz — najmłodsze pokolenie, prezentuje groteskę i autoironię. Duża umiejętność zestawiania kontrastowych barw cechuje fowistyczne obrazy Waldemara Stacha czy Sabiny Pawlik-Chmiel. Nurt surrealistyczny prezentuje między innymi Zofia Grzeganek-Szczepaniec jawną deklaracją uczuciową do Salvadore Dali, czy budującego klimat swoich utworów z drobiazgowych elementów Jan Karwot. Krystian Tracz pokazuje dobrze malowane kubistyczne, strukturalne kompozycje wyimaginowanych światów. Adam Styrylski operując wąską gamą barwną nawiązuje do międzywojennego koloryzmu urzekającymi jabłkami. Jest trochę aktów — rzeźbiarski, monumentalny tors autorstwa Anny Marii Pawlik i dowcipnie zmultiplikowana postać delikatnie i syntetycznie namalowana przez Adriannę Kotowską-Sarpatę. Nielicznie reprezentowana abstrakcja w obrazach Franciszka Kafla mówi o dobrym warsztacie malarskim. Echa różowych i błękitnych okresów Picassa dźwięczą w płótnie Katarzyny Pierzak. Licznie obecne pejzaże są traktowane w sposób klasyczny, konwencjonalny, realistyczny. Inspiracje impresjonizmem, ekspresjonizmem czy malarstwem holenderskim, słowem wszelka wolność, luz i radość malowania, bo jak powiedział Picasso, nic po Van Gogh'u nie może być zabronione. Niestety rzeźby jest niewiele i jak na dzisiejsze możliwości technologiczne reprezentowana w ubogiej ofercie technicznej. Monumentalne w temacie, kameralne brązy Stanisława Pietrusy czy liryczna „kropla" w szkle Jerzego Beceli, nie dają pełnego obrazu możliwości śląskich rzeźbiarzy.

Cóż, żeby pozostało z pokolenia jakieś nazwisko, żeby ludzkość ocaliła od zapomnienia twórczość artysty, potrzebny jest ferment, atmosfera i wiele kół różnorodnych aktywności połączonych wspólną ideą świadectwa artystycznego epoki, w której żyjemy. Wiadomo, że w czasach kryzysów, niestabilności i zagrożeń muzy milkną. Pozwólmy więc artystom spokojnie tworzyć. Może nie ma na tej wystawie wielkich indywidualności i geniuszy. Ale, jak powiedział jeden z amerykańskich studentów Ewy Kuryluk: „(...) wolę być zwykłym pacykarzem niż takim bandytą jak Caravaggio".

EWA BIEŃCZYCKA



WITOLD KOŁBAN



HALINA LERMAN



MALARSTWO I RZEŹBA
Katowickiego Okręgu Związku
Polskich Artystów Plastyków
BWA — Katowice 1998

PIOTR MURAWA



WALDEMAR STACH



IRENEUSZ WALCZAK

ZNAKI I TWARZE MIASTA

Wybór Katowic w latach dwudziestych naszego wieku na stolicę województwa spowodował znaczny wzrost rangi miasta, był też podstawowym czynnikiem jego rozwoju. Administracyjne znaczenie Katowic przekraczało znacznie rolę pozostałych miast wojewódzkich Rzeczypospolitej. Rozbudowa aparatu administracji państwowej i gospodarczych instytucji kierowniczych wiązała się z napływem nowych kadr urzędniczych (ponad 17 proc. mieszkańców Katowic w 1931r.). Ruch imigracyjny wzbogacał miasto o szczególnie wartościowe grupy zawodowe, przede wszystkim inteligencję; pobudzał rozwój handlu, rzemiosła i usług. Nowa pozycja miasta przyczyniła się także do wybudowania wielu gmachów publicznych - reprezentacyjnej siedziby Sejmu Śląskiego i Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego przy ulicy Jagiellońskiej oraz słynnego wieżowca Wydziału Skarbowego UWŚL u zbiegu ulic Curie-Skłodowskiej i Żwirki i Wigury, czy interesującego architektonicznie budynku Banku Gospodarstwa Krajowego przy ulicy Mickiewicza. Katowice stały się również siedzibą innych organów administracji szczebla wojewódzkiego, jak Sąd Okręgowy i Sąd Apelacyjny, Urząd Skarbowy, Wojewódzka Komenda Policji oraz Naczelne Dowództwo Wojskowe na Górny Śląsk.

Gmach Wydziału Skarbowego UWŚL (dzisiejszy Urząd Skarbowy) był pierwszym w Polsce czternastopiętrowym wieżowcem mieszkalno-administracyjnym, zwanym do dziś drapaczem chmur. Powstał w latach 1930-1932 według projektu T. Kozłowskiego i S. Bryły. Część niższa, 8-kondygnacyjna (2 kondygnacje podziemne) przeznaczona została dla potrzeb biurowych, wyższa 17-kondygnacyjna (3 kondygnacje podziemne) - mieszkalnych. Wyróżniał się nowatorską konstrukcją szkieletową i jest po dziś dzień najlepszym przykładem architektury funkcjonalizmu w Katowicach.

Wieżowiec ulokowany został w południowej dzielnicy miasta, która w latach 1920-1930 rozwijała się intensywnie, a jej zabudowa wzorowana była na osiągnięciach Bauhausu i Le Courbusiera. Otaczają go budynki przy ulicy Kopernika, Curie-Skłodowskiej, PCK, Jordana, Rymera charakteryzujące się narożnikowymi oknami, przeszklonymi wykuszami na półkolistym planie, płaskimi dachami, zbudowane często na asymetrycznym planie. Opodal powstały wille przy ul. Poniatowskiego, Bratków, kościół garnizonowy pw. św. Kazimierza (1930-1932) według projektu L. Dietza d'Arma i J. Zarzyckiego z wnętrzem o wystroju funkcjonalizmu i Art Deco.

(wk)



Foto: Józef Wróbel

KATOWIC

O Zaolziu mniej optymistycznie

GWARA I OBYCZAJE

W jednym z numerów „Śląska" pisałyśmy razem z Jagną Malejką o sytuacji Śląska Cieszyńskiego po zaolziańskiej stronie. Pragnę jeszcze raz wrócić do tego tematu. W końcu kwietnia uczestniczyłam w egzaminach kandydatów na studia w Polsce z Republiki Czeskiej, które odbywały się w Czeskim Cieszynie. Gościny użyczyło egzaminującym i egzaminowanym polskie Gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Do egzaminu przystępuje młodzież polskiego pochodzenia. Przede wszystkim jest to młodzież śląska z terenów Zaolzia. Na 102 osoby, które przystąpiły do egzaminu z terenu Republiki Czeskiej 98 osób pochodziło właśnie z Zaolzia. Ludności polskiej na Zaolziu jest wedle spisu ludności z 1991 roku — 43,5 tys. To zdecydowanie ponad trzy czwarte wszystkich Polaków mieszkających w Republice Czeskiej. Ten sam spis ludności podaje, że na terenie całej Republiki Czeskiej żyje 59 383 Polaków, co wynosi 0,6 proc. ogółu ludności. To bardzo spora grupa mniejszości narodowej, gdyż ogól ludności innych narodowości w Czechach stanowi 5,2 proc. — więc Polacy są nacją raczej sporą pod względem swej liczebności.

W swojej poprzedniej opowieści o Polakach na Zaolziu pisałyśmy z Jagną o pozytywach polskiego życia na Zaolziu. Pisałyśmy o tym, jak wiele polskich instytucji działa na Zaolziu i jak wiele mogą one zdziałać dla polskiego społeczeństwa na tym terenie. Jest ich oczywiście jeszcze więcej. Należałoby wspomnieć o kilku z nich.

Bardzo istotnym elementem życia polskiego na tych terenach jest istnienie właśnie na Zaolziu jedynego profesjonalnego polskiego teatru poza granicami kraju, czyli Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego funkcjonującego od października 1951 r. jako autonomiczny pod względem artystycznym zespół teatru „Tešinske divadlo". Spory wkład w powstanie Sceny Polskiej mieli: Władysław Niedoba — późniejszy kierownik artystyczny teatru, aktor i reżyser oraz ówczesny dyrektor Josef Zajic. Również za profesjonalny należy uznać Teatr Lalek Bajka Zarządu Głównego PZKO. Kolejnym elementem polskojęzycznej działalności kulturalnej na Zaolziu są polskie gazety i czasopisma: „Głos Ludu" (3 razy w tygodniu), miesięcznik społeczno-kulturalny PZKO „Zwrot", dwutygodnik harcerski „Nasza Gazetka". Pisma te żywo reagują na zapotrzebowanie na język polski i głód kulturalny Polaków zaolziańskich. W Ostrawie działa również redakcja polska rozgłośni czeskiego radia.

Ogromną rolę odgrywa Biblioteka Regionalna w Karwinie, w której znajduje się największy oddział literatury polskiej na Zaolziu (o niej pisałyśmy już wcześniej). Jest jeszcze wiele instytucji kultywujących polskie tradycje na Zaolziu: Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w Republice Czeskiej, Fundacja Zaolzie ze swym biuletynem „Głos Zaolzia", Koło Polskich Kombatantów (Sucha Górna), Macierz Szkolna (Trzyniec), Polski Chór Mieszany Collegium Canticorum (Jabłonków). Eksplozja polskości następuje na Gorolskim Święcie w Jabłonkowie, które odbywa się co roku na początku sierpnia (kończy Dni Kultury Beskidzkiej). To spotkanie polskich amatorskich zespołów ludowych (i nie tylko amatorskich).

Ogromną wagę przywiązywano na Zaolziu zawsze do szkolnictwa. Po znalezieniu się tych terenów w granicach innego państwa w obliczu niedostatecznej ilości placówek państwowych Macierz Szkolna w Czechosłowacji prowadziła w okresie międzywojennym Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Orłowej (obecnie mieszczące się w Karwinie — czynnie współpracuje z I Liceum Ogólnokształcącym im. J. Słowackiego w Chorzowie, w ostatnich dniach obie te szkoły średnie zorganizowały wspólny zlot w Chorzowie i w Karwinie), 7 szkół wydziałowych, 12 szkół ludowych i 67 przedszkoli.

Na temat roli polskiego szkolnictwa na Zaolziu pisała Irena Bogocz: „Wybór szkoły dla dziecka, czyli języka jego kształcenia, nie jest jedynym, ale na pewno ważnym krokiem w kierunku jego późniejszej orientacji narodowej. (...) Na Zaolziu orientację promniejszościową wykazuje zaledwie 6 proc. dzieci z rodzin mieszanych" (Irena Bogocz: Socjolingwistyczne badania polskiego środowiska językowego na Zaolziu. W: Śląsk w badaniach językoznawczych: badanie pogranicza językowo-kulturowego polsko-czeskiego. T.III. Rodzina: język — tradycja — tożsamość. Red. Iwona Nowakowska-Kempna. Katowice 1997, s. 161). To m.in. jest powodem zjawiska, że niestety szkolnictwo polskie po pewnym okresie niebywałego rozkwitu przeżywa obecnie spore kłopoty i zahamowania rozwojowe. Obecnie w dwu powiatach — Karwina i Frydek-Mistek — razem uczy się w polskich szkołach podstawowych w tym roku 2751 dzieci.

Wychowankowie szkoły polskiej w Karwinie to dzieci z rodzin polskich mieszkających tu od pokoleń lub z rodzin mieszanych (polsko-czeskich). W domach polskich dzieci rozmawiają gwarą, a w rodzinach mieszanych zdarza się, że jedno z rodziców mówi do dziecka tylko po czesku, a drugie uczy je polskiej gwary. Przychodząc do szkoły, dzieci uczą się języka ogólnopolskiego, który jest dla nich właściwie nowym — obcym, trzecim(!) obok czeskiego i gwary — językiem. Większość uczniów tej szkoły pochodzi z rodzin inteligenckich (dyrektorka szkoły twierdzi, że jeżeli ktoś decyduje się posłać dziecko do polskiej szkoły, to jego wybór jest w pełni świadomy).

I co z tego wszystkiego wynika dla młodzieży, która pragnie podjąć różnorakie studia humanistyczne w Polsce. Otóż nie jest tak bardzo różowo, jakby wynikało to z opisu sytuacji instytucjonalnej Zaolzia. Młodzież przystępująca do egzaminów po polsku generalnie rzecz biorąc mówi zdecydowanie poprawnie. Wyczuwa się pewne śląskie elementy w wymowie. Jest to pewien wyczuwalny akcent, pojawiają się samogłoski pochylone, u niektórych osób słychać śląsko-cieszyńskie r frykatywne, ale to wszystko są drobiazgi, które absolutnie w życiu, w Polsce i w studiowaniu w żaden sposób nie przeszkadzałyby. Jednak istotniejszą rzeczą jest spore ograniczenie zasobu leksykalnego. Język tej młodzieży to język, który można by nazwać familijnym. To znaczy obraca się w kręgu pojęć elementarnych, związanych z domem, z życiem codziennym. Natomiast jeśli chodzi o słownictwo, o pojęcia z zakresu kultury, nauk humanistycznych, życia społeczno-politycznego wypada to o wiele gorzej. Większość tych dzieci nie zna takich pojęć jak scenograf, pluralizm, podmiot liryczny. Dość ograniczona jest też znajomość faktów z polskiej kultury. Jeśli zdarza się, iż znają nazwiska polskich reżyserów: Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Kieślowskiego, to za znajomością nazwisk nie idzie niestety nic więcej. Rzadko potrafią wymienić tytuły ich filmów, a takich, którzy widzieliby i potrafili opowiedzieć, pokrótce streścić choć jeden z nich można policzyć na palcach jednej ręki. Chciałoby się natomiast, by znali także twórczość filmową, choćby tę śląską, najbardziej spektakularną, Kazimierza Kutza. Podobnie jest z literaturą. Pozwolę sobie przytoczyć wypowiedź jednej z kandydatek — nie podaję nazwiska, ani kierunku studiów przez tę osobę wybranego — nie chcę bowiem ośmieszać tej jednej osoby, chcę tej wypowiedzi użyć jako uogólnienia, który zobrazuje pewien stan. Na pytanie: „co Pani czyta w czasie wolnym?", pada odpowiedź „Mickiewicza". Drugie pytanie: „a co konkretnie?"; odpowiedź: „Ballady i romanse". Trzecie pytanie: „jaką balladę Pani pamięta, która się Pani podoba najbardziej" i odpowiedź: „ja nie pamiętam żadnej, ale pamiętam, że bardzo mi się podobały". Na nazwisku Mickiewicza — jeszcze raz podkreślam: na nazwisku, nie na twórczości — właściwie zaczyna się i kończy znajomość literatury polskiej. Pomimo roku Mickiewiczowskiego, to chyba trochę za mało. Rozmawiałam po egzaminie z kilkoma osobami, którym rozwój polskości na Śląsku leży bardzo na sercu. Próbowaliśmy wspólnie rozważyć ów problem. Wyjaśnienie, które nam się nasuwało, to specyficzna rola polskiego nauczania na Zaolziu. Po pierwsze, co już podkreślałam język polski dla dzieci z polskich rodzin po gwarze śląskiej i języku czeskim jest trzecim językiem, którego muszą się uczyć. Po drugie, nauczanie to spełnia w owych specyficznych warunkach życia w obcym kraju rolę ostoi polskości, obrony czy też ochrony tożsamości, dlatego tak silny nacisk kładzie się na treści patriotyczne — stąd pewnie wciąż przywoływany Mickiewicz. Ale należałoby dążyć do pewnej zmiany mentalności, do uwspółcześnienia pojęcia patriotyzmu. Współczesny patriotyzm to nie zamykanie się w czterech ścianach swojego najbliższego środowiska, współczesny patriotyzm to umiejętność zachowania tożsamości w wielkim świecie, w wielkiej zjednoczonej Europie, do której milowymi krokami zmierzają wszak zarówno Polska, jak i Republika Czeska. Pozwolę sobie więc na koniec zaapelować do zaolziańskich nauczycieli: pokażcie Państwo swoim uczniom, że kultura, literatura polska to nie tylko romantyczne teksty sławiące walkę o wolność, to także teksty, wykraczające swą problematyką poza granice Śląska, Polski. Teksty, które mówią o człowieku po prostu.

Szkoła Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego stara się temu zaradzić przynajmniej jeśli chodzi o język polski. Już kilka lat temu podjęto wyzwanie i zorganizowano warsztaty polonistyczne. Od początku kurs był nastawiony na pomoc w rozwiązywaniu najbardziej dręczących szkoły polskie na Zaolziu problemów. Problemy te są sygnalizowane przez nauczycieli ze szkół polskich. Docierają do Szkoły co roku na tygodniowe warsztaty nauczycielki z prawie wszystkich szkół podstawowych na Zaolziu. Mam więc przeogromną nadzieję, że kiedy do matury i egzaminów na studia dotrą ich uczniowie, będzie już bardziej europejsko.

JOLANTA TAMBOR

Exodus według Bergera

Organizatorem kilku niezwykle interesujących propozycji programowych było w ostatnim czasie Polskie Towarzystwo Ewangelickie Oddział w Katowicach. Była to m.in. sesja popularno-naukowa „O polski Śląsk" prezentująca postaci Tadeusza Michejdy (1895-1955) i Władysława Michejdy (1896-1943) oraz ich wkład w podniesienie znaczenia dla polskości Śląska kultury i nauki polskiej.

Wydarzeniem był również 50 koncert z cyklu Wieczory u „Zmartwychwstania Pańskiego", jaki odbył się 21 kwietnia w kościele ewangelickim Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach.

W programie koncertu znalazł się „Exodus" Romana Bergera w wykonaniu organisty Jana Michałko.

Roman Berger jest jednym z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów polskich, działający obecnie w Bratysławie. Urodził się na Zaolziu w rodzinie pastora polskiego Kościoła Ewangelickiego. Berger studiował w katowickiej PWSM, a następnie w Bratysławie. W 1968 roku za zaangażowanie w proces odnowy zwany „Praską Wiosną" został wykluczony ze Związku Kompozytorów Słowackich.

Berger związany jest z czeską sekcją Klubu Rzymskiego oraz grupą „Atelier". Jest również członkiem zespołu semiotyków prof. Z. Mathausera w Pradze. W swoim dorobku ma kilkaset tekstów teoretycznych, filozoficznych, eseistycznych, publicystycznych.

Za utwór „Transformacje" otrzymał nagrodę Krytyki Czechosłowackiej. Nagród i wyróżnień - zarówno krajowych jak i zagranicznych - ma na swoim koncie bardzo wiele.

Do najważniejszych utworów Bergera należą obok „Transformacji" „Elegia in memorian Jana Rucka", „En passant" , „Epitafium Kopernikowskie", „De Profundis" (do słów Tadeusza Różewicza), wspomniany „Exodus" a także „Sonata z motywem Karola Szymanowskiego" czy „Adagio dla Jana Brannego".

„Exodus" nie jest ilustracją historycznego wydarzenia, opisanego w Księdze Wyjścia, wiąże się natomiast z najogólniejszym mityczno-antropologicznym aspektem tego wydarzenia - z poszukiwaniem drogi do wolności, z szukaniem Drogi - tak o swoim dziele pisał Roman Berger.

Roman Berger odniósł niedawno wielki sukces w Filharmonii Narodowej w Warszawie, gdzie został wykonany jego utwór „Memento - po śmierci Mira Filipa".

„Exodus" - utwór czteroczęściowy, był wykonany po raz pierwszy w Katowicach przez wirtuoza Jana Vladimira Michałko - znanego w świecie organistę, mającego na swoim koncie także wiele nagrań płytowych.

Po koncercie odbyło się spotkanie z kompozytorem i wykonawcą a także prezentacja książki prof. Romana Bergera pt. „Muzyka i Prawda".

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Amicus Librorum

Tegoroczna edycja nagród przyznawanych przez Bibliotekę Śląską - Amicus Librorum - miała szczególną oprawę. Połączona została z uroczystością poświęcenia nowego obiektu śląskiej książnicy.

W tym niezwykłym momencie kolegium pracowników Biblioteki Śląskiej zdecydowało, że statuetki - nagrody otrzymają: Metropolita Katowicki abp Damian Zimoń - w dowód uznania za wieloletnie towarzyszenie staraniom o powstanie nowej siedziby Biblioteki, Barbara Czyż - posłanka do Sejmu poprzedniej kadencji - jako wyraz wdzięczności za skuteczną pomoc w uzyskaniu subsydiów, koniecznych na budowę nowego gmachu, Zofia Radwan - inspektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego - za pełen zaangażowania nadzór nad budową nowej siedziby.

Dziękując za wyróżnienie abp Damian Zimoń powiedział, że to wyróżnienie odnosi do wszystkich, którzy tworzyli wokół budowy otoczkę społeczną, sprzyjającą kontynuacji przedsięwzięcia. I jak powiedział Metropolita - nad wizerunkiem Śląska poza jego obszarem trzeba nadal świadomie pracować.

Z kolei Zofia Radwan podkreśliła upór z jakim walczono przez wiele lat o powstanie nowego obiektu dla Biblioteki Śląskiej. Powiedziała, że trzydzieści siedem lat starań o wybudowanie nowego gmachu pozwoliło na dobre przyswoić sobie tę ideę.

Uroczystość zakończyło uhonorowanie przez Radę Miejską i Zarząd Miasta Katowic dyrektora Biblioteki Śląskiej - prof. Jana Malickiego Honorową Odznaką Miasta za szczególny wkład, jaki swoją niezrównaną pracą, wielkim talentem oraz konsekwencją w realizacji podjętego zadania wniósł w podniesienie wizerunku i znaczenie miasta.



Foto: Barbara Polanin

Ślązacy Roku

Na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się uroczystość nadania Gerardowi Cieślikowi i Franciszkowi Pieczce tytułów Ślązaków Roku - nagrody przyznawanej corocznie przez Towarzystwo Przyjaciół Śląska. Nagrody zwyczajowo przyznawane są w przededniu rocznicy wybuchu III powstania śląskiego.

Gerard Cieślik to legenda piłki nożnej, zwłaszcza jest postacią znaną ludziom na Śląsku, w Chorzowie, gdzie spędził całe swoje życie. Franciszek Pieczka jest wybitnym aktorem którego korzenie rodzinne sięgają śląska cieszyńskiego.

Laureatom nagrody wręczali senator Kazimierz Kutz i prezes Towarzystwa Józef Musioł.

W latach ubiegłych nagrody Towarzystwa otrzymali prof. Jan Miodek, prof. Stanisław Hadyna - twórca zespołu „Śląsk", kompozytor Henryk Mikołaj Górecki, reżyser Kazimierz Kutz i socjolog Jan Szczepański.

Laureaci Nagrody Korfantego

Po raz pierwszy Nagroda im. Wojciecha Korfantego została przyznana (i ustanowiona) w 120. rocznicę rocznicę urodzin tego wybitnego Ślązaka. Odtąd, tj. od 1993 roku przyznawana jest przez Związek Górnośląski tym, którzy swoją działalnością szczególnie zapisali się na kartach historii, kultury, nauki i społecznego zaangażowania tego regionu. Wśród laureatów widnieją nazwiska m.in. prof. Jana Miodka, Henryka Mikołaja Góreckiego, prof. Stanisława Hadyny, Wojciecha Kilara, Kazimierza Kutza, prof. Franciszka Kokota, prof. Doroty Simonides. W roku bieżącym Nagrody Promocyjne im. W. Korfantego Komisja Nagrody pod przewodnictwem prof. Jana Malickiego przyznała: ks. prałatowi dr Jerzemu Pawlikowi za bogaty wkład w duchowość Śląska, wieloletnią i wszechstronną pracę na rzecz drugiego człowieka, dbałość o godność istoty ludzkiej

Jednym zdaniem

■ „Katowicka Wiosna Estradowa" zorganizowana przez Urząd Miasta i Estradę Śląską, gościła przez pierwsze trzy dni maja w katowickim Parku Kościuszki.

■ 3 maja w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu odbyła się premiera „Kordiana" Juliusza Słowackiego w reżyserii Zbigniewa Zasadnego z Grzegorzem Widerą w roli głównej.

■ Z okazji Międzynarodowego Dnia Tańca w Śląskim Teatrze Tańca odbyła się premiera spektaklu „WK-70" w choreografii Jacka Łumińskiego.

■ Wernisaż wystawy „Ramy-obrazy. Sztuka austriacka z kolekcji Aleksandra Kurjanowicza" odbył się w Galerii Górnośląskiego Centrum Kultury.

■ Wystawa malarstwa Beaty Marii Jurkowskiej - absolwentki krakowskiej ASP na Wydziale Grafiki w Katowicach, w pracowni Jerzego Dudy Gracza, odbyła się w galerii Spółdzielczego Domu Kultury „Odeon" w Czeladzi.

■ „Młodość i muzyka" - pod takim tytułem odbył się w Muzeum Miejskim w Świętochłowicach koncert Młodzieżowej Orkiestry Kameralnej im. K. Szymanowskiego pod dyrekcją Jana Miłosza Zarzyckiego, którego solistami byli Anna Dwulat - fortepian, Artur Prax - skrzypce i Michał Kowalczyk - skrzypce.

■ 16 kwietnia w Oddziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Śląskiej odbyło się spotkanie z poetką Anną Wernerową połączone z otwarciem wystawy poświęconej twórczości tej poetki.

■ Muzeum Śląskie, Polskie Towarzystwo Ewangelickie Oddział w Katowicach i Parafia Ewangelicko-Augsburska w Katowicach byli organizatorami sesji popularno-naukowej „Polski Śląsk" poświęconej działalności Tadeusza i Władysława Michejdów.

■ Galeria „Na Żywo" Polskiego Radia w Katowicach gościła wystawę grafik Mariusza Pałki.

■ VI rejonowy przegląd działalności artystycznej uczniów szkół specjalnych odbył się 23 kwietnia w Szkole Podstawowej Specjalnej w Czerwionce-Leszczynach.

■ Fotografie Artura Nyka pokazało Muzeum Historii Katowic.

oraz Tomaszowi Głogowskiemu i Michałowi Sporoniowi za niekonwencjonalne odkrywanie Śląska wśród młodzieży studenckiej, bogactwo inicjatyw i konsekwencję poczynań. Z kolei Nagrody Honorowe otrzymali prof. Maciej Bieniasz za niekwestionowany dorobek twórczy, stałość preferowanych wartości, niezwykłość inspiracji oraz Macierz Ziemi Cieszyńskiej za połączenie dostojnej przeszłości z myśleniem i działaniem na rzecz przyszłych pokoleń Śląska Cieszyńskiego.

Nagrodę Pośmiertną przyznano prof. Karolowi Stryi za nieoszacowany wkład w wielkie dzieło budowy autorytetu Śląska w świecie.

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się 19 kwietnia w siedzibie Związku Górnośląskiego.

Tyszanie - jak żyli, kim byli?

W Teatrze Małym w Tychach otwarta została 7 maja wystawa pt. „Tyszanie" - ekspozycja składająca się z 85 fotografii, pochodzących z albumów rodzinnych tyszan, a powstałych na początku naszego wieku, w latach międzywojennych, a także po II wojnie i w pierwszych latach budowy miasta.

Jest to tylko część kolekcji zgromadzonej o tworzącym się w Tychach muzeum. Dokumentują one życie i tradycje rodzin pochodzących z Tychów oraz miejscowości tworzących dziś dzielnice miasta (Paprocany, Urbanowice, Wilkowyje), ale również tradycje rodzin, które do Tychów przyjechały z różnych stron Polski i świata.

Chorzowskie starodruki

W kwietniu br. ukazał się „Katalog starych druków Muzeum w Chorzowie" autorstwa Renaty Skoczek-Kulpy. Jest to pozycja przeznaczona przede wszystkim dla naukowców, bibliofilów a także dla studentów.

Katalog obejmuje trzy grupy: druki zwarte, czasopisma i kalendarze z lat 1489-1800. Większość z nich była pisana w języku łacińskim i niemieckim. Tematycznie zbiór jest różnorodny. Obok traktatów filozoficznych znajdują się w nim dzieła historyczne, przyrodnicze, słowniki, literatura piękna i religijna.

Wśród poloników najstarszym i najważniejszym dokumentem jest „Mszał wrocławski" z 1505 roku wydrukowany w Krakowie. Są w nim także m.in. „O skutecznym rad sposobie" Stanisława Konarskiego, „Nowa Gigantomachia" Augustyna Kordeckiego, tekst „Konstytucji 3 Maja" wydany w Metzu w 1793 roku.

Obok poloników na szczególną uwagę zasługują silesiaki. Do najcenniejszych należą kroniki śląskich historyków, np. J. Schickfusa „Przywileje królów pruskich" oraz zbiory praw i statuty.

Katalog zaopatrzony jest w indeks producentów książki (drukarzy, księgarzy, wydawców) oraz indeks prowieniencji, a także ilustracji kilku starodruków.

Filmy Sveraka na ekranie „Zorzy"

Organizatorem przeglądu filmów Jana Sveraka (22-23 kwietnia br.) byli Państwowa Instytucja Filmowa „Silesia-Film", Śląskie Towarzystwo Filmowe oraz Konsulat Generalny Republiki Czeskiej w Katowicach i Przedsiębiorstwo Modernizacji Przemysłu „Roboprojekt".

Podczas tej dwudniowej imprezy pokazano kilka filmów tego niezwykle utalentowanego reżysera czeskiego. Były wśród nich takie pozycje jak „Ropożerni" z 1988 r., „Akumulator" z 1994, „Jazda" z 1994 r. i słynny już „Kola" z 1996 r.

Projekcjom towarzyszyły wystąpienia krytyków i historyków filmowych - Jana F. Lewandowskiego i Tadeusza Wantuły oraz dyskusja zatytułowana „Jak zbudować mosty filmowe przez Olzę".

Zatrzymane w kadrze

Wystawę, na którą złożyło się kilkadziesiąt czarno-białych fotogramów, wykonanych w latach sześćdziesiątych w Czeladzi, zaprezentował jej twórca, znany fotograf Jerzy Żymirski w Spółdzielczym Domu Kultury „Odeon" w Czeladzi.

Jest to plon jego wieloletniej działalności artystycznej. Fotogramy odzwierciedlają nie tylko atmosferę miasta tamtych lat, ale wyrażają również stosunek twórcy do dawno nieistniejących zakątków, obiektów, często detali nie zauważanych przez samych mieszkańców.

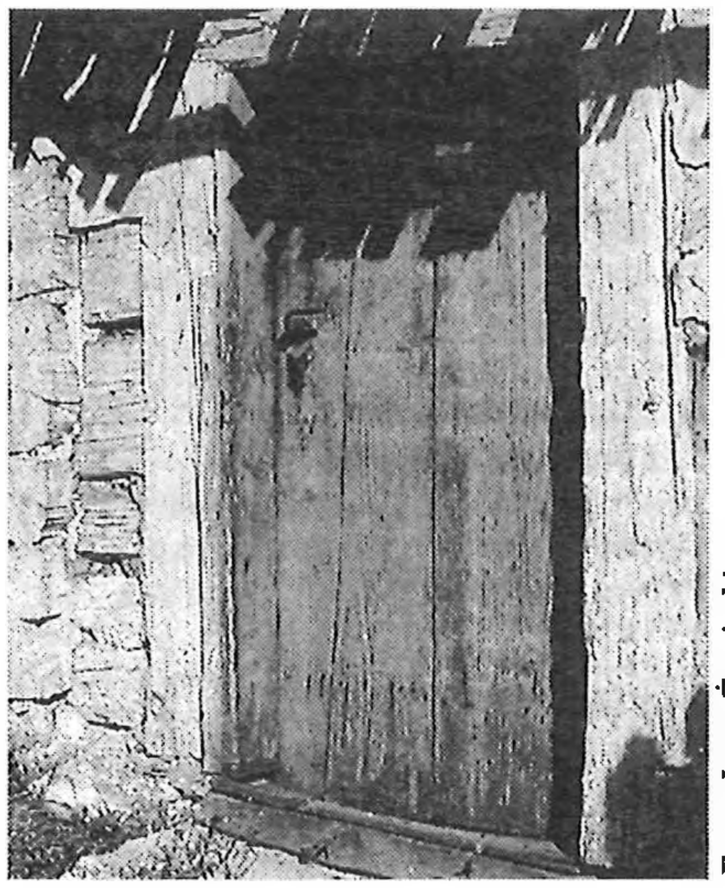


Foto: Jerzy Żymirski

Artysta ma w swoim dorobku również bogatą dokumentację zagłębiowskich cmentarzy - Będzina, Dąbrowy Górniczej i Czeladzi. Jedną z jego pasji jest również fotografia pejzażowa. Jest członkiem Grupy Dobrej Fotografii „Manus" w Bytomiu, w której działają również tak znani fotografowie jak Roman Kucia czy Radosław Koj.

„Śląskie śpiewanie"

W dniach 13-14 maja w Teatrze Ziemi Rybnickiej w Rybniku odbyły się finały V Przeglądu Piosenki Dziecięcej „Śląskie Śpiewanie". Komisja Konkursowa pod przewodnictwem prof. Adolfa Dygacza spośród 154 prezentacji różnorodnych zespołów wokalnych, instrumentalnych, duetów, solistów i wielu innych, wyłoniło 9 nominacji do Grand Prix. Nagroda ta zostanie przyznana 7 czerwca w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu i będzie to Statuetka Szczyglika Śląskiego Śpiewania.

Nominowanymi do najwyższej nagrody zostali: Zespół „Komes" z ODK „Komes" w Kędzierzynie-Koźlu, chór parafialny „Gwiazdeczki" z Bojszów Nowych, kapela „Nowina" z Jabłonkowa (Zaolzie), zespół „Dziołchy i syncy z Kolonije" z Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie - Nowym Mieście (Zaolzie), chór „Bel canto" z I LO w Rybniku, zespół Prywatnego Żeńskiego LO Sióstr Urszulanek w Rybniku, zespól „Równica" z SP nr 1 w Ustroniu, zespół „Katowiczanie" z SP nr 33 w Katowicach oraz chór z OPP przy SP nr 5 w Czerwionce-Leszczynach.

Organizatorami imprezy są Związek Górnośląski w Katowicach, Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego, Wydział Kultury UW, Kuratorium Oświaty w Katowicach oraz Urzędy Miejskie Katowic, Rybnika i Zabrza.

„Inspiracje'98"

Miejska Galeria Sztuki Extravagance i Urząd Miejski w Sosnowcu ogłaszają kolejną edycję Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Inspiracje" 1998. Celem konkursu jest popularyzacja dzieł sztuki plastycznej i współczesnej poezji.

Uczestnicy nadsyłają 1 utwór poetycki lub zestaw do 3 utworów poetyckich, inspirowanych dziełem sztuki plastycznej (np. obrazem, rzeźbą, instalacją plastyczną) eksponowanym w konkretnym muzeum lub w galerii sztuki).

Każdy utwór poetycki powinien zawierać adnotację, jakim dziełem plastycznym jest inspirowane (autor, tytuł, miejsce prezentacji).

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa 15 lipca br. Prace należy nadsyłać (wyłącznie maszynopis, w 3 egzemplarzach, opatrzone godłem) na adres: Miejska Galeria Sztuki Extravagance ul. 3 Maja 39, 41-200 Sosnowiec, tel./fax 66-38-42.

Jury obradować będzie pod przewodnictwem prof. dra hab. Ireneusza Opackiego.

■ Gościem zabrzańskiego Dyskusyjnego Klubu „Agora" był znany tłumacz i wydawca literatury polskiej, poeta, członek PEN Clubu Centrum - Henryk Bereska.

■ W Klubie Dziennikarza w Domu Prasy w Katowicach odbyło się spotkanie promujące książkę „Kołysanka dla spóźnionych" autorstwa Krzysztofa Mika.

■ W Miejskim Centrum Kultury w Mysłowicach Teatr Małych Form Poko zaprezentował przedstawienie „Abelard i Heloiza" Ronalda Dunkana w reżyserii Bogusława Kierca.

■ Koncert „Musical jak sen... lub miłość", któremu patronował wojewoda katowicki Marek Kempski odbył się 20 kwietnia w Sali Marmurowej Urzędu Wojewódzkiego.

■ Miejska Biblioteka Publiczna w Katowicach była organizatorem wystawy „Rok polski - obyczaj i wiara" poświęconej 30-tej rocznicy śmierci Zofii Kossak - Szczuckiej.

■ Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum" został zaproszony do udziału w IV edycji Małego Zderzenia Teatrów w Kłodzku, podczas którego zaprezentował tamtejszej publiczności „Kota w butach" - widowisko oparte na popularnym tekście Jana Brzechwy, w reżyserii Bogdana Nauki, z muzyką Bogumiła Pasternaka, scenografią Jerzego Zitzmana i kostiumami autorstwa Ewy Pietrzyk.

■ Premiera spektaklu „Jestem znów. Maria Meyer śpiewa Brela" w reżyserii Józefa Opalskiego, odbyła się 24 kwietnia w Teatrze Rozrywki w Chorzowie.

■ Muzeum Miejskie w Świętochłowicach z okazji Roku Mickiewiczowskiego zorganizowało spotkanie poświęcone Adamowi Mickiewiczowi, podczas którego wykład wygłosił Bogdan Nowicki oraz otwarto wystawę pt. „Marzyciel i buntownik".

■ Grafika Małgorzaty Et Ber Warlikowskiej pokazana została podczas wystawy zatytułowanej „Chcę być bananem" w Galerii „Inny Śląsk" w Tarnowskich Górach.

■ Wystawa fotograficzna „Monte Cassino 1944" została otwarta w Galerii „Ciasna" w Jastrzębiu.

■ Ekspozycję fotografii Piotra Rębacza „Dwa stawy - dwa światy" przygotowało Muzeum Miejskie w Świętochłowicach.

■ Nie przyznano I miejsca podczas ostatniej, szóstej edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rafała Wojaczka w Mikołowie, natomiast laureatem drugiej nagrody został Adam Pluszka z Zabrza a wyróżnień Marcin Kurek z Wrocławia, Adam Lekszycki z Dąbrowy Górniczej, Sabina Wawerla z Katowic i Monika Saranowska z Wrocławia.

■ Teatr Pierwszy z Katowic przedstawił premierowe przedstawienie „Snu króla Nabuchodonozora" w Teatrze Małym w Tychach.

■ W katowickiej galerii sztuki współczesnej Muzeum Archidiecezjalnego „Fra Angelico" odbył się wernisaż wystawy rzeźb Karola Szpostaka-Gąsienicy.

■ „Bursztyn - skarb dawnych mórz" - to tytuł wystawy otwartej w „Domu Urbańczyka" w Chrzanowie.

■ Do 15 sierpnia można nadsyłać na konkurs ogłoszony przez prezydenta Sopotu i redakcję Dwumiesięcznika Literackiego „Topos" (na adres Wydziału Kultury Urzędu Miasta Sopotu, ul. T. Kościuszki 25/27, 810704 Sopot z dopiskiem Konkurs) eseje krytyczne (szkice, recenzje, rozprawy) napisane przez młodych autorów poświęcone współczesnej krytyce literackiej pod tytułem „Poezja-oddech bogów czy rytm ulicy?".

Pośmiertny triumf bolszewika Bogdanowa

Ideolog bolszewików Aleksander Aleksandrowicz Bogdanow widział sens rozwoju społecznego w przerwaniu ciągłości kulturalnej. Wedle jego teorii tzw. proletkultu „kultura proletariatu nie może zapożyczać niczego z istniejącej tradycji, lecz musi rozpocząć wysiłek tworzenia z niczego; wspierać się ma zatem (...) wyłącznie na aktualnych potrzebach klasy, której służy".

Mimo, iż od tych wątpliwych odkryć umysłowych minął wiek, nie tylko na wschód od Bugu spotkać można osoby, którym się wydaje, iż ideałem społecznym jest wiara w postęp wbrew kulturze. Wysiłek tworzenia z niczego rozpoczął właśnie niejaki Jacek Sodzawiczny. Na co dzień jest to szkoleniowiec piłkarzy jednej z ostatnich drużyn śląskiej klasy A, który ujawnia talenty umysłowe na łamach biuletynu zakładowego „Solidarności" pracowników Nicrometu — prywatnej firmy Edwarda Wyciśloka w Bestwince.

Lepiej wykształconych od siebie bestwińskich intelektualistów Jacek Sadzawiczny nazywa urojonymi ekspertami. Nauczyciel kopiącej młodzieży w prostych żołnierskich słowach zarzuca władzom Bestwiny, że „na GOK idzie tyle pieniędzy co na 7 klubów sportowych (...). A są jeszcze: 40.900 zł (na Muzeum) 35.500 zł (na Zespół Regionalny Bestwina), 30.700 zł (działalność wydawnicza).

Jak widać, Jacek Sodzawiczny nie pisuje piórem, które nawykło do poprawnej polszczyzny. Pozwala mu to jednak traktować jak piąte koło u wozu muzeum i inne instytucje kultury, które są powodem dumy mieszkańców tysiącletniej już Bestwiny. Jeśli wierzyć obliczeniom niefortunnego trenera o ambicjach żurnalisty, gmina wydaje na kulturę około trzy proc. dochodu, co i tak jest kwotą groteskową.

Rozumiem, że Jacek Sodzawiczny chciałby te pieniądze przeznaczyć na rozwój fizyczny swoich podopiecznych, a najlepiej także... szalikowców. Zbudowałby natenczas coś z niczego. Wsparłby się nie na tradycyjnych wartościach, takich jak prawda, dobro i piękno, których nośnikiem jest kultura, lecz na aktualnych potrzebach (w najlepszym razie wartościach rychło przemijających). Czyż nie tak widział świat bolszewik Bogdanow? Jakie miejsce Jacek Sodzawiczny wyznaczyłby w owym świecie „Solidarności", której rzekomo służy? Byłoby ono zapewne niezwykle poczesne, skoro nawet gramatykę języka polskiego nauczyciel kopania traktuje w sposób rewolucyjny. Dopuszcza bowiem, iżby na łamach biuletynu Nicrometu o jednym z najbardziej pamiętnych miejsc w historii ruchu związkowego pisano „kopalnia Wójek".

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Nagrody dla akademików

W dziesiątym roku działalności Chór Instytutu Pedagogiki Muzycznej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie odniósł znaczący sukces. Zdobył jedną z najwyższych ocen oraz „Złoty dyplom" Międzynarodowego Konkursu Chóralnego w Riva del Garda we Włoszech. Uzyskał także prawo do zamówienia w niemieckim wydawnictwie muzycznym „Bärenreiter" z Kassel materiałów nutowych za 600 marek. Nagrodę specjalną zdobyła ponadto dyrygentka Aleksandra Paszek-Trefon. Jak twierdzi szef oddziału beskidzkiego PZChiO Kazimierz Fober, sukces świadczy o nieprzeciętnych kwalifikacjach kierowniczki chóru, gdyż trzecia część chórzystów śpiewa zaledwie od początku roku akademickiego.

Panorama wieków

Do końca września w Galerii Muzeum przy ul. Srebrnej w Cieszynie czynna będzie wystawa pt. „Cieszyn — widoki, panoramy, weduty na przestrzeni wieków". Znalazł się na niej zbiór niemal 200 rysunków, grafik, obrazów, a także fotografii. Ujawniają one oblicza grodu nad Olzą w ciągu pięciu wieków. Na wystawie pojawiło się m.in. najstarsze znane przedstawienie Wieży Piastowskiej i kaplicy grodowej na Górze Zamkowej, które uwiecznił Sebastian Műnster w dziele „Cosmographia uniwersa" z 1541 r.

Warchoły u Habsburgów

W salonach Starego Zamku Habsburgów w Żywcu 24 kwietnia otwarto wystawę rysunku oświęcimskiego grafika Pawła Warchoła pt. „Warchoły u Habsburgów". Artysta urodził się w 1958 r. w Krakowie, a w 1984 r. ukończył katowicki Wydział Grafiki krakowskiej ASP. Od kilkunastu lat w jego twórczości dominują rysunki tuszem, które łączą się w olbrzymie cykle nawiązujące do problematyki metafizycznej, biblijnej i oświęcimskiej. W Żywcu Warchoł pokazał, iż potrafi również przy pomocy „lekkich" rysunków bawić się z publicznością.

Krzysztof dla Węgrów



Foto: Jan Picheta

W Bielsku-Białej odbył się XVIII Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej, w którym wystąpiło 31 zespołów teatralnych z 13 krajów Europy, Ameryki, Azji i Afryki. Przyznaną przez publiczność nagrodę główną (pięć tys. dolarów i statuetkę dłuta Bronisława Krzysztofa) otrzymali węgierscy artyści z teatru „Bobita" w Peczu — reżyser Laszlo Rumi, scenograf i aktor Zuzanna Szabo (na zdjęciu) i autor oraz wykonawca muzyki Marton Kowacz — za realizację spektaklu „Gdzie jest koniec świata" Anny Kiss. Zuzanna Szabo otrzymała ponadto nagrodę bielskiego Stowarzyszenia „Sztuka-Teatr" za grę aktorską i scenografię.

Nagrody kapituły artystycznej (po dwa tys. dol. i statuetce B. Krzysztofa) przyznano Stefanowi Mottramowi z Oxfordu za spektakl pt. „Nosiciele nasion" i Miejskiemu Teatrowi Lalek z Magdeburga za spektakl „Dziecko słońca". Teatr „Animacja" z Poznania za przedstawienie „Kota w butach" otrzymał tysiąc dolarów i rzeźbę Lidii Sztwiertni. POLUMINA nagrodziła ponadto Przemysława Grządzielę z gdańskiej „Pinezki".

Bielska „lipa"

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Złote Łany" organizuje II Ogólnopolski oraz XVI Wojewódzki Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „LIPA 98". W imprezie mogą uczestniczyć uczniowie polskich szkół podstawowych i średnich. Tematyka, rodzaj, ilość i objętość samodzielnie wymyślonych dzieł jest dowolna. Utwory można nadsyłać w jednym egzemplarzu maszynopisu. Prace należy podpisać imieniem i nazwiskiem, podać adres, nazwę szkoły i klasy, a także dane na temat ewentualnych nagród, wyróżnień i publikacji. Utwory trzeba przesłać pod adresem klubu „Best": 43-300 Bielsko-Biała, ul. Jutrzenki 22, z dopiskiem „Lipa 98" do 30 czerwca 1998 r. Szczegółowe informacje można uzyskać pod nr. tel. 033/14-12-92.

Jednym zdaniem

■ „Wyobraźnia wyzwolona" to tytuł ekspozycji towarzyszącej w kwietniu XVIII MIędzynarodowemu Festiwalowi Sztuki Lalkarskiej w Galerii Bielskiej BWA.

■ Do 10 maja w dolnej sali Galerii Bielskiej BWA wystawiano lotnicze fotografie Izraela podczas ekspozycji pn. „Horyzonty".

■ Do 30 czerwca pod adresem Zbiorów Historycznych Ziemi Wadowickiej można nadsyłać zdjęcia dawne i współczesne na konkurs pn. „Wadowice, wadowiczanie".

■ Od 8 do 31 maja w sali bielskiego BWA była prezentowana pośmiertna wystawa malarstwa Zenobiusza Zwolskiego.

■ Do połowy czerwca w Galerii 3-2-0 w Bielsku-Białej będzie wystawiać malarstwo i rysunek artystka pędzla i pióra Kamila Machnio.

■ Dni Klanu Grabowskich (Mikołaja i Andrzeja, ich rodzin i przyjaciół) odbyły się w pierwszej dekadzie maja w Miejskim Domu Kultury w Andrychowie.

■ „Plast-Uś Cieszyn 98" to nazwa Dni Instytutu Sztuki Filii Uniwersytetu Śląskiego, które w pierwszej połowie maja zorganizowano w Domu Narodowym w Cieszynie.

■ I Ogólnopolski Turniej Tańca Współczesnego odbył się w Kętach.

Kłopotliwa tradycja

Udział w corocznych obchodach rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja i wybuchu III Powstania Śląskiego organizowanych na Górze św. Anny jest przygnębiającym doświadczeniem. Symbolem tej uroczystości są wzmocnione siły policji, które obstawiają gminę Leśnica i czujnie legitymują „podejrzanych patriotów", gotowych przyjechać na Górę św. Anny aż ze Szczecina. Mieszkańców Opolszczyzny reprezentują pod Pomnikiem Czynu Powstańczego władze regionu, kombatanci, harcerze oraz kompania honorowa i orkiestra Wojska Polskiego. Oficjele zjawiają się pod Pomnikiem, wygłaszają krótkie przemówienie, składają kwiaty i natychmiast znikają, by nie być świadkiem jakichś ekscesów ze strony narodowców. O capstrzyku dla młodzieży, jakimś ognisku i patriotycznej gawędzie od dawna nie ma mowy. Ostatnia miała miejsce podczas wizyty prezydenta RP, ale okazja była szczególna.

Władze Opolszczyzny zachorowały na syndrom Dziewkowic. Przypomnijmy — przed pięciu bodaj laty grupka młodych nacjonalistów urządziła rajd na wieś Dziewkowice, której sołtys opowiadał się publicznie za wprowadzeniem dwujęzycznych nazw miejscowości. Od tego czasu uroczystości organizowane są zwykle 2 maja (bo 3 przyjeżdżają zwolennicy różnych narodowych ugrupowań, czyli — skini), a prawdziwym gospodarzem Góry św. Anny stają się na kilka dni policjanci z tonfami. Włodarze regionu udają, że narodowcy to nie problem, ale tak naprawdę działają pod ich presją. W przemówieniach pod Pomnikiem sławi się patriotyzm powstańców, ale za każdym razem podkreśla się także wagę kulturowej integracji różnych grup narodowych zamieszkujących Opolszczyznę. Zapewne chodzi o to, by stworzyć jakąś przeciwwagę dla skandowanego przez gości z centrum kraju hasła: „Śląsk Opolski zawsze polski".

Czasem można odnieść wrażenie, że Dziewkowice były wielu Opolanom na rękę. Pamięć o chuligańskim wybryku urosła do rangi alibi dla dyskretnych starań o swoistą neutralizację powstańczych rocznic. Mówiąc brutalnie, powstańcza tradycja stała się tradycją kłopotliwą. Nikt się jej oczywiście nie wstydzi, ale również nikt nie próbuje jej w sensowny sposób wykorzystać do patriotycznej edukacji młodego pokolenia.

Być może dzieje się tak dlatego, że Opolanie uciekli od narodowych i etnicznych podziałów w wyidealizowany świat heimatu, małej ojczyzny, która łączy wszystkich mieszkańców regionu. To ta wizja kształtuje polityczny dyskurs i sprawia, że niechętnie wraca się do tych kart historii, które dzielą Opolan. Nie przez przypadek ton tegorocznym obchodom trzeciomajowego święta nadało dramatyczne wystąpienie wojewody Ryszarda Zembaczyńskiego, który zaapelował do rządu, by ten „zostawił Śląsk Opolski w spokoju".

Opolskie elity mówią o tym, że od nieufności w stosunkach narodowych udało się przejść do tolerancji, współpracy i „poczucia ubogacenia rentą etniczną". W dokumentach akceptowanych przez Urząd Wojewódzki możemy na przykład przeczytać, że duże województwo śląskie jest pomysłem horrendalnym, bo mogłoby zahamować naturalny „proces odzyskiwania przez mieszkańców regionu ich niemieckich korzeni". I jak tu w tych warunkach ciągać młodych Ślązaków pod Pomnik Czynu Powstańczego i przypominać im o polskich korzeniach tej ziemi?

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Spółka cywilna: teatr

„Żegnaj Judaszu", mroczna sztuka Ireneusza Iredyńskiego, to kolejna propozycja prywatnej trupy teatralnej „Pompon z Bąblem", założonej przed rokiem przez dwóch opolskich aktorów Wiesława Cichego (grał między innymi w filmach Kolskiego) oraz Dariusza Skowrońskiego. Aktorzy zagrali za darmo (adnotacja na zaproszeniu: „wstęp wolny lub co łaska") na gościnnych deskach Opolskiego Teatru Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki.

„Pompon z Bąblem" to przedsięwzięcie w pełni komercyjne i samofinansujące się. Na co dzień Cichy i Skowroński dają przedstawienia w szkołach i przedszkolach, zarabiając w ten sposób na życie. Nie rezygnują jednak z grania repertuaru dla dorosłych — dramat Iredyńskiego to ich druga premiera w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

Amatorzy na scenie

Dwie równorzędne pierwsze nagrody przyznano podczas zorganizowanego w Nysie XVI Wojewódzkiego Przeglądu Amatorskich Teatrów Dramatycznych. Otrzymali je teatr Macabrescum Divizjon z Ozimka za „Czekając na Godota" oraz teatr Gart z Pałacu Młodzieży w Katowicach za przedstawienie „A nuż, czyli nóż w pięcie" według Gałczyńskiego.

Nagrody indywidualne otrzymali: Robert Konowalik i Tomasz Huras z Ozimka, Dorota Herman, Agnieszka Kołodyńska i Andrzej Cichoń z Brzegu oraz Iwona Garus z opolskiego teatru Pakamera.

Obrona małych ojczyzn

W Sali Herbowej Urzędu Wojewódzkiego w Opolu odbył się VIII Zjazd Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego. Jego prezesem ponownie wybrany został poeta Jan Goczoł.

Obrady regionalistów zdominowała tematyka związana z reformą administracyjną kraju — dyskutanci w zdecydowany sposób opowiadali się za utrzymaniem samodzielnego województwa opolskiego. W podobnym tonie wypowiadali się obecni na zjeździe politycy, którzy komplementowali działaczy OTKO za wkład w propagowanie wizji Opolszczyzny jako małej ojczyzny wszystkich jej mieszkańców. — *Jesteście ludźmi, którym chce się chcieć* — mówił do delegatów poseł Jerzy Szteliga.

W programowym przemówieniu Jan Goczoł mówił o tym, jak wielkim wyzwaniem dla Opolan stała się walka w obronie regionu. Jego zdaniem, włodarze Opolszczyzny będą musieli znaleźć jakiś sposób na to, by w mądry sposób spożytkować wyzwoloną nagle społeczną aktywność.

Dylematy ludzi wolnych

Opolskie Xawerianum zorganizowało trzydniową konferencję pod hasłem „Dylematy ludzkiej wolności", w całości poświęcone moralnym problemom, jakie stawia przed współczesną cywilizacją rozwój myśli naukowej.

W pierwszym dniu dyskutowano o karze śmierci — w imieniu jej zwolenników wystąpił lider UPR Stanisław Michalkiewicz, przeciwników reprezentował naukowiec z Uniwersytetu Jagiellońskiego Piotr Bartula.

Kolejne dni seminarium zdominowała tematyka związana z inżynierią genetyczną oraz sztucznym zapłodnieniam.

Jednym zdaniem

■ W Muzeum Śląska Opolskiego zaprezentowano wystawę „Muzeum w plecaku" — jej komisarz Joanna Gołogórska zebrała eksponaty gromadzone przez polskich żołnierzy podczas II wojny na Bliskim Wschodzie i w Afryce.

■ Kolejna wystawa w tymże Muzeum poświęcona została „Obrońcom cmentarza lwowskiego".

■ Brzeg obchodził 750-lecie — wśród atrakcji znalazły się rycerskie turnieje i średniowieczna kuźnia mennicza bijąca miedziane kopie srebrnych denarów z XII wieku.

■ Instytut Śląska Opolskiego zabrał się za gromadzenie materiałów, które złożą się na „Białą księgę protestu województwa opolskiego", ilustrującą walkę Opolan o zachowanie statusu samodzielnego regionu.

■ Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu zaprezentowała wystawę rysunków Leszka Ołdaka i grupy Narol.

■ Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach opublikowało rozprawę Danuty Kisielewicz „Oficerowie polscy w niewoli niemieckiej w czasie II wojny światowej".

■ W kościele ewangelicko-augsburskim w Kluczborku zaczął się XIII cykl koncertów organowych.

■ W Łubnianach i Ozimku odbyły się eliminacje do V Przeglądu „Śląskie śpiewanie" — po raz pierwszy w Konkursie wzięły udział grupy afiliowane przy Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Niemców na Śląsku Opolskim.

■ W Muzeum Wsi Opolskiej pokazano wystawę prac egzaminacyjnych absolwentów renowacji architektury z Zespołu Szkół Budowlanych w Opolu.

■ W sanatorium w Mosznej rozpoczęło się 3 maja XIV Muzyczne Święto Kwitnących Azalii.

„Słowaki" na Zaolziu

Konsul RP w Ostrawie Piotr Szwarc objął honorowy patronat nad XV już Zlotem Liceów Ogólnokształcących im. Juliusza Słowackiego, który odbył się tym razem na Zaolziu — w dniach 30 kwietnia do 2 maja, a którego gospodarzem była karwińska filia czeskocieszyńskiego Polskiego Gimnazjum.

Jak poinformował mnie zastępca dyrektora gimnazjum, a zarazem szef karwińskiej filii Andrzej Bizoń, zloty liceów, których patronem jest J. Słowacki, są przede wszystkim okazją do konfrontacji poszczególnych szkół na polu działań m.in. literackich, kulturalnych, turystycznych, historyczno-literackich, jak również okazją do spotkań o charakterze towarzyskim i artystycznym. Ich głównym organizatorem jest Stowarzyszenie LO im. J. Słowackiego z siedzibą w Chorzowie, które zrzesza 15 „Słowaków" (jak zwykli o swoich liceach mówić ich uczniowie), jest jego członkiem Kolegium Nauczycielskie w Krzemieńcu na Ukrainie (miejsce urodzin Wieszcza), a od ub. roku także karwińskie gimnazjum.

— Juliusz Słowacki był patronem naszej szkoły jeszcze przed połączeniem się z gimnazjum czeskocieszyńskim. Dlatego też już przed sześcioma laty zainteresowaliśmy się życiem „Rodziny Słowaków", a przyjęci zostaliśmy do Stowarzyszenia w lutym 1997 r. — mówi A. Bizoń. — Jeśli natomiast chodzi o zorganizowanie jubileuszowego Zlotu „Słowaków" na Zaolziu, to wpadliśmy na tę myśl wspólnie z pracownikiem Kuratorium Oświaty w Katowicach, Andrzejem Królem. Wierzymy bowiem, że zapoznanie się z kulturą, historią i tradycjami naszego regionu pomoże młodzieży z Polski i Ukrainy zrozumieć, że na drodze do otwartej Europy. Europy bez granic, trzeba poznać własne korzenie.

Podczas 3-dniowego pobytu w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, goście z Polski zwiedzili — oprócz gmachu karwińskiego gimnazjum — m.in. Żwirkowisko oraz zamek i Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie-Frysztacie. Nie zabrakło też, oczywiście, spotkań z zaolziańską młodzieżą, wykładu członka Rady Polaków Romana Barona nt. Zaolzia i jego historii, jak również koncertu poezji J. Słowackiego w wykonaniu uczestników Zlotu.

Wizytę na Zaolziu zakończyli przedstawiciele „Słowaków" w Cz. Cieszynie, gdzie nie tylko zwiedzili gmach gimnazjum, ale mieli też okazję wysłuchać wykładu nt. historii i obecnej sytuacji polskiego szkolnictwa w Republice Czeskiej.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Pamięci Jana Kubisza

150. rocznicy urodzin Jana Kubisza poświęcone zostało ostatnie w marcu spotkanie czeskocieszyńskiego Klubu Propozycji. Wykład na temat życia i twórczości autora słynnych wierszy „Do Olzy" (znanego bardziej w wersji pieśniowej „Płyniesz Olzo...") czy „Ojcowski dom" wygłosił członek Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO Jan Szynmik.

Uczestnicy przypomnieli dawne zabiegi o nazwanie którejś z czeskocieszyńskich ulic imieniem tego zasłużonego budziciela narodowego oraz postanowili doprowadzić do odlania w brązie popiersia „starego nauczyciela", którego gipsowy projekt autorstwa Franciszka Świdra znajduje się obecnie w auli Gimnazjum Polskiego. W tym celu wystosowali apel do mieszkańców Zaolzia o przeprowadzenie zbiórki złomu metali kolorowych i pieniędzy.

Pochodzący z Końskiej koło Trzyńca Jan Kubisz (1848—1929) prowadził przez całe dojrzałe życie szkołę w Gnojniku. Wydał zbiory wierszy „Niezapominajka" (1882), „Śpiewy starego Jakuba" (1889), „Z niwy śląskiej" (1902) oraz wspomnienia „Pamiętnik starego nauczyciela" (1928).

„Poloniada" po raz piąty

Na początku kwietnia przebiegła w Cz. Cieszynie 5. już edycja „Poloniady", czyli konkursu wiedzy o Polsce dla uczniów zaolziańskich szkół średnich. W turnieju zorganizowanym tradycyjnie przez Kongres Polaków w RC, zmierzyło się 11 osób: drużyny z Polskiego Gimnazjum w Cz. Cieszynie, jego filii w Karwinie oraz czeskocieszyńskiej Akademii Handlowej, a także dwie zawodniczki indywidualne.

Zawodnicy musieli się wykazać nie tylko wiadomościami nt. życia kulturalnego, politycznego i społecznego Polski oraz jej historii ale również elokwencją, omawiając któryś z wybranych wcześniej tematów. Dużą odwagę, ale i dobry poziom zaprezentowały przede wszystkim zawodniczki indywidualne — Barbara Guziur i Irena Wacławik. Jury postanowiło obie wysłać na finał „Poloniady" do Warszawy.

Na polski rynek

Jak uaktywnić dystrybucję zaolziańskich książek nie tylko w RC, ale również w Polsce? — temu tematowi poświęcone było kwietniowe spotkanie w Kancelarii Rady Polaków, w którym wzięli udział przedstawiciele zaolziańskich wydawnictw oraz dystrybutorzy książek. Spotkanie, którego głównymi inicjatorami były Hurt Księgarski „Alfa" z Bielska-Białej i firma „Contact", zorganizował Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie.

Chcieliśmy przede wszystkim uświadomić wydawcom, że książka dzisiaj wydawana musi posiadać Międzynarodowy Znormalizowany Numer Książki, czyli tzw. ISBN. Bez tego nie może być mowy o wprowadzeniu naszych książek na rynek polski. Tylko dla książek oznaczonych ISBN państwo polskie stosuje zerową stawkę VAT-u — powiedziała kierowniczka Oddziału Helena Legowicz.

Rozmawiano również o tym, by wydawcy ustalali zawsze zalecaną cenę sprzedaży wydawanych przez nich książek, tak by poszczególni dystrybutorzy mogli je sprzedawać po jednej cenie. Ustalono też, że w sprawie dystrybucji zaolziańskich książek na polskim rynku trzeba się zwrócić m.in. do departamentu książki Ministerstwa Kultury, by pomógł on przy prezentacji zaolziańskich wydawnictw podczas targów książki w Polsce.

Bajki Piotrusia

Czeskocieszyński poeta Piotr Horzyk wydobył z rodzinnego zanadrza kilka wierszyków, którymi przed laty zabawiał swoje pociechy. Powstała w ten sposób książka pod tytułem „Bajki Piotrusia", którą wydało w kwietniu Wydawnictwo „Olza". Tomik ułożył graficznie i zilustrował Józef Drong i to w ten sposób, że mali czytelnicy mogą jego obrazki dowolnie kolorować.

Do Gustawa Sajdoka, który wydał dla dzieci „Zaczarowany młynek", „Na podwórku" i „Zaczarowaną parasolkę" doszlusował oto kolejny autor literatury dla dzieci. Rozpoczynał zaś na tym polu w latach 60. Henryk Jasiczek tomem „Baju baju z mojego kraju...". Może zaolziańscy wydawcy pomyślą również o wznowieniu tej legendarnej już książeczki?

Jubileusz ZPiT „Suszanie"

Już prawie 45 lat minęło od lipca 1953 roku, kiedy to po raz pierwszy zaprezentował się zaolziańskiej publiczności zespół taneczny MK PZKO w Suchej Górnej. Fakt ten członkowie zespołu, który w roku 1986 przyjął nazwę „Suszanie", uczcili nowym programem pn. „Tańczymy dla Was", którego premiera odbyła się 24 kwietnia.

Autorką scenariusza i reżyserem koncertu była wieloletnia kierowniczka zespołu Janina Rzyman. Zespół przedstawił nie tylko tańce śląskie, ale również czeskie, słowackie oraz folklor z okolic Łowicza. Burzliwymi oklaskami nagrodzono przede wszystkim akrobatyczne popisy chłopców w obrazku „Przyszła wiosna", słowacką „Szarisz polkę" oraz kujawiaka i oberka. Oklaskiwano jednak nie tylko tancerzy, ale i wspaniałych wokalistów, przede wszystkim fenomenalną Beatę Czendlik.

Zespół „Suszanie" znany jest nie tylko publiczności zaolziańskiej. Mieli okazję podziwiać jego występy również uczestnicy Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Zespól wziął udział w festiwalach folklorystycznych w Strażnicy (Morawy), byłej Jugosławii i Francji. Wyróżniono też „Suszan" w 1996 r. na X Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie.

Jednym zdaniem

■ W ostrawskim Klubie Jazzowym „Parnik" wystąpiła w kwietniu polska wokalistka Kasia Karasek ze swoim zespołem „Funktet".

■ Do końca kwietnia mogli mieszkańcy Karwiny zwiedzać w sali wystaw im. J. Mánesa wystawę mieszkającego w Ostrawie artysty-plastyka Jiřego Holika.

■ Działający przy czeskocieszyńskim Polskim Gimnazjum chór „Collegium luvenum" uczestniczył w dniach 2–4 kwietnia w IV edycji brneńskiego festiwalu chórów gimnazjalnych „Gymnasia Cantant".

■ Kolejną wystawę poświęconą historii stolicy powiatu karwińskiego zorganizowali w kwietniu pracownicy Archiwum Powiatowego w Karwinie. Wystawa pn. „Frysztat w dokumentach archiwalnych" potrwa do końca września br.

■ Gościem kwietniowego spotkania w jabłonkowskiej Kawiarence „Pod Pegazem" był wrocławski poeta, znany twórca literatury dla dzieci Andrzej Grabowski.

■ Na przedostatnią w tym sezonie premierę (25 kwietnia) wybrał sobie zespół Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego sztukę „Burza" Aleksandra Ostrowskiego.

■ Karwińska Fundacja „Pro", mająca na celu promowanie kultury, urządziła w kwietniu w Domu Towarzyskim w Darkowie aukcję obrazów. Dochód wpłynie na konto, na którym fundacja gromadzi środki potrzebne do wydania monografii zmarłego przed rokiem artysty-plastyka Franciszka Świdra.

■ Anna Mitręga i Maciej Szewczyk ze szkoły w Bystrzycy zwyciężyli w 9. edycji „Miss & Mister Show", czyli wyborów najsympatyczniejszych uczniów zaolziańskich polskich szkół podstawowych, które przebiegły 24 kwietnia w Trzyńcu. Miss Publiczności została Halina Bielesz z Trzyńca.



Glossy górnośląskie

Powróciły „Studia”!

Po kilkuletniej przerwie ukazały się rok po roku kolejne tomy „Studiów i Materiałów z Dziejów Śląska” — nieregularnego wydawnictwa ciągłego pełniącego funkcję wizytówki katowickiego środowiska historyków. Fakt ten tym większego nabiera znaczenia, jeśli rozpatrywać go w kontekście dziwnego zaniknięcia starego i dobrze zasłużonego dla śląskiej kultury i nauk humanistycznych „Zarania Śląskiego”. Same zaś „Studia i Materiały” też już obchodzić mogą czterdziestolecie istnienia — pierwszy bowiem tom, którego wydawcą był wtedy Zakład Historii Śląska Instytutu Historii wrocławskiego oddziału PAN, ukazał się w roku 1957. Od tomu trzeciego (1960) funkcję edytora przejął niedawno powstały Śląski Instytut Naukowy w Katowicach. Jedenaście z dwunastu pierwszych tomów podpisał jako redaktor Kazimierz Popiołek (przy redakcji dwóch współuczestniczył historyk Śląska Cieszyńskiego Józef Chlebowczyk). Zamieszczane wtedy obszerne studia i artykuły dotyczyły głównie zjawisk związanych z industrializacją Górnego Śląska w XIX i początkach XX wieku. Potem, po roku 1973, nastąpiła niemal dziesięcioletnia przerwa w wydawaniu. Wznowił „Studia” tomem trzynastym w roku 1983 prof. Stanisław Michalkiewicz — dyrektor Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego i współautor wielotomowej „Historii Śląska” wydawanej we Wrocławiu. W redagowanych przez niego czterech tomach nastąpiło rozszerzenie ram chronologicznych i pojawiły się teksty spoza ściśle pojmowanej historii.

Tomy z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych przypominają też tragiczną serię zgonów czołowych przedstawicieli naszego środowiska historycznego. Oto ciąg umieszczonych w czarnych ramkach nazwisk redaktorów kolejnych tomów: „Studiów i Materiałów”: Stanisław Michalkiewicz, Władysław Zieliński, Andrzej Szefer.

Edytorem tomów 21. (1996) i 22. (1997), opublikowanych, jak powiedziano wyżej, po kilkuletniej przerwie jest Societas Scientiis Favendis Silesiae Superioris — Instytut Górnośląski, mający status stowarzyszenia następca Śląskiego Instytutu Naukowego. Redaktorem naukowym odrodzonych „Studiów” jest prof. Antoni Barciak. Większość pomieszczonych w nich tekstów to niezbyt obszerne (co jest ich zaletą) artykuły dotyczące różnych zagadnień z dziejów Górnego Śląska od średniowiecza po okres powojenny — z włączeniem obszarów historii Kościoła, szkolnictwa i sztuki. Materiały zawarte w tomach, poza ich indywidualną wartością merytoryczną, dają pojęcie o kierunkach penetracji badawczych przedstawicieli średniego i młodego pokolenia historyków. Dowiadujemy się również, że nie ustają starania, by likwidować „białe plamy” (teksty: Kazimierza Miroszewskiego „Obozy pracy przy kopalniach węgla kamiennego na Górnym Śląsku i w Zagłębiu”, Zygmunta Woźniczki „Podziemie poakowskie na Górnym Śląsku po 1945 r.”). Efekty żmudnych ustaleń szczegółów w biografii żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich i marynarzy polskich statków prezentuje Zbigniew Kapała w dwuczęściowym artykule „Ślązacy na kontynencie afrykańskim w latach II wojny światowej”. Bardzo interesujący tekst młodej doktorantki Uniwersytetu Śląskiego Aleksandry Namysło w tomie 22: „Żydowski ruch młodzieżowy w województwie śląskim w latach 1922—1939” ujawnia solidny warsztat autorki i budzi nadzieje na kontynuację pionierskich prac nad tym tematem.

Z braku miejsca nie możemy nawet wymienić innych jeszcze godnych zainteresowania materiałów — polecamy więc odrodzone „Studia” uwadze licznego grona miłośników dziejów.

„Korfanty będzie regirował!”

Jeszcze jedna glossa do pierwszego wielkiego tryumfu Wojciecha Korfantego — zwycięstwa w okręgu Katowice—Zabrze w wyborach do parlamentu niemieckiego (Reichstagu) w czerwcu roku 1903.

Obserwował tamte wydarzenia z bardzo bliska Antoni Plutyński (1880—1965), wysłannik lwowskiego „Słowa Polskiego”, pisma Ligi Narodowej, który dla odciążenia Korfantego i Kowalczyka redagował przez kilka tygodni w Katowicach „Górnoślązaka” i mieszkał w jednym z dwu pokoi redakcyjnych. Atmosfera tamtych dni wryła mu się tak głęboko w pamięć, że niezwykle plastycznie i z najdrobniejszymi szczegółami odtwarzał ją w dwóch tekstach wspomnieniowych opublikowanych 55 lat później. Dzień głosowania (16 czerwca 1903) wspominał tak: „Już wrażenie pierwszych wyborów było wstrząsające. Redakcja i schody, plac przed budynkiem i sąsiednie ulice pełne były rozgorączkowanego ludu. Przez miasto, które rzadko wtedy słyszało głośną mowę polską, szedł groźny łomot fal lawy, która z podziemia wylała się na ulicę”. („Po złote runo do Warszawy”. „Kierunki” 1960).

A cóż dopiero działo się po ogłoszeniu wyników wyborów barażowych odbytych w dniu 25 czerwca! Oddajmy raz jeszcze głos Plutyńskiemu: „W Katowicach wrażenie zwycięstwa polskiego było piorunujące. Na ulicach i przed „Monopolem” gromady górników krzyczą: „Precz przeklęte pierony! Teraz Korfanty będzie regirował!” Niemcy całkiem stracili głowę: ich elita zgotowała wchodzącemu na wielką salę „Monopolu” nowemu posłowi huczną owację. Właściciel czy też dyrektor hotelu wręczył mu bukiet z biało-czerwoną wstęgą. Redaktor „Kattowitzer Zeitung” Rentch uznał za stosowne wejść na salę bankietową zwycięzców i wygłosić po niemiecku przemówienie wielbiące bohaterstwo tych ludzi, którzy już w bramie więzienia po zaburzeniach w hucie Laura wymachiwali czapkami i wołali: „Niech żyje orzeł polski Korfanty”. („Górnośląskie zwycięstwo”. „Tygodnik Powszechny” 1958) W ostatnim zdaniu mowa jest o skazanych na kary więzienia uczestnikach krwawo stłumionych wystąpień w dniu 21 czerwca, którzy przeciwstawili się brutalnej antykorfantowskiej agitacji uprawianej przez kler.

Musioł redivivus

Ludwik Musioł (1892—1970), nauczyciel i historyk, wybitny znawca dziejów śląskich (np. monografie „Pszczyna”, „Tychy”, zbiór „Materiały do dziejów Wielkich Katowic”) pozostawił maszynopisy ponad 100 monografii i kronik miejscowości, gmin i parafii. Niektóre sprawiają wrażenie jeszcze nie skończonych — jakby konspektów czy brulionów, lecz spora ich część może być wydana in extenso. Pierwszy walor opracowań Musioła to pełne wykorzystanie zasobu archiwalnego dotyczącego danego tematu, a korzystał często z nie spenetrowanych wcześniej archiwów kościelnych, które otwierali przed nim proboszczowie zamawiający te prace. Po latach zapomnienia przyszedł wreszcie szczęśliwy czas, że opracowania te zaczynają być udostępniane szerszej publiczności. Przed dwoma laty ukazały się drukiem „Bujaków” i „Mokre”, wydane na zlecenie Zarządu Miasta Mikołowa przez oficynę „Śląsk” sp. z o.o. z tekstów przechowywanych w Dziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Teraz zaś wysiłkiem edytorskim samej już śląskiej książnicy ukazał się identyczny z poprzednimi w szacie zewnętrznej obszerny tom „Wyry”, na który składają się opracowania: Ludwika Musioła „Wyry — gmina i parafia” i Stefana Strzępy „Wyry w okresie 1939—1995”. Dzieje się to w 711. roku od ukazania się pierwszej wzmianki o miejscowości (1287) i w roku siódmym od ponownego utworzenia gminy Wyry, która znów wyodrębniła się z Tychów — o czym pisze z uzasadnioną dumą wójt Feliks Szulc.

WOJCIECH JANOTA

Podczas obchodów Dnia Hutnika w siedzibie Centrostalu Górnośląskiego w Katowicach, Rudolf Maroń, kierujący od 25 lat tą znakomicie prosperującą firmą — w obecności załogi i licznych gości, w tym zagranicznych — został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Był to wielki dzień Rudolfa Maronia — zaraz po otrzymaniu zaszczytnego odznaczenia odebrał z rąk Klausa Thiesa, członka Zarządu Reńsko-Westfalskiego Stowarzyszenia Nadzoru Technicznego w Essen, certyfikat na zgodność z normą ISO-9002, dzięki czemu Centrostal Górnośląski znalazł się w gronie ekskluzywnych firm, które uzyskały tego rodzaju kwalifikacje i uprawnienia. Liczący już 70 lat menedżer i społecznik rodem z Chorzowa, osiągnął życiowe cele jako szef przedsiębiorstwa i człowiek obecny od ponad pół wieku w życiu publicznym.

LUDZIE BIZNESU

Rok potrójnej rocznicy



Rudolf Maroń

Jest rok bieżący rokiem potrójnej rocznicy urodzonego 6 lutego 1928 roku chorzowianina: 70-lecia urodzin, 55-lecia pracy zawodowej i 25-lecia kierowania Centrostalem, który za jego dyrekcji — a przypada ona na czas wielu przełomów politycznych i historycznych — stał się z nazwy i aspiracji, jako przedsiębiorstwo wzorcowe, Centrostalem Górnośląskim. W zmianie nazwy wyraża się niewątpliwie manifestacja rodowodu Rudolfa Maronia, syna robotniczej rodziny od pokoleń związanej z Górnym Śląskiem, o patriotycznych tradycjach, których czul się zawsze, za przykładem ojca, żarliwym spadkobiercą. Manifestuje to zresztą przy każdej okazji, często wdając się z pasją w polemiczne spory, gdy tylko padną pod adresem Śląska i Górnoślązaków niesprawiedliwe oskarżenia. I z tego jest również znany od lat.

Tak ostro jak nikt zareagował więc na niefortunną wypowiedź wiceministra obrony narodowej, Radka Sikorskiego, wyrażoną w artykule w „Foreign Affairs", gdzie znalazło się owo fatalne zdanie, iż „Polskę byłoby łatwiej reformować, gdyby można było zrezygnować z jej wyeksploatowanych regionów przemysłowych, takich jak Śląsk". Podobnie stanowczo wypowiedział się przeciw rejestracji Związku Ludności Narodowości Śląskiej, ogłaszając w „Trybunie Śląskiej" polemiczny artykuł. Kiedy indziej, gdy w jednej z dyskusji prasowych zakwestionowano polskość Ślązaków, jako że wielu zostało wcielonych do Wehrmachtu, choć w dużej masie znaleźli się potem w jednostkach wojsk polskich na Zachodzie, wypomniał, że *„Jakoś nikt nigdy nie zarzucał gen. Andersowi i większości polskich generałów przed II wojną światową, że służyli w obcych, a nawet we wrogich nam armiach"*. Stwierdził też w zaognionym sporze, że *„Przez wiele lat o awansie na Śląsku w większym stopniu decydowało miejsce urodzenia niż kwalifikacje. Nie było tu kadrowca Ślązaka, był to zawsze ktoś z Zagłębia. Tak samo przedstawiała się sytuacja w komitetetach partii i Urzędzie Bezpieczeństwa. Podawanie przykładu Jerzego Ziętka i Arki Bożka jako przykładu awansu potwierdza tylko regułę. Arka Bożek zmarł w izolacji politycznej i zapomnieniu, a Jerzy Ziętek przechodził różne koleje losu, łącznie z zakazem publikowania jego zdjęć i informowania społeczeństwa o inicjatywach ówczesnego wojewody"*.

Jako patriota rodzinnej ziemi, ale i wyraziciel polskiej racji stanu, jest człowiekiem znanym z ostrego języka. W ogóle racje państwa stawia na miejscu najwyższym, co też znajduje wyraz w jego stosunku do Centrostalu Górnośląskiego, jako przedsiębiorstwa państwowego. Manifestuje także przy każdej okazji swoje związki z programem społecznym lewicy. Jest człowiekiem o przekonaniach stałych, który w żadnym schemacie się nie mieści — osobowość barwna i wyrazista, z życiorysem zawiłym.

★ ★ ★

Z wykształcenia politolog i historyk, okazał się menedżerem w wielkim stylu, lecz nie technokratą pozbawionym zdecydowanych przekonań. Po roku 1989 przyjął reguły wolnego rynku, po którym porusza się swobodnie, aby dowieść... że Centrolstal Górnośląski, jako firma państwowa może sprostać konkurencji firm kapitalistycznych, względnie wejść z nimi w interesy i związki kapitałowe, wykazując przy tym równie wysoką wydajność i efektywność, przy jednoczesnej wysokiej trosce o zaspokojenie potrzeb socjalnych pracowników. Taki jest Rudolf Maroń, człowiek nie mieszczący się w sztywnych schematach i jednoznacznych podziałach. W pewnym okresie, jako były działacz partyjny, ze względu na manifestowane przekonania i krytycyzm został wykluczony z partii — głównie pod zarzutem, że dostawami stali wspierał budownictwo sakralne. Do odwołania ze stanowiska dyrektora Centrostalu jednak nie doszło: przeciw jego zawieszeniu zaprotestowała Rada Pracownicza. Nie potwierdziły się także zarzuty z licznych kontroli (około 80 w latach 1985-90), toteż Sąd Rejonowy wstrzymał wykonanie decyzji o odwołaniu. I tak „czerwony" Maroń, niezwykle popularny wśród załogi, ostał się na stanowisku dyrektora i kieruje firmą do tej chwili.

Kierownictwo „Centrostalu" przejął w roku 1973, a więc w szczytowym okresie sukcesów ekipy Gierka, gdy Polska otwiera się na technologie zachodnie i nowoczesność. Te reguły myślenia były Maroniowi bliskie, bo Górny Śląsk zawsze postrzegał jako region wysokiej cywilizacji. W roku 1989, gdy po zmianach ustroju dochodzi do likwidacji systemu nakazowo-rozdzielczego. Centrostal, teraz już Górnośląski, pod kierownictwem Rudolfa Maronia szybko dostosował się do reguł wolnego rynku, wykazując nadzwyczajną przedsiębiorczość i elastyczność. Gdy inne przedsiębiorstwa państwowe popadają w stan zadłużenia i wegetacji — firma rozkwita: zmienia struktury organizacyjne i wymagania jakościowe nastawiając się na ofensywę ekonomiczną według nowych zasad.

Firma wchodzi we współpracę z wielkimi niemieckimi koncernami Thyssenem i Kruppem oraz francuską firmą Ugine. Pracownicy Centrostalu Górnośląskiego — i to w ramach bezpłatnej pomocy — przechodzą specjalistyczne przeszkolenie w zakresie nowych technik sprzedaży, organizacji pracy i marketingu. Właśnie w ramach tych działań zostały podjęte żmudne i kosztowne wysiłki, w celu wdrożenia systemu spełniającego wymagania normy PN-ISO 9002, które uwieńczone zostały sukcesem. Wymagało to przeszkolenia wszystkich pracowników dla sprawnego zastosowania stałej, wysokiej jakości oferowanych wyrobów i usług. Jest to ważny etap umożliwiający przejście do założeń Totalnego Zarządzania Jakością (Total Quality Management), wylansowanego w latach 70. przez Japończyków.

Nadzwyczaj ważne i korzystne okazało się także powołanie przed 5 laty Spółki Kapitałowej THYSSEN-CENTROSTAL, specjalizującej się w technice grzewczej i sanitarnej, która dysponuje nowoczesnym asortymentem. Spółka osiągnęła mocną pozycję na rynku i stale rozbudowuje sieć sprzedaży, dysponując dużymi salonami sprzedaży w wielu miastach południowej Polski. Jednocześnie firma stale inwestuje w rynki pokrewne, w tym w sprzedaż tworzyw sztucznych dla budownictwa. Rozwija też swą sieć sprzedaży stali i jej wyrobów.

★ ★ ★

Z nietajoną satysfakcją z okazji hutniczego święta Rudolf Maroń poinformował zebranych, że w roku 1997 zyski firmy ze sprzedaży wzrosły w stosunku do roku poprzedniego o 11,1 procenta, że osiągnięty zysk netto wyniósł ponad 3 miliony złotych i był wyższy o 6,8 proc.; że wzrosło zatrudnienie (o 4,3 proc.) i wydajność pracy (o 6,6 proc.); natomiast rentowność wzrosła o 2,7 proc. — gdy jej wskaźnik dla całej gospodarki krajowej wyniósł w tym czasie 1,8 procent. Przedsiębiorstwo nie tylko intensywnie inwestuje, ale posiada pełną płynność finansową, regulując wszystkie zobowiązania wobec państwa, w tym także podatkowe i ZUS. Wysokie wynagrodzenia, szeroka skala świadczeń socjalnych, poczucie zawodowego bezpieczeństwa — oto co zapewnia Centrolstal Górnośląski swoim pracownikom, jako firma państwowa. Spośród przedsiębiorstw, dla których organem założycielskim jest wojewoda katowicki, uzyskuje przy tym co roku najlepsze wyniki.

Wizyta w Centrostalu Górnośląskim musi sprawiać wrażenie. Zakład przy ulicy Stalowej w Katowicach prezentuje się jeszcze efektowniej niż w reklamowym folderze. Odnosi się wrażenie, że został usytuowany w parku. A więc „ślub z przyrodą" nie jest jedynie efektownym hasłem. Centrostal Górnośląski znany jest w ogóle z wielkiej wrażliwości na potrzeby społeczne, świadcząc niemało na rzecz służby zdrowia, na potrzeby nauki, oświaty i kultury. Przed rokiem Rudolf Maroń otrzymał statuetkę „Amicus Librorum", za zasługi wniesione w budowę nowej siedziby Biblioteki Śląskiej. Jest więc także mecenasem kultury, który starannie wybiera cele ważne dla Śląska.

PAWEŁ GRABARCZYK

Eksport

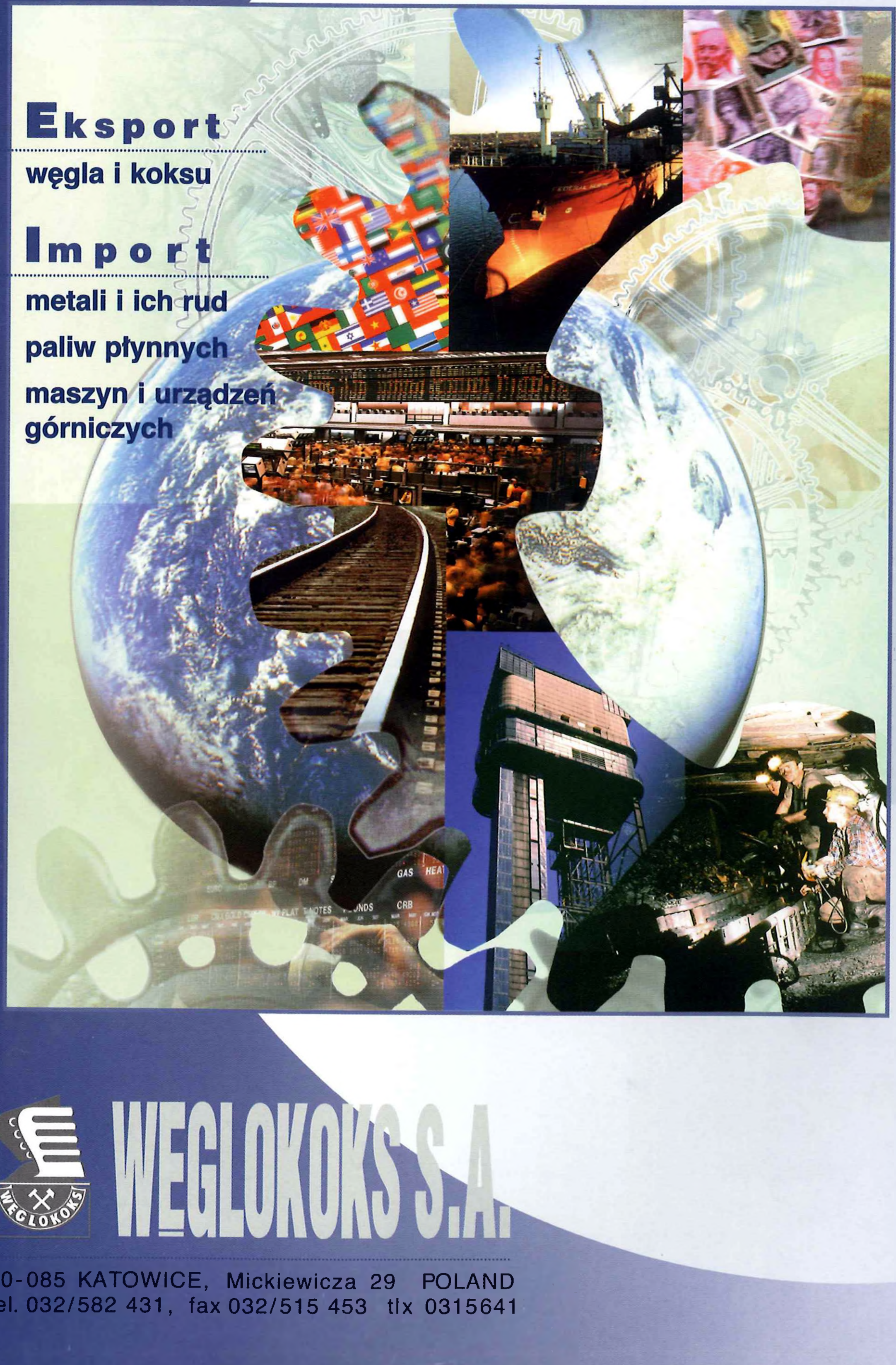
węgla i koksu

Import

metali i ich rud

paliw płynnych

maszyn i urządzeń górniczych



WĘGLOKOKS S.A.

40-085 KATOWICE, Mickiewicza 29 POLAND
tel. 032/582 431, fax 032/515 453 tlx 0315641

351674

Porozmawiaj z przyjaciółmi we właściwym czasie



Rozmowy międzymiastowe w soboty, niedziele i święta

tańsze nawet

o 50%

Coś Nas Łączy

TELEKOMUNIKACJA POLSKA S.A.
DYREKCJA OKRĘGU W KATOWICACH